

Karol Bunsch

PARMENION

W Atenach minety dni wielkich napięć. Jak w prowincjonalnym miasteczku nie działo się nic ważnego. dzień podobny do dnia, a noc do nocy. Wielka polityka, handel i sztuka, nawet występki i rozpusta przeniosły się na północ, za świętą górę Olimp. W Atenach spały nawet psy i strażnicy — szkoda czuwać. Powszechny pokój, mieszkańcom nie grozi nic.

Martwość śpiącego miasta podkreślała jeszcze powódź księżycowego światła, ostrymi liniami odcinając jaskrawą biel marmurów od czarnych cieni pełzającego z wąwozu mroku, który sunąc po zboczach gasił światła, w miarę jak księżyc pochylał się w stronę portu i siał zimne iskry na drobnej fali zatoki. Cisza i ciemność zaległy ulice, jeno jak olbrzymie mauzoleum świeciły jeszcze górujące nad miastem świątynię Akropolu *. Żaden głos nie zdradzał życia. Gdy jednak księżyc schował się za wzgórze, Akropol zgasł i mrok się pogłębił. Jakby na to czekając, jakaś postać przesmyknęła się przez mur koło Dipylonu i rozplynęła się w ciemnościach. Jeno szelest skradających się kroków po kamiennym bruku zdradzał, że przybysz kieruje się ku dzielnicy portowej.

* Objasnienia do obcych wyrazów znajdują się na końcu książki

I tu panował mrok i cisza. Siedziby bogaczy, gdzie ongiś uczyły i zebrania przeciągały się do świtu, teraz czyniły wrażenie opuszczonych. Tylko w domu Demostenesa niepewnym poblaskiem znaczył się świetlik talamu*.

Mówca nie spał. Nawykł wykorzystywać do pracy najspokojniejsze godziny przed świtem, gdy skupienia nie mąci ruch w mieście i w domu. Wtedy można utrwalić lotne dary Snu, chytre pomysły, nim je rozproszy trzeźwe światło dnia.

Od dawna już jednak towarzyszem nocnych godzin Demostenesa miast snu była rozpacz. Walka została rozstrzygnięta, wieńce zwycięstwa zabrał wróg. Nikt się nawet nie sprzeciwił, by je wysłać Filipowi w hołdzie z zapewnieniem służalczej wierności. Demostenes nie miał już nad czym pracować.

Ostatnio, uciekając myślą od tych spraw, zbliżył się do swej córeczki. Ale bogowie, zda się, pogrzyżć go chcą na samo dno ludzkiej nędzy. Jak na urągowisko, gdy Filip oczekiwał któregoś tam potomka, zesłali chorobę na-jedynę dziecko Demostenesa. Nie pomogły zabiegi najlepszych lekarzy ni hojne ofiary. Przed tygodniem ojciec odprowadził córkę na Drogę Świętą, gdzie spoczęła pod niewielkim kamieniem. W domu zapanowała cisza, którą niedawno jeszcze mącił głos dziewczynki, nieraz niecierpliwiąc Demostenesa. Teraz ma spokój.

Kamienny, martwy spokój.

Ale tylko zewnętrzny. W sercu Demostenesa szalał bunt: przeciw bogom, że go opuścili, przeciw miastu, że w haniebnej beztrosce dba już tylko o łaskę swego pogromcy i korzyści datowanego pokoju. Nie trzeba budować floty, opłacać najemników odrywać rąk od warsztatów i handlu. *Kofne ejrene*— pokój powszechny! Kto go naruszy narazi się Filipowi. Tyran dba o to; by jego niewolnicy nie bili się między sobą.

Spokój! Zburzyć go za wszelką cenę! W pełni lat męskich, nawykły do pracy, nad siły, Demostenes w miejsce wszystkiego, czym żył, ma spokój. Gdybyż choć Filip prześladował swego wroga, żądał jego głowy, jak ongiś Charidemosa! Byłby wraz ze strategiem zbiegł do Persów i tam gotował opór przeciw tyranowi-

Ale rozsądek podszeptował mu drwiąco, że Charidemos jest wodzem, który potrafił dać się we znaki samemu Filipowi. A on, Demostenes, jeno mówcą. Król perski płacił mu, dopóki go potrzebował, by Helladę podburzać przeciw Macedonii. Teraz, gdy ujrzał, że darmo rzuca złoto, lekceważyć musi Demostenesa wraz z jego sztuką. Tak samo jak Filip. To nie wspaniałomyślność kazała Macedończykowi zostawić w spokoju zaprzysiężonego wroga. W nabrzmiewającym starciu z Persją Demostenes nie liczy się ani jako sprzymierzeniec, ani jako wróg. Wraz ze swą wymową stał się niczym, on, który już sądził, że jest Temistoklesem i Peryklosem w jednej osobie. Może być chyba tylko prowincjonalnym adwokatem. Sztuki swej, którą, pokonując największe opory latami budował i cyzelował, używać może po to, by zarobić parę drachm — bo na nic więcej się nie zda...

A jednak nie chciał się poddać i nie chciał uwierzyć, by szczerze, choćby bez wewnętrznego oporu, poddała się już cała Hellada. Gdy do Pelli wyruszało haniebne poselstwo z darami i hołdem, zdołał wkręcić do niego zaufanego i chytrego Epimedesa, by mu donosił, jak zachowywać się i co mówić będą ateńscy posłowie. Z dawnego nawyku zbierał zarzuty przeciw stronnikom Filipa, choć stracił już wiarę, by jeszcze się przydały.

Ale nie wierzył też, by Tyche uśmiechać się mogła do kogoś bez przerwy; Dochodziły do Aten plotki o wewnętrznych rysach w gmachu potęgi Filipa. Darmo ironiczny Hypereides mówił, że bezpodstawne nadzieje oghupiają ludzi, jeśli wprost nie wynikają z głupoty; nadzieją żyje wielu, bez nadziei nikt. A trzeba ją czymś karmić lub zapisać się do „stronnictwa milczenia” przy Drodze Świętej. Po karmę dla nadziei wysłał Epimedesa. Wśród świętych uroczystości w tłumie poselstw wszystkich krajów, od Istmu * i Pontu * do Zatoki Peloponeskiej, wiele można usłyszeć. Im świetniej wypolerowana zbroja, tym wyraźniej widać na niej skazy. Bystry i przebiegły Epimedes potrafi je zauważyć.

Wśród zgryzot i koniecznych zajęć ostatnich dni Demostenes zapomniał o uroczystościach w Pelli. Ale teraz gdy wśród ciemności leżał z otwartymi oczyma, patrząc

w mrok pod pułapem, wyobraźnia przedstawiać mu jęła triumf wroga, i łożę, w którym spoczywał, zdało mu się łożem Prokrustesa *.

Poderwał się jak źgnięty sprzeż skorpiona. W głuchej ciszy lekkie pukanie do wejściowej bramy rozniosło się pogłosem po całym domu. O tej porze nie zwykły przychodzić blahe wieści. Nie zarzuciwszy nawet chłajny*, Demostenes poskoczył i odsunął zaworę. Mimo ciemności poznał Epimedes a i serce jego zatłukło się gwałtownie. Nie bez powodu posłaniec powrócił przed zakończeniem uroczystości. Kładąc palec na ustach, Demostenes wepchnął go do swego talamu. Epimedes, widno znużony, usiadł bez słowa na trójnogu i rozcierał zdrętwiałe nogi. Demostenes, trzymając jeszcze w rękę lampkę oliwną, stał przed nim, nie mogąc wydobyć głosu, by rzucić pytanie, które paliło mu wargi.

Posłaniec zaczął sam:

— Domyślasz się już zapewne, że wróciłem wcześniej nie z tęsknoty za tobą.

— Mów — wyszeptał Demostenes.

— Filip... nie żyje.

Upuszczona lampka stuknęła o kamień posadzki, Rozprysnęła się w kawałki, i światło zgasło, Z ciemności doszedł Epimedes a zduszony głos:

— Czy jesteś całkiem... całkiem pewny?

— Stało się to na oczach tysięcy ludzi. I tysiące pędzą, jak ów biegacz spod Maratonu, roznosząc wieść po świecie. W Atenach jam pierwszy. Myślę, że nagroda godna będzie wieści.

Nie przerywając ni słowem wysłuchał krótkiej opowieści. Już panował nad swym głosem, gdy rzekł: — Teraz ty spocznij tutaj, na moim łożu. Ja muszę pracować.

Już pracował. Jakby ktoś na rzece zerwał tamę, która więziła jej nurt, zatrzymując w biegu i zamieniając w bagno cuchnące, tak wyzwolona od gniożącego ją ciężaru myśl Demostenesa płynęła bystrym strumieniem.

Niebo dopiero zazieleniło się na wschodzie, gdy Demostenes w białym haftowanym chitonie * i spiętej złotą zapinką chłajnie, uwieńczony białym kwieciem, wyszedł z domu.

Dopiero zaczynał się ruch w mieście. Niewiasty niosły amfory* z wodą, niewolnicy płukali przed domem jarzyny. Wszyscy tu znali Demostenesa i wiedzieli o jego świeżym nieszczęściu. Toteż oczy ze zdziwieniem zwracały się na jego jasną szatę i rozpromienioną twarz. Niewiasty, spozierając za nim, szeptały między sobą, niewolnicy, porzucając zajęcia, biegli do swych panów, by zaraz po przebudzeniu oznajmić im nowinę. Demostenes spał się lub oszalał. W kilka dni po śmierci jedyne dziecko zrzucił żałobę i idzie na rynek, przybrany jak na wesele.

W mieście, w którym od dawna nie działo się nic ważnego, byle drobiazg budził zainteresowanie i podniecenie. Demostenes wiedział o tym. Idąc wolno, kątem oka badał wrażenie, jakie czynił. Przed domem Likurga zatrzymał się i zapukawszy wszedł do wnętrza. Stary idealista pierwszy uwierzy w cud, a w mieście cieszy się powagą. Od niego należy zacząć.

Likurg spał jeszcze. Pozbawiony urzędu, nie miał powodu wstawać o świcie. Zawiedziony w swej wierze w sprawiedliwość bogów i wielkie przeznaczenie swego miasta żył również w przygnębieniu, czekając już jeno śmierci. Gdy mówca zaczął go trącać, z trudem otworzył oczy, które uczyniły się okrągłe ze zdziwienia. Patrząc na przyjaciela, zapytał:

— Coś ważnego stać się musiało, Demostenesie skoro zrzuciłeś żałobę i przerywasz mi sen, który jedynie koi moją duszę.

— Wstań i pójdz ze mną. Musimy obywatelom oznajmić wielką i radosną nowinę.

Patrząc w pytające oczy Likurga, dodał z uśmiechem;

— Filip nie żyje.

Likurg zerwał się. i usiadł na łożu. Trzęsącym się z podniecenia głosem zapytał:

— Co mówisz? Skąd ta wieść?

Demostenes przymknął powieki, uśmiechając się tajemniczo. Zaczął uroczyście.

— Sam może bym nie uwierzył, ale powiem, bo nakaz bogów jest wyraźny. Wiesz, że wiele jest przyczyn które płoszą Hypnosa * od mojego łoża. Dziś jednak; znużony, po północy zasnąłem głęboko. Nie wiem, jak

długo spałem, gdy jakaś jasność razić mnie zaczęła przez zamknięte powieki. Gdym je otworzył, zrazu widziałem tylko oślepiające światło. Ale po chwili poznałem Opiekunkę miasta. Stała nade mną w hełmie i z włócznią w dłoni, jak Fidiaszowy posąg, tylko jeszcze piękniejsza. Potem ujęła mnie za rękę i rzekła: „Idź i powiedz mojemu miastu, że jest wolne. Krzywoprzysięzca i bluźnierca, który bogom chciał być równy, dłonią Zeusa ciśnięty został na dno Erebu *”. Przeto wstałem i jestem. Pójdźmy oznajmić cudowną wieść obywatelom.

Likurg drżącymi rękoma zaczął wkładać szaty, a drżącymi wargami szeptał modlitwy. Demostenes patrzył na niego spod oka. Likurg uwierzył bez najmniejszego wątpienia. Uwierzy i ateński demos*, teraz bardziej niż kiedykolwiek spragniony nadzwyczajności i nowości. Ale potwierdzenie nowiny może nadejść każdej chwili. Jeśli Demostenes ma odegrać rolę wybrańca i pośrednika bogów, musi się śpieszyć. Ponaglał do wyjścia.

Skierowali się ku rynkowi. Bramy już były otwarte. Obywatele szli do swych zajęć, nie śpiesząc się, przystając i gwarząc. Wielu już słyszało o niezwykłym zachowaniu się Demostenesa. Teraz na jego widok ten i ów zawracał z drogi i wiedziony ciekawością szedł za nimi. Jak zazwyczaj — gapiów było coraz więcej i nim dotarli do rynku, tłum otaczał już Demostenesa i Likurga. Przepychając się szli do mównicy. Demostenes wstąpił na nią. Podniósł rozpromienione oczy jak wódz, który po długiej chorobie dosiadł rumaka i stanął na czele wojska, by je poprowadzić do zwycięstwa. Potem wznosił dłonie w górę i wśród powszechnego milczenia rozpoczął dziękczynną modlitwę.

W Prytaneion* nastrój był równie niemrawy jak w mieście. Nie było ważnych spraw i urzędnicy, schodząc się, zaczynali zajęcia od plotek. I tutaj dotarła już wiadomość o dziwnym zachowaniu się Demostenesa. Omawiano to właśnie, gdy wpadł herold i krzyknął:

- Demostenes zgromadzenie urządził na rynku i podburza lud!

Gnuśny nastrój pierzchnął jak mgła pod uderzeniem wichru. Z chaosu pytań i odpowiedzi wynikało jedno. Demostenes twierdzi, że Filip nie żyje, i wzywa do wygnania jego stronników.

Po pierwszym osłupieniu archont * sam zaczął wypytywać.. Dowiedzieli się, że wedle twierdzenia mówcy wiadomość przyniosła mu Pallas Atene. Rozległy się śmiechy, ale stłumił je gniew. Demostenes: gra zuchwałej chwytając się szalbierstwa, które wkrótce musi wyjść na jaw. Ale lud jest łatwowierny i skłonny do nieobliczalnych wystąpień. Stojący u szczytu potęgi, w przededniu perskiej wyprawy, Filip nie daruje buntu, a odpowiedzialność spadnie na rządców miasta. Zamiast wygodnego rządzenia się na własnym podwórku, do którego Filip nie mieszał się zgoła, stanie na Akropolu, Jak w tebańskiej Kadmei, macedońska załoga, a miastem rządzić będzie samowola obcego stratega. Trzeba nacychmiast zapobiec nieodpowiedzialnym wystąpieniom.

Ale dopchać się na rynek nie było łatwo. Tłum, głowa przy głowie, w napiętym skupieniu zwrócony w stronę mównicy, zgoła nie był skłonny ustępować dostojnikom ni straży. A tymczasem jak żagwie niesione wiatrem po wszystkie krańce rynku leciały płomienne słowa:

— Pomnicie, obywatele, że z tego miejsca mówiłem, iż powodzenie Filipa nie może być trwałe, bo nie wyrosło na uczciwej polityce. Nie tylko kupieni za złoto Filipa zdrajcy, ale i uczciwi ludzie drwili wówczas z moich słów, nazywając mnie marzycielem, jarmarcznym wieszczkiem i jeszcze gorzej. Znaczący zaś sztuki wymowy, a nie brak ich. w naszym mieście — Demostenes skierował rozognione spojrzenie k» portykowi, pod którym stał na podwyższeniu Ajschynes — mówili, że chybiony patos zwraca się przeciw temu, kto go użył. Ale tak samo chybiona drwina. Czemuż nie drwią teraz, gdy sama Pallas Atene potwierdziła prawdę moich przewidywań? Kto waży się wam przeszkodzić, byście zaraz nim wygnacie służalców tyrana, w pył i proch rozbili posąg Filipa, symbol hańby i niewoli naszego miasta!

Mówca rękę* wyciągnął w kierunku posągu przedstawiającego macedońskiego króla jako Heraklesa — z maczugą w rękę i skórą nemejskiego lwa na barkach — pa-

trzącego kamiennym, obojętnym spojrzeniem ponad wzburzony tłum. Ale spojrzenia jego stronników, którzy przypadkowo stanęli u stóp posągu, zdradzały niepokój i zmieszanie. Żaden z nich nie podjął wyzwania zawartego w retorycznych pytaniach mówcy. Demostenes panował nad tłumem, zaskoczył ich niespodziewanym pociąganiem, a teraz trzeba czekać, aż sama rzeczywistość obali jego szalbierstwo. Ale jego skutki mogą być natchmiastowe i nieodwracalne. Z westchnieniem ulgi ujrzeni podniesioną dłoń kogoś, kto domagał się głosu. Każde odwrócenie uwagi tłumy było pożądane, mogło rozładować nastrój bliski wybuchu.

Istotnie nastąpiło odprężenie, gdy na mównicy ukazała się czerwona, okrągła twarz Diogenesa, pod strzechą zmierzwionych włosów. Samo jego zjawienie się wywołało tu i ówdzie śmiechy, które ginęły jednak wśród gwizdów i ryków. Diogenes, skrobiąc się po głowie, czekał spokojnie, aż przycichły na tyle, że mógł rozpocząć przemowę:

— Przypomnę wam, obywatele, że razem z wami walczyłem przeciw Filipowi. Mniejsza z tym dla czego, ale przecie przyrzekaliście obywatelstwo swego kraju każdemu, kto podniesie broń przeciw tyranowi. Mnie wasze obywatelstwo nie jest potrzebne, bo jestem obywatelem świata i nie ubiegam się o ten niewielki zaszczyt, którym obdzielacie nie tylko waszych obrońców, ale i pogromców. A jeśli o tym wzmiankuje, to jeno dlatego, byście spokojnie wysłuchali tego, co powiem, mając po rękę, że w przeciwieństwie do Demostenesa mówię w waszym, a nie w swoim interesie.

Głosy sprzeciwu zmieszały się z głosami potakiwań. Jednym na rękę była przerwa w judzeniu Demostenesa, inni ciekawi byli, co powie filozof, zmienny tłum zaś obiecywał sobie rozrywkę ze starcia najsłynniejszego, mówcy z ulicznym filozofem Diogenes zmierzał do niego widocznie, przeciwnik natomiast odsunął się pogardliwie.

— Nie odwracaj się ode mnie — ciągnął Diogenes — bo nie zamierzam równać się z tobą ani jako mówca, ani jako wróżbita. Nie cieszę się taką, jak ty, łaską bogów, by ze mną rozmawiali osobiście, nie natchnienie

tedy, ale zwykły rozsądek pozwala i mnie czasem być wroźbitą. Śmiejecie się z tego — zwrócił się do tłumu — ale skoro uwierzyliście Demostenesowi, do którego Pallas Atenę mówiła bez żadnego świadka, tedy uwierzcie i mnie, który mam na to świadków, że w czasie gdy on — kciukiem przez ramię wskazał na Demostenesa — owinął was wszystkich dokoła swego palca jak pukiel włosów, gdy nikt tutaj, nawet Ajschynes, mimo że Filip płacił mu za to, nie ważył się rzec za nim słowa, ja przepowiedziałem, że na tym rynku stanie posąg Filipa.

Długo trwało, nim pomieszane głosy oburzenia i Śmiechy ścichły na tyle, że Diogenes mógł podjąć.

— Czy Filip żyje, czy nie żyje, tego nie wiem. Jako cynik zwykłem trzymać się faktów jak nogi ziemi. To mi pozwala w przeciwieństwie do was kierować się rozsądkiem. Faktem zaś jest, że wydaliście na posąg Filipa pięćset drachm. Nie jest to wprawdzie dla miasta wielki wydatek, ale niewątpliwie za te pieniądze można było zbudować coś pożyteczniejszego, jak na przykład ustępy publiczne, których brak daje się czuć w Atenach - tu pociągnął zadartym nosem o szerokich nozdrzach — podczas gdy nikt nie może się uskarżać na brak posągów.

Teraz powszechny śmiech przerwał przemówienie Diogenesa, ale on podjął z powagą:

— Widzę, że trafiłem do waszego przekonania, tedy może posłuchacie rozsądnej rady: skoroście już raz ponieśli ten niepotrzebny czy, jak chce Demostenes — haniebnny wydatek, wstrzymajcie się ze zburzeniem posągu, aż zwyczajny ziemski posłaniec przyniesie nam wiadomość o śmierci Filipa. Gdyby bowiem Pallas Atenę okłamała Demostenesa albo on was, musielibyście ten wydatek, ponieść po raz wtóry, zamiast przestać zanieczyszczać po kątach wasze piękne miasto.

Śmiechy i głosy sprzeciwów znowu przerwały przemówienie, Diogenes jednak ciągnął:

- Widzę, że chcecie, bym już kończył, a obawiam się że nieprędko będziecie znowu chcieli słuchać moich słów, bo głos rozsądku nie budzi echa w Atenach. Ale zastanówcie się, czy nie trudniej niż z posagiem Filipa będzie podjąć walkę z jego synem. Widzieliście go, choć nie wszyscy, pod Cheroneą i, na Zeusa, jeśli za nią Filip

zasłużył sobie u was na posąg, to syn jego łącznie może zasłużyć na świątynię na Akropolu.

Teraz jeden wielki głos oburzenia przerwał filozofowi. Liczne ręce ściągnęły go z mównicy, szarpiąc i potracając. Może by drogo zapłacił za przepowiednię, gdyby nie nagłe odwrócenie uwagi tłumu. Poprzedzona przez herolda, głośno wołając o miejsce przepychał się Fokion, w towarzystwie Demadesa i prytańców *. Przemogło zaciekawienie, co powie jedyny człowiek promacedońskiego stronnictwa nie podejrzany o przekupstwo. Rynek zaległa cisza, w której donośnie zabrzmiał głos starego wodza.

— Sprawy, które tu poruszono, zbyt ważne są, by rozstrzygać je mogła samowola jednostki lub nieodpowiedzialne poczynania przypadkowo zebranego tłumu. Jutro o świcie władze ateńskie przedstawią zgromadzeniu na Pnyksie * wnioski, jakie uchwalą w nowym położeniu, powstałym na skutek śmierci Filipa.

Potwierdzenie jednak wieści przez trzeźwego Fokiona zerwało ostatnią tamę, jaką stanowić mogła niepewność i rozbudzone przez Diogenesa wątpliwości. Teraz lud ryczał na cześć Demostenesa, zapalczywi biegli po drągi i młoty, by zwalić i rozbić posąg Filipa. Niemniej rynek zaczął się opróżniać. Wrzeszczące tłumy rozbiegały się po całym mieście, roznosząc pewną już nowinę, która jak błyskawica w ciemnościach odmieniła wygląd miasta. Demostenes patrzył na to z drwiącym uśmiechem. Rozumiał, że przeciwnicy jego chcą zyskać choć dzień zwłoki, by pomyśleć o swym bezpieczeństwie. Jak jutro wypadnie głosowanie zgromadzenia, był pewny — władza znajdzie się w jego ręku. Patrzył na kupę kamieni, w jaką tymczasem motłoch zmienił posąg Filipa. To obraz jego państwa! Runęło wraz z nim.

Demostenes skierował kroki do Prytaneion. Mimo że nie był członkiem władz miejskich, pierwszy otrzymał głos. Nikt nie wątpił, że jakiegokolwiek wnioski postawi jutro na zgromadzeniu, przejdą bez sprzeciwu. Lepiej znać je z góry, by znowu nimi nie zaskoczył przeciwników.

Demostenes poniechał swych zwyczajnych zwrotów i obszernych uzasadnień. Mówił jak despota: natych-

miast odwołać kontyngent wojsk ateńskich, przeznaczonych na wojnę perską, powołać pod broń dwa roczniki, Zgłosić wystąpienie z Korynckiego Związku i wypowiedzieć wojnę Macedonii; zabójcy Filipa przyznać wieniec i posąg na rynku

Gdy skończył, przez chwilę panowało ..milczenie. Pierwszy Fokion zabrał głos:

— Odwołanie naszych wojsk jest samo t>rzexss[ę zrozumiałe, gdy perska wyprawa musi być, zaniechana. Nie sprzeciwiam się też powołaniu nowych roczników. Dor. brze jest okazać gotowość do wojny. Ale co innego* ją wypowiedzieć. Poczekajmy na rozwój wypadków, mieje my pewność, co uczynią inni. I nie jest fzeczą złą samą w sobie Związek Koryncki i powszechny pokój. Nie zapominajmy, że Filip zostawił następcę — i jakiego następcę! Armia zaś macedońska stoi pod bronią, doić silną, by nawet bez naszej pomocy uderzyć na potęgę perską. Głupi, kto na swe barki ściąga ciężar przeznaczony dla kogo innego.

— I nie zapominajmy, że armia macedońska po śmieję>ci Filipa jest tylko o jednego człowieka słabsza, niż była: pod Cheroneę, gdzie nie oparła się jej cała Hellada - wtracił Demades.

Demostenes uśmiechnął się drwiąco i odparł zjadliwie:

— I nie zapominajmy, Demadesie, że niedawno Filip był dla ciebie herosem* większym od Agamemnońai Dziś równasz go z pierwszym lepszym macedońskim pa« stuchem. Ale mniejsza z tym. Każdemu wiadomo, że korzystałeś z łask Filipa i rad byś w spokoju pożywać ich owoce. Tobie nawet nie odpowiadani i nie moją rzcęzą wygłaszać pochwalne epitafios * dla Filipa. Ale tobie się dziwię Fokionie. Ty nie brałeś złota od Filipa, dość masz własnego, które zdobyłeś w licznych, zwycięskich wyprawach. Nigdy natomiast nie grzeszyłeś nadmiarem skromności. Czy pora na nią teraz, gdy państwu naszemu trafia się jedyna może sposobność, by odzyskać przewodnictwo w Helladzie? Czy Atenom potrzebny jest do czegoś Związek Koryncki? Zawsze mieliśmy własny. Hellada zwykła się na nas oglądać. Gdy mv wystąpimy pierwsi, pójdzie za nami. Sama opiekunka miasta wzywa nas do czynu, a ty małodusznie .chcesz nas odwieść od

niego pod pozorem, że chłystka i dzieciucha, któremu tylko ojcowska pycha pozwala odgrywać rolę Achillesa, uważasz za lepszego od siebie wodza? Dziś lepszych od siebie przeciwników znajdzie w samej Macedonii, po której opróżniony tron niejedne wyciągną się dłonie. Ale jeśli ty nie chcesz, dziś łatwo znajdziemy wodza, który z wieńca chwały naszego miasta zechce i dla siebie uszczknąć liść wawrzynu.

Fokion słuchał ze zmarszczoną brwią. Na jego suchej twarzy widniał niesmak, a potem gniew. Gdy Demostenes skończył, wódz zabrał głos:

— Niedawno ten sam motłoch dobrowolnie uchwalił wydanie każdego, kto by podniósł na Filipa dłoń. Przyznajcie wieńce skrytobójcy Filipa, jeśli chcecie, by szanujący się człowiek wstydił się waszych odznaczeń. Ale nawet szkał zaczyna szarpać ścierwo lwa dopiero, gdy cuchnie. Ani przez chwilę nie wątpię, Demostenesie, że potrafisz przeprowadzić swoje wnioski i znowu rozpętać burzę. To umiałeś zawsze, nie bacząc, że jej skutki spadają na wszystkich. Co więcej — umiałeś je od siebie odwrócić. Ja nie zapomniałem losu Lizyklesa *. On zapłacił życiem za przegraną wojnę, którą rozpętałeś ty, wbrew moim przestrogom. Jeżeli dziś przeciw niej przemawiam, to nie dlatego, bym miał nadzieję trafić do twego rozsądku, ale by cię przestrzec, że jeśli znowu wpędzisz miasto w nieszczęście, ty za to odpowiesz. I nie przemawiaj do mnie imieniem bogów. Jak wiesz, ja jestem sceptykiem. Po prostu sędzę, że o parę godzin wcześniej otrzymałeś wiadomość o śmierci Filipa i umiałeś to wykorzystać, by się ludowi przedstawić za wybrańca i pośrednika bogów. Cbytrości nie brakło ci nigdy. Ale mylisz się, jeśli sądzisz, że pochlebstwem mnie wciągniesz w swoją służbę. Pamiętam dobrze, że gdy jako zwycięzca wróciłem spod Bizancjum, ty, by podnieść swoje zasługi, nie tylko nie uznałeś mnie godnym wieńca, ale nawet piastowania stanowiska stratega. Zdaniem twoim tylko moje rany były dowodem, że rzekomo niedbalstwo moje nie było rozmyślne. A dziś sądzisz, że skusisz mnie wieńcem którego wówczas, twoim zdaniem, nie byłem godny! Ty znasz miasto, Demostenesie, ale nie znasz ludzi. Inaczej nie próbowałbyś na mnie

swjej demagogii, a przede wszystkim nie nazwałbyś chłystkiem i dzieciuchem człowieka, przed którym sam uciekałeś pod Cheroneę, rzuciwszy nie tylko tarczę, ale nawet chłajnę. Szukajże sobie tedy wodza, Demostenesie, umniejszając przeciwnika, którego każesz mu zwyciężyć, by jednak jego zasługa nie zaćmiła twojej. Ale pomnij, że mówca musi wiedzieć nie tylko co, ale i do kogo mówi. I że obelgami nie zwyciężą się wrogów, Aleksander zaś nie umie się śmiać z nich, jak jego ojciec, i gotów za nie zażądać twojej głowy, gdyby sprawy tak się obróciły, jak ja się tego obawiam.

Fokion skończył i usiadł wzburzony. Demostenes dźwignął się znowu.

— Darmo chcesz upozorować swój strach obawą o moje życie. Ja słucham głosu bogów, z których ty drwisz; choćbym miał stracić życie, o które ty rzekomo tak dbasz. Udzielałeś mi rad, Fokionie, co ma czynić mówca, a czego nie powinien, choć sam jesteś strategiem. Ja ci powiem, co winien czynić strateg, choć jestem tylko mówcą. Powinien umieć wykorzystać chwilę, gdy przeciwnik jest najslabszy, a powszechny zapał zapewnia gorliwe współdziałanie wszystkich, by osiągnąć zwycięstwo. A czego strateg nie powinien — to lękać się. Kto się lęka, już przegrał. Tedy w jednym masz słuszność nie nadajesz się na wodza przeciw Aleksandrowi, czy jest on chłystkiem i dzieciuchem, czy nie. Znajdziemy godniejszego, a ty. spoczywaj, gdy ojczyzna wzywa każdego uczciwego obywatela, by przyłożył rękę do jej wielkości.

Fokion wstał bez słowa i wyszedł. W walce na obelgi nikt nie pokona Demostenesa ani nikt go nie przekona, że jego wielkość nie jest jednoznaczna z wielkością Aten.

Wypadki zdały się jednak potwierdzać nadzieje Demostenesa. Zanim odbyło się zgromadzenie, na którym przeprowadził wszystkie swoje wnioski, jedna po drugiej napływały wieści, które zapał Ateńczyków rozpłomięły do szału. Wszędzie wycinano macedońskie żagi. Gdzie na czas zostały przestrzeżone same ucho-

dziły. W Tebach Filotas zamknął się w Kadmei, czekając na odsiecz, która zapewne nigdy nie nadszła. Iliryjskie i trackie plemiona podniosły bunt, zagrażając samej Macedonii. Znaczna część jej sił, pod Parmenionem i Attalosem, bawiła daleko w Azji Mniejszej, we wrogim kraju, zmuszona myśleć o powrocie przez zbuntowaną Trację lub jońskie kolonie na wybrzeżu, które już zrzuciły macedońskie jarzmo. Co więcej, jeśli uda się im wrócić, to powiększą jedynie zamęt w kraju. Dla nikogo nie było tajemnicą, że z chwilą gdy popioły Filipa spoczęły obok przodków z rodu Perdikkasa, z dwóch tylko jeden może pozostać przy życiu: Aleksander albo Attalos, zięć Parmeniona, cieszącego się w wojsku i w kraju niezwykłą powagą. A w samej Macedonii jest Amyntas, do którego tron z prawa należy, są książęta Lynkestis z Perdikkasowego pokolenia, którzy nie zapomnieli jeszcze swego pierwszeństwa wśród samodzielnych książąt macedońskich szczepów.

Zapał do wojny, jaki w Atenach rozniecił Demostenes, przeszedł w poczucie zwycięstwa, gdy w mieście zjawilo się poselstwo Attalosa. W zamian za przewiezienie wojsk do Macedonii i poparcie swych roszczeń do regencji, imieniem nowo urodzonej córki Filipa, ofiarowywał wieczyste przymierze i zwrot wszystkich zdobyczy macedońskich.

Bez wysiłku, cudzymi rękoma Ateny wyrównają straty dwudziestu czterech lat klęski i zaniedbań. Poniechano zbrojenia nowych roczników i rozbudowy floty.

Nie; ma przeciw komu. Trzeba być starym głupcem, by mniemać, że miastu zagrozić może zadumany chłystek, jedyną siłą posiadający w swojej agemie *, w kilkudziesięciu zuchwałych młokosach, co prawda gotowych na wszystko, a zatem na śmierć wraz ze swym wodzem. Bo nawet armii w kraju Aleksander nie może być pewny. Przywiązana była do Filipa, a powszechnie szeptano, że to Olimpias kierowała ręką, która zgładziła uwielbianego wodza. Czy i syn przyłożył swoją — nie było pewne. Ale pewnym się zdało, że kogoś osłania. Bez obyczajowego sądu zgromadzenia wolnych kazał wyrwać język skrytobójcy i ukrzyżować go. Nikt nie wątpił, że Pausanias nie działał sam. Widno o to chodziło, by nie zdra-

dził, z kim. W szeregach wojsk zgromadzonych na perską wyprawę, o której teraz nie myślał nikt, chodziły pomruki; winni muszą być ukarani,

— Winni muszą być ukarani! - głos Antypatra, szorstki, stanowczy, oddany echem od ścian pustego megaronu* zamku w Ajgaj zdał się być głosem całego kraju.

Aleksander podniósł zamyślane oczy i odparł spokojnie:

— Winnego kazałem ukrzyżować. Wisi jeszcze i każdy już wie, co czeka królobójcę.

— A królobójców? Nie był sam. Mniejsza z tym, że nie przysługuje ci prawo bez sądu karać śmiercią wolnego człowieka. Ale nim umarł, należało się dowiedzieć, kto kierował jego ręką. A ty język kazałeś wyrwać zabójcy.

Ostry, podejrzliwy wzrok Antypatra spotkał się ze spojrzeniem głębokich oczu Aleksandra. Były błękitne jak kwiaty hiacyntu, a twarde i lśniące jak kamienie. Antypater opuścił powieki.

Wezwał Aleksandra na rozmowę, o której z góry wiedział, że łatwa nie będzie. Ale musiał to uczynić. Lawina wypadków, która poderwała wzniesiony nie bez udziału wodza gmach potęgi macedońskiej, grożąc doszczętnym zniszczeniem, musi być powstrzymana. A kamieniem węgielnym odbudowy jest ogłoszenie królem następcy Filipa. Bez tego rozleci się wszystko. Znając zaś nastroje w wojsku, Antypater miał wątpliwości, czy uznany zostanie następcą człowiek podejrzany o udział w królobójstwie, a niemal pewnie osłaniający właściwą winowajczynię.

Antypater znał swój wpływ na kraj i wojsko, nie mniejszy miał jego przyjaciel Parmenion ze swą wyborową częścią armii. On jeden zaś może opanować Attalosa i przeszkodzić mu, by przez porozumienie z wrogiem nie szukał ocalenia. Gdyby Parmenion stanął po stronie Aleksandra, byłoby przynajmniej z czym rozpoczynać. Właśnie dlatego Antypater nie myślał rzucać

swych wpływów na szalę, nie uzyskawszy pomsty za śmierć Filipa, jednego z niewielu ludzi, do jakich przywiązało się jego okrutne serce przez dziesiątki lat mozolnej współpracy, której wyniki niemal zupełnie przekreśliło królobójstwo. Ale wiedział także, że Aleksander jest jedynym człowiekiem zdolnym opanować beznadziejne położenie, rozpocząć na nowo drogę ku wielkości niemal w tym miejscu, w którym zaczynał geniusz Filipa. Znał także przywiązanie Aleksandra do Olimpiady.

Przedłużające się milczenie zaczynało być nieznośne. Antypater nie patrząc na Aleksandra rzekł:

— Gdy bezpieczeństwo kraju i dynastii tego wymagało, Filip nie zawahał się kazać zabić... własną matkę.

Aleksander skierował spojrzenie gdzieś w przestrzeń. Odparł obojętnie:

— Ją nie jestem Filipem. Nie stawiaj mi wzorów, bo nikogo naśladować nie myślę.

Na twarzy Antypatra zjawił się gniew. Wiedział, że bez jego poparcia Aleksander znajdzie się sama przeciw wszystkim. A odpowiedź, którą usłyszał, była nie tylko obojętna. Graniczyła z lekceważeniem nie tylko Antypatra, ale i Filipa, jako ojca i króla, wraz z jego osiągnięciami, które zadziwiły cały świat, a w których wódz miał swój udział. Za kogo w końcu uważa się ten młokos, który — choć okazał już swą zdolność do czynu — niczego jeszcze nie dokonał?

Stary wódz rzekł ze złością:

Nie stawiam ci Filipa za wzór. Ale daliby bogowie byś był na jego miarę. On nie miał żadnej słabości, gdy szło o dobro kraju.

— Ale miał wiele innych, za które kraj w końcu zapłacił. I ty nie uważasz śmierci jego za dobrą dla kraju, jakkolwiek król stary już był i kaleka, a w wyprawie na Persję mógł tylko przeszkadzać.

— Ty śmiesz to mówić?— Głos zimnego zazwyczaj i opanowanego Antypatra nabrzmiały był wzburzeniem. — Czy nie rozumiesz, że i we mnie budzić musi podejrzenie, iż to, co się stało, stało się z twoją wiedzą... jeśli nie z wolą!

— Ja nie wiedziałem — odparł Aleksander z kamienną obojętnością. — Jeśli zaś mówię ci o tym, to dlatego, byś ty wiedział, że nie mam słabości nawet dla własnego ojca.

— Ale dla matki! — wybuchnął Antypater.

Znał Aleksandra: nie kłamie nigdy, bo nie lęka się nikogo i niczego. Ale zarazem wiedział już, że Aleksander zna winę Olimpiady i zamierza ją osłonić bez względu na skutki.

Zaskoczył go wyraz twarzy Aleksandra. Oczy jego złagodniały przybierając niemal dziecinny wyraz, a głęboki głos zadrgał liryczną nutą, gdy powiedział:

— Czy mnie nie wolno mieć tej jednej słabości? A ty, czy nie masz żadnej?

Zaskoczony Antypater odparł szorstko: — Miłuję Macedonię i swoje dzieci. Ale mnie bogowie ustrzegli od wyboru między dobrem i drugich.

— Mylisz się — rzekł Aleksander patrząc na wodza stwardniałymi oczyma.

Antypatra niełatwo było zmieszać. Ale wahał się długo, zanim cicho rzucił pytanie: — Co chcesz przez to rzec?

— Nie sądz, że kazałem język wyrwać Pausaniasowi, zanim zaczął mówić. Kazałem to zrobić, gdy już powiedział, co tylko ja powinienem słyszeć.

— Czy ja... niegodny jestem twego zaufania?

— Jesteś. Musimy wzajem mieć wzgląd na swoje słabości, skoro mamy współpracować; Olimpias jest winna, ponieważ przyrzekła bezkarność Pausaniasowi, gdy to uczyni. Ale sam wiesz, że Filip dobrze sobie zasłużył na nienawiść Olimpiady.

- Wiem... i to wiem, że Olimpias rządzić zamierza, w Macedonii... przez ciebie, który słabość masz do niej — zgryźliwie rzucił Antypater.

— Rządzić nie będzie — obojętnie stwierdził Aleksander — a co się stało, tego i bogowie nie odmienią. I nic już więcej od niej nie grozi

— Grozi państwu bezkarność królobójstwa. Żadne to wojsko, które nie żąda pomsty za wodza.— rzekł twardo Antypater.

— Tak — odparł Aleksander zamyślony. — Ale gdy winowajców jest więcej, może się zadowoli pomstą nad niektórymi...

— Wszyscy muszą ponieść karę ~ przerwał gwałtownie Antypater.

— Czy wszyscy? Heromenes, Arrhabajos i... Aleksander, księżę Lynkestis? Oni to zachęcili Pausaniasa do czynu.

Aleksander, księżę Lynkestis! Umiłowany mąż umiłowanej, najmłodszej córki Antypatra. Wnuka się od niej spodziewa. Cios był tym silniejszy, że niespodziewany. Antypater milczał. Aleksander zaś patrzył na niego badawczo. Zapytał:

— Ty, który się chlubisz, że najlepiej znasz Macedonię, nie wiedziałeś o tym, że twój własny zięć po berło sięgnąć zamierza... przy twojej pomocy?

Antypater opanował się już. Powiedział oschle:

— Nie wiedziałem. Co uczynisz?

— Na sądy nie pora. To jest walka. Wygra nie ten, co ma słuszność, ale ten, kto pierwszy uderzy. Heromenes i Arrhabajos, jeżeli jeszcze żyją, to nie dożyją jutra.

Po długiej chwili Antypater zapytał szeptem:

— A zięć mój?

Cień uśmiechu przemknął przez gładkie oblicze Aleksandra. Odparł:

— Gdybym nie miał własnych słabości, nie rozumiałbym cudzej. Jutro wobec całego wojska złożę mi hołd i przysięgę wierności, za której dotrzymanie ty poręczysz. A potem niech spokojnie siedzi na swych majątkach. Nie oczekuję miłości od człowieka, któremu stracić kazałem obu braci. Kazałem też zabić Amyntasa — dodał obojętnie.. — Zbyt wiele ludzi pamięta, że Filip odebrał tron bratankowi. A także Attalosa. Muszę być całkiem pewny, że w Macedonii będzie spokój, gdy ja będę wojował gdzie indziej.

Antypater, nie patrząc na Aleksandra, powiedział jak do siebie:

— Parmenion też nie uraduje się, gdy jego córka zostanie wdową.

— Nie zabijam dla przyjemności — sucho odrzekł

Aleksander. — Ale nie mogę się też z tym liczyć, że komuś jest to niemiłe. Gdyby Attalos żył, ja życia nie byłbym pewny.

— Czy jeszcze kogoś każesz zabić? — Antypater myślał o młodej Eurydyce i jej dziecku. On zrozumiał ostatnią prośbę Filipa.

Aleksander odparł:

— Więcej nikogo. Tymczasem nie potrzeba. Myślę, żeśmy się zrozumieli. Gdy jutro odbiorę przysięgę od wojska, natychmiast wyruszam przeciw barbarzyńcom.

— Filotas w Tebach czeka na odsiecz — zauważył Antypater.

Tym łatwiej pozyskam Parmeniona. Zresztą mam nadzieję skończyć wojnę na północy, nim Hellada skończy radować się wolnością.

Antypater pożegnał się krótko i odszedł. Idąc myślał o tym, że znając Aleksandra od dziecka, nie znał go jeszcze. Sam twardy i bezwzględny, wszczynając rozmowę zamierzał zmusić Aleksandra, by przynajmniej wygnął Olimpiadę. To miała być cena rzucenia jego wpływu na szalę Aleksandra. Teraz wiedział, że gdyby tego nie uczynił, wraz z zięciem podzieliliby dolę Attalosa i innych przeciwników Aleksandra. Aleksander usuwa ludzi jak kamienie z drogi, bez gniewu i nienawiści. Ale takiego władcy potrzebuje teraz Macedonia.

Myśl Antypatra zwróciła się do jutrzejszego spotkania Aleksandra z wojskiem. Pojedynczych ludzi można przekonać lub usunąć. Wojsko jest masą, nie kieruje się rozsądkiem, nie da się zabić jednym uderzeniem. Filip umiał je trzymać w rękę przywiązaniem, opartym na zaufaniu i poufałości. To obracało się przeciw Aleksandrowi. Wódz długo nie mógł zasnąć myśląc o jutrzejszym dniu, który zaważy na całej przyszłości.

Aleksander natomiast; pożegnawszy wodza, legł w łóżu i zatopił się w czytaniu peanów Pindara. Gdy oczy zaczęły mu się kleić, zdmuchnął kaganek i usnął natychmiast. Spał bez ruchu, choć światło dzienne dawno rozproszyło mrok talamu. Zbudził się, gdy nad nim stała Marsjas mówiąc:

- Wojska zebrane, czekają na ciebie.

Przed bramą zamku, na czele agemy Aleksandra, stali przy koniach Antypater i Hefajstion. Twarz starego wodza była chmurna. Gdy zjawił się Aleksander w towarzystwie Marsjasa, Antypater odezwał się:

— Ja uczyniłem, co mogłem. Ludzie, którzy rozumieją nasze położenie, są za tobą. Reszta od ciebie zależy.

Aleksander skinął odkrytą głową. Bez hełmu był, bez żadnych oznak ni broni, w ciemnej, krótkiej chlami-dzie *. Dosiadł konia i milcząc wysunął się na czoło.

Ze stromego zbocza zamkowej góry, w jaskrawym świetle słonecznym widać było z dala, na łące nad Ludiasem, zwarty w bezruchu czworobok zgromadzonych wojsk. Wzdłuż rzeki stały głębokie szeregi falangi*, lśniące spížem i najeżone sarysami *, a na ich grotach igrały słoneczne blaski. Naprzeciw, ila * przy ili, z królewską na czele, stała jazda hetajrów *, krótsze boki zamykały oddziały peltastów * i afraktów *. Wojska stały w milczeniu, ciszę mącił tylko chrzęst kopyt przestępujących z nogi na nogę koni. Nie zaburzył jej żaden okrzyk, gdy przerwą między ilami jazdy, na pusty środek czworoboku wysunęło się czterech jeźdźców. Antypater był w pełnej zbroi, z oznakami stratega na hełmie, olbrzymi Hefajstion i rosły Marsjas również uzbrojeni, choć bez oznak. Wśród nich jeszcze drobniejszy na swym potężnym, czarnym rumaku, w ciemnej szacie, Aleksander zdał się niemal chłopcem. Wysunął się przed towarzyszy, głowę pochylił na ramię. Gdy wszystkie spojrzenia zogniskowały się na nim, on patrzył w dal. Cisza zaległa taka, że słycać było brzęczenie much. Aleksander opuścił głowę i słońce zagrało na jego złotych kędziorach ujętych ciemną przepaską. Trudno było wprost uwierzyć, że to z jego dziewczęcych niemal ust wyszedł potężny i niski głos, który zburzył ciszę:

— Żołnierze!

Do najdalszych szeregów, wyraźnie i dobitnie jak rozkazy, docierały jego słowa:

— Przed kilku dniami «a tym miejscu stał jeszcze przesławny ojciec mój. U stóp zwycięzcy pełzała Hella-da, chyliły się przed nim głowy barbarzyńców, drżała

perska potęga. Zradziecki cios ręki, która winna była go bronić, zgasił światło Macedonii, któregośmy strzegli, własnymi ciałami osłaniając w niezliczonych bitwach. Niejeden z was nosi blizny od ciosów, które dla króla były przeznaczone. Wśród herosów naszego narodu żyć będzie imię Aretydy, który krwią swoją okupił życie Filipa. Bo nie ma dla wojownika większej chluby, niż ocalić życie swego wodza.

Głuchy szmer rozległ się wśród szeregów. Aleksander opuścił oczy, ale podniósł głos.

— I mnie dany był ten zaszczyt. Widzę wśród was towarzyszy walki w górach Haemos, Oni zaświadczą każdemu, kto nie wie lub nie chce wiedzieć — w głosie Aleksandra zabrzmiała groźba — że tam ja osłoniłem obalonego i niezdolnego do walki króla.

W szeregach rozległy się potakiwania. Gdy ucichł szmer, Aleksander ciągnął:

— Ale nikt nie zdoła powstrzymać ręki losu. Ona kierowała ostrzem, które przecięło życie Filipa. Nie pomogło ostrzeżenie delfickiej wyroczni ni obecność najwierniejszego z wiernych — Antypatra, W jego obecności Mojry * przecięły nić żywota waszego wodza, a ja konającemu przyrzekłem, że dokończę jego dzieła.

Antypater skinął głową. Aleksander ciągnął: — Od was zależy, czy dopełnię przyrzeczenia, Wszyscy winniśmy to ceniom króla. Niech nikt nie upada na duchu, widząc, jak wali się dzieło Filipa, jak zbuntowane miasta helleńskie wycinają naszych towarzyszy, jak barbarzyńskie plemiona grożą znowu naszym chatom, a po opróżniony tron wyciągają się ręce kierowane przez naszych wrogów. Bo Filip zostawił nam więcej niż zdobytcze. Zostawił przykład, że nie ma takiego położenia, z którego by dzielność wodza, poparta męstwem waszych ramion, z dna upadku nie zdołała wyprowadzić kraju na szczyt chwały.

Potakujący szmer rozległ się w szeregach. Aleksander powiódł po nich świetlistymi oczyma i ciągnął:

— Nie pora dochodzić, czy wszyscy winowajcy śmierci króla ponieśli już zasłużoną karę, gdy barbarzyńcy, palą nasze osady i leje się krew naszych niewiast i dzieci. Zagiew i miecz ponieść należy na ich osady i rodziny.

Nim zaś Hellada nacieszy się śmiercią swego pogromcy — powrócimy. Poniewczasie wówczas żałować będzie łagodności i wyrozumiałości Filipa. W kraju zostanie Antypater, by utrzymać ład i ukarać, kogo jeszcze ukarać należy. Znaie go i wiecie, że nie zwykł oszczędzać nikogo.

Rozległy się potakiwania. Aleksander podniósł rękę i ciągnął:

— Ale nikogo też nie oszczędziły oszczerstwa rozsiewane przez wrogów, by zamęt powiększyć w kraju, I Antypatra może spotkać zarzut, że oszczędza swoich. Mówię o zięciu jego, Aleksandrze Lynkestis, którego pomówiono, że wraz z braćmi ręki przyłożył do zabójstwa króla, by sięgnąć po berło Macedonii. Że nie miał takiego zamiaru, świadczy gotowość jego złożenia mi dzisiaj, wobec was wszystkich, hołdu i przysięgi wierności.

Antypater, gryząc wargi, słuchał przemówienia. Teraz zwrócił się ku zięciowi, który stał blady, w otoczeniu agemy Aleksandra, ten jednak powstrzymał go ruchem ręki i ciągnął:

- Hołd złożyć ma królowi zjednoczonej Macedonii. Wedle obyczaju królem jest ten, którego wy podniesiecie na tarczy.

Głos Aleksandra pozostał spokojny, choć wiedział że ta chwila rozstrzygnie o wszystkim. Ciągnął:

— Gdy pierwszy raz szedłem na waszym czele pod Peryntem, po zwycięstwie podnieśliście mnie już, obwołując królem, choć żył jeszcze ojciec mój. Śmiał się z tego i sam mnie tak zwał, a siebie jeno wodzem. Królem bowiem może być i wyrostek, potrzebujący opieki, ale wodzem waszym jeno najdzielniejszy z dzielnych.

Szmer powstał w szeregach i wzmagał się jak szum morza. Ponad nim jak grom zabrzmiał głos Aleksandra;

— Widzieliście mnie pod Cheroneą. Czy wierzycie, że i ja potrafię do zwycięstwa was prowadzić?

Resztą słów zaginęła w burzy okrzyków. Złamały się szeregi, olbrzymie postacie pedzetajrów* w mgnieniu oka otoczyły Aleksandra, potężne ramiona uniosły go z konia i posadziwszy na tarczy podawały jedne drugim.

Jak rozbitek na łodzi kołysał się na ryczącej fali tłumu. Ale twarz jego pozostała spokojna. Był panem Macedonii.

Nieświadomy wypadków w kraju Parmenion zmierział na południe. Pod Magnezją złamał opór Memnona, zajął Efez i przystąpił do oblężenia Pithone, niemal z dnia na dzień spodziewając się nadejścia Filipa z główną siłą. Niezrozumiała zwłoka zaczynała wodza niepokoić, groziła zmarnowaniem dotychczasowych osiągnięć. Opór wroga tężał, Memnon zbierał nowe siły, wysłany przeciw niemu Kalas poniósł klęskę. Dalsze posuwanie się w głąb nieprzyjacielskiego kraju stało się nie tylko bezcelowe, ale i niebezpieczne. Parmenion odstąpił przede wszystkim od oblężenia Pithone i obsadziwszy przez Attalosa Roteion cofnął się do Abydos, gdzie doszła go wieść o śmierci Filipa.

Już po raz czwarty w swym długim życiu Parmenion przechodził zmianę władcy, ale nigdy jeszcze nie wywołała w nim takiego zamętu uczuć i wewnętrznej rozterki.

W ciągu ćwierćwiekowej współpracy przywiązał się do Filipa, a niejasna rola Aleksandra w zamachu na króla sprawę następstwa czyniła wątpliwą, budząc zarazem niepokój o losy kraju rozdartego zamętem, z którego zewnątrz wrogowie nie omieszkają skorzystać. Jednocześnie zaś stary wódz zdawał sobie sprawę, że ani bezwolny Amyntas, ani niedołężny Arrhabajos nie są zdolni podjąć próby już nie utrzymania zdobyczy Filipa, ale bodaj zjednoczenia i obrony ojczyzny. Aleksander nie ustąpi bez walki na śmierć, wojna domowa zaś bez względu na jej wynik, równała się ostatecznej klęsce, a dla Parmeniona oznaczała zmarnowanie krwawego trudu i wyrzeczeń całego życia. Rozterkę pogłębiała świadomość, że jeśli opowie się przeciw Aleksandrowi, może walczyć mu przyjdzie i przeciw własnym synom; jeśli za nim — będzie to wyrok śmierci na zięcia i wdowieństwo córki. Attalos wie o tym i również nie

podda się bez walki, ma popleczników w wojsku i w Macedonii, a łatwo ich znajdzie poza nią.

Wojna domowa zdała się nieuchronna.

Bliższą jednak troską było ocalenie własnych wojsk, odciętych od kraju. Śmierć Filipa wyzwoliła wszystkie wrogie mu siły. Oparcie w helleńskich żywiołach miast przybrzeżnych z dnia na dzień malało. Satrapowie* wszędzie wprowadzali z powrotem sprzyjających Persom tyranów i oligarchów*, wygnanych w nadziei na nadejście Filipa. Zewsząd groziła zagłada, a Parmenion po raz pierwszy w życiu wahał się z powzięciem postanowienia.

Attalos natomiast nie wahał się ani chwili. Każdy wróg Aleksandra był jego sprzymierzeńcem. Jeszcze za życia Filipa przemyślnie i zuchwale stał sobie drogę do uchwycenia władzy, teraz nadeszła chwila ostatecznej o nią rozgrywki. Natychmiast należy wykorzystać piętrzące się przed Aleksandrem trudności i jak najprędzej znaleźć się w Macedonii. Wiedząc, że Parmenion będzie zwlekał w oczekiwaniu na porozumienie z Antypatrem, Attalos na własną rękę ułożył się z Demostenesem o przewiezienie wojsk do kraju i zawarł rozejm z Memnonem, który chętnie zgodził się nie przeszkadzać w odejściu wojsk macedońskich. Dopiero o poczynionych krokach Attalos zawiadomił teścia, przedstawiając je jako jedyny sposób ocalenia sił, niezbędnych w kraju wobec rozpętania wojny domowej przez Aleksandra i najazdu barbarzyńców. Wiedząc zaś o znaczeniu, jakie Parmenion przywiązuje do zdania Antypatra, polecił oznajmić mu, że ten opowiedział się przeciw Aleksandrowi, stwierdziwszy jego winę w zabójstwie króla. Sądził, że tak jest istotnie wobec istniejącej wrogości między Antypatrem a Olimpiadą i jej nienawiści do Filipa. Ale gdyby się nawet mylił, jeśli Parmenion zgodzi się na przymierze z Atenami, nie będzie już miał wyboru, a jego poparcie stanie się ważnym czynnikiem powodzenia zuchwałego przedsięwzięcia.

Parmeniona jednak, nawykłego do żelaznej karności i umiejącego jej od podwładnych wymagać, rozgniewała samowola zięcia. Wiadomość o postanowieniu Antypatra przyjął z nieufnością, a porozumienie Attalosa z wrogami oburzyło go. Oschle odprawił posłańca z rozkazem,

by Attalos stawiał się osobiście, wojska zatrzymując w Roteion i w żadne układy z nieprzyjacielem nie wazył się wdawać, w przeciwnym razie poniesie karę jako zdrajca.

Dla zamiarów Attalosa był to cios, ale obrotny człowiek natychmiast poszukał sposobu wyjścia. Aleksander dość ma innych trudności, by jeszcze zrażać sobie Parmeniona natychmiastowym obrachunkiem z jego zięciem. By przeto złagodzić chwilowo króla, przesłał mu pismo Demostenesa z zapewnieniem, że odrzucił korzystne warunki. Zdało mu się, że obliczył trafnie, gdy otrzymał wiadomość, że od Aleksandra przybywa do niego Hekataios, zapewne również w celu chwilowego załagodzenia zadrażnień.

By podkreślić swe znaczenie, Attalos postanowił przyjmując poselstwo w obecności podległych sobie dowódców. Hekataiosa nie znał i zdziwił się widząc przed sobą młodzika w orszaku równie młodych ludzi, którzy obecnością dostojników bynajmniej nie zdali się zmieszani, lecz rozglądali się po nich, szepcząc coś między sobą. Bardziej, zdziwił się, gdy Hekataios nie do niego się zwrócił, lecz do obecnych.

— Wojska w kraju obwołały królem Aleksandra, który poprowadził je przeciw zbuntowanej Helladzie, za rząd i troską o bezpieczeństwo kraju zlecając Antypatrowi. Mnie wysłał z rozkazem do Parmeniona, by do otrzymania dalszych rozkazów pozostał na miejscu, ponieważ wyprawy przeciw Persom, nie zamierza poniechać. Mam też zlecenie dla ciebie — zwrócił się do Attalosa.— Ponieważ położenie wymaga jedności, taki oto rozkaz otrzymałem.

Attalos, który z rosnącym, zdumieniem słuchał przemówienia, teraz jakby tknięty przeczuciem sięgnął do miecza, ale cios sztyletu w serce zwałił go na ziemię, a jednocześnie w rękach ludzi z orszaku Hekataiosa błysnęła broń; patrzyli na przywódcę, widocznie czekając rozkazu, by rzucić się na pozostałych.

Na widok niebezpieczeństwa osłupiali niespodziewaną wieścią i nagłością wydarzenia dostojnicy Attalosa porwali się do broni, Hekataios podniósłszy rękę rzekł:

- Wykonałem rozkaz króla, z wiedzą Parmeniona,

Kto na jego ręce złoży hołd i przysięgę posłuszeństwa Aleksandrowi, temu dotychczasowe winy będą wybaczone. Zdrajców i buntowników spotka podobny los — wskazał na zwłoki Attalosa.

Mówił, jakby to nie on z kilkoma zaledwie zabijakami znajdował się pośrodku kilkutysięcznych wojsk Attalosa, które ten umiał sobie pozyskać. Aleksander zdołał dobrać sobie ludzi, którzy na równi z nim nie liczyli się z żadnym niebezpieczeństwem i nie cofali przed niczym.

Przez chwilę trwało milczenie, potem broń wróciła do boków. Po śmierci Attalosa dalsze trwanie buntu nie miało celu.

Hekataios podjął:

— Chiliarchowie * udadzą się do Abydos, by złożyć przysięgę. Od pozostałych odbierze ją później Parmenion.

Spojrzał pod nogi, a widząc, że stoi w kałuży krwi, obojętnie wytarł sandały o szatę zabitego i skierował się ku wyjściu. Nikt się nawet nie poruszył, nie odezwał. Jeszcze trwało zaskoczenie.

Mimo pomyślnego wyniku spotkania Aleksandra z zebrany wojskiem Antypater nie był spokojny o dalsze losy kraju. Wyborowe oddziały pod Parmenionem w Azji Mniejszej nie wypowiedziały się jeszcze w sprawie następstwa tronu. Dla Attalosa nie ma pojednania z Aleksandrem, pozostawało mu tylko porozumienie z wrogiem. Jeśli zyska poparcie teścia, Antypatrowi przyjdzie walczyć przeciw staremu druhowi, z którym pospołu przy boku Filipa budowali potęgę Macedonii. Wewnętrzne walki wśród czyhających zewsząd niebezpieczeństw zniszczą ją do podwalin. Póki się poruszenie nie uspokoi, a położenie nie wyjaśni, Aleksander nie powinien opuszczać kraju, a zwłaszcza wyprowadzać wiernych sobie wojsk.

Na radzie-wojennej Antypater pierwszy zabrał głos: — Śmierć króla udaremniła perską wyprawę, wojska z Azji Mniejszej należało ściągnąć tutaj. Czy jednak nie mógłbyś załagodzić sprawy z Attalosem? Wiesz z pisma

Demostenesa, jakie zaofiarował mu korzyści. Jeżeli Attalosowi nie zostawisz wyboru, zmusisz go, by chwycił się tego. Królem ogłosił Amyntasa, by za niego rządzić. Nie wiemy jeszcze, co pocznie Parmenion. Gdyby poparł zięcia, gotowe zarzewie wojny domowej. Cokolwiek postanowisz, na żadną wyprawę nie pora, póki się rzecz nie wyjaśni.

W głosie Antypatra czuć było hamowany gniew, gdy ciągnął:

— Nie brak i tutaj takich, co oliwy dolewają do ognia. Nie wiem, kto uwięczył ścierwo białego na krzyż królobójcy. Ale wiem, że sztylet, którym dokonał zbrodni, Olimpias wysłała delijskiemu Apollinowi jako wotum dziękczynne. To drwiny z żałoby i nieszczęścia Macedonii, a wyzwanie rzucone tym, którzy miłowali Filipa I Parmenion przywiązany był do niego...

Antypater skierował przenikliwe spojrzenie na Aleksandra. Ten, jakby nie słyszał przemówienia, siedział zamysłony z oczyma wpatrzonymi w dal. Młodzi dostojnicy również nie zdradzali żadnego przejęcia położenia. Powrócili już towarzysze Aleksandra wygnani przez Filipa w czasie jego zatargu z synem. Jeszcze za życia staro króla nie odstraszała ich wojna domowa, gdyby ją rozpętał Aleksander. Wierzą tylko w niego. Nawet synowie Parmeniona gotowi są stanąć przeciw własnemu ojcu. Jedyne swoich synów Antypater był pewny. Urwał, sądząc, że król nie słucha, Aleksander jednak podjął:

— Uwieńczenie królobójcy uchwalił ateński motłoch na wiosek Demostenesa. Krzykacz ma tu widocznie swoich szpiegów. Twoją rzeczą będzie uporać się z nimi, gdy ja wyruszę, by przekonać Helladę, że nic się nie zmieniło prócz imienia króla.

Pewność siebie Aleksandra rozdrażniła Antypatra. Nad radą przeszedł, jakby jej nie słyszał, wzmiankę o wyzywającym zachowaniu się Olimpiady pominął jak drobiazg bez znaczenia. Antypater nie zwykł był milczeć, gdy szło o dobro kraju, i rąbnął:

— Mówiłeś, że uderzysz na barbarzyńców. Czy dlatego zmieniłeś zamiar, że rhopoperpetretas • nazwał cię chłystkiem i dzieciuchem? Jeśli zaś chodzi o obelgę wy-

rządzoną twemu ojcu, to czy nie cięższą wyrządziła mu twoja własna matka? Nie podejmę się utrzymać spokoju, jeśli mącić go będzie Olimpias...

— Tobie łatwiej z nią załadzić niż mnie — przerwał Aleksander. — Jak wiesz, Attalosa kazałem zabić. Parmenion musi pamiętać, że jego ulubieniec Filotas jest w Kadmei dowódcą załogi i czeka go zguba, jeśli rychło nie przypomnę Tebanom Cheronei. W Atenach niechaj myślą, że wybieram się do Tracji. Tym prędzej Demostenes zmieni o mnie swe zdanie: w Tebach zdam mu się efebem *, w Atenach mężem. Tobie pozostawię osłonę kraju przed barbarzyńcami, kolej na nich przyjdzie później. Parmenion musi pozostać nad Hellespontem, bo nie poniecham zamierzeń Filipa. Bogowie, usuwając go, mnie chcieli powierzyć dowództwo.

— Pozostaw wróżby i przechwałki Demostenesowi — szorstko przerwał Antypater. — Cwierć wieku krwawego trudu kosztowało, nim Filip gotów był do walki z królem królów. Ty, chcąc uderzyć na Teby, przejść musisz Tesalię. W Laryssie jest wrzenie przeciw nam. Nie z własnej woli ustanowili tagosem * twego ojca i nie jest to godność dziedziczna, nie zaczynasz tam, gdzie Filip kończył. Jeśli Tesalia otrzyma pomoc sąsiadów, możesz się potknąć u progu, by nie powstać więcej. Ostrożność jest też zaletą wodza, jeno o nią za młodu najtrudniej.

— Będę ostrożny — odparł Aleksander.

Antypater spojrział na niego podejrzliwie, nie wiedząc, czy nie drwi, król jednak skinął mu głową przychylnie i przystąpił do wyznaczania zadań dowódcom. Antypater przez chwilę przysłuchiwał się w milczeniu i uspokajał się. Bystrość i szybkość, z jaką młody król ułożył plan działania w zawiłym i trudnym położeniu, mogłaby zadziwić nawet u doświadczonego wodza. Równie szybko potrafi działać, a jeśli mu się powiedzie, istotnie nie trzeba będzie wieku, by osiągnął potęgę równą Filipowej.

Antypater podszedł do króla i powiedział:

— Niech Tyche ci towarzyszy. Wolałbym iść z tobą, bo niewdzięczne mi pozostawiasz zadanie. By mu sprostać, ręce muszę mieć wolne.

— Możesz czynić wszystko. Nie wolno ci tylko tknąć mej matki.

Wódz skinął głową i wyszedł, zamierzając natychmiast wyjechać do Pelli. Królową musi oszczędzać, ale knowania jej potrafi powściągnąć. Gdy przed świtem zbierał się w drogę, gościńcem na Beroję wyruszyły już oddziały mechanopojów *. Reszta wojsk spała jeszcze. Trzydzieści tysięcy wyborowej piechoty i dwa tysiące ciężkiej jazdy — to siła, jakiej żadne z państw helleńskich nie zdoła równej przeciwstawić, jeśli Aleksander działać, będzie dość szybko, by zapobiec połączeniu.

Wódz był lepszej myśli, gdy jednak z wystających z bagien mgieł wynurzyły się zarysy zamku Fakos, wrócił nią do własnego zadania. Rozpocząć postanowił od rozmowy z Olimpiadą. Królową musi zrozumieć, że choćby ze względu na syna powinna zaniechać mącenia tak potrzebnego spokoju.

Antypater zajechał do swego dworca, by się pożywić i przebrać. Oddając konia staremu koniuchowi z nawyku zapytał:

— Co nowego?

— Młoda królowa powiesiła się w więzieniu.

Twarz wodza zmierzchła. Był przeciwny związkowi Filipa z bratanicą Attalosa, ale gdy zerwała go śmierć, słaba i bezwolna niewiasta dla nikogo nie była niebezpieczna, zwłaszcza po zgładzeniu jej stryja. Antypater dla pamięci Filipa zamierzał wysłać młodą kobietę wraz z niemowlęciem do jej ojczyzstego domu w górach, by Olimpias straciła ją z oczu. Uprzedziła go. W twardym sercu wodza zadrgał żal i wstała troska. Zapytał:

— Dziecko gdzie?

— Królowa kazała je udusić na oczach matki i cisnęła w ogień.

Stajenny w młodych latach brał udział w niejednej, rzezi, gdzie w rozjuszeniu walką nie szczędzono kobiet i dzieci. Wszelako wymyślne okrucieństwo Olimpiady widocznie i w nim wzbudziło sprzeciw. Nieobce było Antypatrowi, jeśli je uważał za potrzebne. Ale postęp królowej dawał tylko upust jej nienawiści do Filipa, którą go ściga aż poza grób, stwarzając jeszcze jeden dowód, że do śmierci jego przyłożyła ręki.

Hamując wzburzenie Antypater wszedł do domu, ale nie mógł jeść. Przebrał się. Usiłował opanować się przed rozmową z Olimpiadą. Za nią stoi Aleksander, choć i bez tego z nikim i z niczym liczyć się nie zwykła. Nie mógł jednak zwlekać, czekało wiele innych spraw.

Przez groblę na bagnie wjechał do zamku, konia oddał strażnikowi i nie oznajmiając się, skierował kroki wprost do gyneceum *. Przy wejściu bez słowa odsunął na bok niewolnicę, która zastąpiła mu drogę, mówiąc, że królowa się przebiera. Uchylił zasłony i wszedł.

Olimpias siedziała ze zwierciadłem w ręku, a jej powiernica Eufemele coś do niej szeptała, trefiąc złote włosy królowej. Zajęte tym, nie zauważyły wejścia Antypatra, który zatrzymał się u progu. Mimo gniewu podziwiać musiał dziewczęcy urok Olimpiady, na której lata zdały się nie pozostawiać śladu. Wciąż jeszcze była najpiękniejszą kobietą w kraju, a jednak nie potrafiła okiełznać rozpusty Filipa lub choćby zatrzymać go przy sobie.

Królowa w zwierciadle dostrzegła Antypatra. Odwróciła się z gniewnym błyskiem w oczach i rzekła:

— Odkąd to wchodzisz jak do swego talamu? Wyjdź! Nic sobie wzajem nie mamy do powiedzenia.

— Wybacz! — odparł. — Wiem, że nie czekasz na mnie i nie traciłbym cennego czasu, by cię odwiedzać, gdybym nic nie miał do powiedzenia. Ale dużo pilnych spraw muszę załatwić, dlatego czekać nie mogłem, aż się przebierzesz.

— Mów tedy i wracaj do swoich spraw — rzekła wyniośle.

— To sprawy kraju, I do ciebie nie w swoich przychodzę. Niechaj wyjdzie niewolnica, bo to nie dla jej uszu.

— Ja nie mam przed nią tajemnic — powiedziała królowa.

— Ale ja mam, Jedno, co może usłyszeć, to że król upoważnił mnie czynić wszystko, co uznam za potrzebne. Jeśli natychmiast nie wyjdzie, każę ją udusić i cisnąć psom.

Eufemele wiedziała, że wódz nie zwykł grozić na próż-

no. Wystraszona, poderwała się i Wybiegła. Olimpias patrzyła na Antypatra z wymuszonym uśmiechem.

— Wiem, że chętnie mnie kazałbyś udusić.

— Nie mogę, bo Aleksander zakazał mi ciebie tknąć. A ty byś chętnie mnie otruła, choćby ci zakazał. Tedy wiemy wzajem, co myślimy, i możemy mówić otwarcie: tobie przypisują winę śmierci Filipa, która jest klęską. Osłaniając cię przed karą Aleksander nie ułatwia swego położenia. A ty, zamiast pozwolić zapomnieć o sobie, wyzywasz kraj. Syn twój nie może pochwalić tego co uczyniłaś z nikomu niegroźną i nic niewinną dzieciną, która była jego przyrodnią siostrą.

— Siostrą! — powtórzyła Olimpias drwiąco.

Antypater mówił gniewnie:

— Wiem, o czym myślisz, a nie wiem, co się działo w twoim łożu. Ale jeśli Aleksander jest królem Macedonów, to jako syn Filipa, potomek Karanosa, następcą Perdikkasa. W każdym zaś razie jest twoim synem, a cień tego, co czynisz, pada i na niego. Niełatwo było przekonać zebrane w Ajgaj wojska, że nie przyłożył ręki do śmierci Filipa. Ale te, które bawią w Azji Mniejszej i na północy kraju, nie złożyły mu jeszcze hołdu i przysięgi. Czy swoim postępowaniem wywołać chcesz wojnę domową? A jeśli ci to obojętne, zrozum, że wówczas na tobie poszukają pomsty za śmierć umiłowanego króla.

— Nie strasz mnie, bo się nie ulękę — odparła Olimpias.— Do ostatniego wyplenienia nasienie rozpusty Filipa. I nie troszcz się o Aleksandra. To bóstwo kazało mu urodzić się w królewskim domu Macedonii, by Filip przygotował drogę jego wielkich przeznaczeń. Jak Achilles, syn mój większy będzie od swego cielesnego ojca i nic mu w tym przeszkodzić nie zdoła.

Królowa mówiła jak w natchnieniu. Antypater zrozumiał, że głucha jest na głos rozsądku. Powiedział oschle:

— Słuchajże tedy swego demona, który ci przyszłość odsłania. Ale ja słuchać będę rozumu. Ty wiesz, czego chce bóstwo, a ja — co potrzebne krajowi. Zakaz Aleksandra dotyczy tylko twjej osoby. Na wykonawcach twych rozkazów nie omieszkam ręki położyć. O tym pamiętaj, jeśli nie chcesz zostać całkiem sama.

Wytrzymał kolące spojrzenie królowej, skłonił się i wyszedł. Olimpias wierzy w swoje mrzonki, nie przemówi do niej ani rozsądek, ani strach.

Myślą wrócił do wyprawy Aleksandra przeciw zbuntowanej Helladzie. Pamiętał go spod Peryntu i Cheronei. Podobny jest do matki: rzuca na szalę samego siebie, jakby był nieśmiertelny. Lekceważy niezawodną taktykę Filipa, by wyczerpać wroga przed ostatecznym ciosem. Od razu uderza w najsilniejsze miejsce. Z karnym i wytrzymałym żołnierzem zapewne zdoła przekraść się przez urwiste zbocza górskie, omijając silnie obsadzone przejście i niespodzianie zjawić się na południu zbuntowanej Tesalii. Ale jeśli mimo zaskoczenia napotka opór, znajdzie się ze znużonym wojskiem między dwoma wrogami, bez możliwości odwrotu lub nadziei na odsiecz, która zresztą nie ma skąd nadejść. Pozostałe w Macedonii starsze roczniki ledwo starczą do obrony zagrożonych przez barbarzyńców granic, wyborowa armia w Azji Mniejszej odcięta od kraju, nie zdąży wziąć udziału w walce.

Przeciągający się brak wieści od króla zaczynał już budzić niepokój, ale gdy nadeszły, sceptyczny Antypater sam omal nie uwierzył w proroczy dar Olimpiady. Aleksander ominąwszy zbuntowaną Larysę pociągnął do Ftyi. Ftyotów, przerażonych zjawieniem się potężnych sił macedońskich, uspokoił oświadczając, że przychodzi jako potomek najslawniejszego z ich królów — Achilleasa, a w dowód przychylności zwalnia ich od wszelkich ciężarów i danin. Wrzenie w Tesalii zgasło, górę wzięły promacedońskie stronnictwa, Aleksander zaś bez zwłoki, równie niespodziewanie zjawił się w Antelee, gdzie w świątyni Demetry odbywało się posiedzenie Rady Amfiktionów *. Wystraszeni pylagorowie * państwerek helleńskich natychmiast ogłosili Aleksandra następcą Filipa jako przewodniczącego Korynckiego Związku, on zaś nie spotykając oporu ruszył na Teby i wyprzedzając wieść o swym pochodzie, stanął niemal pod ich bramami.

Rozstrzygnięcie zależało od zachowania się Aten. Odległe o niespełna dwa dni drogi, miały czas przygotować się do walki, a długotrwały opór za silnymi murami miasta pozwoli skupić siły wszystkich państwerek, które rzuciły maskę uległości. Gotują pomoc dla Teb, wystą-

piły ze Związku, wyгнаły załogi i stronników Macedonii. Jeśli wroga jej zawsze Sparta wesprze Ateny, Aleksander będzie zmuszony odstąpić od oblężenia. Niezwykle pomyślnie rozpoczęta wyprawa może zakończyć się zupełną klęską. Antypater w napięciu oczekiwał wiadomości.

Zapał, z jakim ateński demos po śmierci Filipa uchwalił wszystkie wnioski Demostenesa, znacznie przygasł, gdy przyszło do ich wykonania. Opiekuńcza bogini, która w cudowny sposób oznajmiła mu radosną nowinę, nadal winna troszczyć się, by jej miasto nie poniosło szkody. Ateński mieszczuch nie zamierzał wyrzec się funduszu teatralnego, by przeznaczyć go na zbrojenie. Z ostrożności jednak odmówił przyjęcia trzystu talentów złota, które przez Efialtesa przysłał Dariusz. Ateńskie kolonie na wybrzeżach same już zresztą zrzuciły macedońskie jarzmo, bez przelewu krwi Ateny odzyskają utracone przez ćwierćwiekowe zaniedbanie i klęski przodujące stanowisko w Helladzie. Macedonia bez Filipa będzie tym, czym była przed nim: łupem sąsiadów. Barbarzyńskie plemiona północne już korzystają ze śmierci swego pogromcy, by powetować straty. Przyćmione przez niego „słońce Hellady” zabłyśnie nowym blaskiem, który opromieni posąg Demostenesa, jakim wdzięczna ojczyzna uczci jego zasługi. Gamoń — jak zwał Aleksandra — może sobie spacerować po Pelli, dopóki go nie wygna lub nie zgubi Attalos. Chłystek, który po cheronejskiej klęsce śmiał nazywać Demostenesa cieniem Filipa, przekona się teraz, że to Filip był cieniem, który zniknął w świetle wolności. W przygotowanym już przemówieniu Demostenes raz na zawsze rozprawi się ze zdrajcami z macedońskiego stronnictwa. Pójdą z miasta precz i nic nie zaćmi chwały nowego Peryklesa.

Przeciągający się jednak brak wieści od Attalosa zrazu niecierpliwil, a potem zaczął niepokoić Demostenesa. Attalos winien szybko korzystać z zamętu, jaki musiał powstać w Macedonii po śmierci Filipa, zanim okrzepną stronnicy Aleksandra, Demostenes nie rozumiał przyczy-

ny zwłoki. Polerował jeszcze swe przemówienie, ale natchodziły go wątpliwości.

Wreszcie przyszła pewna wiadomość: Parmenion opowiedział się za Aleksandrem, Attalos zginął, zamordowany. Na bezkrwawe odebranie macedońskich zdobyczy liczyć nie można, a niełatwo będzie przekonać zachłystujący się bezpłatną wolnością demos ateński, że trzeba za nią płacić złotem i krwią. Beztrroski nastrój ludu przysłał, mówca najlepiej odczuwał to, gdy nie witano go już jak zbawcę zesłanego przez bogów, przebąkiwano natomiast, że należałoby przejednać Fokiona, który zeżłony przez Demostenesą wycofał się zupełnie z życia publicznego. Mówca niechętnie myślał o tym, że jeśli trzeba podjąć działania wojenne, nie tylko nie można wygnać najbiegłego wodza, ale nakłonić go należy, by zapomniał urazy i zajął się przygotowaniem. Demostenes ułatwił to odsuwając się, a tymczasem przyłożył się do wykuwania swego przemówienia, które by zdołało poderwać Ateńczyków do czynu. Zamknął się przeto w zbudowanej na ten cel piwnicy i od przedświt do późnej nocy ćwiczył przed zwierciadłem swe wystąpienie. Należało, skłonić do działania nie tylko własne miasto, ale przygotować poselstwa do innych państw, by wspólnymi siłami wypłenić do korzenia macedońską tyranję. Nie będzie to łatwe. Demostenes z goryczą wspominał swój największy triumf, nakłonienie Teb do wojny z Filipem. Po cheronejskiej klęsce Ateny nie tylko haniebnie opuściły wciągniętego przez siebie do walki sprzymierzeńca, ale jego kosztem przyjęły od zwycięzcy sporny okręg Oropos. Mimo to bezlitośnie przez niego ukarane Teby zapewne same zechcą pozbyć się ucisku macedońskiej załogi.

Pracując niemal bez przerwy w ciągu dwóch dni mówca skomponował przemówienie. Zadowolony był z siebie, przedstawiwszy w nich zręcznie zarówno wielkość macedońskiego niebezpieczeństwa jak i łatwość jego przewyciężenia. Praca wyczerpała go, poczuł znużenie, a sił mu będzie potrzeba do oczekujących go trudów. Wczesnie ułożył się na spoczynek, polecając zbudzić się o świcie, by z samego rana zwołać zgromadzenie ludu i przedstawić swoje wnioski. Gdy jednak żona zaczęła go trącać,

nie czuł się wypoczęty i z trudem otworzył oczy. Noc była jeszcze.

Zapytał niechętnie:

— Czemu przerywasz mi sen?

— Poruszenie jest w mieście. Wysłałam niewolnika, by się wywiedział, co zaszło.

Demostenes zbierał się ociągliwie, gdy wpadł niewolnik; z okrzykiem:

— Aleksander pod bramami!

Demostenes wybiegł z domu, jakby dach płonął mu nad głową. Wieść była nieprawdopodobna, ale fala uchodźców płynęła w ciemności z miasta do portu, Wśród przekleństw i wyzwisk, płaczu niewiast i dzieci, ryku, beczenia i kwików pędzonych ze wsi stad bydła, owiec i świń. Popłoch panował taki, jak w dniu, gdy Filip zajął Elateę. Gdy jedni uciekali z miasta, inni szukali schronienia za jego murami.

Potrącany i lżony Demostenes przepychał się pod prąd, zmierzając do Prytaneion. Natychmiast należy opanować bezład i wydać zarządzenia obronne.

Nim dotarł na miejsce, niebo poszarzało i szare były twarze zebranych. Po sprawdzeniu wieść okazała się przesadna, Aleksander stoi pod bramami Teb, siedemset stadiów * od Aten. Gdy Demostenes zaczął mówić o przygotowaniu obrony, archont przerwał mu niecierpliwie:

— Hypereides poszedł do Fokiona. Może uda mu się nakłonić go, by nie odmawiał miastu swych usług.

— Jest tu kolegium strategów, do którego Fokion nie należy — odparł Demostenes. — Ich rzeczą wydać zarządzenia.

— Nam potrzebny jest Fokion, a nie strategowie - rzucił ktoś.

Demostenes zrozumiał i umilkł; zebrani nie myślą o obronie. Fokion potrzebny jest do układów z Aleksandrem. Dla siebie Demostenes nie mógł się po nich niczego dobrego spodziewać. Miał nadzieję jednak, że Fokion odmówi.

Przyszedł ale, nie witając się z nikim zapytał oschle;

Czego ode mnie chcecie?

— Chcemy twej doświadczonej rady — odparł archont.

— Nic po radzie temu, kto jej nie słucha, a z doświadczenia nie korzysta. Oto wasz doradca — Fokion wskazał na Demostenesa. — Z jego dorady uchwaliliście wojnę, niechże wam doradzi, jak ją prowadzić.

— Ale radziłem też, by powołać pod broń dwa roczniki — Demostenes podrzucił ramieniem. — Nie moja wina, że nie wykonano uchwały...

— Ty nigdy i niczemu nie jesteś winien — gniewnie przerwał mu Fokion. — Klęsce pod Cheroneą winien był Lizykles i on za nią życiem zapłacił. Teraz szukasz następnej ofiary, by odsunąć od siebie winę położenia, w jakim znalazło się nasze miasto. Szukajże sobie godniejszego niż ja, jak mówiłeś, by pokonał tego, którego zowiesz chłystkiem, a który nadciąga z taką samą siłą, jakiej pod Cheroneą nie oparła się cała niemal Hellada, A gdzie dziś nasi sprzymierzeńcy? Może ich nakłonisz do walki, jak wówczas Teby, by po nowej klęsce Macedończyk miał na kim wyrzucić swój gniew? Nie brak głupców, których umiesz przekonywać, ale mnie między nich nie licz.

— Nie on cię wzywał, Fokionie — przerwał wybuch wodza Likurg — ale ojczyzna. I nikt nie mówi o walce.

— Ja jestem, a raczej, byłem strategiem, póki on mnie z kolegium nie usunął — spokojnie mówił Fokion. — A, tobie, Likurgu, przypomnę twe własne słowa, gdy po Cheronei oskarżałeś Lizyklesa: „Nie szukałeś współników, by się chwałą zwycięstw podzielić nie szukaj, by podzielić hańbę klęski”. Możecie mnie zmusić, bym czynił to, czego czynić nie chcę, ale nie bym mówił, czego nie myślę. Ja głos oddałem przeciw wojnie, którą on wywołał - wskazał na Demostenesa — a teraz jestem zwykłym obywatelem i za skutki jego polityki nie ja ponoszę odpowiedzialność.

Demostenes zbladł, a Fokion odwrócił się, by odejść, Hypereides zastąpił mu drogę,

— Demostenes to nie Ateny, Fokionie. Sprawiedliwy jest twój gniew, ale nie zwracaj go przeciw ojczyźnie. Nikt nie żąda, byś objął dowództwo, gdy nie ma czym dowodzić. Kiedy Filip stał u progu naszych bram, postawiłem wniosek, by niewolnikom, którzy podejmą z nim walkę, dać wolność, a metojkom* obywatelstwo. Gdy

minęło niebezpieczeństwo, zostałem ukarany za bezprawność wniosku, a dzisiaj dlatego tylko nie ponawiam go, że już i na to za późno, mimo że wolałbym zginąć, niż skomleć o łaskę Macedończyka. Ale gdy sam tego nie potrafię, ciebie proszę, Fokionie: jedź w poselstwie do Aleksandra. Wie, że byłeś wojnie przeciwny, okazywał ci przychylność. Może zdołasz go przekonać, że zniszczenie naszego miasta nie sławę mu przyniesie, lecz hańbę.

Fokion zamyślił się i odparł po chwili:

— Masz słuszność, Demostenes to nie Ateny. Jeżeli uchwalicie wysłać poselstwo, pojedę. Ale tylko wówczas, gdy pojedzie i Demostenes, by mi nie zarzucił kiedyś jak Filokratesowi, że przyjmując warunki, jakie podyktuje Aleksander, popełniłem zdradę. I nie przyjmę żadnych, na które Demostenes wyraźnie się nie zgodzi. Będzie miał przy tym sposobność poznać bliżej tego, którego zwie gamoniem. Przyda mu się to w przyszłości gdy znowu zechce szczuć was do wojny przeciw niemu.

Demostenes usiłował sprzeciwić się, ale jednomyślnie uchwalono jego udział w poselstwie, a Fokion zarządził natychmiastowy wyjazd.

Słońce dopiero weszło, gdy przez bramę Acharneńską szczupły orszak pognał na północ, by spotkać się z Aleksandrem, zanim wejdzie w granice Attyki. Osiągnąwszy ją o zmroku, Fokion zatrzymał się na nocleg w wiosce opustoszałej widocznie na skutek wieści o naciąganiu wojsk macedońskich. Gdy jednak o świcie zbierał się do dalszej drogi, w orszaku zabrakło Demostenesa. Z Kitajronu zawrócił do Aten.

Nie ujechali dziesięciu stadiów* gdy zatrzymała ich straż macedońska. Fokion opowiedział się jej dowódcy i razem ruszyli w kierunku znaczącego się z dala dymami nad Azopem obozu Aleksandra.

Po raz drugi, za sprawą macedońskiego najeźdźcy, Demostenes wracać musiał do ojczystego miasta chyłkiem jak wygnaniec i kryć się beczynnem w domu gdy ważyły się losy ojczyzny i jego własne. Tylko żona wiedziała o jego powrocie i ona donosiła mu, co dzieje się w mie-

ście. Niespokojny i poruszony tłum dzień i noc tkwił pod Acharneńską bramą, mimo że rozpędzała go straż scytyjska, by nie przeszkadzał przygotowaniom do obrony, które jednak podjęto. Nadzieja bowiem, że Aleksander, jak ongiś jego ojciec, puści płazem obelgi i wybaczy przemieszanie, była wątła. Znany był z bezwzględności, wyrozumiałość Filipa uważał za słabość. Przypominano, że urodził się w dniu, w którym Herostratos * spalił świątynię Artemidy w Efezie, co mimo najsurowszych zakazów uwieczniło imię szaleńca. O ileż głośniejsze zyskałby Aleksander burząc Ateny!

Gdy od wyjazdu poselstwa upłynął drugi dzień, niepokój przeszedł niemal w popłoch. Gdyby Fokionowi powiodło się ułagodzić Aleksandra, nie omieszkałby natychmiast wysłać pomyślnej wieści. W przeciwnym razie winien wrócić jak najprędzej, by przestrzec przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Ongiś Ateńczycy z poduszczenia Demostenesa uwięzili poselstwo Filipa, który wykupywać je musiał. Zapewne teraz w odwet za to Aleksander pojmał ich poselstwo. Kto mógł, uchodził z miasta mimo zakazu lub przynajmniej wysyłał swe mienie, choć nie byłoby w Helladzie bezpiecznego miejsca, gdyby Aleksander zajął Ateny. Beznadziejny opór stawiać mogła tylko Sparta, tam żył jeszcze duch Termopila, wolność ceniona wyżej niż życie. Może dlatego, że niewysoko je ceniono. W Atenach żyło się zbyt wygodnie, by umierać. Maraton i Salamina stały się już tylko retorycznymi figurami.

Demostenes też nie chciał umierać. Bardziej jednak niż strach przed śmiercią wiązała go z życiem obłędna nienawiść. Gdyby umarł, nikt już nie poderwie Hellady do walki z tyranem. Wierzył ślepo w swoją sztukę, uważał się za męża opatrnościowego ojczyzny. Jeżeli nawet pomylił się przedstawiając Aleksandra jako chłystka, i gamonia, jest to niewątpliwie szaleniec skłonny do podjęcia walki z całym światem, w której rzuca na szalę wszystko, a zwłaszcza życie własne. Musi je kiedyś przegrać. Ale teraz zawisł nad Atenami czarna chmura, z której każdej chwili wypaść może jak grom Dzeusa nieodparte uderzenie.

Napięcie stawało się nieznośne. U schyłku trzeciego

dnia Demostenes nie mógł już go wytrzymać i wysłał żonę po wieści. Poszła spłakana i długo nie wracała, choć ciemność już zapadła. Na gościńcu wiodącym od portu wznagał się znowu gwar, ale jakiś inny niż przed trzema dniami, jakby brzmiała w nim radość. Demostenes nie śmiał uwierzyć, ale zerwał się i, zarzuciwszy ciemną chłajnę wypadł na drogę. Zatrzymawszy pierwszego napotkanego człowieka zapytał:

— Co się stało?

— Nie wiesz jeszcze? Fokion powrócił. Ocalił Ateny, Demostenes nie zważając, że jego udział w poselstwie nie przyniesie mu wieńca, pognął do Prytaneion. Z trudem, wcisnął się do zatłoczonego wnętrza, gdzie właśnie Fokion zaczął składać sprawozdanie z poselstwa. Mimo że było pomyślne ponad wszelkie spodziewanie, miał chmurną, a mówił krótko i szorstko. Aleksander zlecił mu oświadczyć, że podobnie jak ojciec nie chce być tyranem Hellady, lecz jej wodzem w wyprawie przeciw Persji. Celem uchwalenia kontyngentów wojsk państw helleńskich wzywa wszystkie na zjazd Związku do Koryntu, dokąd i sam się udaje mijając granice Attyki, by dać dowód, że nie żywi wobec Aten złych zamiarów. Ulga, jaką odczuli wszyscy, wyzwoliła się wrzawą, wódz jednak podniósł rękę, a gdy ucichło ciągnął ironicznie:

— Przyjąłem te warunki mimo braku zgody ze strony Demostenesa, bo sądzę, że nawet on nie potrafi przedstawić tego jako zdradę. Nie mogłem go zapytać, ponieważ nie tylko pod Cheroneą nie starczyło mu męstwa, by się spotkać z gamoniem. Za niego ja wysłuchać musiałem, co Aleksander sądzi o uwięzieniu zdradzieckiego skrytobójcy swego ojca, i to gdy tak niedawno dobrowolnie uchwalono wydać każdego, kto by się ważył targnąć na Filipa. Dlatego i ja zrzekam się wieńca, jakim zwykliście nagradzać pomyślne poselstwa, zwłaszcza że nie byłem godzien tego za zwycięstwo nad Filipem. Jeślibyście zaś chcieli wdzięczność okazać Aleksandrowi za jego wielkoduszność, musicie mu przyznać przynajmniej dwa wieńce - zakończył Fokion z gorzką drwiną i rozsuwając tłum wyszedł, a za nim Hypereides.

Szli w milczeniu pustoszącymi już ulicami. Dopiero

gdy drogi ich miały się rozejść, Hypereides odezwał się :

— Wybacz, że nakłoniłem cię, byś się podjął niemiłego poselstwa. Rozumiem, że nie chcesz wieńca od zmiennego motłochu, ale on to przecie nie ojczyzna, którą ocaliłeś od pomsty barbarzyńcy.

— Aleksander nie jest barbarzyńcą — odparł Fokion, — Bliższy jest takiej Hellady, jaką ja uważam za ojczyznę niż tchórzliwy i zniewieściały mieszczuch ateński.

— Dla mnie jest barbarzyńcą, a Hellada to nie tylko zwycięskie wojny, jak dla ciebie. Ale nie będę się spierał. Wdzięczny jestem nie jemu, lecz tobie i gotów jestem spełnić każde twoje życzenie, poza przystąpieniem do twojego stronnictwa, choć ono teraz górą będzie w Atenach.

— Dopóki ten Argas* znowu nie wypełznie z jamy. Dziękuję ci, ale nie potrzebuję niczego. Sam płuczę swoje jarzyny, a żona moja sama je gotuje. A najmniej waszych odznaczeń, które zbiera Demostenes. Nie żądam też, byś zmienił zdanie, bo i ja swego nie zmieniłem: trzeba być albo najsilniejszym, albo przyjacielem najsilniejszego.

— Trzeba być sobą, czy się jest silnym, czy słabym. Nie zgodzimy się nigdy, ale nie zmniejsza to mojego dla ciebie szacunku. Chajre! *

Ateńczycy nie zrozumieli ironii Fokiona i na wniosek Ajschyneza w szale radości uchwalili dwa wieńce dla Aleksandra, jako dobroczyńcy miasta, oraz wysłanie poselstwa na zjazd w Koryncie z nieograniczonym pełnomocnictwem przychylenia się do jego żądań. Podziwiano umiar Aleksandra: zażądał tylko kontyngentów wojsk i okrętów na wyprawę perską w poprzednio ustalonej wysokości, powierzenie mu nad nimi dowództwa oraz uznania za zdradę wszelkiej pomocy udzielonej Persom i naruszenia powszechnego pokoju. W zamian zapewnił niemieszanie się w wewnętrzne sprawy państw helleńskich, łącznie nawet ze Spartą, mimo iż ona jedynie odrzuciła zaproszenie na zjazd związkowy zuchwale odpowiadając, że zwykła przewodzić innym, a nie słuchać.

Tylko Teby, choć poddały się bez walki, nie zazały łaski Aleksandra. Pozostawił w nich swą załogę, panoszącą się jeszcze zuchwałej wobec służalczej uległości reszty państw helleńskich. Z innych miast Aleksander ściągnął załogi, odchodząc szybko na północ, by przed wyprawą do Azji uspokoić wrzenie barbarzyńskich plemion. Poseł Efezu błagał o jej przyspieszenie w obawie przed zemstą Dariusza za sprzyjanie Macedonii.

Demostenes nie dzielił powszechnej radości. Gdy przestał się lękać o swoją głowę, niezaządanie jej przez Aleksandra odczuł jako lekceważenie. Przekonał młokosa, że jeszcze liczy się jako przeciwnik, i wysłał pismo do Dariusza, ofiarując swe usługi dla udaremnienia najazdu. Znał swoje miasto i wiedział, że nawet nie szafując Dariuszowym złotem zdoła nakłonić Ateńczyków do buntu, gdy tylko cień Aleksandra przestanie padać na Helladę. Żywił zresztą nadzieję, że do wyprawy perskiej nie dojdzie. W walkach z barbarzyńcami byle pocisk puszczonej z górskiej zasadzki rozbić może mętną głowę Aleksandra. Matka nie wykąpała go w Styksie*, zresztą i Achilles, którego zarozumiałec usiłuje odgrywać, miał swoją piętę. Gdyby ta nadzieja zawiodła, Aleksander straci głowę w Persji. Gdy zwiąże się tam walką, zwolnione od nacisku państwa helleńskie nie będą swym złotem i krwią popierać uroszczyciela. Nie dostarczą przyrzeczonych posiłków, a złoto ze zdobytych przez Filipa kopalń w górach Pangaion przestanie wpływać do Macedonii wobec buntu górskich plemion. Demostenes wiedział przez szpiegów, że dzięki rozrzutności Filipa w skarbcu pozostało siedemdziesiąt talentów złota, a dług wynosił pięćset talentów. Bez pieniędzy nikt wojny prowadzić nie zdoła. Porywając się na to młokos daje dowód głupoty i zarozumiałstwa, za które drogo wypadnie mu zapłacić.

Pierwsze wieści, na które niecierpliwie czekał Demostenes, podsyły jego nadzieje. Aleksander zgasił wprawdzie bunt górskich plemion trackich i peońskich, spustoszył ich siedziby, mężów wyrzwał, a niewiasty i dzieci zaprzedał w niewolę, po czym uderzył na Trybalów, a flocie kazał płynąć w górę Istru* celem przeprowadzenia wojsk na jego północny brzeg. Na to nie

ważyl się nawet Filip w najpomyślniejszym czasie, widocznie powodzenie rozdeło pychę młodzika. Wyrocznią, jakiej w Delfach sam sobie udzielił, nawet bogów usiłując nagiąć przemocą do swych zamierzeń, musi ściągnąć na niego ich gniew. Wiadomo już było, że Aleksander odwołać musiał Parmeniona z Azji celem obsadzenia Tracji i wzmocnienia sił w Macedonii. Widać nie czuje się zbyt pewny we własnym kraju, skoro wyrzec się musiał zdobyczy w Azji Mniejszej, wydając miasta helleńskie, pomście Dariusza. Nie ważą się więcej popierać go, nawet gdyby jeszcze kiedyś doprowadził do skutku swój szalony zamysł.

Demostenes wiedział jednak, że jeszcze nie pora zachęcać Ateńczyków, by porzucili swe kramy i pracownie, a zamiast zarabiać trwonili pieniądze na zbrojenia. Zbyt świeże było w pamięci zaskakujące zjawienie się Aleksandra i przeżyty strach. Tylko wiadomość o jego klęsce zdoła skłonić gnuśnych obywateli, by podjęli wysiłek przywrócenia ojczyźnie straconej wielkości. Teraz stronnictwo rozważli przekona ich bez trudu, że lepiej wygodnie żyć, niż niewygodnie umierać. Demostenes czekał na upragnioną wieść. Otrzyma ją pierwszy i potrafi ją zaskoczyć przeciwników jak ongiś wieścią o śmierci Filipa.

W Tebach natomiast nie żyło się wygodnie. Z akropolu Kadmei rządził krajem samowolny i rozpustny Filotas, macedońska załoga rozpierała się w mieście, w oparciu o nią przekupni zdrajcy gnębili swych przeciwników. Toteż po całej Helladzie tułali się zbiegowie, dla których życie w ojczyźnie stała się nieznośne lub niemożliwe. Nie brakło ich zwłaszcza w sąsiednich Atenach, które na wniosek Demostenesa udzieliły im schronienia. Tu przebywali ich przywódcy, beotarchowie * Fojniks i Protytes. Gdyby nie zasiłki, które z otrzymanych od Dariusza trzystu talentów wypłacił im Demostenes, przyszłoby im pracować jak niewolnikom. Nie mogąc się spodziewać, że raz jeszcze swą wymową nakłoni haniebnie zdradzone po cherońskiej klęsce Teby do podjęcia walki z Aleksandrem, postanowił wykorzystać do tego celu położenie beotarchów. Wstrzymał im wypłaty, zasiłków i czekał.

Nie czekał długo, gdy do bramy jego domu zapukali Fojniks i Protytes. Chmurni i milczący zasiedli w perystylu *, a Demostenes po chwili zaczął:

— Nietrudno mi odgadnąć, co was do mnie sprowadza. Ale sami rozumiecie, że największe zasoby wyczerpią się z czasem.

Fojniks tylko głową skinął, a Protytes rzekł:

— Dlatego przyszliśmy pożegnać cię. Pędź dożyliśmy tu starości, niż doczekali, by ruszyły się Ateny.

— Gorycz mówi przez ciebie; mnie też gorzko tego słuchać, a zaprzeczyć trudno. I tu rządzą zdrajcy. Czy dziwne jednak, że Ateńczycy nie śpieszą do walki o cudzą wolność, gdy uciskani niczego nie przedsięwiorą, by zrzucić obce jarzmo?

Gdy Tebanie milczeli ponuro, Demostenes zapytał:

— Co zamierzacie uczynić?

— Ułatw nam przewóz do Azji Mniejszej. Pono Memnon zaciąga najemników.

— Zaciągał. Ale po cóż mu oni teraz, gdy walka w Azji skończona i zapewne nie wznowi się nigdy.

Milczeli przygnębieni. Fojniks mruknął z wyraźną niechęcią:

— Teraz pozostaje zaciągnąć się do Agisa. Sparta gotuje się do wojny.

Demostenes kiwał głową z politowaniem:
- Rozumiem, jak ciężko wam powziąć takie postanowienie. Za marny żołd służyć niedawnemu wrogowi, gdy własna ojczyzna czeka na każdą parę dzielnych rąk. Jakże zmieniły się czasy! Zda się niedawno ruszali stąd Pelopidas i Melon na czele garstki wygnańców, by nie tylko wyrzucić z ojczyznanego miasta spartańskiego harmostę * i wytracić zdrajców, ale nad Eurotasem złamać tyranieję Sparty. A dziś? Ich potomkowie zmuszeni są jej służyć albo pokornie pochylić kark przed zgrają barbarzyńców, ze strachu przed młokosem, który może nigdy już tu nie wróci.

Demostenes użalał się nad losem wygnańców, ale w głosie brzmiało pogardliwe lekceważenie. Protytes rzucił porywczo:

- Ty nam stawiasz za przykład Pelopidasa i Melona! Ja ci przypomnę, że tu otrzymali broń i zasoby. Mnie nic

po żywocie, ale gdybym go zbył, to chyba przyszłoby rybom oddać swe ciało, by dusza i po śmierci nie zaznała spokoju, bo nie stać mnie nawet na kupno powroza lub trucizny.

— Gdybyśmy nawet bez broni i zasobów jakimś podstępem zdołali wytracić macedońską załogę — wtrącił Fojniks — to nie koniec, ale początek. Pelopidasowi zbrojna pomoc Aten pozwoliła prowadzić walkę, zanim wzmógł się na tyle, by bez niej dokończyć dzieła.

Demostenes uchwycił dłonie beotarchów i ściskając je mówił:

— Widzę, że żyje jeszcze duch herosów spod Leuktry i Mantinei *. Wybaczcie, nie chciałem was pomówić o małoduszność. Choćbym miał zostać bez obola *, dostarczę wam tyle broni i zasobów, ile trzeba dla tych mężnych ludzi, których zdołacie zjednać dla swego wielkiego przedsięwzięcia. I nie lękajcie się osamotnienia, wasz przykład będzie żagwią, od której rozplómieni się cała Hellada. Sam ruszyłbym z wami, choćby dzisiaj, ale wstyd powiedzieć: muszę zapobiegać, by płatni zdrajcy nie stłumili powszechnego zapału. Niechaj wam towarzyszy Nike *!

Bunt w Tebach zaskoczył Filotasa i macedońskich stronników. Przywódcy ich, Anemoitas i Timolaos dali gadła, beztrzesko wałęsająca się po mieście załoga również poniosła straty, nim zdołała schronić się w Kadmei, gdzie znowu zamknął się Filotas w nadziei na odsiecz. Antypater jednak nie mógł jej wysłać. Szczupłe jego siły, rozrzucone wzdłuż północnej i zachodniej granicy, okazały się niedostateczne nawet do ich obrony. Ilirowie oblegali warownię Pelion, zamykającą bramę wpadową od zachodu, za nimi śpieszyli Taulantowie, by wziąć udział w pustoszącym najeździe, gdy Aleksander z główną siłą Macedonii szukał sławy za granicami znanego świata. Gdyby nawet doszła go wieść o wypadkach w kraju, nie nadąży z odsieczą Helionowi, tym bardziej Kadmei. Najkrótsza, a i tak daleka droga wiodła przez górskie przełęcze, obsadzone przez wrogów.

Antypater zbierał wojska, ale z powzięciem postanowienia, gdzie ich użyć, czekał na wieści od Aleksandra. Pogłoska o jego śmierci w walkach nad Istrem na szczęście nie sprawdziła się. Mimo woli podziwiać musiał niezachwianą wiarę Olimpiady w posłannictwo syna. Gdy doniesiono jej, że zginął, uśmiechnęła się tylko, mówiąc:

— To życzenie jego wrogów. Nie może zginąć, póki sława jego nie obiegnie całego świata.

Antypater tej wiary nie umiał podzielać, choć wkrótce nadeszło zaprzeczenie pogłoski, a wraz z nim wieści, że Aleksander w wypadzie za Ister rozbił kilkakroć liczniejszą od własnych siły Gaetów, zrównał z ziemią ich stolicę, w krwawej bitwie pokonał Trybalów, zmusił Syrmosa do hołdu, a przerażone szybkością i siłą jego działań scytyjskie plemiona słały poselstwa z prośbą o przyjaźń i przymierze.

Następna wiadomość jednak poderwała Antypatra. Pośpiesznie ruszył na zachód, wzywając Parmeniona, by natychmiast wracał z Tracji do kraju. Nie pora była pilnować zdobyczy, gdy własnej ojczyźnie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, na które wystawiło ją lekkomyślne zuchwalstwo Aleksandra. Otrzymaawszy wieść o iliryskim najeździe, w nieprawdopodobnie krótkim czasie wrócił, niespodziewanym uderzeniem przełamał opór na przełęczy i wtargnął w kotlinę Pelionu. Warownia jednak już była zajęta przez Ilirów, rozłożył się przeto obozem nad Apsosem, gotując się do wyparcia z niej Klejtosasa.- W nocy jednak nadeszli Taulantowie i znacznymi siłami obsadzili przełęcz. Z otaczających kotlinę stromych i zalesionych zboczy chmary dzikich wojowników patrzyły na zamknięty w niej wybór wojsk macedońskich jak na łup pewny już i niedaleki. Karne i bitne zastępy macedońskie w ciągu kilku dni staną się bezbronnym tłumem, dla pośpiechu bowiem Aleksander nie przywiódł jucznych zwierząt z żywnością, a wysłany po nią oddział tylko natychmiastowa odsiecz ocaliła od zraty. Kilku zbiegów z niego dotarło do Pelli, przynosząc wieść o beznadziejnym położeniu.

Kłeska Aleksandra wywołać musi burzę, której pierwsze pomruki dochodziły już do Pelli, w grze były losy państwa. Antypater z goryczą myślał, że nieokiełznane,

zuchwalstwo młodego króla będzie przyczyną zguby kraju. Bez wiary, że zdąży odwrócić niebezpieczeństwo spiesznie ciągnął na zachód, po trzech dniach uciążliwego pochodu górskimi bezdrożami dotarł w dolinę Erygonu i stanął obozem u wejścia do wąwozu, na którego przeciwległym krańcu leżała kotlina Pelionu.

Zdrożonym ludziom należał się wypoczynek przed nierówną walką, naprzód jednak należało się rozejrzeć w położeniu. Jeżeli wojska Aleksandra już uległy zagładzie, rozsądek nakazywał opóźnić tylko postępy najeźdy aż do nadejścia Parmeniona. Wysławszy zwiady Antypater też postanowił spocząć, ale niepokój długo płoszył sen i nie opuścił go nawet, gdy zasnął. Noc była jeszcze, gdy stary wódz ocknął się i wyszedł z namiotu. Gwiazdy lśniły pełnym blaskiem, ale na wschodzie poszarpana linia wzgórz odcinać się zaczynała od jaśniejszego nieba. Podjazdy winny już wrócić, cisza jednak panowała dokoła, nigdzie najmniejszego ruchu.

Niepokój wodza przeszedł w zniecierpliwienie. Wysłani na zwiady doświadczeni górale nie mogli wszyscy wpaść w nieprzyjacielskie ręce. Gdyby Aleksander już został rozbity, jacyś zbiegowie tędy musieliby uchodzić, nie ma takiej rzezi, z której by nikt z życiem nie uszedł. Jeśli zaś król trzyma się jeszcze, należałoby uderzać natychmiast.

Zielonawa smuga na wschodnim niebie poszerzała się z każdą chwilą, zaskoczenie przy białym dniu nie mogło się udać, otwarta walka z przeważającymi siłami musiałaby skończyć się klęską. Nie wolno narażać na zgubę ostatnich wojsk, na których aż do nadejścia Parmeniona spoczywa ciężar obrony kraju. Każda chwila była droga,

Antypater obudził syna Kasandra i nakazawszy mu sprawić wojska i obsadzić wylot wąwozu, sam zapuścił się w mroczną jego głębię. Jaśniało jednak i za skalnym wyskokiem otworzył się widok na odległy o dwa stadia następny zakręt wąwozu. Zza niego wysypywał się bezładny tłum. Antypater szybko zawrócił i wydawszy rozkazy czekał. Położenie miał korzystne, nieprzyjaciel zbyt pewny siebie nie wysyła nawet przodem straży.

W wylocie wąwozu ukazał się pojedynczy jeździec i rozglądał się, jakby zdziwiony, że nie widzi nikogo.

Bardziej jednak zdumiał się Antypater, gdy rozpoznał w nim dekadarchę * lekkiej jazdy, wysłanego wieczorem na zwiady. Wyszedł naprzeciw niego i z niedowierzaniem słuchał sprawozdania, choć jego prawdziwość potwierdzały tłumy jeńców, którymi zaroił się wylot wąwozu.

Jak w wielkim amfiteatrze, gromady wrogów obsiadły zbocza kotliny, patrząc na zamknięte w niej wojska Aleksandra. Król ustawił je, jakby spodziewając się na miejscu stoczyć bitwę, do której Ilirów nieśpieszno było. Naprzeciw warowni, dla zabezpieczenia się od wypadu, stawały lekkobrojne oddziały macedońskie, nad rzeką uformowany w głąb czworobok falangi, z jazdą hetajrów na skrzydłach. Taulantowie patrzyli na to jak na widowisko. W ciszy, przerywanej tylko głosami rozkazów, równym krokiem jak na ćwiczeniach ruszyły najeżone olbrzymimi włóczniami szeregi, z wolna i miarowo zbliżając się do wzgórz.

Taulantowie nie wierzyli, by Aleksander ważył się uderzyć na zalesione i poszarpane zbocza, na których zwartość falangi stanowiąca jej siłę nie da się utrzymać a pancerna jazda straciłaby przewagę ciężaru i pędu. Gdy jednak macedońskie szeregi zbliżyły się na odległość strzelania z łuku, Taulantowie bez rozkazu zaczęli zabiegać im drogę. Wówczas falanga jak jeden mąż wykonała zwrot w prawo, a jednocześnie jazda jęła okrążyć zabiegających od skrzydeł wrogów. Jakby popisując się sprawnością swych wojsk, Aleksander raz za razem zmieniał kierunek marszu, a skacząc po zboczach, potykając się i przewracając Taulantowie pędzili, by mu od czoła zastawić drogę. Niespodziewanie Aleksander jednym rozkazem przeformował czworobok falangi w klin, jak grzmot rozległo się po górach uderzenie włóczniami o tarcze i z bojowym okrzykiem falanga ruszyła biegiem. Taulantowie bezładnie usiłowali zagrozić drogę ku przełęczy, ale już pędem wpadła między nich ła królewska łamiąc opór, a jednocześnie afraktoi, agrzańscy łucznicy i lekka jazda jęły się przeprawiać przez rzekę. Wypad Ilirów a warowni załamał się pod gradem pocisków

łuczników i procarzy, którzy bez przeszkody wycofali się za innymi oddziałami i zniknęli w wąwozie i zapadającym zmroku.

Gdy się uspokoiło, Taulantowie rozłożyli się z obozem nad rzeką, czekając na zebranie swych rozproszonych wojsk. Wypuściwszy wroga z potrzasku, liczyć się musieli z silnym oporem w dalszym pochodzie i zapewne czekali na posiłki. Nie liczyli się natomiast z tym, że sami znaleźli się w potrzasku. Aleksander przytaił się opodał, trzeciej nocy pod osłoną ciemności powrócił i uderzywszy na uśpiony obóz rozniósł go doszczętnie, a Ilirowie, nie wiedząc, z jakimi siłami mają do czynienia, podpalili warownię i uszli.

Antypater przerwał sprawozdanie dziesiętnika:

— Gdzie król?

— W bark oberwał maczugą, a kamieniem w głowę, aż go zamroczyło, tak że zrazu myśleli, że legł.

Antypater kazał sobie podać konia, zamierzając jechać do Aleksandra, ale dziesiętnik dodał z uśmiechem:

— Króla tam nie ma. Ściga Ilirow.

Antypater gniewnie wciągnął powietrze powstrzymując przekleństwo. Zaledwie wyrwawszy się z pułapki, Aleksander znowu niepotrzebnie naraża swe życie. Karność i wytrzymałość wojsk także ma swój kres. Po ciężkich walkach od wczesnej wiosny wojska przebyły w ciągu czternastu dni sześćdziesiąt mil przeważnie górskich bezdroży, należy im się choćby krótki wypoczynek, a pilniejsza niż pościg za rozbitym nieprzyjacielem jest odsiecz dla zamkniętej w Kadmei załogi, której każdy dzień grozi zagładą. Pogłoska o śmierci Aleksandra musiała dotrzeć do Aten. Gdyby tam wzięło górę stronnictwo Demostenesa, Teby będą stracone, a ich załoga zgubiona. Antypater sam musi ruszyć na odsiecz Filotasowi, nie czekając na powrót króla czy nadejście Parmenjona,

Mimo rychłego sprostowania pogłoska o śmierci Aleksandra zdążyła rozejść się wszędzie, powodując poruszenie. Sprawdziło się rychło przewidywanie, że będzie

wiatrem w żagle Demostenesa. Sprawa bowiem następstwa po Aleksandrze musiałaby wywołać wojnę domową, wobec wygubienia wszystkich potomków Perdikkasa, z wyjątkiem niedołęznego ciałem i umysłem Arridajosa. Do Aten dotarła pogłoska jednocześnie z wieścią o powstaniu w Tebach. Mimo jej zaprzeczenia przez szpiegów w Pelli, Demostenes postanowił natychmiast ją wykorzystać. Chciał w nią wierzyć, W każdym razie pewne, że Aleksander bawi daleko, a pozostawione w Macedonii siły nie starczą nawet do obrony jej granic. Dowodnie świadczył o tym brak odsieczy dla zamkniętego w Kadmei Filotasa.

Demostenes pamiętał jednak popłoch, jaki wywołało niespodziane zjawienie się, Aleksandra. Trzeba w Ateńczyków wpoić przekonanie, że nie żyje. Wojna raz rozpoczęta potoczy się dalej, a gdy tym razem i Sparta gotuje się do niej, jedyna to sposobność, by przenieść ją do wrogiego kraju.

Zmierzając na zebranie Demostenes udawał, że nie słyzy zdziwionych szeptów ciągnącego na Pnyks tłumu na widok towarzyszącego mu macedońskiego hypaspisty*, rannego w rękę. Chciwie jednak łowił rzucane uwagi, które umacniały go w przekonaniu, że zaprzeczenie pogłoski o śmierci Aleksandra już się rozpowszechniło i chwyt, jaki zamierzał zastosować jest niezbędny. Czekala go trudna walka, a nie był pewny poparcia nawet własnego stronnictwa. Ateński demos podatniejszy jest na takie argumenty, które pozwalają mu na bezczynność. Najskuteczniejszą bronią przeciwników jest powszechny lęk przed Aleksandrem. Należy im ją wytrącić,

Gdy Demostenes wstępował na mównicę i rozejrzał się po zebranych, zaskoczyła go obecność Diogenesa. Filozof z pozorną obojętnością, pożywiał się kozim serem ale Demostenes wiedział, że cynik jednym słowem potrafi zepsuć podniosły nastrój najumiejtniej wywołany. Rozpocząwszy od modlitwy dziękczynnej do opiekunki miasta, mówca głowił się jednocześnie, jak unieszkodliwić ulicznego filozofa. Wpadł już na pomysł i podjął:

— Ubliżyłbym wam, Ateńczycy, gdybym siebie przedstawił jako inicjatora polityki, której celem jest prze-

wodzenie Helladzie. Niechaj obecni tu moi przeciwnicy oświadczą wobec was, że panoszenie się Macedończyka nie pozbawia nas szlachetnego ciężaru nałożonego na nas przez bogów, ku nieśmiertelnej chwale naszego miasta. Tego jednak nie powiedzą świadomi, że niebezpiecznie jest drwić z waszego rozsądku. Przeciwnie, będą się do niego odwoływać, nie wstydząc się twierdzić, iż ojczyzna nasza upadła już tak nisko, że pozwala jej istnieć jedynie służalcza uległość wobec uroszczycieli. Mało kto jednak zdoła kierować się rozsądkiem, gdy zostanie zaskoczony. Tak się niestety stało, gdy wojska Aleksandra zastały nas nie przygotowanych. Mniejsza o to, z czyjej winy i pod czyim naciskiem z dorady Fokiona wysłaliście posłów na zjazd do Koryntu z nieograniczonym pełnomocnictwem. Nie chcę przypuścić, że inne względy niż lęk przed tym szalonym młokosem powodowały nimi, gdy uznali go za wodza Hellady. Wyuzdana rozrzutność Filipa w nadziei na perskie złoto pozostawiła pustki w skarbcu, którego nie ma czym zapełnić. Król bez pieniędzy jest królem słabym. Śmiech powiedzieć, że mianowano młokosa Agamemnonem. W Macedonii rządzi w rzeczywistości Antypater, który po to królem go uczynił, by rządzić samemu, a jemu pozwala bawić się w Achilleś. Niebezpieczna to zabawa, nie trudno też zgadnąć, dlaczego Antypater usiłuje podważyć wiarygodność wieści, iż Aleksander już za nią, pustą głową zapłacił. Lęka się bowiem, że jak jeden mąż powstanie Hellada, by na zawsze położyć kres mieszanin się barbarzyńców w jej sprawy. Ale przypuśćmy na chwilę, że Aleksander żyje. Czy lękając się go nie musielibyśmy się, rumienić ze wstydu przed tym oto ulicznym filozofem — wskazał na Diogenesa — który w oczy zadrwił z zarozumialca, przekonanego, że promienie jego łaski cieplejsze są od słonecznych. Tym jednym powiedzeniem zyskałeś mój szacunek, Diogenesie.

¹ Tym jednym powiedzeniem... * Aleksander, jak głosi anegdota wdawszy się w rozmowę z wylegającym się na słońcu Diogenesem, pozwolił mu prosić o jedną łaskę.

— Niczego więcej nie pragnę— odrzekł Diogenes - jak tylko, żebyś mi słońca nie zasłaniał

- Nazwiesz mnie pewnie niewdzięcznikiem — odezwał się filozof, obcierając usta ramieniem — bo nie odwzajemniam twego szacunku, choć mówisz dużo. Pomnijcie, co rzekł wasz mędrzec: *Język tylko widzicie, na słówka was kupi, a czynów obłudnika nie widzicie, głupi.*

Tu i ówdzie parsknął śmiech, Demostenes jednak widząc, że chybił, natychmiast sięgnął do najsilniejszego argumentu. Podniósł głos:

— Aleksander nie żyje, nie wiązą nikogo wymuszone przedniego układy. Kogo zaś obawa przed nim wstrzymuje od wysiłku, by przywrócić ojczyźnie jej wielkość, niech wysłucha tego oto człowieka, który na Hekatę przysięga, że był świadkiem jego śmierci. Teby już powstały, by zrzucić jarzmo z karku, pozwoliliśmy się uprzędzić w walce o wolność, w której zawsze przodowaliśmy. Stawiam wniosek, by podjąć ją bez dalszej haniebnej zwłoki.

Wśród podnieconego szmeru Demostenes zszedł z mównicy. Coraz częściej podnosiły się głosy, by wysłuchać świadka, herold jednak uciszył je wzywając, by kto chce przemówić, wstąpił na mównicę. Ukazał się na niej Demades. Znany był z tego, że nie da się zaskoczyć i jednym słowem umie zadać cios. U niektórych uchodził nawet za lepszego niż Demostenes mówcę; w każdym razie był najgroźniejszym z jego przeciwników. Dlatego wrażliwy na umiejętność szermowania słowem tłum umilkł z zaciekawiony. Gdy ucichło, Demades podjął:

— Nie wiem w końcu, kim, zdaniem Demostepesa; jest Aleksander: gamoniem, chłystkiem, szaleńcem czy jeszcze kimś innym. Ale słusznie za najważniejsze uznał przekonać was, że jest już w królestwie cieniów. Świeżo mając w pamięci popłoch, jaki w mieście wywołała wieść o nadejściu Aleksandra, Demostenes uczynił co mógł, by nas przekonać o jego śmierci, brakło chyba tylko, by pokazał nam z mównicy jego zwłoki. Nie wątpię, że przywiedziony świadek gotów przed wami powtórzyć przysięgę iż widział je na własne oczy. Ale kto by chciał

wagę przywiązywać do przysięgi, temu przypomnę, że my sami niedawno zaprzysięgliśmy powszechny pokój i zawarte w Koryncie układy, do których zerwania wzywa was Demostenes. Bogowie są cierpliwi lub nawykli już, że się ich woła na świadków, gdy brak lepszego dowodu lub gdy fałsz trzeba potwierdzić.

— Tak może mówić tylko zdrajca i bluźnierca gwałtownie przerwał Demostenes. — Każdemu wiadomo, że wzbogaciłeś się złotem Filipa.

— Każdemu też wiadomo, że pod Cheroneą walczyłem z nim do końca, gdy ty uciekałeś. O takich jak ty pisał Archilochos: *Niech się tam jakiś Sajan piękną tarczą chwali, com ją w krzakach porzucił, gdyśmy uciekali; co mi tam, miłsze życie, jedną tu zostawię, za złoto wnet sobie drugą lepszą sprawię.* Perskiego złota ci nie brak. Sam zaś powiedziałeś, że Aleksander nie ma złota tedy ja jestem zdrajcą za darmo, ty zaś za perskie pieniądze.

Gdyby spojrzeniem można zabić, Demades zginąłby na miejscu, ale odwrócił się plecami i szedł z mównicy, herold zaś donośnym głosem stłumił wstający gwar i wezwał do zgłaszania się mówców.

Gdy na mównicy ukazał się Fokion, wszyscy umilkli, ciekawi, co powie.

— Nie wchodzę w to - zaczął — czy śmierć Aleksandra byłaby dla Hellady zyskiem, czy stratą. Sąd będzie różny zależnie od tego, czy się sprawę rozważa od strony naszego półwyspu, czy od strony pozostających pod perskim jarzmem miast i wysp na wybrzeżu Azji Mniejszej, których ludność również mówi językiem Homera i czci tych samych co my bogów. Jedno natomiast jest pewne: jeżeli Aleksander nie żyje dziś, to nie będzie żył także jutro i pojutrze. Że zaś, jak mniemam, uzyskanie pewności w tej sprawie zaważyć ma na naszym postanowieniu, dlatego Demostenes chce was przekonać, że prawdziwa jest wieść o śmierci Aleksandra. Zaczekajcie z poczynieniem nieodwracalnych kroków do jej sprawdzenia, gdyż tym razem przynosi ją nawet nie

Pallas Atene, lecz zbieg, który niechby naprzód wyjaśnił, skąd się tu wziął i jak trafił do Demostenesa. Przychylny szmer dowodził, że Fokion przekonał większość zgromadzenia. Demostenes czuł, że przegrał, i nie panując nad sobą krzyknął:

— Wiemy, że trudno ci pogodzić się ze śmiercią swego przyjaciela, który jest naszym wrogiem. Ale uważaj, Fokionie, bo kiedyś lud ateński cię straci.

— Mnie straci, gdy straci resztę rozsądku —spokojnie odparł Fokion — ciebie zaś, jeśli go odzyska. Wiem jednak, że niebezpiecznie jest mówić w naszym mieście prawdę. Moja, jak ją zowiesz, przyjaźń z Aleksandrem nie była dla Aten bez korzyści i może się jeszcze przydać nawet tobie, bo ja w przeciwieństwie do ciebie nie częstuję kantarem* cykuty* każdego, kto odmiennego jest niżli ja zdania. Ty nie rozumiesz, że, można mieć szacunek nawet dla wroga, bo sam należysz do takich, którzy nań nie zasługują.

Gwałtownej odpowiedzi Demostenesa zapobiegł herald, wzywając przeciwników do porządku. Fokion oświadczył jednak, że skończył, i opuścił mównicę. Gdy wstąpił na nią Hypereides, przypuszczano, że poprze wniosek Demostenesa, toteż zdziwiono się, gdy zaczął:

— Fokion ma słuszość, że jeżeli Aleksander zginął to nie zmartwychwstanie, a śmierci jego długo ukrywać się nie uda. Ty sam nieraz wzywałeś nas, Demostenesie, by walczyć na czyny, a nie na uchwały. Powołajmy naprzód pod broń nowe roczniki, postawmy flotę w stan pogotowia i porozumiejmy się ze sprzymierzeńcami, a nawet ze Spartą. Jeżeli bowiem mamy przewodzić Helladzie, to nie na skutek nieodwołalnego zrządzenia bogów, ale dlatego, że wkład nasz w walce o wolność zawsze był większy niż któregokolwiek z państw helleńskich. Na Teby nie mamy się co oglądać. Rozpoczęły walkę licząc na śmierć Aleksandra, są zresztą w innym niż my położeniu. Obranie pory rozpoczęcia walki przez nas pozostawmy kolegium strategów, skoro oni za jej wynik mają odpowiadać.

Gdy nikt więcej nie zabrał głosu, wniosek Hypereide-sa uchwalono znaczną większością, ale bez zapалу, który

zgasła obudzona przez Demadesa wątpliwość, i tłum zaczął się rozchodzić. Demostenes wraz z kilkoma przywódcami swego stronnictwa szedł rozgoryczony i gniewny na Hypereidesa. Gdy inni omawiali sposoby dalszego postępowania, milczał, a zagadnięty wprost odparł zgryźliwie:

— Niczego nie zdziałamy, jeśli popierać będziemy przeciwników, którym właśnie chodziło o zwłokę. Czy Aleksander żyje, czy nie, wojska jego bawią nad Istrem. Gdybyśmy zaraz rozpoczęli, nieprędko mogłyby wziąć udział w walce. Zdrajca Demades wiedział, dlaczego śmierć Aleksandra podał w wątpliwość.

— Wiemy i my — odparł Hypereides — dlaczego ty chciałeś lud o niej przekonać. Nie jesteś w zgodzie sam z sobą, raz starając się Aleksandra zlekceważyć, drugi raz od jego śmierci uzależniając walkę z macedońską tyranią, jakby na skutek tego miała być krótka i łatwa. Nietrudno przewidzieć skutki, gdy twój dowód okazał się fałszywy, a z tego, co mówisz, sam go widocznie pewny nie jesteś. Nie wiem w końcu, czy chcesz tylko rozpętać wojnę bez względu na jej wynik, czy walczysz z tyranią, czy z Aleksandrem. Jeżeli nie przekonamy ludu, że lepiej zginąć, niż uznać wyższość barbarzyńców, to obawiam się, że Fokion miał słuszość mówiąc, iż przychyłość Aleksandra dla niego może być jeszcze miastu przydatna.

— Czego nie rozumiesz, to ja ci wyjaśnię, Hypereide-sie — wtrącił się Diogenes — Mały człowiek może uwiecznić swe imię tylko, jeśli je zwiąże z imieniem wielkiego. Mowy przeciw Filipowi będą ludzie pamiętali przynajmniej tak długo jak kłeski, których były nieostatnią przyczyną. O takich, jak przeciw Maidiasowi, Demostenes sam by wolał, by zapomnieli jak najprędzej,

Demostenes odwrócił się i warknął przez zaciśnięte zęby:

-Maidias — bogacz ateński, w czasie Wielkich Dionizji uderzył Demostenesa publicznie w twarz. Demostenes cofnął skargę za 3000 drachm.

- Odczep się, Psie, bym cię nie kopnął. Po coś się przywłókł do Aten, skoro Sparta lepiej ci się podoba?

— Lekarz odwiedza chorego, a nie zdrowego — odparł filozof. — Widzę jednak, że odebrałeś mi swój szacunek. Niestety kopniakiem też nie mógłbym ci się odwdzięczyć, bo jestem boso. A nie stać mnie na to, by ci odpłacić jak Maidias, bo nie mam za co kupić plastra na twą okaleczoną część.

Demostenes przyśpieszył kroku, a Hyperēides wyjmując pieniądze z sakiewki powiedział:

— Co ciebie obchodzą nasze sprawy? Masz tu drachmę i idź szczeakać gdzie indziej.

— Dla szlachetnego człowieka cały świat jest ojczyzną, dla kury jej podwórko. Ty nie potrzebujesz kupować mojego szacunku, a ja nie potrzebuję twoich pieniędzy, bo już się dziś najadłem.

— Kto jest wszędzie, nie ma go nigdzie — rzekł Hyperēides.— Idź spać jak każdy syty pies, by się tobą nie zajął urząd jedenastu.

— Dobrze radzisz, Hypereidesie. Istotnie niebezpiecznie jest mówić prawdę w Atenach.

Jeżeli Demostenes nie wierzył w śmierć Aleksandra, to chciał w nią wierzyć, wszystko tłumaczył tak, by siebie samego upewnić. Dlaczego nie zastanowiła go nawet wiadomość, że Antypater gotuje się iść z odsieczą Kadmei, jakkolwiek gdyby Aleksander zginął, wiele istotniejszych trosk nie pozwoliłoby wielkorządcy Macedonii opuszczać kraju i odciągać stamtąd siły. Hypaspista przysiągł, że na własne oczy widział, jak król w zamęcie walki spadł z konia, ugodzony karmieniem w głowę. Jeżeli nawet cudem ocalał, jest ranny, ze swymi siłami zamknięty w potrzasku i dlatego do Teb śpieszy Antypater.

W Tebach wiadomość tę przyjęto bez wrażenia. Z natury obrotne, a podwójnym wałem z częstokołami i murem otoczone miasto samo potrafi się oprzeć. Arkadia już wysłała posiłki, z Aten odległych o niespełna dwa dni drogi otrzymano broń, wojska powinny nadejść

każdej chwili, spartański Agis też nie omieszka wykorzystać sposobności, by ukrócić butę Macedonii. Nawet po cheronejskiej klęsce on jedynie odważył się odrzucić żądanie zwycięskiego Filipa i stawić mu zbrojny opór. Jeżeli Antypater nadejdzie, to wróci szybko albo nie wróci wcale. Zaprzestano uderzeń na Kadmeę, szkoda sił, gdy zajadłość obrony nie starczy za żywność, która wkrótce musi się wyczerpać.

Nawet wiadomość, że wojska macedońskie przeszły przez Termopile i wkroczyły do Beocji, nie wywołała poruszenia, pogłoskę zaś, że wiedzie je sam Aleksander, uważano za błędną; przypuszczano, że dowodzi nimi zięć Antypatra, Aleksander ksiązę Lynkestis. Król nie mógł w ciągu siedmiu dni zdążyć z odległego o sześćdziesiąt mil Pelionu. Toteż poselstwo z zaofiarowaniem wybaczenia buntu pod warunkiem wydania podżegaczy — Fojknisa i Protytesa — odprawiono z drwiną, żądając w zamian wydania Antypatra i Filotasa.

Istotnie nawet Antypatrowi trudno było uwierzyć, że Aleksander w pościgu za Ilirami dotarłszy do jeziora Lichnitis zawrócił, bez wypoczynku przebył pasmo górskie, zszedł na równinę Tesalii, otrzymał posiłki jazdy tesalskiej i ciągnie utartą przez Filipa drogą, którą już po raz trzeci deptały macedońskie szeregi, by zmusić do uległości Helladę. Tym razem Antypater spokojny był o wynik wyprawy. Skłócona i zniewieściała Hellada niezdolna jest oprzeć się takiemu wodzowi. Sam zaczynał wierzyć, że Aleksander jest niezwyciężony, gaśnie przy nim nawet wielkość Filipa.

Wkroczywszy do Beocji Aleksander nadal rósł w siły, po kolei dołączały się do niego posiłki Focydy, Tespii, Orchomenos i Platei, którym klęską wrogich Teb obiecywała pomstę za doznane krzywdy i uwolnienie od krwawego ucisku. Teby w czasie swej hegemonii dalekie były od umiaru okazanego przez Filipa i Aleksandra. Sprzymierzeńcy jednak poczuli się, zawiedzeni, gdy dotarłszy na dwie mile od Teb, Aleksander zamiast bezwłocznie uderzyć, rozłożył wojska obozem i wysłał poselstwo, ofiarując warunki, pozwalające buntownikom wycofać się z walki bez strat.

W Tebach jednak uznano je za dowód słabości Nie

było jeszcze wiadome, że Arkadia zatrzymała wysłane już posiłki, za bezpieczniejsze uważając oczekiwać wyniku walki. Ateny zbroją się, a jeśli nawet nie nadążą przed jej rozpoczęciem, Teby potrafią się opierać dość długo, by doczekać nadejścia pomocy zapewnionej wygnąnciom przez Demostenesa.

Odpowiedzi na poselstwo oczekiwał Aleksander w gronie dowódców wojsk posiłkowych i najemnych: oraz swych młodych dostojników. Jak stado rozjuszonych molosów *, które najwyższym wysiłkiem osaczyły dzika, nie mogli zrozumieć, dlaczego łowca ani sam nie uderza, ani im nie pozwala skoczyć zwierzowi do gardła. Król wyleczył się z ran w pochodzie, wypoczął jadąc na wozie i czytając ulubionych poetów, nigdy nie zwykł się wahać i wahania nie znosił u nikogo. Tylko Hefajstion wiedział, że Aleksander właśnie dlatego nie chce tracić czasu ni sił na walkę z Helladą, że uderzyć zamierza na Persję jako przywódca Hellenów, a spoufalcony z królem Perdikkas powiedział wprost:

— Nie wiem, po co kazałeś nam bez mała spać na koniu, by teraz stać bezczynnie. Jeśli sam nie czujesz się jeszcze na siłach, pozwól działać nam. Ja byłbym w mieście wcześniej, nim poselstwo wróci, a ty mógłbyś sobie czytać twego ulubionego Pindara.

— Ja zaś nie rozumiem, jak możesz uwielbiać poetę, sławiącego atletów, którymi ty gardzisz — wtrącił Marsjas. ..

Aleksander uśmiechnął się z lekka i zamiast odpowiedzieć, zacytował Ksenofanesa:

— *...nie godzi się cenić
Siły fizycznej nad myśl, która szafarką jest dóbr
Długo nie cieszy się lud z takich osiągnięć jak te.
Które nad Pizu brzegami zdobywa się w różnych,
zawodach.
Tym nie napelni się spichrza i nie wzbogaci się gród *,*

Potem dodał:

—Czyn bez myśli o celu jest tylko stratą sję.

— Myśleć miałeś czas po drodze i sądzę, że wiesz, po coś nas tu przywiódł — odparł Perdikkas.

— Niczego nie zdziała myśl, gdy nie idzie za nią czyn. Gdyby Ateńczycy, jak dziś wymową Demostenesa, tylko zachwycali się poezją Solona, nigdy by nie odebrali Salaminy. *Na Salaminę, rodacy! O wyspę bój upragnioną stoczyć nam trzeba i z bark zrzucić gniotący nas wstyd....*

Czy dlatego szczeniść chcesz Teby, że wydały Pindara? To by był przykład, że piękne słowo nie zawsze jest podnietą do czynu. A może lękasz się, byśmy nie wytracili twych przyrodnych braci, bo niejednego zapewne w Tebach pozostawił Filip. Ale nawet on sam nie roztkliwiał się nad nimi.

Towarzysze roześmieli się, a Ptolemaios wtrącił:

— Gdyby Agamemnon zniszczył Troję niczym trzęsienie ziemi, Homer nie miałby o czym pisać. Filip zburzył więcej miast, niż lat sobie liczył, ale że się z nimi nie bawił, nie doczekał swego piewcy. Zresztą, jak mówi Demokryt, słowo jest tylko cieniem czynu.

Aleksander lekko zmarszczył gładkie czoło, ale odpowiedział spokojnie:

— Jakież to cień, trwalszy od przedmiotu, który żyje tylko w jego blasku. Miast jest bez liku, a Iliada jest jedna. Tylko poezja zapewnia nieśmiertelną sławę bohaterom, która nagrodą winna być dzielności. Piękno ma jednak wartość samo przez się, dlatego miłuję Pindara.

— Twój mistrz, Arystoteles, twierdzi, że lepiej jest pisać rzeczy nieprawdziwe, lecz prawdopodobne, niż na odwrót — odparł Ptolemaios.— To znaczy zapewniać nieśmiertelność bohaterom, których nie było, lub sławić, czyny, których nie dokonali. Dlatego zapewne będziemy stali pod murami Teb, bo gdybyś je zburzył od jednego uderzenia, nikt by w to nie uwierzył.

Zdać się mogło, że narada wojenna zamieni się w jedną z dysput, w jakich od czasu pobytu w Nimfajon lubował się Aleksander, przewlekając je często do białego dnia. Ale w tej chwili wszedł dowódca straży z zawiado-

mieniem o powrocie poselstwa. Gdy Aleksander wysłuchał zuchwałej odpowiedzi Teban, powiedział tylko:
—Ruszamy na Teby.

Ateny nie uważały sprawy uzbrojenia za nagłą, a uwagę odwracały od niej przygotowania do Wielkich Dionizji *, których nie można było odłożyć. Procesje, nabożeństwa, konkursy dramatyczne - i przedstawienia teatralne pozwalały zapomnieć o niemiłych obowiązkach. Świątecznego nastroju nie zakłóciła nawet wiadomość o zjawieniu się wojsk macedońskich. Niech wykrwawią się pod niezłomnymi murami Teb, Ateny zdążą na czas, by dopełnić klęski.

Ciągnąc pod Teby Aleksander sądził, że sam widok potężnych wojsk skłoni Teban do rozsądku i uległości. Dlatego stanął obozem od północnej strony, naprzeciw gimnazjum Jolaosa, tak by każdy mógł macedońskie siły obejrzeć i policzyć, zwlekał natomiast z uderzeniem.

Przyrzeczona jednak pomoc rozzuchwalała Teban tak, że nie czekając na rozpoczęcie działań przez Aleksandra, wypadem lekkiej jazdy i piechoty znieśli wysunięte w pobliże zewnętrznych umocnień straże macedońskie, przypuścili jednocześnie gwałtowny szturm na Kadmeę, by pozbyć się tkwiącego wewnątrz miasta wroga, gdy jego poddania nie można się już było spodziewać. Aleksander jednak chciał uniknąć walki, niemniej, by załogę w Kadmei podtrzymać w oporze, a w razie potrzeby przyjąć z pomocą, przesunął obóz przed południową bramę, do której przylegał otoczony przez Teban akropol. Silny oddział pedzetajrów pod dowództwem Perdikkasa wysunął Aleksander pod same umocnienia zewnętrzne, polecając pilnie baczyć na przebieg walki o Kadmeę.

Perdikkas, niedawno jeszcze „chłopiec królewski”, odznaczywszy się męstwem w czasie trackiej wyprawy, w nagrodę zyskał stanowisko taksjarchy * pedzetajrów. Krewniak Aleksandra był przedmiotem podrwiwań towarzyszy, ponieważ we wszystkim naśladował króla, jego szybki chód, sposób mówienia, a nawet przechylenie głowy na ramię. Teraz postanowił pokazać, że nie

tylko w tym potrafi go naśladować i dokona tego, co uważali za przechwałkę.

Zaledwie przyszedł ze swym oddziałem na wyznaczone miejsce, sformował go w szyk bojowy i bez namysłu uderzył na najbliższy umocniony posterunek tebański, w niespodzianym natarciu zniósł go do nogi i tym samym rozmachem wpadł na drugie obwałowanie, a stojący najbliżej niego Amyntas, syn Andromenesa, na ten widok pognął w ślad za nim ze swą falangą.

Teraz jednak Tebanie nie dali się zaskoczyć, zewsząd tłumy wojowników śpieszyły w zagrożone miejsce, by wziąć udział w coraz zajadlejszej walce.

Przewaga Teban wzrastała z każdą chwilą, Perdikkas padł ciężko ranny, legło wielu innych, pozostali mimo to bronili się skutecznie, nie ustępując pola w nadziei, że król bez pomocy ich nie zostawi.

Istotnie Aleksander pchnął posiłki agriańskiej piechoty i łuczników, podniósł swą agemę i formować ją oddziały hypaspistów na wypadek, gdyby dalsza pomoc okazała się potrzebna.

Wsparte posiłkami falangi Perdikkasa i Amyntasa uderzyły z zajadłością i wprawą, przełamały pas drugich umocnień i przez zaczęły nieprzyjaciela ku górującym nad stromą pochyłością murów, które teraz zamykały Tebanom drogę odwrotu. Jedyna pozostała wiodła przez parów o niemal prostopadłych zboczach, ciągnący się aż do świątyni Heraklesa. Uczynił się w nim bezładny tłok, a walka zamieniła się w pościg i rzeź. Straż przy Elektryjskiej bramie widząc, co się dzieje, skoczyła otwierać wrzeczadze, ale już wraz z uchodzącymi wlewać się jęły do miasta gromady macedońskich i agriańskich wojowników i na karkach uciekających Teban dotarły aż do Herakleion.

Nasilająca się wrzawa wojenna ściągała jednak zewsząd siły tebańskie. Otoczeni napastnicy osadzeni zostali na miejscu i coraz gęstszym trupem ścielili pole. Legł dowódca łuczników kreteńskich i siedemdziesięciu jego ludzi, którzy pierwsi cofać się jęli bezładnie, usił-

jąc wyłamać się z osaczenia. Macedończycy zwarli się w kolisko najeżone włóczniami i odcinając się parli z powrotem ku bramie, rozerwali pierścień, cofali się coraz prędzej.

W zamęcie walki żadna ze stron nie zauważyła, że wrzawa rozszerza się, ogarniając całe miasto. Aleksander uderzył na całej długości południowego muru, niemal pozbawionego obrońców, a sam na czele swej agemy i królewskiej ili hetajrów wpadł do miasta przez Elektryjską bramę. Cofające się falangi dostrzegły go pierwsze, na jeden rozkaz zawróciły sprawnie jak na ćwiczeniach i z okrzykiem bojowym uderzyły na wroga. Jednocześnie otwarły się bramy Kadmeii z jej załogą wypadł Filotas, niespodziewanym uderzeniem wprawił w zamęt tebańskie zastępy i coraz bardziej bezładny bój przetaczał się ku rynkowi. Zajądlność zmagala się z rozpaczą w walce o każdy dom i zaułek.

W rynku zebrało się wszystko, co zdolne było dźwignąć broń, z oddziałem ciężkiej jazdy na czele, i gdy tylko ukazały się pierwsze szeregi napastników, klin jezdnych wbił się w nie, prąc ku bramie, a jednocześnie piesze szyki natarły na skrzydłach i wśród nieopisanej wrzawy znowu wtłoczyły się w uliczki. W sercach Teban zaświtała nadzieja. Jeśli jazda zdoła dotrzeć do bramy i powstrzymać dopływ nieprzyjacielskich posiłków, położenie da się jeszcze opanować, a nawet skończyć się może zagłada odciętych w mieście wojsk macedońskich. Tebańczycy natarli z nowym zapałem i przez chwilę zdało im się, że zwycięstwo jest bliskie, gdy na tyłach, nieprzyjacielskich zabrzmiały trąby i Macedończycy jęli szybko ustępować, uskakując do domów i w boczne uliczki przed jazdą tebańską, która nabierała rozpędu.

W rynku dowódcy pośpiesznie wprowadzali ład, szykując nie związanych walką do uderzenia na mury, by i tara zamknąć dopływ posiłków nieprzyjacielskich, gdy nagle wrzawa zaczęła się szybko przybliżać. W dzikim popłochu, łamiąc własne szeregi, wpadła na rynek jazda tebańską i nim kto zdołał się połapać, na czele ili hetajrów, obalając wszystko po drodze, ukazał się sam Aleksander, znaczny białą kitą na srebrzystym hełmie.

Teraz już nie było nadziei ocalenia, składny opór

prysł, w ślad za pierzchającą jazdą pędził, kto mógł, ku nie zajęтым jeszcze północnym bramom. Kto nie zdołał, krył się po domach i zaułkach lub szukał ocalenia w świątyniach pod opieką bogów.

Ale sprzymierzeni z Aleksandrem wrogowie Teb teraz brali odwet za burzenie swych miast, bezlitosny ucisk i rzezie. Nie było miłosierdzia dla nikogo, ołtarze spływały krwią niewiast, starców i dzieci. Dopiero o zmierzchu rabunkowi i rzezi położył kres surowy zakaz króla. Dokonało się to, w co nikt by nie uwierzył, gdy po raz ostatni słońce wschodziło nad wolnymi Tebami. Sześć tysięcy trupów tebańskich zalegało ulice, trzydzieści tysięcy mieszkańców miasta i tych, którzy w nim schronili się przed najazdem, w pętach czekało swojego losu.

Los ten zaś spocząć miał w rękę zaklętych wrogów. Aleksander bowiem uchwały zjazdu korynckiego uważał za wiążące, sąd o naruszenie ich należał do przedstawicieli Związku, a byli nimi wyłącznie sprzymierzeńcy Aleksandra. Inne państwa albo zgłosiły wystąpienie ze Związku, albo same zawiniły naruszeniem jego postanowień. Jako strateg-autokrator * państw związkowych król miał zarazem przewodniczyć obradom. Wolał jednak surowość wyroku pozostawić sądowi, a przeciwnikom odebrać zarzut tyranii wspaniałomyślnością w złagodzeniu wyroku.

Po ustaniu walk król ze swą agemą stanął w Kadmei i podczas przygotowań do biesiady ku uczczeniu zwycięstwa wysłuchiwał sprawozdań o stratach. Pięciuset poległych i z górą dwakroć tyle rannych nie było ceną zbyt wysoką. Król dopytywał o znanych sobie żołnierzy i dowódców, a najbardziej o Perdikkasa. Lekarz, który miał go w swej pieczy, nie był dobrej myśli. Ranny mdlał często, zachłystywał się krwią z przebitych płuc, chwilami rzeził, jakby już konał. Aleksander, sam wykształcony przez Arystotelesa w sztuce lekarskiej, poszedł obejrzeć rannego. Perdikkas był przytomny, na widok króla próbował się nawet uśmiechnąć i coś wyszeptać, Aleksander jednak położył mu rękę na ustach mówiąc:

— Wiem, co chcesz powiedzieć, że twoją zapowiedź nie była przechyleniem głowy. Ty jesteś herosem dzi-

siejszego dnia, dzięki twemu męstwu dokonało się to, co zdać się mogło niemożliwe i w co trudno będzie wrogom uwierzyć. Teraz leż spokojnie i nic nie mów.

Król odszedł, by wziąć udział w uczcie, na którą czekali już towarzysze, chcąc napięcie i wysiłek całego dnia rozładować w winie i przekomarzaniach. Gdy Aleksander nadszedł, pokpiwano właśnie z Filotasa, który znany był z zamiłowania do wystawnych uczt i pięknych niewiast, a teraz długo musiał pościć i obywać się bez nich, gdyż żywność w Kadmei była na wyczerpaniu. Nie czekając na króla zdołał już podjąć sobie i popić.

Starsi wodzowie, znużeni walką, nie przyszli na ucztę, obecna była sama młodzież. Wzorem Aleksandra żaden nie nosił zarostu, wyglądem i zachowaniem robili wrażenie rozpasanych młodzików, przyszli zrzuciwszy jeno bojowy rynsztunek. Tylko Peukestas, wykąpany już i woniejący, wystrojony jak hetera, odgryzał się wesoło kpinom towarzyszy. Po nadejściu króla układać się jęli do uczyty: Ptolemaios drwiąco przestrzegał Peukestasa

—Nie kładź się jeno kolo Filotasa, bo za długo legiwał sam.

Wybuch śmiechu zagłuszył odpowiedź Filotasa. W tej chwili wszedł hypaspista ze straży z oznajmieniem, że dwaj tracy najemnicy przywieźli do ukarania tebańską niewiastę, która zamordowała ich dowódcę.

— Niech ją ukarze Filotas — zaśmiał się Leonnatos. — Trzeba tylko postawić straż, by nie zamordowała i jego.

— Wszyscy będziemy strażować — zawołał Peukestas.

Filotas odburknął:

— Mogę wam odstąpić tę Medę, bo już pewnie, ów Trak naruszył jej cześć. Ja sobie jutro sam wybiorę coś świeżego, a będzie w czym.

— Radziłbym ci nie czekać do jutra, Skoro nie lubisz pić z używanego naczynia — rzucił Peukestas.

A Ptolemaios zauważył:

— Że też bogowie w takim sąsiedztwie umieścili niewieścią cześć!

Śmiech zgasł, jak uciał, gdy ukazała się obwiniona,

wprowadzona przez dwóch Traków. Istotnie spojrzenie miała Medeï, a choć widocznie sponiewierana, z rozwianym włosiem i w potarganych szatach, w postawie jej i zachowaniu było dostojenie, które onieśmiało rozpasanych biesiadników. Gdy stawiono ją przed Aleksandrem, na jej surowej twarzy przemknął wyraz zdziwienia. Drobniejszy od swych rosnących przeważnie towarzyszy, zdał się młodszy, niż był istotnie, wyglądał na wyrostka. Gdy Trakowie łamaną mową helleńską przedstawili jej postępek, słuchała obojętnie, patrząc na króla bez trwogi. Obrabowana przez Traków i zhańbiona przez ich przywódcę, gdy groźbami zmuszał ją do wyjawienia miejsca ukrytych skarbów, zaprowadził go do studni w ogrodzie. Pochylnego nad cembrowiną zepchnęła w wodę i miotając na niego głazy, zabiła.

Aleksander, patrząc na niewiastę z zaciekawieniem, zapytał:

— Jak cię zowią?

— Jestem Timoklea, siostra tego Teagenesa, który na czele „świętego hufca” walczył z tobą pod Cheroneą i tam żywot położył za wolność Hellady — odparła śmiało.

Wśród biesiadników przeszedł groźny pomruk, Aleksander jednak powiedział:

— Zapewne wierzył w to jak i ty. Szczęśliwy, kto żywot oddaje za coś jeszcze sobie droższego, a sława Hektora nie mniejsza jest niż Achillesa. Cześć swą pomściłaś sama, a ja każę tobie i twoim zwrócić wolność i mienie,

Gdy wyszła bez słowa, nie skłoniwszy nawet głowy, a towarzysze sarkać jęli na jej niewdzięczność, Aleksander powiedział

Jeśli nawet nie wie, że ja zabiłem jej brata, to wie, że my wycieliśmy do nogi „święty hufiec”.

— Czyżbyś żałował, że nie oni nas? — rzucił Krateros.

— Nie. Jeno żał mi, że ci najdzielniejsi przeciw nam walczyli, a nie wespół z nami. To zasługa Demostenesa, on zawsze skłonny walczyć cudzymi rękoma, a wolność Hellady to dla niego hegemonia Aten, pod którą ugięły się miasta ich morskiego związku. I teraz Teby jemu

winne wdzięczność za los, jaki je spotyka. Ale tym razem zażadam jego głowy — dorzucił gniewnie.

Los Teb obudził grozę i rzucił postrach na całą Helladę. Wyrok, jaki zapadł nazajutrz, oznaczał śmierć państwa i miasta: ma być doszczętnie zburzone, mieszkańcy sprzedani w niewolę, przywódcy straceni, ziemie rozdane między sprzymierzeńców. Jeńcy tebańscy pod batem zmieniali ojczysty gród w pustynię gruzów, na której jak grobowce ma cmentarzu całego plemienia sterczały oszczędzone na rozkaz króla świątynie bogów i dom Pindara. W zamku legendarnego założyciela miasta Kadmosa pozostać miała macedońska załoga dla pilnowania, by umarłe miasto nie ożyło. Jeńcy, po dokonaniu zniszczenia, powędrowali na targi niewolników, nieliczni zaś Tebanie, którym udało się ujść niewoli i rzezi, pomnożyli jeszcze roje wygnańców bez ojczyzny. Miecze ich mógł wynająć każdy, kogo stać było na to, i oni jeszcze tylko podtrzymywali zawołanie męstwa, dzięki któremu ongiś Hellada oparła się perskiej potędze. Teraz walczyć będą za darejki * po przeciwnej stronie. Straszliwa klęska Teb po raz wtóry rzuciła Helladę na kolana przed Aleksandrem, wyprawa perska stała się groźbą bezpośrednią. Memnon i satrapowie w Azji Mniejszej znowu czynili zaciąg, przydadzą się im każde silne ręce.

Wieść, że Teby, które w poprzednim pokoleniu pokonały nie zwyciężoną jeszcze nigdy Spartę, złamały jej hegemonię i konie napoiły w Eurotasie, teraz padły od jednego uderzenia Aleksandra, zdała się tak nieprawdopodobna, że w Atenach nikt w nią zrazu nie uwierzył. Coraz liczniej jednak napływający zbiegowie potwierdzali ją zgodnie i trudno było dłużej wątpić. Dalsze wieści o losie zwyciężonych szerzyły obezwładniający strach jako zapowiedź, co czeka Ateny. Przerwano świąteczne obchody, ale o walce nie myślał nikt. Teraz cała Hellada jednoczyć się będzie w upodleniu, na wyścigi pełzając do stóp zwycięzcy. Jedno, co można uczynić, to nie pozwolić się i w tym uprzędzić.

Znowu potok uchodźców płynął z miasta do portu, unosząc swe mienie, ze wsi zaś, kto mógł, szukał osłony za murami. Ale mury same bronić się nie będą, jedyną

nadzieję ocalenia upatrywano w Fokionie. Gdy jednak próbowano nakłonić Hypereidesa, by starał się przekonać starego wodza, że jego usługi są miastu niezbędne, ten odparł:

— Straciłbym nie tylko szacunek Fokiona, ale i swój własny, gdybym nakłaniał go do korzystania z przychylności Aleksandra, co Demostenes kilka dni temu poczytał mu za zdradę stanu i groził mu za to śmiercią.

Efialtes, który z ramienia Demostenesa posłował do Dariusza i teraz drżał o swoją skórę, rzucił rozpaczą.

— Jeśli ci droższy szacunek Fokiona niż los ojczyzny, to pomnij, że i ty jesteś między pierwszymi, których głów zażąda Aleksander.

— Nie troszcz się o moją, gdy dość masz troski o własną — pogardliwie odparł Hypereides. — Jeno ja potrafię umrzeć jako uczciwy człowiek, a ty nie. Niech oczyma świecić idzie Demostenes. Fokion nie jest mściwy, ale jeśli ma się podjąć pośrednictwa, musi być pewny, że mu to znowu za zdradę nie będzie poczytane.

Demostenes jednak na naradę nie przyszedł, a było niemal pewne, że nie zechce się ukorzyć przed Fokionem. Poczucie bezradności stało się nieznośne, należało natychmiast coś przedsięwziąć, toteż jak zbawienia uchwycono się rady Ajschynesa, by bezzwłocznie wysłać do Aleksandra pismo z gratulacjami z powodu szczęśliwego powrotu z trackiej wyprawy, zwycięstwa nad Ilirami i sprawiedliwego ukarania zbuntowanych Teb, a zarazem z prośbą o wybaczenie przyjęcia zbiegów tebańskich, jako błagalników w imię Zeusa Kseniosa*.

— Możecie też dodać — pogardliwie rzucił Hypereides — że tylko ja sprzeciwiłem się wysłaniu tego pisma. Ale i beze mnie dość będzie płaszczących się jak skopane psy przed tyranem.

Wzruszył ramionami i odszedł ku uldze pozostałych. Wygotowano pismo i do Teb pognali z nim gońcy, jakby się paliło. Teraz wspomniano wspaniałomyślność Aleksandra w czasie pierwszej jego wyprawy, krzepiąc tym nadzieję. Niemniej nikt nie spał spokojnie tej nocy, wśród niewolników bowiem już dało się odczuć poruszenie, a grożąca miastu zagłada mogła być tylko korzystną zmianą ich losu. Żył wśród nich wspomnienie

krwawego oszustwa, jakiego Ateny dopuściły się na tych, którzy po cheronejskiej klęsce za cenę wolności walczyć byli gotowi po stronie swych panów. Niepokój płoszył sen nawet przywódcom stronnictwa rozwagi, którym ze strony Aleksandra nic nie groziło. Wąsające się bowiem ze śmiechem gromady pijanych niewolników w razie buntu nie będą przebierać. Nigdzie zaś nie było widać scytyjskiej straży. Dopiero nad ranem przemogło znużenie i miasto zapadło w niespokojny półsen, i ten jednak nie trwał długo. Jeszcze pierwszy promień wschodzącego słońca nie musnął grotu włóczni Ateny Promachos * na szczycie Akropolu, gdy jak grom poderwała miasto wiadomość, że wrócili gońcy z odpowiedzią Aleksandra: pismo cisnął na ziemię i podeptał, żąda wydania dziesięciu przywódców stronnictwa wojny oraz tebańskich zbiegów, a miasto ma otworzyć bramy macedońskiej załodze.

Niemal wszyscy zagrożeni zgromadzili się już w Prytaneion, czerwonymi z bezsenności oczyma bezradnie na siebie spoglądając. Nie było tylko Hypereidesa, który na wezwanie oświadczył, że przyjdzie później, chce się bowiem wykapać i pożywić przed śmiercią. Brakło też Charidemosa i Efialtesa. Oni nie czekali na odpowiedź Aleksandra i zbiegli do Dariusza, gdzie jako doświadczeni wojownicy liczyć mogli na dobre przyjęcie. Dla innych ta droga była zamknięta. Gdy raz przyjdzie do walki z Aleksandrem, nic po mówcach Dariuszowi. Umierać jednak nie chcieli, toteż nie myśleli o kąpieli i śniadaniu, lecz o tym, czy Likurgowi, który poszedł do Fokiona, uda się go ubłagać, by nie odmawiał użycia swego wpływu i próbował wyjednać u Aleksandra odstąpienie od postawionych żądań. Nadchodzili tymczasem członkowie magistratur, ale nikt nie zagajał obrad. Równie szary i milczący gromadził się w rynku tłum obywateli czekając, co poczną władze. Westchnienie jakby ulgi przeleciało cizbę, gdy ukazał się Likurg w towarzystwie Fokiona.

W Prytaneion również podniósł się szmer, gdy weszli, ale serca upadły, gdy Fokion przemówił:

— Teraz szukacie rady u "mnie, gdy po dwakroć nie dotrzymaliście zaprzysiężonych z Macedonią układów.

Uchwaliliście wojnę, na co czekacie? By nieprzyjaciel stanął pod naszymi bramami? Ja byłem wojnie przeciwny, ale skoro już jest, pozostaje spełnić obowiązek. O to mnie prosić nie trzeba, wystarczy rozkaz.

— Ty drwisz, Fokionie — drżącym głosem przerwał archont basilenus *. — Po tym, co zaszło w Tebach, sam nie wierzysz, by nasze miasto zdołało się obronić.

— Ja nie wierzyłem i przedtem, dlatego doradzałem pokój. Niezbędny jest i Aleksandrowi, skoro zamierza wyprawę przeciw Dariuszowi, ale chce być dotrzymania pewnym. Arkadia sama ukarała śmiercią tych, którzy ją nakłonili do wysłania Tebom posiłków, i Aleksander zgodził się nie zostawiać tam załogi, bo jasne, że woli potrzebnych na to sił użyć gdzie indziej. Jeżeli ci, których wydania od nas żąda, istotnie jeno z miłości ojczyzny parli do wojny z nim, to teraz mają sposobność wykazać, że nie tylko cudze życie gotowi są dla niej poświęcić. Czy może ja mam za nich poręczyć, że odtąd będą głosić pokój?

— Za mnie możesz nie ręczyć, Fokionie — odezwał się Hypereides — bo ja nigdy nie zgodzę się, by nami rządili barbarzyńcy. Mogę jechać z tobą, bo istotnie łatwiej ci będzie przebłagać zagniewane bóstwo, gdy złożysz mu ofiarę.

— Ty nie wiesz, do czego zmierza Fokion — bluznął zjadliwie Demostenes. — On chce się pozbyć własnych wrogów i zaskarbić sobie łaski zwycięzcy. To jest cena, za którą podejmie się ocalić ojczyznę. Jak te owce z bajki, macie wydać wilkom psy, które was strzegą.

Wpił w Fokiona płonące nienawiścią oczy. Stary wódz pokiwał głowę z niesmakiem i odparł:

— Jedno ci muszę przyznać, Demostenesie, że dobrym jesteś adwokatem w swojej sprawie. Nic bardziej nie zdołałoby mnie nakłonić, bym próbował i ciebie ocalić, niż to, coś rzekł, choć nie taję, że żałowałbym tylko Hypereidesa, który mówi to, co myśli, a za to, co czyni, przyjmuje odpowiedzialność. Możecie przystąpić do ustalenia składu poselstwa, Radzę pośpiech, bo zwłoka jest niebezpieczna, jak się okazało w Tebach. Ja idę gotować się do wyjazdu.

Demades, jak inni, zasnął dopiero nad ranem, a że o siebie był spokojny, spał twardo, choć dzień już był pełny. Obudziło go dopiero pukanie coraz natarczywsze. Widocznie odźwierny również śpi lub wałęsa się gdzieś. Demades zebrał się z ociąganiem i sam otworzył bramę. Na widok Demostenesa nie okazał zdziwienia i powitał go ironicznie:

— Niezwykły gość w niezwykłym czasie. Wybacz, że pozwoliłem ci czekać, ale nicpoń odźwierny gdzieś się zawieruszył, a ja zasnąłem. Ty natomiast wcale nie spałeś, jak sądzę, czemu się nie dziwię. Ważna zapewne sprawa sprowadziła cię do mnie, pozwól do megaron.

Gdy usiedli, Demades urągliwie spozierał na zgnębnego wroga. Nie zamierzał ułatwić mu rozmowy i milczał, czekając aż odezwie się Demostenes, który utkwiał wzrok w mozaikowej posadzce, przedstawiającej Ledę z łabędziem. Gdy milczenie się przedłużało, gospodarz odezwał się drwiąco:

— Ładne to, nieprawdaz? Ale zapewne nie po to przyszedłeś, by oglądać mój nowy dom, zbudowany za złoto Filipa.

Na przybladłe i twarzy Demostenesa zjawił się rumieniec, gdy powiedział wymijająco:

— Zapewne znasz odpowiedź Aleksandra?

— Przecież spałem, mogę się najwyżej domyślać. Musiałby być istotnie głupim chłystkiem, gdyby radość naszą z jego zwycięstw przyjął za dobrą monetę.

— Uchwalono wysłać do niego poselstwo, któremu przewodniczyć ma Fokion. Ty masz jechać z nim.

— Widzisz, że i tacy jak ja mogą się miastu przydać. Ale chyba ciebie nie przysłano, by mnie o tym uwiadomić. Możesz mówić otwarcie, w cztery oczy da się powiedzieć, co nie potrzebuje świadków. Zawsze będziesz mógł zaprzeczyć.

— Aleksander zażądał wydania zbiegów tebańskich i dziesięciu przywódców naszego stronnictwa.

Demades już domyślał się, po co przyszedł do niego Demostenes, i powiedział z kpina.

— Tedy i ciebie; a ty nawet jako poseł nie miałeś

ochoty spotkać się z „gamonem”. Ale jeśli okażemy uległość, może się zgodzi nie zajmować miasta. Dziwię się, że tego nie przewidziałeś. Charidemos i Efialtes nie czekali na odpowiedź, teraz istotnie może być za późno. Domyślam się, czego chcesz, nie wiem tylko, dlaczego ode mnie oczekujesz przysługi.

— Ty potrafiłeś po Cheronei uśmierzyć zajadłość Filipa, może zdołasz przekonać i Aleksandra.

— Cieszę się, że mi to przyznajesz. U Aleksandra jednak największą wagę ma słowo Fokiona, czemuż nie do niego się zwracasz?

— Fokion doradzał, by zgodzić się na żądanie Aleksandra. I on nie przyjmie pieniędzy — dodał cicho.

— Tedy słusznie uczyniłeś przychodząc do mnie. Ile masz chęć mi zaofiarować?

— Dam ci talent złota, jeśli Aleksander od żądania odstąpi.

— Nisko się cenisz, choć istotnie wartość twa spadła po tym, co się stało w Tebach. Dasz mi pięć, i to zaraz, a mam nadzieję przekonać Aleksandra, że nic mu po twojej głowie, bo nic już nie znaczysz w Atenach.

— A jeśli nie potrafisz?

— To i tak będzie ci wszystko jedno. Ale widocznie ufasz, że potrafisz, skoro tu przyszedłeś. I słusznie, bo nie tylko ty korzystałeś z nauk Gorgiasa *. I ja umiem przekonywać nawet o tym, o czym sam nie jestem przekonany, a tym bardziej, jeśli jestem. Jeszcze nigdy nie wahałem perskiego złota i bawi mnie to, że za pieniądze jednego wroga bronić mam drugiego wroga. Słusznie jednak mówi Fokion, że, przyzwoity człowiek nie potrzebuje obrońcy.

Demostenes to bladł, to czerwieniał. Teraz musi znośić pogardliwe drwiny, za każdą cenę ocalić siebie, byle doczekać wejścia w grę perskiej potęgi. Gdy Aleksander z najlepszymi siłami odejdzie do Azji, łatwiej będzie skłonić ateński demos do złamania wszelkich układów. Dariusz ma nad Aleksandrem trzydziestokrotną przewagę w ludziach, a jeszcze nierównie większą w zasobach. Nikt rozsądny nie może wątpić, jaki będzie wynik rozpetanej przez młodego szaleńca walki. Gdy zniknie ta ciężąca nad Helladą zmora, przyjdzie czas, by odplacić

wrogom za doznane upokorzenia. A przede wszystkim Fokionowi, który wszem wobec wykazał, że przywódcy stronnictwa wojny własnych głów nie są skłonni złożyć na ołtarzu ojczyzny. Fokion wie, że Demostenes nie zapomni, i nieprawda, że będzie się starał przeciwnika ocalić chyba tylko Hypereidesa, który swym nieprzejednaniem jeszcze podkreślił małoduszność innych przywódców swego stronnictwa. I jemu Demostenes tego nie zapomni.

W napięciu oczekiwał wyników poselstwa i nie pokazywał się w mieście, które również żyło oczekiwaniem. W miarę jednak, jak czas płynął, w serca wstępować zaczynała nadzieja. Gdyby Aleksander los Teb gotował Atenom, dawno mógł stanąć pod ich murami.

Do tego parli hetajrowie, żądni przygód i sławy, zachęceni przykładem Perdikkasa. Wprawdzie omalżyciem nie przypłacił zuchwałstwa, ale od pacholących lat, obyci z ranami i śmiercią, walkę uważali za jedyne godne mężów zajęcie, a sławę i związane z nią zaszczyty i korzyści za cel życia. Bezczynością niecierpliwiły się także wojska, których chciwość obudziły obfite łupy tebańskie. Znacznie obfitsze, i to kosztem jeszcze mniejszego trudu, obiecywano sobie w bogatych Atenach, które na niczyją pomoc liczyć już nie mogły. Ze wszystkich państw helleńskich szły do Aleksandra poselstwa, z prośbami o przebaczenie, z zapewnieniami wierności i współdziałania. Król przyjmował je łaskawie, jedynie ateńskie spotkało się z pogarliwą i groźną odprawą. Gdy dotychczas nie odesłano przywódców buntu, dostojnicy Aleksandra byli pewni, że żądania swe przeprowadzi siłą, i nie mogli zrozumieć zwłoki. Wielu wspominało, jak po cheronejskim zwycięstwie przyganiał ojcu, że zamiast narzucić swą wolę, układa się z Atenami.

Z królewskiego tronu jednak Aleksander nie patrzył już na sprawy oczyma szesnastoletniego zabijaki. Nierad był nawet z losu, jaki zgotował Tebom, mimo że nie, miały one w Helladzie przyjaciół, wielu natomiast wrogów. Wszystko, co z nich ocalało, znajdzie się teraz po stronie nieprzyjaciół. Jeżeli on ma być lub przynajmniej uchodzić za przywódcę Hellady, nie może zburzyć jej duchowej stolicy. Myśli jego pochłaniała już wyprawa

przeciw Dariuszowi i skłonny był nawet odstąpić od wprowadzenia do Aten swojej załogi. Troskę o utrzymanie w Helladzie spokoju pozostawi Antypatrowi, który, choć wychowanek platońskiej Akademii, nie zawaha się zburzyć nawet świątyni Ateny na Akropolu, o ile uzna to za potrzebne. Jeśli w Atenach zwycięży rozsądek, wyrozumiałości Antypatra nie będą wystawiać na próbę.

Teraz jednak król upewnił się, że Ateny chcą się układać, i z zadowoleniem przyjął wiadomość o nadsłaniu ich poselstwa. Gdy dowiedział się, że przewodniczy mu Fokion, wyszedł naprzeciw i witając starego wodza powiedział:

— Chajre! W Atenach wiedzą, kogo wysłać, by uśmieńczyć mój gniew. Uważam cię zresztą za swego gościa, a nie za ateńskiego posła.

— Dziękuję ci, królu — odparł Fokion — ale nie w gościnę przyjechałem. Sądzę, że nie byłbym godnym twoich względów, korzystając z nich, gdybyś ich odmówił mojej ojczyźnie.

— Wysoko cenisz swą przyjaźń, Fokionie odparł Aleksander. — Ponieważ jednak i ja ją cenię wysoko, możesz się uważać za mego gościa. I wy również — dodał zwracając się do pozostałych członków poselstwa. — Cieszę się, że i w Atenach są mężowie z którymi można rozsądnie pogadać. Nie ja zacząłem wojnę i nie na rękę mi ona, dlatego mile widzę tu ludzi, którzy jej chcieli zapobiec.

— Jeżeli potrzebujesz pokoju, królu — rzekł Fokion — to teraz możesz skończyć wojnę. Jeżeli zaś sławy, to zwróć swój miecz przeciw Persom, bo ta wojna ci jej nie przysporzy. Jestem tego pewny.

Aleksander zrozumiał, co ma na myśli Fokion; odparł żywo:

— Ty wiesz równie dobrze jak ja, że nie potrzebowałbym się układać, by dopełniono warunków pokoju, jakie postawiłem. Chciałbym oszczędzić Atenom losu Teb. Muszę jednak być pewny, że tym razem układy będą dotrzymane, a nie wierzę w to, jeśli nie pozbędziecie się mścicieli pokoju, którzy nie pierwszy raz skłonili wasze miasto do ich złamania, za wyrozumiałość płacą

mi obelgami, a posągiem uczcili skrytobójczego mordercę mego ojca.

— Taki już w Atenach obyczaj stawiać i wywracać posągi — wtrącił się Demades. — Ale czy sądzisz, królu, że w nich głupców jest tylko dziesięciu? Gdybyśmy jednak wydali ich twojej pomście, będziesz uchodził za tyrana, oni zaś za herosów. Czy nie lepiej, by ponieśli śmierć z wyroku własnego sądu jak w Arkadii? Wiadomo przecie, że hojnie się w Atenach wyrokami śmierci szafuje, ale skazańcom jeszcze posągów nie stawiano.

— Może masz słuszość, Demadesie — rzekł Aleksander w zamyśleniu. — Dziwi mnie tylko, że ty stajesz w obronie własnych wrogów.

— Jak wiesz, królu — powiedział Demades z uśmiechem — obrona łotrów jest moim zawodem.

— Nie wszyscy twoi przeciwnicy są łotrami, królu — rzekł Fokion. — Ale tych łatwiej przekona wspaniałością niż bezwzględnością. Szkoda, żeś jej nie okazał wobec Teb — dodał patrząc na sterty gruzu zalegającego wzgórza, na których niedawno stało kwitnące miasto. — Póki istniały, nie miały przyjaciół. Teraz ich znajdują we wszystkich twych przeciwnikach. Współczucie jest tańsze niż pomoc.

Aleksander zachmurzył się i odparł:

— Wiem, że mnie o to winić będą, choć z wyroku sądu związkowego spotkała Teby zagłada, a nie z mojej woli. Wydacie mi Charidemosą i Elialtesą, pozostałych sądziecie sami.

— Tych wydalibyśmy najchętniej — zauważył Demades — ale oni wiedzieli o tym i już ich nie ma w Atenach. Znajdziesz ich jednak u Dariusza, a wówczas nikt ci za złe nie weźmie, jeśli obu skrócisz o głowę.

— Dziękuję ci, królu — powiedział Fokion — nie tylko imieniem mego miasta, ale i własnym. Demostenes nie będzie już mógł nam zarzucie, że pozbywamy się swoich wrogów twoimi rękami. Teraz chętnie będziemy mogli skorzystać z twojej gościny.

Poselstwo ateńskie następnego dnia zbierało się w powrotną drogę, ugoszczone i sownie obdarzone. Tylko Fokion odmówił przyjęcia bogatych gościńców, a widząc, że Aleksander poczuł się tym dotknięty, powiedział:

— Wybacz mi, królu, ale chcę móc zawsze stwierdzić, że twoja przyjaźń nie przysporzyła mi żadnych korzyści. Ty zapewne też wolisz przyjaciół, których kupować nie trzeba.

— Masz słuszość — powiedział Aleksander rozchmurywszy się. — Dlatego mam ich bardzo niewiele, bo nie ma przyjaźni bez wzajemnego szacunku.

— Bez szacunku nie ma też nienawiści — rzekł Demades. — Demostenes dlatego jest waszym wrogiem, że ani twój ojciec, ani ty nie zaszczyliciliście go swoją nienawiścią.

Gdy poselstwo ruszyło w powrotną drogę, Fokion zwrócił się do Demadesa:

— Po co przypominasz królowi, że Demostenes jest jego wrogiem? Naprzód broniłeś go, a potem oskarżasz.

— Bronilem go, bo mi zapłacił, nie wierząc, że ty go będziesz bronił za darmo. A nie oskarżam, jeno chcę, by Aleksander miał go za błazna, bo obawiam się, że nie zdołamy postawić Demostenesa przed sądem i król gotów uważać, że znowu złamaliśmy układ. Lepiej przeto, by Demostenesa lekceważył.

Obejrzał się i widząc, że w macedońskim obozie zwijają namioty, widocznie gotując się do odejścia, dodał:

— Może Aleksander jest genialnym wodzem. Ale jeśli sądzi, że został przywódcą Hellady, to łatwowierność. Gdy jednak odejdzie do Azji, a namiestnikiem zostawi Antypatra, ten nie da sobie sypać piasku w oczy i wszyscy gotowiśmy żałować zamiany. Demostenes zaś będzie podjudzał do walki, bo czuje, że bez niej jest niczym, a tego nie zniesie, choćby miał zgubić własną ojczyznę. Woli sławę Herostratesa niż zapomnienie.

— Zapewne masz słuszość — powiedział Fokion w zamyśleniu. — Pamiętam, że gdy był wyrostkiem, rówieśnicy nazywali go „Batalos” *. Mówcą został zardroszcząc sukcesów Kalistratosowi, choć nie miał na to żadnych warunków, politykiem — zawidząc osiągnąć Filipowi, choć na to miał ich jeszcze mniej. Nie liczy się z tym, co osiągalne, nie uzna i nie zniesie niczyjej wyższości. Dla niego, choć sam urodził się z barbarzyńskiej matki, Aleksander jest barbarzyńcą.

— Dla Hypereidesa też, a przecie go cenisz, choć jest naszym przeciwnikiem może bardziej nieubłaganym niż Demostenes.

— Cenię go jako człowieka, nie jako polityka. Odwrotnie niż ciebie.

— Dziękuję ci za szczerłość, Fokionie, a w zamian dam ci dobrą radę: nie mów zawsze tego, co myślisz, bo mnożysz sobie wrogów.

Powszechny zapał, z jakim kraj witał wracającego Aleksandra, przewyższał największe triumfy Filipa. Zwycięskie, obłowione łupami wojska głośno chwaliły jego męstwo, piorunujące działania stłumiły wszelki opór nie tylko w Helladzie, lecz i wśród sąsiednich barbarzyńców. Także podziemne siły, które do zguby przywiodły Filipa, a kraj pozostawiły nad brzegiem przepaści, straciwszy przywódców i nigdzie nie znajdując poparcia, przywiedły, jak roślina pozbawiona pędów i korzeni., Chłopsztwo tłumnie garnęło się do zwycięskich szeregów, pozostawiając gospodarstwa na głowach starców, a na rękach tłumnie sprowadzonych niewolników; dla synów możnych rodów otwierała się droga dostojności, przygód i zysków. Zhellenizowanym miastom zwycięstwa Aleksandra otworzyły nowe drogi handlowe od Istru po Peloponez i od Bizancjum do Morza Jońskiego. Zamierzona wyprawa otworzyć miała dalsze, aż po Egipt. To też pusty skarbiec wypełnił się nie tylko łupem, ale kupiectwo skwapliwie udzieliło pożyczki ośmiuset talentów w srebrnej monecie, która miała obieg w państwach helleńskich starego kraju, a której jedynym zabezpieczeniem była wiara w powodzenie przedsięwzięć króla. Demostenes raz jeszcze pomylił się sądząc, że Aleksander zamierza prowadzić wojnę bez pieniędzy.

Pozostawiwszy zaciąg i ćwiczenie nowych wojsk Parmenionowi, a wewnętrzne sprawy Antypatrowi, Aleksander ku ich zdziwieniu sam zajął się skarbem. Już Filip, zdobywszy kopalnie złota w Krenides, obok monety srebrnej bić zaczął złotą, będącą w obiegu w monarchii perskiej. Ogromne jednak zasoby złota, martwo le-

żące w skarbcach Dariusza, powodowały niższą jego wartości, na skutek czego srebro uciekać jęło z Macedonii. Aleksander postawił tamę ucieczce, obniżając wagę i zawartość kruszcu monet srebrnych i ustalając ich stosunek do złotych, którymi kazał wyplacać żołd i zbrojenia.

Osiągnął już teraz środki na nie i zapobiegał spadkowi wartości skarbów Dariusza, na które liczył.

Ale złoto na równi z żelazem stanowiło dla Aleksandra tylko środek do szerszych celów. Mimo nawału zajęć znajdował czas na długie rozmowy z Arystotelesem, który ze swej samotni w Nimfajon przybył do Pelli, by go pożegnać. Zamierzał wyjechać do Aten i tam założyć własną szkołę. Pomny szorstkiej odprawy, jakiej Aleksander mu udzielił przy zakończeniu nauki, nie usiłował mu niczego narzucić, niemniej żywił nadzieję, że przez niego zdoła wcielić w życie własne poglądy. Ofiarował królowi swe dzieła o historii ustrojów państw helleńskich i barbarzyńskich oraz przygotowane dla swej szkoły wykłady o istocie i zadaniach państwa. Niczym nie skrępowany i bujny umysł Aleksandra, skłonność do rozmyślań, zapal do wszelkiej wiedzy, wrażliwość na sztukę, a zwłaszcza poezję, pozwalały mędrcom spodziewać się, że uczyni z Aleksandra króla-filozofa, o jakim marzył Platon.

W ostatnim dniu pobytu Arystotelesa w stolicy, po wydanej na jego cześć uczcie, Aleksander pozostał sam z dawnym nauczycielem. On wiedział, a filozof przeczuwał, że rozmawiają z sobą po raz ostatni. Przyrzekli sobie nawzajem pisemnie wymieniać myśli, Arystoteles rozumiał jednak, że łatwiej w osobistej rozmowie wywierać wpływ na dawnego wychowanka, i chciał spożytkować ostatnią sposobność.

— Wdzięczny ci jestem - zaczął — i ty sam sobie będziesz wdzięczny, że nie zniszczyłeś Aten. Nie dlatego, że ja tam zamierzam założyć szkołę — uśmiechnął się — ani że tam pobierałem nauki, z których i ty skorzystałeś. Jeśli ci się uda wyzwolić wszystkich Hellenów spod perskiego jarzma, przyznasz, że tylko Ateny, a nie Pella nadają się na stolicę zjednoczonych pod twym przewodem wolnych państw helleńskich; wolnych nie tylko od

barbarzyńskiego ucisku, ale i od wewnętrznych zamieszek i wojen, które władzę rzucaj w ręce podłego motłochu, a niewolnikom pozwalają wyłamywać się z posłuszeństwa.

— Czy niewolnictwo jest istotnie, Jak twierdzisz, stanem naturalnym? — zapytał Aleksander w zadumie, a zdał się żywić wątpliwości.

— Trzymajmy się rzeczywistości — odparł mędrzec. — Gdy przeczytasz dzieła, które ci ofiarowałem, przekonasz się, że niewolnictwo istniało zawsze i wszędzie. Sami niewolnicy stan ten uważają widocznie za naturalny, bo nawet gdy buntują się, to nigdy w celu zniesienia niewolnictwa, lecz by niewolników uczynić panami i na odwrót.

— Ale rzeczywistość jest zmienna i może ją zmienić człowiek.

Mędrzec nieznacznie wzruszywszy ramionami odrzekł:

— Rządzący nie jest związany prawem, ponieważ sam je stanowi. Jak pływak zmierzać może ku dowolnemu brzegowi, byle z prądem, a nie pod prąd. Obowiązkiem króla jest troska o sprawiedliwość, a sprawiedliwe jest to, co ogólnie pożyteczne. Rzeczywistość zaś świadczy, że społeczeństwo bez niewolnictwa nie mogłoby istnieć. Naturalne jest to, co nie zmienia się zależnie od okoliczności, a takie jest właśnie niewolnictwo.

— A jeśli ktoś jest na tyle silny, by płynąć pod prąd?

— To jeno strata sił: trzeba zaś być Heraklesem, by zmienić bieg rzeki. Wszędzie i zawsze byli wolni i niewolnicy. Ty sam sprowadziłeś niewolników, by uprawiali rolę, gdy wolni muszą pełnić służbę wojskową. Czy możesz rolę pozostawić bez uprawy lub niewolnikom dać broń?

— Tak — powiedział Aleksander. — Diogenes jednak twierdzi, że wolny jest ten, kto ani nie podlega niczyjej władzy, ani jej nad nikim nie sprawuje, i że taki jest naturalny stan człowieka.

— Człowiek jest istotą społeczną, a cechą państwa jest władza. Kto w społeczności żyć nie chce, lub nie potrzebuje, jest albo bogiem, albo bydlęciem. Diogenes bogiem nie jest, tedy słusznie nazywają go „Psem”. Jak on bie-

ga, kędy chce, ale jak on nie posiada też niczego. A jak wiesz, każdy chce posiadać jak najwięcej.

— I staje się niewolnikiem własnego posiadania — przerwał Aleksander. — Gdy ma rolę, musi ją uprawiać, o bydło musi dbać, pieniędzy strzec przed złodziejem. „My, panowie trzód, jesteśmy ich niewolnikami”, jak mówią pasterze Sofoklesa.

— Widzę, że cynik zostawił swe ślady w twym umyśle — rzekł Arystoteles, którego zdziwiła, a nawet dołknęła odpowiedź.

— Nie. Ale widzę, że można mieć różne sądy w tej samej sprawie. Taki jak jego, jak twój albo jeszcze inny....

— A jaki, jest sąd twój? — zapytał Arystoteles po chwili.

— Jeszcze nie wiem. Ale chcę go oprzeć na własnym doświadczeniu. Ty wiesz wiele, ale nie wszystko. Czy znasz ustroje, o których pamięć zaginęła lub które panują poza granicami znanego nam świata?

— Nie znam. Ale nie żyjemy w czasach, o których pamięć zaginęła, lecz w Helladzie, gdzie Hellenowie są panami, a barbarzyńcy niewolnikami na to stworzonymi, by jak rośliny i zwierzęta służyć ludziom. Rozważać przeto mamy ustrój nie taki, który leżeć może tylko w dziedzinie ideału, lecz jaki jest dla większości państw i ludzi najlepszy. Nie zakładamy większej niż przeciętna cnoty, ni większego wykształcenia niż możliwe bez szczególnego obdarowania przez naturę i okoliczności. Bierzemy pod uwagę życie, w którym można współżyć, i taki ustrój, w którym większość może się poruszać. A nie jest mniejszym dziełem poprawianie istniejącego ustroju niż stworzenie całkowicie nowego, jak nie jest łatwiej przeuczyć się, niż nauczyć. Starczy ci przeto doświadczenia, które już posiadłeś.

— Czyżby istotnie? — uśmiechnął się Aleksander. - Wielu Hellenów pojąłem i są niewolnikami.

— Można być także niewolnikiem z woli prawa — wymijająco odparł mędrzec.

— Skoro jednak moja wola jest prawem, mogę wszystkich Hellenów uczynić niewolnikami.

- Ale tego nie możesz chcieć i nie chcesz, skoro zo-

stawieś im swobodę w ich sprawach wewnętrznych. Sam bowiem jesteś Hellenem, jak i twój naród.

— Demostenes zaś twierdzi, że jesteśmy barbarzyńcami.

— Demostenes jest demagogiem i mówi co, mu w danej chwili na rękę, by przekonać motłoch, ale mowy jego roją się od sprzeczności. W jednym procesie potrafił też za pieniądze napisać mowy dla obydwu przeciwników. Dlatego posłuch daje mu jeno hołota, u ludzi szlachetnych mowy jego uchodzą za niskie, podłe i afektowane. Demades słusznie mu powiedział: „Mnie chcesz pouczać? Jak wieprz Atenę?”

— Demadesowi ojciec mój też płacił za to, co mówił.

— Z tego wynika, że mówi dobrze, bo Filip szafował złotem, ale nie darmo. Wiedział zaś, że ludzie, którzy pracują umysłem, wolni być, muszą od wszelkich trosk o własne potrzeby.

— I ja tak sądzę — odparł Aleksander. — Możesz być pewny, że nie zabraknie ci środków na twe badania. Najchętniej zabrałbym cię z sobą. I dla ciebie byłoby to z pożytkiem, i ja lubię zdanie swe porównać z cudzym. Potrzebny jest też pedagog dla chłopców królewskich.

— Słusznie czynisz, że zabierasz z sobą ludzi, którzy dorobek helleńskiego umysłu poniosą między barbarzyńców. Niestety nie dla mnie już trudy wyprawy. Ale mogę ci polecić siostrzeńca swego Kallistenesa. Był moim uczniem i pomocnikiem. Umysł ma bystry, sądzę, że będzie ci miły i pożyteczny. Napisał *Hellenika*, może spisać i *Persika*, a mnie będzie przysyłał swoje spostrzeżenia o nowych krajach i ich przyrodzie. Kształci w Atenach wielu młodych ludzi, chętnie tego się podejmie u ciebie.

— Dziękuję ci. Właśnie myślałem o nadwornym filozofie. Będzie też miał pieczę nad moimi księgami, o których przesyłanie cię proszę. Niech się gotuje do wyjazdu, bo i ja wkrótce wyruszę.

Przygotowania do wyprawy miały się ku końcowi, ale na wyczerpaniu były też zasoby, a utrzymanie rozłożonych obozem na łąkach nad Aksionem trzydziestu tysię-

cy wojsk pieszych i trzech tysięcy jazdy zaczynało sprawać trudności. Zwłoka mogła przygasić powszechny zapal, a nieprzyjacielowi pozostawić czas na przygotowanie oporu. Król sam gotów już był do drogi, między towarzyszy i dostojników porozdawał całe swe mienie, którego nie mógł zabrać ze sobą. Gdy na naradzie, Antypater zapytał go, co sobie pozostawia, odparł:

— Nadzieję!

Porywczy Perdikkas zawołał z zapalem:

- Pozwól i mnie mieć w niej udział, a niczego więcej nie pragnę.

Antypater jednak zachmurzył się.

— Tak postępujesz, królu — rzekł — jakbyś nie zamierzał lub nie spodziewał się wrócić. Nielatwe podjąłeś zadanie, a że nie zwykłeś chować się za innych, śmierć może cię dosięgnąć. Nieraz już Thanatos * musnął cię swym skrzydłem. Pozostań, póki nie splodzisz następcy: z potomkami Karanosa związana jest pomyślność naszego kraju. Wojska niechaj powiedzie Parmenion. Dziesiątki lat dobrze służył zamierzeniom Filipa, posłuży i tobie.

W oczach Aleksandra mignęło zniecierpliwienie, odparł jednak żartobliwie:

— Może jak Thetis * Achillesa posadzić mnie zechcesz w niewieścich szatach przy krosnach, bo tak najbezpieczniej. Ale ja wolę krótko płonąć, niż długo dymić, a sławy nie zdobywa się cudzymi rękoma.

— Tym bardziej winienesz dbać o pozostawienie następcy — próbował jeszcze przekonać króla Antypater.

Aleksander uciał jednak:

— Losy kraju pozostawiam w twoim ręku i wierzę, że potrafisz nimi pokierować w każdej okoliczności.

Spojrzał na Parmeniona i ciągnął:

— Wiem, że Parmenion umiał służyć zamierzeniom Filipa, ale swoim posłużyć najlepiej sam. Nie pora na rozważania, gdy łuk napięty, a pocisk na cięciwie, bo każda chwila zmniejsza siłę jego uderzenia. Jutro złożę bogom proszalne ofiary, Aristandros zaś oznaczy najbliższy pomyślny dzień wyruszenia.

Antypater umilkł, znając upór Aleksandra. Wiedział, że Aristandros wywróży, co mu ten nakaże. Po ukończe-

niu narady szedł wraz z Parmenionem do swego dworca, by przed rozstaniem porozmawiać jeszcze ze starym przyjacielem, który jednak milczący był i zadumany. Rozmowa nie kleiła się, wreszcie Antypater zagadnął:

— Cóż tak zaprzęta twoje myśli?

- Myślę o tym, jak krótki zda się miniony czas. Pomnę, jakby to wczoraj było, gdy w imieniu króla uznałem na amfidromiach * nowo urodzonego Aleksandra za jego syna i prawowitego następcę.

Nie powiedział, że wspomnienie wstało w nim dlatego, iż wówczas spojrzenie dziwnych oczu niemowlęcia przejęło go nieznanym niepokojem i ten sam niepokój odczuł dzisiaj pod wpływem spojrzenia Aleksandra. Antypater jednak sądził, że starego druha dotknęło lekceważenie jego użyteczności. Upewnił się w tym, gdy Parmenion dodał:

— Stary jestem. Zaczynam tęsknić za swym spokojnym domem w górach.

Potężna jednak jego postać i pewne ruchy nie zdradzały żadnych znamion starości, poza kilkoma srebrnymi nitkami w czarnej brodzie. Antypater wszakże rozumiał, że wódz, który był prawą ręką Filipa w jego zwycięskich wojnach, zanim Aleksander ujrzał światło dzienne głęboko poczuł się dotknięty jego odezwaniem. Parmenion dobrze się zasłużył potędze swego kraju, która była celem Filipa. Aleksander wyraźnie podkreślił, że ma inne cele, którym podporządkować chce wszystko.

— Długo bawiłeś na obczyźnie — odezwał się Antypater — nie dziwne, że chciałbyś odpocząć. Wymogę u króla, by ciebie tu zostawił swym namiestnikiem. Zgodzi się tym łatwiej, że Olimpias też nalega, by nie pozostać tu ze mną, bo wie, że nie dopuszczę jej do władzy, której by użyła nie licząc się z dobrem kraju.

Ogorzałe policzki Parmeniona pokrył rumieniec, gdy odparł:

— Tobie to łatwiej będzie. Zresztą — dodał ze smutkiem — wszyscy trzej moi synowie idą z Aleksandrem. Córa żywi do mnie żal o swe wdowieństwo. Ale nie mogłem postąpić inaczej. Nic tu po mnie, a tam...

Umilkł. Antypater jednak wiedział, co druh ma na myśli: ongiś oparł się zabiegom Olimpiady pozyskania

go dla swych celów. Pyszna niewiasta nie daruje mu ani odrzucenia swych względów, ani jego przywiązania do Filipa, a Parmenion sam widocznie nie jest pewny, czy potrafiłby wobec niej być tak bezwzględny, jak tego może wymagać interes kraju. Niechęć Aleksandra do zasłużonego wodza niewątpliwie należy przypisać wpływowi matki, choć i bez niego nie brak przyczyn, by jego stosunki z młodym królem nie ułożyły się gładko.

Aleksander patrzy na ludzi jak na miecze. Nawet najlepszy z biegiem czasu stępi się i wyszczerbi. Parmenion nie zmieni półwiekowych nawyków wojownika, nie potrafi się nagiąć do nowej taktyki Aleksandra. Antypater sam miał wątpliwości, czy dawna okazałaby się skuteczną w rozprawie z wielokrotną przewagą wojsk i zasobów Dariusza. Starzy wodzowie potrzebni są tylko dzięki swemu zawołaniu w wojsku i w kraju, póki nie zdobędą go nowi. Antypater jednak żadnego ze swych licznych i udanych synów nie odda Aleksandrowi. Potrzebni mu, na karność ich i ślepym posłuszeństwie może polegać. Gdy za młodu na igrzyskach czynił zakłady, zawsze stawiał na nie obstawiony zaprzęg i często wygrywał.

Mimo nieśmiałego sprzeciwu córy wymógł natomiast na królu, by pozwolił wziąć udział w wyprawie zięciowi. Ze względu na Antypatra Aleksander wybaczył księciu Lynkestis udział w spisku, ale na pewno o nim pamięta Lepiej, by sam miał go na oku, nie będzie podejrzeń i knowań.

Dwaj starzy towarzysze długo milczeli. Słowa były zbędne, by się rozumieć. Myśleli o tym samym: czy Aleksander świadomy jest własnego celu. Sława? Już nią przewyższył Filipa. Hegemonia w Helladzie? Osiągnął ją. Rzuca wszystko, by pobić Dariusza. Jeśli mu się uda, co potem? Aleksander nie ustanie, póki nie wyczerpie swych sił które zdają się niewyczerpane. Antypater zostaje, zna swoje niełatwe zadanie. Parmenion ma współdziałać w dążeniu do niewiadomego celu.

Wstał i żegnając druha powiedział:

— Ty wiesz, co masz poczynać. Ja nie wiem, po co idę.

Nigdy jeszcze Parmenion nie ruszał na wyprawę z tak

ciężkim sercem, nawet wówczas gdy umiłowaną żoną zostawiał w połogu, by jej nie ujrzeć więcej.

Aristandros już za Filipowych czasów nauczył się bez rozkazu wróżyć to, co królowi było dogodne, a żaden sposób wróżenia nie był mu obcy: z wnętrzości zwierząt ofiarnych, z dymu ogniska, z lotu ptaków, ze snów, z szumu drzew, w ostateczności z bezpośredniego objawienia. Teraz jednak ani nad wolą króla głowić się nie potrzebował, ani nad wolą bogów. Wszystko gotowe było do wymarszu, przybyli już barbarzyńscy sprzymierzeńcy i hołdownicy: Trakowie, Peoni, Agrianie i, Odrysi. Aleksander zażądał osobistego udziału książąt w wyprawie, rzekomo dla zaszczytowania ich, w rzeczywistości — by mieć w nich zakładników spokoju.

Stali teraz w brzasku dnia na obszernej łące w gronie dostojników macedońskich i dowódców nielicznych oddziałów helleńskich, przeważnie najemnych, z wyjątkiem jazdy tesalskiej. Obco się czuli wśród odmiennych mową, strojem i uzbrojeniem przyszłych towarzyszy, a często niedawnych; przeciwników. Znając swych hetajrów, Aleksander surowo przykazał, by im w żaden sposób nie dali odczuć swej wyższości i lekceważenia. Dokoła, ustawione w czworobok, zgromadzone były gotowe do wyruszenia wojska, a wszystkie spojrzenia kierowały się na przygotowany pośrodku ołtarz ofiarny, gdzie mageiros* trzymał za pozłacane rogi uwieńczonego czarnego ciołka, z którego wnętrzości wróżyć miał Aristandros.

Samo zachowanie ofiarnego bydlęcia zdać się mogło dobrą przepowiednią. Nie wrywał się, jak zazwyczaj, bywało, lecz rozglądał się ciekawie po obecnych, czasem tylko niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, jakby mu pilno było oddać swe życie za pomyślność wyprawy.

Peukestasowi również dłużyło się oczekiwanie na króla. Nie mogąc dworować ze sprzymierzeńców, przyczepił się do Klejtosa, który stojąc zapadał w drzemkę po nocy spędzonej na pożegnaniach. Trącił go mówiąc:

— To bydlę — wskazał na ciołka — stoi tu z nami jak z równymi i pstrzy na ciebie. Pewnie myśli, że z twoich flaków Aristandros będzie wróżył.

Klejtos skierował na ustrojonego klejnotami kpiarza

spojrzenie zaczerwienionych z bezsenności oczu i odgryzł się:

— Raczej myśli, że z twoich, Gdybyś miał rogi, też dałbyś je pozłocić.

— Ty uważaj, by mageiros ciebie nie wziął za byka. Czarny jesteś, głośno ryczysz i poznać, żeś pokrył parę jałówek.

Zły i niewyspany Klejtos gotował się do gniewnej odpowiedzi. Towarzysze ich jęli się skupiać obiecując sobie rozrywkę z kłótni wyszczekanego Peukestasa z pojęliwym Klejtosem. ale w tej chwili zabrzmiały trąby i przez przerwę w szeregach jazdy wjechał Aleksander z nieodstępnym Hefajstionem; za nimi ukazali się Parmenion i Antypater, wszyscy w pełnym uzbrojeniu, na którym załśnił pierwszy promień wschodzącego słońca, Wzbiło się ono szybko, a jednocześnie z ołtarza uniosła się prostopadła kiść dymu, zrazu błękitnawa, gdy płonęło sypane przez Aleksandra kadzidło, po chwili poczerniała od płonącej sierści i tłuszczu ofiarnego bydła. Od gór ruszył powiew i smuga dymu snuć się jęła w kierunku zatoki. Tam z rozwiniętymi żaglami, Czekać na wiatr, stała gotowa do wyruszenia flota, którą przeprować miała wojska przez Hellespont. Wszystkie oczy śledziły dym ofiarny i wszyscy naraz spostrzegli, jak nadleciał orzeł rybołów .na rozpostartych nieruchomo skrzydłach; nie poruszywszy nimi zakrążył nad wojskiem, po czym zwinąwszy je, jak pocisk wypuszczony z łuku poszybował ku morzu obniżając lot i zniknął w migotliwych blaskach grających na zmarszczonych od wstającego wiatru wodach zatoki.

Aristandros zwrócił się do króla, by wyjaśnić przyszłość wyczytaną z wnętrzości ofiarnego byczka, król jednak wskazał na wschód mówiąc:

— Lepszej wróżby nie trzeba.

Aristandros cofnął się, zawiedziony; król sam sobie służy za wieszczka. Aleksander zaś zwracając się do nauarchy * Nikanora rzekł:

— Wiatr pomyślny. Ruszajcie.

Wydawszy starszyźnie rozkazy, by oddziały swe gotowała do odejścia dosiadł konia i odjechał z Hefajstionem. Chciał jeszcze pożegnać się z matką, której ostat-

nio unikał, by uchylić się od jej nagabywań o zmianę wielkorządcy.

Mimo wczesnej pory Olimpias była już przebrana czekając na syna. Przygotowany był na wyrzuty i nalegania, którym nie zamierzał ustąpić, ale rozbroiła go zaraz. Kładąc mu ramiona na barkach powiedziała:

— Odchodzisz. Może widzimy się po raz ostatni, niech ci się napatrzę.

Lśniące jej oczy zamglily się. Aleksander nigdy nie widział łez matki. Wysunął się z jej ramion czując, że jeśli pozwoli opanować się wzruszeniu, gotów ustąpić jej żądaniom, a wiedział, że nie powinien. Zadanie, jakie zostawił Antypatrowi, trudne było nawet dla doświadczonego wodza i polityka. Pusty skarb, bo ostatnie sześćdziesiąt talentów zabierał Aleksander ze sobą, nieliczne wojska złożone przeważnie z weteranów Filipa, nie wyćwiczonych młodzików i niepewnej; szlachty wiejskiej to było wszystko, czym Antypater utrzymać miał w kraju ład, a spokój w Helladzie.

Olimpias rozumiała, czemu przypisać powściągliwe niemal odpychające zachowanie się syna. Uśmiechając się smutno powiedziała:

Nie lękaj się, że będę cię prosić, byś mnie nie zostawiał na łasce tego okrutnika.

— Ale jest karny i posłuszny, a ty nie. Bardziej o niego się lękam, bo wiem, że go nienawidzisz, a nawet tej władzy, jaką masz, używasz źle. Po co kazałaś zabić Kynannę? Co winna ci była biedna córka Audaty, którą ojciec odegnał, by pojąć ciebie?

Oczy Olimpiady błysnęły:

— Ty kazałaś zabić jej małżonka Amyntasa. Czy myślisz, że wdowa po nim pamiętać będzie jeno, że bawiła się z tobą, gdy byłeś dzieckiem? Wrogów należy tępić jak chwasty, do ostatniego nasienia. I tak wytępię wszystkich bękartów Filipa.

— Ty się lękasz Antypatra? Ale licz się z tym, że wrogów masz więcej niż on zwolenników. On walki nie zaczyna, nie zaczyna i ty.

— Czy ty liczysz wrogów, których musisz pokonać? Po mnie jesteś taki. Ja także nie lękam się niczego i nikogo. Nawet gdy ciebie nie stanie.

Urwała, a płonące jej oczy przygały, ale otarła je wierzchem dłoni i dodała twardo:

— Wiem, że tobie sława droższa od życia, bo i mnie też, i tak cię chowałam. Jenemu Filipowi zdało się, że mogę być igraszką, którą się porzuca, gdy się sprzykrzy.

— Ojciec nie żyje i nie mów mi o nim — uciął Aleksander w obawie, by matka nie przyznała jawnie, że to ona pokierowała ręką mordercy małżonka.

Olimpias zaśmiała się z przymusem:

— Ojciec! Tyś jest synem Zeusa-Ammona, Filip był jeno jego narzędziem, odrzuconym, gdy przestało być potrzebne. Tobie Ananke * wyznaczyła zadanie, na które nie porywać się śmiertelnym.

Aleksander poczuł ulgę i stropił się zarazem. Wyzwolił się od wpływu matki w swych poczynaniach. Ale od niemowlęstwa po dzień dzisiejszy karmiła jego i tak wybujałą wyobraźnię, zacierając granicę między nią a rzeczywistością. Żył w nim jednak wspomnienie pacholących lat i rzadkich, ale tym trwalej zachowanych w pamięci pieszczot ojca, którego wówczas uważał za największego herosa, jakiego wydała Hellada, i ciążyła mu rola odegrana przez Olimpiadę w zabójstwie Filipa. W chwili pożegnania nie chciał jednak o tym mówić ni myśleć. Objął matkę ramieniem.

— W mojej sławie — powiedział — będziesz miała swój udział, ale pozwól mi wspominać siebie tylko jako matkę. Gdziekolwiek zaprowadzi mnie los, będę myślał o tobie.

Olimpias oddała mu uścisk zamknawszy oczy, by znowu nie okazać łez. I głos jej jeszcze drżał, gdy rzekła;

— Pisz do mnie o wszystkich swych czynach i zamierzeniach. Skoro skazujesz mnie na krosna, niechaj choć myślą mogę ci towarzyszyć. Nie zatrzymuję cię, bo nie dla siebie cię urodziłam.

Gdy Aleksander odszedł, usiadła ciężko i poblądła twarz ukryła w dłoniach. Pycha żądała od niej ciężkiej ofiary z macierzyńskiej miłości.

Aleksander natomiast zaraz wrócił myślą do swego przedsięwzięcia. Ponosiła go żądza czynu i wyobraźnia. Jednocześnie trzeźwo rozważał, że żywności dla wojsk sterczy mu zaledwie na miesiąc, a. pieniędzy na żołd

nawet na krócej. Nim się zasoby wyczerpią,, uzupełnić je musi zdobycznymi. Pośpiech był konieczny, popędzał Bukefalosa, tak że Hefajstion nie mógł mu nadążyć, i wkrótce doznał czoła pochodu. Przez jakiś czas jechał w milczeniu obok Parmeniona, wkrótce jednak przesiadł się na wóz i zatopił w czytaniu dzieł ofiarowanych mu przez Arystotelesa.

Jeszcze na gościńcu wiodącym do Amfipolis nie osiadł kurz wzbijany przez odchodzące wojska, gdy Antypater w swym dworcu za miastem wydawał rozkazy synom. Ich mógł być pewny, poza tym niemal niczego. Król zostawił mu władzę, ale ani wojsk, ani pieniędzy. Co gorzej, jego odejście zdejmie z wewnętrznych i zewnętrznych wrogów ciężar strachu, który sam tylko tłumił zarzewie buntu. Antypater uświadomił sobie, że nie po to pozostał w kraju, by w nim spędzać spokojną starość. Nawet sen jego nie będzie spokojny. Olimpias nie pogodzi się z władzą w jego ręku. Tu było źródło, które mąci bieg spraw w kraju; poza jego granicami Ateny wbrew układom korynckim nie dostarczyły kontyngentu dwudziestu trier * na wyprawę perską. O tym myślał Antypater jadąc do zamku, by spotkać się z Arystotelesem przed jego odjazdem do Aten.

Filozof na widok wodza powiedział:

— Po cóż sam trudzisz się do mnie, gdy przecie nie wyjechałbym bez pożegania. Wiem, że czas twój jest skąpo odmierzony.

— Dlatego właśnie przychodzę — przerwał Antypater. — Wyjeżdżam zaraz, by ściągnąć wojska i pieniądze, a prośbę mam do ciebie. W Atenach spotkasz się zapewne z Fokionem, bo znasz go przecie z Akademii. Chcę mu doręczyć pismo, o którym poza nami nikt wiedzieć nie powinien. Zrozumiesz, gdy je przeczytam.

Rozwinął pergamin i pomijając wstęp czytał:

— „Aleksander odszedł do Azji; Jest to sposobność dla waszych demagogów do odplacenia raz jeszcze wiarołomstwem za wielkoduszność, jaką na twoją prośbę okazali Ateńczykom Filip i Aleksander. Jesteś w Atenach

jedynym rozsądnym człowiekiem, a zarazem jedynym niepłatnym rzecznikiem pokoju między nami i dotrzymywania zaprzysiężonych układów. Wiem, że w zaistniałym położeniu rola twoja nie będzie łatwa, może ułatwi ją, gdy powiem, co myślę: gdyby Atenom udało się teraz zrzucić nasze zwierzchnictwo, hegemonię obejmie Sparta. Jako polityk wiesz, że wybierać należy mniejsze zło, a jesteś dostatecznie bezstronny i trzeźwy, by wybrać właściwie, pamiętając, co myślały inne państwa helleńskie o waszej hegemonii. W jednym tylko wypadku byłyby skłonne zapomnieć o doznanym ucisku i krzywdach: gdyby Ateny podzieliły los Teb, nad którymi dzisiaj niedawni ich wrogowie rozdierają szaty. Nie jestem wróżbitą i nie wiem, jaki będzie los wyprawy Aleksandra, ale ty wiesz, że takiego wodza nie widziała jeszcze Hellada. Znasz i mnie, że i ja nie jestem z ostatnich, a jako wojownik rozumiesz, że gdy jeden zmuszony jest walczyć przeciw wielu, nie stać go na wspaniałomyślność. Czy Ateny zamierzają dotrzymać układów, sprawdzianem będzie dla mnie dostarczenie kontyngentu floty, z czym dotychczas zwlekają. Wiem, że w każdej sprawie muszą się naprzód wasi mówcy popisać przed mołochem swoją sztuką, ale i na to było dość czasu. W każdym razie już go nie ma i jeśli kontyngent natychmiast nie zostanie wysłany, i ja nie będę się czuł związany układem, a sam wiesz, że najskuteczniejszą obroną jest uderzenie. Pamiętasz także, ile czasu potrzebował Aleksander, by stanąć pod bramami Aten. Wątpię, czy po raz trzeci nawet na twoją prośbę dałby się nakłonić do wspaniałomyślności. Ja nie, i gdyby sprawy znalazły się w moich rękach, zniszczę wasze miasto dokładniej, niż to Aleksander uczynił z Tebami, bo nie oszczędzę nawet świątyń. Skłon przeto swych współobywateli, by dopełnili zobowiązań dla dobra zarówno mojego, jak i twojego kraju. Dlatego nie wątpię, że zechcesz spełnić moją prośbę, mimo że wiem, iż nie przysporzy ci to w domu przyjaciół wśród tych, którzy ojczyźnie mają do ofiarowania swoje słowa a cudzą krew. By im nie dawać pozorów przeciw tobie, że porozumiewasz się z wrogiem, proszę doręczenie pisma Arystotelesa, który je zachowa w tajemnicy.

Antypater zwrócił się do filozofa:

— Sądzę, że mogę cię o to prosić?

Arystoteles uśmiechnął się.

— Oczywiście. Także w moim interesie. Nie chcę, byś zburzył szkołę, którą zamierzam założyć w Atenach. I przyznam, że żałowałbym tego miasta, które jest źródłem mądrości i piękna.

— A także głupoty i nikczemności, ubranych w szatę miłości ojczyzny i we wzniósłe słowa. Wyganiają lub zabijają swych najlepszych ludzi. Obawiam się nawet o Fokiona.

— Tego bym nie poznał z twego listu, a mniej jeszcze, że jesteś jego przyjacielem. Zdajesz się nie pamiętać, że Fokion jest Ateńczykiem i walczył z wami, gdy byliście w wojnie.

— Tego ani ja jemu nie mam za złe, ani on mnie za złe wziąć nie może, że troszczę się o swoją ojczyznę. Tę nie jest przeszkoda przyjaźni między uczciwymi ludźmi, natomiast byłaby nią nieszczerłość. Dlatego i tobie radziłbym wstrzymać się z zakładaniem swojej szkoły. Sądziłem zresztą, że wrócisz do Akademii.

— Mam nadzieję, że twoje obawy okażą się nieuzasadnione. Do Akademii jednak nie wrócę. Scholarcha* jest w niej Ksenokrates, z którym się nie godzę. Świat jest bardziej złożony, niż on naucza, i bardziej złożone jest jego poznanie. Nie służą mu idee, bo są fikcjami, które nie wyjaśniają faktów.

— To samo twierdził Antystenes, jak również, że pojęcia nie są źródłem poznania.

— Ale za ich źródło uważał jedynie spostrzeżenia, które także nie wyjaśniają faktów, lecz tylko stwierdzają je. ilościowo są przy tym ograniczone, jakościowo niepewne. Dla głuchego nie istnieją tony, dla ślepego barwy. Nic zresztą nawet z prawdziwych przesłanek temu, kto z nich nie umie zbudować sądu.

Może słuszny jest twój złoty środek. Chętnie bym z tobą podyskutował, niestety należę do ludzi, którzy stwarzają fakty. Żegnaj. Życzę ci, byśmy się nie spotkali w Atenach.

Tego samego życzę i ja tobie - odparł filozof,

Antypater słusznie przypuszczał, że przywódcy stron-

nictwa wojny zechcą wykorzystać odejście Aleksandra by rozdmuchać nastroje wojenne i pochwycić władzę w Atenach, a niedostarczenie kontyngentu floty nie jest wynikiem tylko zwykłej opieszałości. Wiedział, że w portach Attyki stoi w pogotowiu sto dwadzieścia statków wojennych, stanowiących groźbę dla pozbawionych floty wybrzeży macedońskich. Wydanie dwudziestu z nich Aleksandrowi dawało mu zakładników pokoju, a zarazem osłabiało flotę ateńską i wbijało klin między Ateny i Dariusza. Skrępowanie Aten osadzi także innych wrogów, którzy chcieliby wykorzystać osłabienie sił Macedonii dla obalenia jej zwierzchnictwa.

Antypater nie zamierzał jednak biernie oczekiwać biegu wypadków i zleciwszy Amfoterosowi budowę floty, sam zajął się zaciąganiem szlachty wiejskiej, którą Aleksander pozostawił w kraju, wiedząc, że niechętna jest perskiej wyprawie. Można jej natomiast powierzyć obronę granic, a ściągnąć z nich karne i wyćwiczone wojska piesze i uzupełniwszy je młodymi rocznikami skupić w rękę siłę zdatną do uderzenia na wypadek, gdyby chybiło pośrednictwo Fokiona. Antypater znał jego odwagę i nie wątpił, że podejmie się niebezpiecznej sprawy, ale wiedział też, że napotka opór, ateński mieszczuch zaś łatwo może się dać nakłonić do uchwał, które doraźnie nie wymagają wysiłku i ofiar.

Fokion, otrzymawszy pismo Antypatra, również nie był pewny wyniku powierzonego sobie zadania, a zdawał sobie sprawę, że jeśli wniosek jego przepadnie, będzie to poruszeniem kamienia, który pociągnąć może za sobą niszczącą lawinę. Przeczytawszy list Antypatra zwrócił się do Arystotelesa:

— Niezbyt stosowną porę wybrałeś, by tutaj założyć szkołę. Do nauki potrzebny jest spokój. Ty sam znaleźć się możesz w niebezpieczeństwie, bo przyjaciele Aleksandra nie są tu mile widziani.

— Czy widzisz takie miejsce w Helladzie, gdzie można być pewnym spokoju? Nie ma natomiast takiego, w którym by bujniej rozkwitała ludzka myśl. Co prawda, dziwne to miasto. Podobne do uwieńczonego poety, który za widzi wieńca zapaśnikowi i wyzywa go do walki, choć wygrać jej nie może.

— A co gorsze — wtrącił Fokion — że gdy do niej przyjdzie, ucieka rzucając tarczę. Potem płaszczy się przed nim, a gdy tamten się jeno odwróci, ponawia wyzwanie.

— Gorzki jest twój sąd. I dziwny z ciebie wojownik, który zawsze pragnie tylko pokoju.

— Ja tylko nie chcę przegranych wojen, Ateny zaś nie wygrażą żadnej. Zwłaszcza z Aleksandrem.

— Co tedy zamierzasz uczynić?

— Naradzę się z przywódcami naszego stronnictwa. Gdyby mój wniosek upadł, mamy wojnę. Antypater nie da nam czasu na jej przygotowanie, Aleksander zaś jest jeszcze dość blisko, by po raz trzeci zjawić się pod Atenami.

— Oby do tego niedoszło. Jestem przyjacielem Aleksandra, ale i waszym — odparł Arystoteles. — Aleksander jest porywczy, ale wielkoduszny! Bardziej lękałbym się Antypatra.

Arystoteles od lat trzynastu nie był w Atenach i rozglądał się po nich z ciekawością, upatrując zarazem miejsca odpowiedniego na swoją szkołę. W obrębie murów nie znajdował go, dzielnica bogaczy zabudowaną była niemal do samego Pireusu, ruch między miastem a portem panował znaczny i hałaśliwy. Jak dawniej strzelistym swym pięknem przyciągały wzrok filozofa białe, mury Akropolu, ale w miarę jak zbliżał się do rynku gęstniejący, tłum przeszkadzał mu rozkoszować się widokiem. W rynku gromadki próżniaczych obywateli rozprawiały zawzięcie lub słuchały przygodnych mówców. Wieść o odejściu Aleksandra już się rozeszła, wywołując podniecenie. Filozof zauważył, że w rynku przybyło posągów, natomiast jeden z cokołów był próżny. Gdy zatrzymał się przed nim, przyczepił się Diogenes.

— Witaj, synu Nikomacha. Zastanawiasz się, dokąd poszedł ten, co tu stał? Obawiam się jednak, że wróci. Miał tu wprawdzie stanąć posąg jego zabójcy, ale wiatr znowu powiał z innej strony. W końcu zapewne stanie

tu posąg Demostenesa, jako pomnik nagrobny wielkości Aten.

— Witaj, synu Hikesiasa — niechętnie odparł Arystoteles. — Sądziłem, że bawisz w Koryncie.

— Właściciel beczki, w której mieszkałem, uważał, że dla miasta będzie korzystniej, jeżeli użyje jej na wino. Zresztą ja swoją naukę rozprawiam obnośnie. Podobno ty chcesz założyć tu swój kram z mądrością i cnotą. Nie obawiaj się współzawodnictwa. Moimi uczniami są przeważnie tacy, którzy nie mają czym płacić ani na podróże ich nie stać.

— Słusznie. Twoja nauka na nic się nie przyda takim, którzy mogą płacić, najłatwiej zaś wyrzec się tego, czego się nie posiada.

— I tak, i nie. Ateńczycy bez trudu wyrzekają się mądrości i cnoty, natomiast za nic nie chcą się wyrzec panowania nad Helladą. Podobno masz ich uczyć polityki, to jest sztuki osiągnięcia rozsądnych celów przy pomocy posiadanych środków. Pominąwszy, że cel ich jest głupi, żadnych środków do jego osiągnięcia nie posiadają. Gdybyś ich jednak próbował o tym przekonać, bądź pewny, że wygnają cię prędzej czy później. Chore oczy nie znoszą światła.

— Uspokaja mnie to, że ciebie jeszcze nie wygnali. Zresztą zawsze w końcu zwycięża rozsądek.

— Rozsądek mają ludzie dla drugich, sami kierują się namiętnościami. W Atenach najłatwiej zwycięża strach, którego im twój wychowanek dwukrotnie napędził. Ale mniejsza o przyczynę, jeśli skutek jest ten sam.

— Chętnie bym z tobą podyskutował, ale nie wszystko nadaje się do rozważania na rynku — odparł Arystoteles i odszedł szybko.

Istotnie dokoła nich zebrała się już gromadka uliczników, zwykle towarzysząca Diogenesowi, a poza tym kilku obywateli, którym wyraźnie nie podobała się, ku radości przekornych wyrostków, wszczęta przez ulicznego filozofa dyskusja. Diogenes zwrócił się do uliczników.

— Nieładnie jest cieszyć się z cudzego cierpienia. Czy nie widzicie, że ich zęby boją? — wskazał na obywateli.

— Ty troszcz się, by cię grzbiet nie zabolął — rzucił ktoś.

Diogenes odparł:

— Czy to moja wina, że jesteś nieokrzesany i nie znasz metafory „prawda jest jak miód: temu smakuje, kto ma zdrowe zęby”? Popsutym sprawia ból.

— Już ja ci go sprawię bez przenośni — krzyknął obrażony, ale ulicznicy ze śmiechem zastąpili mu drogę wołając:

— Nie całuj go! On tego nie lubi.

Obywatel splunął i odszedł, a uwagę gapiów odwrócił herold, zwołując lud na zgromadzenie. Odchodzili szybko, by zająć miejsce najbliższej mównicy, na której ukazała się Fokion. Nieczęsto go na niej widywano, w błahych sprawach nie zabierał głosu, dlatego z zaciekawieniem czekano, co powie. Gdy ucichło, zaczął:

— Aleksander odszedł do Azji. Na podstawie zaprzyęźonego w Koryncie układu winniśmy mu dostarczyć na wyprawę przeciw Persji dwadzieścia trier. Jeżeli tego nie uczynimy, słusznie będzie mógł uważać układ za zerwany. Jakże to może wywołać skutki, mówić nie będę, chyba to jedynie, że nie podejmę się więcej pośrednictwa wobec Macedończyka. Wnoszę o natychmiastowe wykonanie zobowiązania.

Skończył wśród niechętnego szmeru, który herold uciszył stukając berłem, i wezwał do zabierania głosu z mównicy, dokąd przepychał się Demostenes. Mimo że nie był przygotowany do przemówienia, czuł się pewny i przemówił:

— Odważny jesteś, Fokionie, domagając się, byśmy utwierdzili macedońskie jarzmo w chwili, gdy świta nadzieją, że pozbedziemy się zmory od ćwierć wieku z górą ciężącej nad Helladą. Miej jeszcze odwagę powiedzieć, że układ zawarliśmy dobrowolnie i że korzystny jest dla naszego państwa. Milczysz! Słusznie, bo nie ma tu nikogo, kto by nie pamiętał, że tylko groza nieludzkiej zbrodni popełnionej na Tebach zmusiła nas do ugięcia się przed samowolą tyrana. Mówisz o przysiędze. Nabożność nie jest największą z twoich cnót. Czy, gdy zabójca napadnie cię w drodze i nóż przykładając do gardła wymusi na tobie przysięgę złożenia okupu, dotrzymasz jej,

bezpiecznie znalazłszy się już w domu? Nie odpowiadasz?

...Wierzę, że życzysz zwycięstwa swemu przyjacielowi i chcesz nam zapewnić udział w owocach tego zwycięstwa. Ale nie wiemy, na czym opierasz swą nadzieję, a we mnie budzą się pewne wątpliwości. Memnon od dwóch lat skutecznie opiera się przeszło dwukrotnej macedońskiej przewadze. Jaką przewagę ma nad Aleksandrem Dariusz, wiemy wszyscy. Mówiłeś, że kto sam nie jest najsilniejszy, winien być przyjacielem najsilniejszego. Czyżbyś zmienił zdanie? Czy też sądzisz, że Aleksander jest Achillesem i Heraklesem w jednej osobie, któremu nie oprze się nikt? Ale gdyby nawet tak było, wniosek twój jest obelgą dla herosów poległych pod Cheroneą w obronie naszej wolności, urągą nieobeschłym łzom matek ich, wdów i sierot. Ja wnoszę o wystąpienie z Korynckiego Związku i zerwanie haniebnych układów.

Wśród przychylnego szmeru Demostenes zszedł z mównicy. Z niechęcią ujrzał wstępującego na nią Demadesa. Wiedział, że wykrętny i obrotny demagog umie zaskakiwać przeciwników. Istotnie, gdy zaczął, Demostenes zrazu nie mógł się połapać, do czego zmierza:

— Otrzymałem wiadomość, że Antypater zbiera wojska u stóp Olimpu, a ponieważ z Tesalią jest w przymierzu, nie ma wątpliwości przeciw komu. Jak wiecie, nie jestem zwolennikiem wojny z Macedonią, ale jeżeli dojdzie do niej, to wolałbym wygraną. W funduszu teatralnym mamy sumę, która pozwoli na Wielkie Dionizje wypłacić każdemu obywatelowi pół miny*. Jeżeli uchwalicie wniosek Demostenesa, wnoszę, by sumę tę przeznaczyć na zbrojenia i wysłać poselstwo z Demostenesem na czele do Antypatra, by nie sądził, że nas zaskoczy, jak niedawno Aleksander, gdy byliśmy pewni, że wojuje nad Istrem. Choć o siebie się nie obawiam, bołoby mnie, gdyby miasto nasze podzielić miało los Teb, który im swą sławną mową zgotował Demostenes. Także polegli pod Cheroneą bohaterowie jemu zawdzięczają swój los, choć sam nie chciał zostać jednym z nich. Ja walczyłem do ostatka, ale rozumiem go, i wcale nie zdroszczę chwały poległym. Jak wielu z was, mam. tu

piękny dom, w którym wygodnie sobie żyję, a jak cień Achilleś zapewnił Odysa, lepiej na ziemi być parobkiem niż królem kimeryjskich cieni.

Demostenes słuchał, błądzący z gniewu. Zbyt dobrze znał swych współobywateli, by nie rozumieć, że Demades trafił im do przekonania. Wzburzony namyślał się, nad odpowiedzią, gdy uprzedził go Hypereides:

— Możesz być pewny, Demadesie, że nikt cię nie uważa za herosa, jak i tego, że nie będziesz królem w krainie cieniów. Żałować tylko można, że nie pozostałeś wioślarem, do czego nadawałeś się lepiej niż do sterowania państwową nawa, po to, by ją osadzić na mieliźnie. Tacy jak ty nie budzą szacunku ani u przyjaciół, ani u wrogów. Nie kto inny jak Antypater powiedział, że jak z ofiarnego bydłęcia pozostał z ciebie tylko brzuch i język.

Ty zaś wolałbyś, aby pozostał sam brzuch. Tobie podobni sternicy uczynili z naszego państwa wrak, który tylko osadzenie na mieliźnie może uratować od zatonięcia — wpadł mu w słowo Demades, ale herold przywołał go do porządku, a Hypereides ciągnął:

- Jak zwykle, dzięki takim jak. Demades do wojny nie jesteśmy przygotowani, ale tym mniej do wojny z Dariuszem, którego flota może tu być wcześniej niż Aleksander. Jeżeli uchwalicie, by dwadzieścia trier wysłać Aleksandrowi, ja wnoszę, by wysłać poselstwo do perskiego króla z wyjaśnieniem, że czynimy to pod przymusem. Jednocześnie należy gotować się do wojny, by jak zwykle nie zaskoczyły nas wypadki.

Wnioski, Fokion i Hypereidesa uchwalono niemal jednomyślnie i zgromadzenie jęło się rozchodzić. Fokion przystąpił do Hypereidesa.

— Czy to jest uczciwa polityka — zagadnął — o której tyle mówi Demostenes?

— Nie ma uczciwej polityki — porywczo dodał Hypereides — jest tylko skuteczna albo bezskuteczna.

— Czy możesz chociaż twierdzić, że wasza polityka jest skuteczna?

- To zobaczymy. Jednego jestem pewny: że lepiej zatonać, niż żeglować pod rozkazami barbarzyńcy.

— O ile zdołałem się połapać — niespodziewanie wtrącił się Diogenes — byłbyś z tym zdaniem dosyć odosobniony. Jak się okazuje, politycy rzekomo załatwiają sprawy publiczne, a w rzeczywistości mają na oku własne: chcą mieć władzę. Ty nie dlatego gniewasz się na Aleksandra, że jest barbarzyńcą, ale że chce tego samego, a skuteczniej niż ty.

— Dziękuję ci, że mi pomagasz poznać samego siebie. Mogę ci się odwzajemnić. Ty wyrzekasz się tego, czego nie masz.

— Słusznie. I na tym właśnie polega między nami różnica! Ale ja jestem zadowolony, a ty nie.

Wojskom Aleksandra nawykłym do gwałtownych pochodów po górskich bezdrożach w wiosenne roztopy lub zimowe zawieje, pochód nadbrzeżnym gościńcem, bez obciążenia, w piękną pogodę zdać się mógł wyczynkiem. Przepawy przez wezbrane jeszcze wiosenne wody rzek były zawczasu przygotowane i już osiemnastego dnia wojska dotarły do Sestos, tymczasowego celu pochodu. Naprzeciw, za błękitną płaszczyzną Hellespontu, już na azjatyckim brzegu, leżało Abydos, gdzie pozostawiony przez Parmeniona Kalas zdołał utrzymać przyczółek, na spokojnych zaś wodach cieśniny białe żagle stu sześćdziesięciu trójrzędowców, gotowych do rozpoczęcia przepawy. Wody, które ongiś Kserkses kazał smagać łańcuchami, gdy wzburzoną falą śmiały stawiać mu opór, teraz gościnnie słały się gładkim pomostem.

Parmeniona dziwił, a nawet niepokoił brak jakichkolwiek przeszkód ze strony nieprzyjaciela. Siedziba Memnona, Lampsakos, odległa była zaledwie o dzień drogi pieszej. W walkach z Parmenionem Memnon wykazał, że umie korzystać z doświadczeń nabytych w czasie swego dwuletniego pobytu w Macedonii. To, że nie usiłował znieść przyczółka w Abydos, uważał Parmenion za rozmyślne zastawienie pułapki, by zaskoczyć nieprzyjaciela w czasie przepawy, toteż Parmenion naglił o nią, obawiając się uderzenia, które mogło ją udaremnić. Aleksander jednak odparł beztrosko:

— Odchodzę do Elaios. Ty wzmocnisz Kalasa i macie utrzymać Abydos, póki nie wrócę.

Parmenion chmurnym spojrzeniem odprowadzał odchodzące z Aleksandrem oddziały ciężkiej jazdy i piechoty, stanowiące główną siłę wojsk macedońskich. Jednocześnie sześćdziesiąt trójrzędowców podnosiło żagle, by odpłynąć na południowy cypel półwyspu, gdzie przeprawić się zamierzał Aleksander. Do Parmeniona zbliżył się Onesikritos i powiedział z uśmiechem:

— Zapewne domyślasz się, dlaczego król lądować chce tam, gdzie ongiś Agamemnon? Nadworni poeci będą mieli piękny prolog epopei.

— Domyślam się. Obawiam się jednak, byśmy nie zaczęli od epilogu. Wojna to nie poezja.

— To zależy, jak na nią patrzeć. W tym, jak sędzę, różnisz się z Aleksandrem. On jest poetą czynu. Musisz przyznać, że nikt inny nie naraziłby losów latami przygotowywanej wyprawy po to, by ją rozpocząć pięknie.

— Moją potrzebę poezji w zupełności zaspokajają Iliada, Lekkomyślność nie może być nawet tematem tragedii, choć łatwo może stać się jej przyczyną,

— Miałbyś słuszość, gdyby nie szło o Aleksandra. Ja patrzę z ciekawością na jego poczynania. Czy po raz pierwszy zdają ci się lekkomyślne? Przypomnij sobie, że wynik ich był zawsze nieprzewidziany, jak w dobrej opowieści.

— Wojna zawsze niesie niespodzianki. Ale doświadczenie pozwala ich unikać.

— A czasem przeszkadza. Czy sądzisz, iż doświadczony Memnon może przypuszczać, że Aleksander podzieli wojska w czasie przeprawy dla urządzenia igrzysk i uroczystości?

— Jeżeli Aleksander na to liczy, to nie znam innego określenia niż lekkomyślność. A przed jej skutkami ja mam go osłdnić.

— Wie, że to potrafisz.

— Dlatego, że jestem rzemieślnikiem wojny, a nie poetą. Każ gotować statki. Muszę się przeprawić, póki Abydos jest w ręku Kalasa.

Parmenion obwarował przyczółek, by zabezpieczyć się przed uderzeniem. Satrapowie zagrożonych prowincji

zgrupowali w pobliżu Zelai dwadzieścia tysięcy jazdy i tyleż piechoty najemnej, musieli już mieć wieści o nadejściu Aleksandra. Jeżeli dowództwo obejmie Memnon, każdej chwili można było oczekiwać uderzenia.

Król tymczasem w Elaios składał ofiary Posejdonowi, pramatce swego rodu Tetydzie i Nereidom za pomyślność wyprawy, po czym stanąwszy przy sterze królewskiej triery promiennymi oczyma patrzył na przeciwny brzeg. Szmer fali, rozbijanej kilem statku, zdał mu się szumem skrzydeł Nike, niosących go do miejsc tylekroć oglądanych oczyma wyobraźni. Oto przystań achajska, kopczyk przy brzegu, to, mogiła pierwszego poległego w wojnie trojańskiej — Proteilaosa, trzy wyniosłe mogiły kryją prochy herosów Ajaxa, Patroklesa i przodka macierzystego — Achilleusa.

Gdy okręt zarył się dziobem w piasek przystani, Aleksander potężnym zamachem cisnął oszczep, jakby godząc w niewidzialnego przeciwnika, po czym zeskoczywszy w pełnej zbroi na ląd, zawołał:

— Mocą swej broni biorę Azję w posiadanie.

Towarzyszący królowi Kallistenes, uśmiechając się pobłażliwie, szepnął do Aristandrosa:

— O czym będę pisał, skoro jeden rzut wystarczy, by tego dokonać.

— Możesz to uważać za przepowiednię. Ale co ja będę robił, gdy król zwykł wróżyć sam sobie. Tobie jednak nie braknie tematu. Nie będziesz potrzebował wysilać wyobraźni, chyba po to, by rzeczy prawdziwe przedstawić jako prawdopodobne.

— Tymczasem w miejscu, gdzie utkwiał oszczep, budowano kamienny ołtarz i król przystąpił do niego, by przebłagać cinnie Priama za jego krew świętokradczą rozlaną przez swego przodka Neoptolemosa i ślubował odbudowę Prłamowego grodu. Potem w uroczystej procesji udał się na wzgórze kryjące ruiny Ilionu, w gęstniejącym tłumie mieszkańców okolicznych osad, zdziwionych tym niezwykłym najazdem. W świątyni Ateny złożył w ofierze bogini swój pancerz, zabrał natomiast z ołtarza tarczę, która wedle legendy należała do Achilleusa, i wręczając ją Peukestasowi powiedział:

— Będziesz ją w bitwach nosił przede mną, by kto ją ujrzy, jak ongiś, wiedział, że zbliża się śmierć.

Zwrócił się do kapłana, który patrzył na to zaskoczony i zgorzszony:

— W zamian gród, który tu odbuduję, będzie płacił dań twjej bogini. Od wszelkich innych wolny będzie.

Nazajutrz większe jeszcze tłumy towarzyszyły Aleksandrowi, gdy wieńczył mogiłę swego przodka Achillea, a jednocześnie Hefajstion — mogiłę Patroklesa, by zaznaczyć, że jak tamtych, przyjaźń ich sięgać będzie poza grób.

Potem ku czci herosów odbyły się igrzyska, w których wbrew zwyczajowi Aleksander sam stanął do zawodów. Tłumy ze zdziwieniem patrzyły na gromadę nagich chłopców ścigających się i zmagających między sobą. Ten, który zdał się między nimi najmłodszy, a pokonał wszystkich, to sam król! Zapewne dlatego pozwolili się pokonać, Ale wodzowie Dariusza nie będą uważali najazdu za zabawę.

Memnon istotnie nie uważał go za zabawę, ale też nie liczył na niedoświadczenie młodego przeciwnika. Gdy zebrane w Zelai wojska nie nadchodziły mimo przesłanego im ostrzeżenia, zabrał swój czterotysięczny oddział helleńskich najemników i połączył się z pozostałymi wojskami. Uczynił to w samą porę, bo trzeciego dnia nadszedł Aleksander z całą swą siłą, a pozostawione bez obrony miasto wysłało znanego królowi filozofa Anaksymenesa z darami i prośbą o oszczędzenie. Aleksander przychylnie odprawił poselstwo i bezzwłocznie ruszył do ujścia Granikosu. I tu nie napotkawszy oporu, pociągnął w górę rzeki z widocznym zamiarem przeprawienia wojsk w dogodnym miejscu, by się rozprawić z zebranymi w Zelai satrapami.

Tymczasem po przybyciu tam Memnon upewnił się, że perscy wodzowie lekceważą najazd za ważniejsze uważając zachowanie wzajemnej niezależności. Nie wybrali dotychczas naczelnego wodza, by jemu nie przypadła wyłączna zasługa zwycięstwa, ledwo ugodzili się, by naradzie przewodniczył Arsites, jako doświadczony w walce z Filipem pod Peryntem. Zięć królewski — Mitrydates — uważał, że przewodnictwo powinno należeć do

niego, jako najdostojniejszego rodem i obrażony nie zabrał głosu, a nawet zdał się nie słuchać. Memnon nie wątpił już, że tak samo zachowywać się będą w bitwie, i przewidywał jej wynik. Toteż gdy wreszcie dopuszczono go do głosu, zaczął:

— Sposobność zniszczenia najeźdźcy u przeprawy została zmarnowana. Obecnie znajduje się już w Priapos. Nie czas radzić, ale wybrać wodza, który szybko wyda zarządzenia, co począć w obecnym położeniu.

— Zapewne sądzisz, że ty nim zostaniesz, bo umiałeś się wkraść w łaskę króla królów — odparł pogardliwie Arsites. — Ale my wiemy, dlaczego pozostawiłeś w rękę nieprzyjaciela Abydos, a teraz na nas chciałbyś rzucić odpowiedzialność za zmarnowanie sposobności zniszczenia nieprzyjaciela.

Memnon hamując się odparł:

— Będziemy się sprawiać przed królem, ja z tego, co uczyniłem, a ty — co zaniedbałeś. Ale teraz nie czas szukać winowajcy, tylko myśleć o tym, jak raz na zawsze usunąć niebezpieczeństwo najazdu. Skoro nie wykorzystaliśmy jedynej sposobności, ja radzę nie przyjmować walki z Aleksandrem, której wynik jest niepewny, a klęska nasza otworzyłaby mu drogę w głąb kraju. W Sifnos stoi czterysta trójrzędowców floty królewskiej, gdy nieprzyjacielska bawi na Hellesponcie i brzegi Macedonii ogołoczone są z obrony. Ślijmy do Farnabazosa, by natychmiast pożeglował do Attyki i wzniecił powstanie w Helladzie. My zaś cofajmy się pustosząc kraj za sobą. Pozbawione zaopatrzenia i odcięte od kraju wojska Aleksandra same zmarnieją...

— Rada twoja ubliża dostojeństwu Persji — gwałtownie przerwał Arsites. — W mojej satrapii nie pozwolę zniszczyć choćby jednego domu.

— Dobrze wiemy, dlaczego przedłużać chcesz wojnę, którą można skończyć jedną bitwą — dodał Spitrydates.

Memnon zrozumiał, że zawiść dostojników perskich każdą jego radę opacznie wytłumaczy, i nie zabrał już głosu, gdy uchwalono ruszyć na spotkanie Aleksandra. Rankiem ciągnął wraz z innymi i koło południa stanęli obozem o parę stadiów od rzeki, na jej stromym, a miejscami urwistym brzegu wystawiające straże. Pożywiali

się jeszcze, gdy straż doniosły, że między wzgórzami od północy widać błyski żelaza, a po chwili nie było wątpliwości, że nadciąga Aleksander. Słońce chyliło się już ku pogodnemu zachodowi, gdy na stokach wzgórz schodzących w dolinę Granikosu zalśniła broń. Iskry skakały na grotach długich włóczni saryssoforów, przed nimi, w luźnym szyku posuwał się oddział lekkiej piechoty, przednia straż macedońska. I oni dostrzegli widocznie ustawioną już na brzegu jazdę perską, bo zatrzymali się, widocznie, by zawiadomić króla o bliskości nieprzyjaciela.

Memnon na czele oddziału helleńskiej jazdy najmniejszej stał na skrajnym lewym skrzydle, gdy starszyzna perska zgromadziła się pośrodku rozciągniętej wzdłuż brzegu linii jazdy i przysłaniając oczy od blasku patrzyła, jak zza wzgórz wychyliły się dwie kolumny wojsk, a spłynąwszy na równinę, sprawnie rozwijały się wszere. Zrażony pychą i pewnością siebie królewskich krewniaków, Memnon nie próbował już mieszać się do ich zarządzeń, ale pozostawienie pieszych wojsk w obozie uważał za błąd, który zemścić się może na losach nadchodzącej bitwy. Zwracając się do macedońskiego zbiega, Amyntasa, powiedział:

— Zarozumialcy sądzą, że rozstrzygną bitwą samą jazdą, bo mamy w niej kilkakrotną przewagę. Ale zapominają, że jej siła leży w ruchliwości i pędzie. Zamiast pieszymi obsadzić brzeg, a jazdą ustawić na skrzydłach i w głąb, unieruchomili ją na brzegu, Aleksander zaś swoją może uderzyć gdzie zechce. Jazdą zwykłą bitwy rozstrzygać.

— Wątpię, czy się odważy — odparł Arriyntas. — Rzeką powstrzyma i jego pęd, a po spadzistym brzegu nie wszędzie nawet kozy zdołałyby się wspiąć.

— Nie wiem, czy jest coś, na co by się nie ważył. Pewne natomiast, że może czynić, co zechce, a nam trudno będzie właściwie na to odpowiedzieć. Bogowie nie dają zwycięstw głupcom.

Umilkł i patrzył na przygotowania do uderzenia. Na prawym skrzydle macedońskim stawała ciężka jazda, a przed nią w gromadzie jeźdźców znajdował się zapewne sam król, Memnon bowiem po ogromnym wzroście

i czerwonej kicie na helmie poznał Parmeniona, jak podjechawszy zabawił przez chwilę, po czym pokłusował na lewe skrzydło. Niewątpliwie układali porządek bitwy i Memnon nie wątpił już, że jemu przypadnie wytrzymać uderzenie jazdy hetajrów, na której czele Aleksander zazwyczaj rozpoczynał walkę.

Parmenion jednak nie radził z królem nad planem bitwy, ale rozpoczęcie jej odradzał: rzekę w niewielu jeno miejscach zdoła przebrnąć piechota, nie można jej przeto rozwinąć w bojowy szyk, a nawet po jej przebyciu nie pozwoli na to brzeg stromy i nierówny. Falangiści tylko pojedynczo lub gromadkami będą zmuszeni stawiać czoło nawale jazdy i łatwo mogą być zepchnięci z powrotem w wodę. Za parę godzin zapadnie ciemność. Persowie nie wazą się spędzić nocy nad rzeką w obawie przed obejściem. Przed świtem można będzie przejść rzekę bez strat i przyjąć bitwę w równych warunkach.

Aleksander słuchał przekonywania z wyraźnym zniecierpliwieniem. Rzucił:

— O świcie słońce nam będzie świeciło w oczy, teraz świeci im. Nie uderzę falangą, lecz jazdą. Gdy zwiążę ich walką, piechoty przejdą bez przeszkód i rozwiną się na tamtym brzegu.

— W jeździe oni mają wielokrotną przewagę — próbował jeszcze przekonać króla Parmenion, Aleksander jednak odparł:

— Ale jej wykorzystać nie umieją — wskazał na szeroko rozwinięte szyki perskie. — W walce wezmą tylko udział ci, na których uderzymy. W ucieczce wszyscy — uśmiechnął się. — Starczy jeszcze dnia, by ich wygubić w pościgu, a ja nie po to przebyłem Hellespont, by zatrzymać się przed rzeczułką. Od ciebie żądam tylko, byś związał ich prawe skrzydło, póki ja się z resztą nie uporam. Ale dzień ucieka. Zaczynamy!

— Zważ królu, że gdybyśmy ponieśli klęskę, to, nie bitwa przegrana, lecz wojna.

- Wódz przed bitwą winien myśleć, jak ją wygrać, a nie o skutkach klęski — szorstko uciął Aleksander! — Czyń, co ci kazałem.

Parmenion zbladł i bez słowa ruszył na lewe skrzydło, Aleksander zaś ku rzece. Podjechali tak blisko, że stojący

na przeciwległym brzegu na czele swych oddziałów sarpowie mogli się dobrze przyjrzeć niewielkiej postaci króla. Aleksander natomiast nawet nie rzucił na nich okiem; patrzył na rzekę i coś pokazywał towarzyszom. Gdzieś woda siała się na pływaczach, w jednym miejscu podmyty gliniasty brzeg osunął się, tworząc niewielką zatoczkę, a u jej wylotu łacnę, na której widniały ślady pojonego widocznie bydła. Aleksander rozejrzał się, po czym wraz z towarzyszami zawrócił kłusem ku stojącemu już w rozwinięciu wojskom.

Teraz Persowie mogliby podziwiać sprawność wojsk macedońskich, gdyby czasu starczyło. Ptolemaios nie zatrzymując konia zatoczył łuk przed frontem ili lekkiej jazdy z Apolonii, która z miejsca ruszyła w cwał, w mgnieniu oka dopadła rzeki poza zasięgiem jazdy helleńskiej Memnona, niemal nie tracąc pędu przebyła ją i zwolniła dopiero na stromym brzegu. Hellenowie poskoczyli, by strącić nadchodzących, ale już pierwsze konie napastników wydostały się na płaski brzeg i pierwsze trupy krwią swoją zabarwiły wodę.

Walka przybierała na zaciętości. Memnon nie mógł jednak całą siłą zastawić się jeździe, gdyż dwie takty hypaspistów i pedzetajrów biegiem wparły się w rzekę i brnąc przez nią po pachy zbliżały się do brzegu, z którego posypały się na nie pociski. Niejeden trup spływał już z wodą, ale pociski zagwizdały i z przeciwnej strony. Oddział pepńskich łuczników wspierał nimi natarcie piechoty; tu i ówdzie perski jeździec zsuwał się z konia, ale konie były głównym celem. Zabite utrudniały dostęp do brzegu, ranione, ciskając się z kwikiem, wprowadzały zamęt, a tymczasem piechota macedońska, zręcznie posługując się sarysami, darła się po nich na stromy brzeg jak po drabinach. I tu niejeden spadł w wodę, ale raz postawiwszy stopę na brzegu hypaspiści stawali w sprawie i coraz więcej żądań mierzyło w twarze helleńskich jeźdźców i w brzuchy ich koni, gdy pierwszy szereg jął się tymczasem mieczy.

Pochłonięty walką Memnon nie miał możliwości patrzeć, co dzieje się gdzie indziej, dopiero straszliwa wrzawa i łomot żelaza uświadomiły mu, że główne uderzenie skierowało się na sąsiadujące z nim oddziały

perskie. To sam Aleksander na czele siedmiu ili ciężkiej jazdy, z królewską na czele, klinem przeciął rzekę, aż fala uderzyła o brzegi. Zaprawione do górskich dróg konie ledwo zwolniły pędu, gdy krowią ścieżką pięły się po zboczu zatoczki. Zajadłość, z jaką rzucił się na napastników, kto jeno miał dostęp, zgasła natychmiast we krwi śmiałków, ale i cofać się niełatwo było w ścisku. W miarę jak przybywało jeźdźców macedońskich, popłoch zakotłosał perskimi hufcami, ła królewska zaś, spychając przed sobą pierzchających, parła wzdłuż brzegu. W zachodzącym słońcu lśniła biała kita na hełmie Aleksandra i purpurowe Klejtosa i Hefajstiona.

Z niewielkiego wzniesienia, na którym w otoczeniu wodzów perskich stał Mitrydates, widać było cały przebieg bitwy, która przybierać zaczęła zgoła nie oczekiwany przez nich obrót. Już cała jazda Aleksandra poniósłszy niewielkie straty znalazła się na prawym brzegu, Ptolemaios i Agathon parli na skrzydłach, sam Aleksander zaś z wyborowymi oddziałami pośrodku, strącając lub odpychając od brzegu stojących mu w drodze. Do przeciwnego podchodziła trzydziestotysięczna masa macedońskiej piechoty, by już bez przeszkód przebyć rzekę i bitwę rozstrzygnąć, gdy tymczasem piechota perska i najemna helleńska przypatrywały się jej z dala, nie mając rozkazu wziąć w niej udział.

Dowódcy perscy zrozumieli, że jeśli opanować mają popłoch, muszą powstrzymać królewską ła, przed którą pierzchało wszystko. Mitrydates wydał rozkaz i skoczył naprzeciw na czele oddziału gwardii szlacheckiej, a tuż za nim jazda frygijska i hyrkańska. Teraz nasilenie walki doszło do zenitu.

Przez chwilę los wyprawy Aleksandra wraz z jego życiem zawisł na włosie, pchnięcie jego włóczni chybiło twarzy przeciwnika, grot pśliznął się po hełmie i drzewce prysło. W najgorętszej kipieli walki król znalazł się jeno z odłamkiem włóczni w ręku i tym odłamkiem odpierał sypiące się zewsząd ciosy. Ale już doskoczyli Klejtos i Hefajstion. i osłonili króla, a Demaratos z Koryntu wręczył mu swoją włócznię. Nim jednak król zdołał jej użyć, Mitrydates pchnął dzirytem. Aleksander ledwo zdołał się uchylić na tyle, że grot miał w serce

trafił w lewe ramię. Ale Pers nie zdołał już zadać drugiego ciosu; oszczep Aleksandra ugodził go w usta tak, że grot wyszedł karkiem. Teraz jednak król nie zdążył odparować ciosu krzywej szabli Rojsakesa, który omal nie pomścił śmierci brata. Rozbił wprawdzie tylko hełm, lekko jeno drasnawszy czoło Aleksandra, ale od siły ciosu król zachwiał się w siodle, a w tej samej chwili ponad jego barkiem przeleciało odrąbane ramię, jeszcze dzierżące szablę. To Klejtos o mgnienie oka uprzedził spadający już na odkryty kark króla cios Spitrydatesa, który teraz bluzgając krwią zwałił się pod końskie kopyta, a jednocześnie Aleksander pchnięciem w pierś strącił z konia Rojsakesa i skoczył na dalszych.

Na tym skończył się opór perski. Śmierć trzech dowódców wzbudziła popłoch, który ogarnął walczące oddziały, wszędzie szerząc zamęt. Nikt już nie słyszał i nie słuchał rozkazów, jeno patrzył, jakby wymknąć się z bitwy, która zamieniła się w rzeź. Całe gromady uchodziły przed pojedynczymi jeźdźcami, zawierając życie już tylko szybkości swych koni.

Król jednak nie zezwolił na pościg. Dzień miał się ku schyłkowi, bitwa była rozstrzygnięta, ale nie skończona, dwadzieścia tysięcy pieszych najemników helleńskich Pnomaresa czekało swego losu, bez żadnej nadziei na zwycięstwo. A wiedzieli też, że Aleksander, zgodnie z uchwałą korynckiego zjazdu, Hellenów w służbie perskiej uważa za zdrajców. Jazda macedońska zajęła już obóz odcinając odwrót, od rzeki nadciągały w szyku bojowym piesze wojska Aleksandra. Nadzieję ocalenia mógł Onomares pokładać tylko w ciemnościach nocy, dzień już gasł, słońce schowało się za wzgórzami, nielicznie mogło się spodziewać, że ujrzą je jeszcze.

Ale zgasła i zajadłość oporu, gdy nieodparte jak żywioł uderzenie jazdy od strony obozu wprowadziło w zamęt tylne szeregi, a czoło z trudem stawiało opór przewadze liczby, broni i dowodzenia. Raz jeszcze los wojny zawisł na włosie, gdy pod Aleksandrem ubito konia, ale anaboleus podał mu swego i nic już nie mogło odwrócić klęski. Tylko tanio można było sprzedać życie, toteż kto nie wypieścił broni z martwych rąk, ciskał ją wyciągając je ku pętom. Ucieczka przed nimi była tylko

w mroki Erebu, tak ją znalazło ponad dwa tysiące hel-
leńskich najemników. Mogli im zazdrościć losu pozostali,
którym żywot pędzić przyszło w podziemiach kopalń
złota, w Pangaion, dokąd jako zdrajców odesłać ich ka-
zał Aleksander.

Przed odejściem jednak polecił wystąpić Tebanom.
Uczynili to z wahaniem, nie wiedząc, co zamierza, i nie
śmieli wierzyć własnym uszom, gdy kazał zdjąć im pęta
i zezwolił pójść, dokąd zechcą. Do zdumionych tym to-
warzyszy powiedział:

— Nie mogę ich uważać za zdrajców, skoro nie
mają ojczyzny.

— Ale nadal będą walczyć przeciw nam — wtrącił
Parmenion.

— Póki się nie przekonają, że chcę być przywódcą,
a nie tyranem Hellady — odparł Aleksander.

Parmenion umilkł. Od pacholęcia walczył naprzód
o byt, a potem o wielkość swego narodu, którym gar-
dziła Hellada, gdy był słaby, a nienawidziła go, gdy wy-
rósł ponad głowę. Hellada płaszczy się przed silnym,
a czyha na sposobność, by kopać leżącego. Stary wódz
nie zapomniał i nie chciał zapomnieć uwięźnienia w Ate-
nach zradzieckiego mordercy Filipa. Nie miał wątpli-
wości, że gdyby Aleksander zginął lub choćby poniósł
klęskę, na Antypatra ciężkie spadnie zadanie obrony
kraju przed tymi, za których przywódcę król się uważa.
To, czym się pyszniła Hellada, wynosząc ponad chłopski
i pasterski szczep macedoński, wódz uważał jeno za
źródło jej zniewieściałości; z nauk pobieranych w Ate-
nach u filozofów i sofistów wyrobił sobie przekonanie,
że ogłupiają ludzi, najprostsze sprawy podając w wąt-
pliwość, a głosząc własne, które przeczą sobie wzajem-
nie. Nie po to zgodził się na wdowieństwo córki i w każ-
dej bitwie tłumić musi ojcowski niepokój o wszystkich
trzech syfiów, którzy biorą udział w szaleńczych poczy-
naniach Aleksandra. Niepotrzebnie rzuca na szalę ich
i własne życie, a także los kraju.

Mimo że posiłkowe wojska państw helleńskich stano-
wiły tylko nieznaczoną część jego sił, król podkreślił ich
udział, nakazując Lizypowi sporządzić dwadzieścia pięć
posągów poległych w bitwie jeźdźców z Apolonii i ku

ich czei ustawić je w Dionie, do Aten zaś wraz z wieścią o zwycięstwie wysłał jako wotum dla Pallas Atenę trzy-sta rynsztunków perskich oraz tablicę z napisem: „Aleksander syn Filipa i Hellenowie z wyjątkiem Lakedemonów, z łupów na barbarzyńcach w Azji”.

Parmenion nie poszedł na ucztę zwycięstwa, wymówiwszy się zmęczeniem. Ale nie był zmęczony, jeno stroskany i zgnębiony. Miał i swój udział w zwycięstwie, ale uważał je za wynik błędów przeciwnika, a nie umiejętności dowodzenia Aleksandra. I sam odniósłby je, może kosztem większych strat, ale bez stawiania wszystkiego. Gdyby nie męstwo i przytomność umysłu Kleytosa, miast ucztę byłaby stypa, bo której trzeba by co prędzej wracać do kraju, zanim wieść o śmierci króla rozpętałaby zawieruchę.

Parmenion samotnie siedział w swym namiocie i przeżuwał smutne myśli. Od początku rozdzwięk między nim a królem pogłębia się. Za swój obowiązek uważał służyć własnym doświadczeniem, a jednocześnie wiedział, że naraża się tylko na lekceważenie, do którego nie nawykł. Aleksander już jako wyrostek wzbraniał się słuchać nawet króla i ojca. Może winien był i Filip, mówiąc wprost chłopcu, by szukał innego królestwa, bo Macedonia jest dla niego za mała. Sprzyjające Aleksandrowi od pierwszego wystąpienia szczęście mogło przyprowadzić go o zawrót głowy.

Dochodzące do namiotu głosy ucztujących wojsk świadczyły o upojeniu zwydęstwem; Parmenion zaś wiedział, że nawykłe do łatwych zwycięstw wojska nie potrafią przetrzymać porażki. A przecież pokonane siły perskie nie stanowiły nawet przedniej straży potęgi Dariusza, co gorzej, w przypadkowym zwycięstwie mógł się ukrywać zaczyn kłęski. Legli wszyscy wodzowie perscy, natomiast uszedł Memnon zdolawszy wyprowadzić z pogromu swój niewielki, ale bitny oddział najemnej jazdy helleńskiej. Teraz niewątpliwie dowództwo znajdzie się w jego ręku, i nie można już liczyć na błędy przeciwnika, którym Aleksander zawdzięcza zwycięstwo.

Łupy jednak, nie tylko w rynsztunku, jeńcach i koniach, ale w barwnych tkaninach, złotej zastawie, ozdob-

nych sprzętach i pieniądzech nie stanowiły głównego zysku zwycięstwa. W północnych satrapiach nie było sił zdolnych przeciwstawić się dalszemu pochodowi Aleksandra. Stojące w większych miastach załogi perskie uchodziły, nie czekając na jego nadejście, a wraz z nimi sprzyjający Persom tyrani i oligarchowie. Aleksander, wykorzystując popłoch, we Frygii zostawił Kalasa z rozkazem przywrócenia miastom autonomii, Parmeniona — dla ochrony tyłów pochodu, sam zaś całą siłą ruszył na Sardes, ongiś stolicę królów Lidii, a teraz satrapy Mitrynesa.

Parmenion z niepokojem czekał na wieść o wyniku przedsięwzięcia. Nie śmiał go odradzać wiedząc, że Aleksander i tak nie posłucha, ale pamiętał, że sam Filip, mimo swej pomysłowości i wprawy w zdobywaniu warownych miast, rok czasu strawił na bezskutecznym obleganiu Bizancjum. Trzeba było odporności i obrotowości Filipa, by wybrnąć ze skutków chybionego przedsięwzięcia.

Aleksander dotychczas nie zetknął się z niepowodzeniem, a łatwo mogło go czekać pod Sardes. Zamek położony na urwistym skalnym zboczu górskim, otoczony potężnymi murami, uchodził za niezdojony, toteż od lat gromadzono w nim skarbiec bogatej satrapii. Jeśli oblężenie będzie się przeciągać, Dariusz niewątpliwie pomyśli o odsieczu, a jaki obrót przybiorą sprawy w opaczonych dotychczas miastach z chwilą nadejścia poważniejszych sił perskich, świadczył przykład Efezu, który zawiedzioną nadzieję przyplacił rzezią i krwawą tyranią Syrfaxa. Teraz znowu w mieście rządził się macedoński zdrajca, Amyntas, syrf Antiocha. Potężna flota perska przeżeglowała tymczasem na Morze Egejskie i jeśli Aleksander zabawić się będzie pod Sardes, Memnon w oparciu o nią zdoła wszędzie obalić sprzyjające Aleksandrowi demokracje i odciąć mu nawet drogę odwrotu, czemu nie zdoła zapobiec trzykrotnie słabsza flota macedońska.

Jak ongiś Filipa przerażał nadmiar szczęśliwych wiadomości, tak teraz Parmeniona niemal przerażyła wieść, że satrapa Mitrynes oddał miasto i zamek wraz ze skarbcem, zanim Aleksander zdołał przystąpić do oblę-

żenią. Król wysłał jazdę tesalską do Frygii, w Lidii został bratanek Parmeniona Assandros, stratega zaś wzywał Aleksander do Efezu, dokąd i sam natychmiast wyruszył.

Na wieść jednak o nadszyciu wojsk macedońskich Memnon wycofał się do Halikarnasu tak nagle, że tylko Amyntas zdołał z dwoma statkami znaleźć ocalenie we flocie perskiej, po czym zbiegł do Dariusza. Syrfax wraz z synem i bratankami szukał azylu w świątyni, ale rozjuszony tłum wyciągnął ich sprzed ołtarza i ukamienował.

Było to jakby hasłem dla miast na wybrzeżu i wyspach. Wszędzie obalano tyranie, poselstwa z darami i hołdem ciągnęły do Aleksandra. Król nakazał położyć kres samosądom, przywrócić ład i prawo, ogłosił amnestię dla przeciwników, a sam w Efezie pozował Apelle-sowi do podobizny, by uczcić nią jako darem świątynię Artemidy, której pożar w dniu jego urodzenia miał być przepowiednią zwycięskiej wyprawy.

Parmenion ciągnął na południe. Zaprowadziwszy w Magnezji nakazany przez króla ład, osadził w mieście niewielką załogę i ruszył w górę Meandra do Tralleis.

W przyrodzie panował spokój nadchodzącej jesieni, ludność rzadkich osad obojętnie witała zjawienie się obcych wojsk, ulegle dostarczając żywności i paszy. Parmenion utwierdził się w przekonaniu, że król ludzi się sądząc, że podbite przez Persów narody będą go uważały za oswobodziciela. Zmiana jest dla nich tylko zamianą pana, a nawet w jej trwałość zapewne nie wierzą, na ich współdziałanie liczyć nie można.

Nie o wiele lepiej przedstawiają się sprawy w helleńskich miastach na wybrzeżu. Żyje w nich jeszcze pamięć okrutnego stłumienia powstania wznieconego w rachubie na pomoc Hellady, która zawiodła. Jak w kraju tak i tu Aleksandrowi sprzyjają tylko ci, którym potrzebne jest jego poparcie do rozprawienia się z przeciwnikami we własnym lub sąsiednim państewku sprzy-

mierzeńcami będą tylko dopóty, dopóki Aleksander będzie zwycięzcą.

Powodzenie towarzyszące dotychczas Aleksandrowi we wszystkich przedsięwzięciach, podejmowanych nie raz wbrew rozsądkowi, nie uspokajało starego wodza. Miał w pamięci legendarne szczęście Polikratesa z Samos, zakończone jego ukrzyżowaniem, i tragiczny kres ćwierćwiekowego powodzenia Filipa, który legł z ręki nędznego zdrajcy w chwili, gdy w upojeniu triumfem, z namowy Isokratesa bogom chciał być równy. Stracili go do Erebu na znak, że śmiertelnym nie wolno piąć się na Olimp. A Filip był człowiekiem trzeźwym, umiał trzymać się ziemi, odróżniać pochlebców od przyjaciół. Aleksander zaś jest marzycielem, nie znosi nad sobą nikogo, nawet bogów. Apellesowi kazał malować swój wizerunek z gromem w dłoni, którym włada tylko Zeus. A kapłani Artemidy nie tylko zawiesili ten dar w Świątyni, ale utrwalają w królu wiarę w nadludzkie pochodzenie, by wyłudzić daniny na odbudowę świątyni, która rzekomo spłonęła dlatego, że Artemis zajęta przy rozwiązaniu Olimpiady nie mogła chronić swego przybytku.

W czasie pobytu w Efezie stary wódz po raz pierwszy miał sposobność przyrzeć się młodemu królowi i jego otoczeniu poza pochodem i walką. Niepokoiło go to nie mniej niż wojenne poczynania Aleksandra. Zdobyte zasoby pieniężne trwoni na nagrody dla zuchwalców, współzawodniczących z nim w szastaniu życiem i siłami, oraz na darmozjadów, filozofów, poetów, artystów i zwyczajnych dworaków, których jedyną umiejętnością jest schlebianie. Apellesowi za swą podobiznę zapłacił dwadzieścia talentów, które starczyłyby na miesięczne zaopatrzenie i żołd pięciuset najemników, daniny odstąpione świątyni pokryłyby w połowie wydatki na utrzymanie całego wojska. Z nadejściem jesieni walki ustaną, a z nimi nadzieja na łupy. A jest jeszcze flota; gdy zabraknie środków na jej utrzymanie, trzeba ją będzie odesłać do kraju. Wówczas i tak potężniejsza flota perska stanie się wyłączną panią wysp i wybrzeży, szczupłe załogi, macedońskie nie zdołają utrzymać się w miastach i droga odwrotu będzie odcięta. Zdobyte w Sardes zasoby są na wyczerpaniu, stary wódz

wiedział, że wojna nie pozwala sobie wydzielać; zre bez miary.

Parmenion nie pojmował, do czego Aleksander zmierza. Niepodobny jest do nikogo; jeżeli przypominał Filipa, to jeno nadużywaniem swych sił. Ale gdy Filip trwoił je na pijaństwo i rozpustę, Aleksander, umiarkowany w jadłach i napoju do granic ascezy, prowadził tryb życia, w którym naturalny podział na noce i dnię zdał się nie istnieć; nie istniały też dla niego niewiasty, mimo że kończył dwudziesty drugi rok życia. Wywoływało to uwłaczające królowi szeptę, ale Parmenion nie dawał im wiary. Znając stosunki domowe Aleksandra od jego niemowlęstwa, sądził raczej, że to jawna rozpusta Filipa wywołała w młodzieńcu odrazę do tej strony życia albo też jest to skutek jakiejś ułomności, dziwnej u człowieka będącego okazem zdrowia i siły. Sprawa zdała się ważna ze względu na, brak następcy i każdej chwili mogła zaciążyć na losach kraju. Wódz chciał uzyskać wyjaśnienie od syna, który miał swobodny dostęp do Aleksandra, będąc codziennym współbiednikiem; ale zapytany Filotas roześmiał się drwiąco i odparł:

— Na co Aleksandrowi niewiasty, skoro ma Hefajstiona.

— Milcz! — rzekł Parmenion groźnie. — U nas nie Ateny, pamiętaj, że sprawa Pausaniasa Aretydy kosztowała życie oszczercy, znieważonego, a w końcu i króla.

— Jeśli nie to, to nie wiem — odparł Filotas. — napytaj Hefajstiona.

— Nie proszę cię o radę — uciął wódz.

Stosunek króla do Hefajstiona istotnie budzić mógł podejrzenia, ale budził przede wszystkim zazdrość. Od pacholęcych lat byli nierozłączni. Aleksander zwał towarzysza swoim Patroklesem. Parmenion widział w tym jeszcze jeden objaw zacierania przez króla granic między poezją a rzeczywistością, nigdy bowiem nie zauważył między nimi niezdrowej poufałości. Przy ludziach król mówił dużo i szybko. Hefajstion milczał. Wiadomo było natomiast, że gdy niejednokrotnie nocowali pod wspólnym namiotem, gadali do białego dnia. Tylko Hefajstion mógł być wtajemniczony w istotne zamiary króla, może nawet wywierał na nie wpływ. Wszystkich

innych Aleksander zda się uważać za ślepe narzędzia; co gorsza, Parmenion zaczynał podejrzewać, że tylko narzędziem ma być Macedonia, która dla starego wodza była celem życia, a w tym, że nie chciał i nie umiał być narzędziem, upatrywał źródło niechęci Aleksandra do siebie. Nie dbał o to zbytnio, natomiast gryzła go troska p kraj. Wysoko cenił męstwo i doświadczenie Antypatra, ale nie starczą one za wojska i pieniądze, a wrogów nie brakło. Flota spartańska współdziałała z perską. Ateny z oporem, którego sprawcą był znowu Pemostenes, przysłały kontyngent dwudziestu trójrzędowców. Znalezione w Sardes listy Demostenesa i rachunki wysłanych mu sum świadczyły, że Dariusz nadal kupuje w Atenach stronników. Gdyby Aleksandrowi powinęła się noga, ateńskie statki niewątpliwie również zasikł flotę nieprzyjacielską, której obecność niepokoiła starego wodza.

Parmenionowi nie stało jednak czasu na rozmyślanie, wkrótce bowiem po przybyciu do Tralleis otrzymał rozkaz marszu na Milet, dokąd król wyruszył z wojskiem i tam skierował flotę.

Wobec zbliżania się burzliwej pory roku Milet ze swymi dogodnymi i obszernymi portami w głębokiej Zatoce Latmijskiej stanowił kluczową pozycję oparcia dla floty i zajęcie go przez perską mogło zagrozić powodzeniu wyprawy. Parmenion jednak nie rozumiał pośpiesznego ściągania rozproszonych sił zabezpieczających zaplecze kraju, skoro dowódca helleńskiej załogi Miletu zobowiązał się wydać miasto. Taksjarcha jednak, który przywiózł rozkaz, wyjaśnił, że gdy Hegesistratos dowiedział się o nadciąganiu floty perskiej odmówił wydania miasta, wysłał pomoc do Aten, niewątpliwie oczekuje odsieczy od ocalonych przez Memnona z pogromu nad Granikiem Sił perskich i najemników helleńskich.

Szybkość działania Aleksandra zdała się jednak przekreślać te rachuby. Nie czekając na powrót rozestanych oddziałów, król z marszu uderzył na miasto, niemal bez walki zajął zewnętrzną jego część, a Nikanor zakotwiczył flotę w wojennym porcie, skąd panował nad handlowymi przystaniami Miletu, odcinając go od morza.

Gdy nadciągnął Parmenion, przygotowania do ude-

rzenia na miasto wewnętrzne już poczyniono, ale niemal jednocześnie na północnym widnokregu, zamkniętym ciemniejszą linią wysurietego w morze przylądka Mykale, ukazały się żagle floty perskiej.

Król natychmiast kazał przeprowadzić na wysepkę Ladę najemną ciężką piechotę i oddział łuczników trackich, by zapobiec próbie lądowania. Nikanorowi zaś polecił zamknąć zachodni wylot zatoki i wszystkie przystanie statkami burta o burtę dziobami zwróconymi ku nadciągającej flocie nieprzyjacielskiej. Ta jednak stwierdziwszy, że dała się ubiec, zawróciła i zakotwiczyła się pod Mykale.

Miasto, już skłonne ulec bez oporu, na widok potężnej floty perskiej wobec niepewnego wyniku walki postanowiło uchylić się od udziału w niej i obydwu stronom ofiarować otwarcie bram i przystani. Jeżeli Aleksander nie zgodzi się, Milet przy pomocy i zaopatrzeniu ze strony morza zdoła się bronić aż do nadejścia Memnona z odsieczą.

Od tej obawy nie byli wojni dostojnicy macedońscy. Obecność nieprzyjacielskiej floty w czasie walki o miasto zmuszała do podziału sił i uwagi. Gromadząc się na zwołaną radę wojenną koło przystani, patrzyli na podpływającą znowu, jakby w zamiarze nawiązania walki, flotę perską.

Król właśnie nadchodził ze swego statku, gdy oznajmiono przybycie milezyjskiego poselstwa. Wysłuchawszy, z czym przybyli, Aleksander bez namysłu odparł gniewnie:

— Nie przyszedłem do Azji, by zadowalać się tym, co mi kto ofiaruje, ale by przeprowadzić swoją wolę. Od mojej łaski zależy, czy wybaczę wam złamanie słowa i karygodny opór. Jeśli z niej nie skorzystacie, gotujcie się do walki.

Gdy zawiedzione poselstwo odeszło, Parmenion wskazując na orła, który usiadł tuż obok statku królewskiego, na występie skalnym dzielącym dwie przystanie, zwrócił się do Aleksandra:

— Oto, królu, wróżba i wskazówka bogów. Miasto nam nie ujdzie, natomiast może już nigdy nie trafi się lepsza sposobność, by zniszczyć flotę perską, gdy nasza

może otrzymać wsparcie w ludziach z ładu, a uszkodzone okręty naprawić w przystani. Hellenowie zawsze górowali nad barbarzyńcami na morzu, wygrana bitwa morska da nam wolną rękę na łądzie, a w razie gdyby się los odwrócił, możność spokojnego odwrotu; przegrana niczego nie zmienia, skoro nieprzyjaciel i tak panuje na Morzu Egejskim.

Wśród dostojników podniosły się potakiwania, ale król rzucił szorstko:

— Ty zbyt często myślisz o odwrocie i zbyt łatwo przewidujesz klęskę. Nie wiem, którą flotę za barbarzyńską mam uważać, skoro w nieprzyjacielskiej większą część stanowią triery cypryjskie i spartańskie, u nas zaś tylko dwadzieścia jest ateńskich, a Makedonowie na morzu nie dostoją Fenicjanom.

Parmenionowi krew uderzyła do twarzy. Odpowiedział:

— Nawet twój wielki ojciec stając do walki myślał, co uczyni w razie jej niepowodzenia, bo losy bitew w rękę bogów. Pomnij, co Krojos rzekł Cyrusowi: „Jeżeli mniemasz być nieśmiertelnym i takimuz rozkazywać wojsku, bezcelowe wyjawiać ci moje poglądy. Jeżeli jednak zrozumiał, że i ty jesteś człowiekiem i ludźmi władasz, to dowiedz się, że sprawy ludzkie toczą się kołem”. Pomnij na koniec Cyrusa. Tyche do nikogo nie zwykła się wdzięczyc bez przerwy. By ci okazać, że nie myślę lekko o klęsce, sam obejmę dowództwo riad flotą i albo bitwę wygram, albo w niej legnę.

— Na darmo nie poślę na śmierć nawet zwyczajnego żołnierza — odparł Aleksander. — Dzieje Herodota czytałem równie uważnie jak ty, ale nie uczyłem się od logopojów wojny. Bitwy ja rozstrzygam, a jeśli ci chodzi o wolę bogów, to zapytaj Aristandrosa, bo źle sobie ich znak tłumaczysz. Gdyby rozstrzygnięcie miało nastąpić na morzu, orzeł usiadłby na trierze, a nie na łądzie.

Parmenion zmilczał, zniechęcony. Żaden z dostojników również nie zabrał głosu, wiedząc, że Aleksander nie zwykł zmieniać powziętych postanowień. W milczeniu słuchali jego zarządzeń do uderzenia na miasto.

Wypadki, jakie nastąpiły, musiały utrwalić Parmiona w przekonaniu, że Aleksandrowi doradcy są nie-

potrzebni, lecz ślepi wykonawcy jego rozkazów, w samym zaś królu umocniły przeświadczenie, że on rządzi losami wojny. Macedońskie maszyny w ciągu kilku godzin dokonały wyłomu w potężnych murach, przez który sam król poprowadził uderzenie, szerząc popłoch i mord, a beczynnie przyglądać się temu musieli dowódcy perskiej floty podsuniętej w nadziei, że uda się wywabić do walki zakotwiczone w porcie trojrzędowce macedońskie. Kto zdołał ująć rzezi i wyrwać się z zajętego miasta, płynął teraz ku owej flocie jak się dało, na łodziach, tarczach lub w pław. Około trzystu najemników helleńskich przedarło się na występ skalny między dwiema przystaniami i tu bronili się zajadłe. Ale już do stromych urwisk podpływały łodzie z drabinami i otoczonej ze wszystkich stron garstce pozostało tylko umrzeć lub podzielić gorszy od śmierci los jeńców helleńskich wziętych nad Granikosem.

Król jednak, który z brzegu przypatrywał się mężnej obronie zamkniętych w pułapce hoplitów, zmienił widocznie zdanie, kazał bowiem wstrzymać uderzenie i przez posłańca ofiarował niedobitkom życie i wolność pod warunkiem, że zaciągną się do jego wojsk. Ledwo śmieli uwierzyć i zgodzili się natychmiast. Do zdziwionych jego postępkami dostojników Aleksander rzekł:

— Więcej Hellenów walczy przeciw nam niż wspólnie z nami. Nie mogę wszystkich karać za zdradę, a najemników łatwiej przeciągnąć na swoją stronę, gdy okażą im łaskę.

— Ale najemników trzeba płacić, a wzięte w Sardes skarby zaledwie starczą na utrzymanie tych, których już mamy — zauważył Harpalos. — Sama flota pochłania sto talentów na miesiąc.

— Toteż odeślę ją do kraju, gdzie jest potrzebniejsza — odparł król. - Zostanie tyle, ile potrzeba do przewozu. I ateńskie triery które zakładem mi będą. spokoju.

Hellenom w zdobytym mieście Aleksander również okazał wielkoduszność; ale gdy okazano mu posagi zwycięzców olimpijskich, pogardliwie wzruszył ramionami:

— Gdzie byli ci bohaterowie, gdyście kark zginali pod jarzmo?

Parmenion pewny był, że zamierzając flotę odesłać do kraju, a mając wolną rękę na lądzie, król zechce się pozbyć niebezpiecznego sąsiedztwa floty nieprzyjacielskiej, która co dzień podpływała do przystani, wyzywała do walki, a wieczorem bez skutku wracała na swe niewygodne miejsce postoju u stóp przedgórzy Mykale, gdzie w razie burzy, a nawet silnego wiatru zachodniego grozić jej mogło rozbicie. Widząc bezskuteczność tych prób, perski nauarcha o przedświcie pewnego dnia wysłał pięć trójrzędowców w nadziei, że uda mu się spalić skupioną flotę macedońską, której załoga zazwyczaj schodziła nocować na ląd. Ale straż na czas spostrzegły zbliżające się trójrzędowce i próba skończyła się pojmaniem jednego ze statków, inne zaś co rychlej zawróciły.

Parmenion nie próbował już nakłaniać króla do rozprawy z flotą nieprzyjacielską, ale raz jeszcze podjął sprawę Nikanor. Mając odpłynąć do kraju, lękał się, że na pełnym morzu zna idzie się osamotniony wobec wielokrotnej przewagi nieprzyjacielskiej, a odejście floty macedońskiej nie mogło ująć uwagi stojącego opodal przeciwnika. Aleksander jednak odparł niecierpliwie;

— Nie potrzeba bitwy, by ich stąd wypłoszyć. Niechaj pływają na Samos po wodę, jeśli ją tam znajdują dla osiemdziesięciu tysięcy ludzi.

Zwracając się do Fiiotasa rozkazał:

— Weźmiesz dwie ile lekkiej jazdy, trzy taksy pedzejtajrów i nie pozwolisz wody czerpać z Meandra.

Sposób okazał się równie skuteczny jak prosty. Flota perska, straciwszy kilkudziesięciu ludzi i znaczną ilość hydrii zmuszona była odpłynąć na Samos, a stąd wkrótce pożegiować do Halikarnasu dokąd wzywał ją Memnon. Spóźniona pora roku nie sprzyjała działaniom wojennym, zwłaszcza na morzu, ale z wiosną należało, liczyć się, iż zdoła stawić niewielkim, pozbawionym uzupełnień siłom macedońskim taki opór, że na zawsze położy kres zdobyczom.

Parmenion poznał Memnona jeszcze na dworze Filipa, który miał wysokie mniemanie o jego zdolnościach wojennych, a trafność tego sądu mógł Parmenion sprawdzić w czasie blisko dwuletnich zmagania w Triadzie.

Wstrząs i zamęt po śmierci Filipa Memnon natychmiast wykorzystał, odbierając niemal wszystkie zdobycze Parmeniona, mimo rozmyślnej beczynności perskich satrapów. Teraz, gdy został naczelnym wodzem morskich i lądowych sił Azji Mniejszej, potrafi też wykorzystać słabe strony Aleksandra: brak zasobów, niepewność zaplecza i niechęć albo wprost wrogość państw helleńskich, gotowych z chwilą pierwszego niepowodzenia Aleksandra przerodzić się w otwarty bunt, zagrażając już nie utrzymaniu zdobyczy, ale samemu istnieniu państwa.

Król natomiast zdawał się tego nie widzieć lub zgoła się z tym nie liczyć; urządzał zdobyte kraje, jakby ich nigdy nie mógł utracić. Satrapę Mitrynesa zaliczył w poczet swych doradców i mimo niechęci pozostałych wiele z nim przestawał, ucząc się języka Persów, wypytując o obyczaje podbitych przez nich narodów i stosunki na dworze Dariusza. Wyruszając na wyprawę młody król zapowiadał spełnienie zamierzeń Filipa, którego stosunek do barbarzyńców był giętki, ale zawsze celem jego było dobro Macedonii. W toku wyprawy zachodziły jednak w Aleksandrze szybkie i wyraźne zmiany. Parmenion uważał, że król słusznie przestał grać rolę Agamemnona. Natomiast wyzwalenie ujarzmionych ludów macedońską krwią, bez wyciągania korzyści z podboju, budziło sprzeciw w starym wodzu, a sprawa zajęcia Karii zdała się rzucać nowe światło na zamierzenia króla.

Kraj aż po pasmo Tauros leżał przed nim bezbronny, z wyjątkiem stolicy Halikarnasu, gdzie Memnon wraz z satrapą Orontobatesem gotowali się do odparcia najeźdźcy. Czas należało wykorzystać, by ściągnąć zasoby bogatego kraju, który z imienia tylko był perską satrapią, w rzeczywistości rządzony dziedzicznie przez potomków Hekatomnosa. Piksadaros, straciwszy poprzednią władczynię, Adę, związał się z Dariuszem, otrzymał w zamian rządy w Lidii i oddał córkę Persowi Orontobatesowi, który po śmierci teścia stał się władcą kraju.

Żyła jednak Ada, która utrzymała się w górskiej warowni Alinda. Poselstwo jej zjawiło się teraz w Milecie, ofiarując uznanie przez nią Aleksandra za syna i następcę tronu Karii, jeżeli wygna wydziercę. Król, niczyjej rady nie zasięgając, zgodził się i przyrzekł wprowadzić

Adę na stolicę; tym samym zrzekł się obfitych łupów, jakie obiecywało bogate miasto w zamian za wylaną krew macedońską i wątpliwą pomoc stronników Ady. Parmenion przewidywał, że postanowienie króla wywoła niezadowolenie w wojsku. Żołnierze walcząc w obcym kraju myśleli o korzyściach własnych, hetajrowie Aleksandra o dostojenstwach, władzy i jej używaniu. Król jednak nieproszoną radę odrzucał szorstko i lekceważąco. Parmenion czuł się coraz bardziej obcy, nawet dla własnych synów. W domu niepokoiłby się tylko o ich życie, tutaj niepokój był głębszy, zwłaszcza o ulubionego Filotasa. Skłonność syna do zbytku i użycia przechodziła w rozpasanie, a zuchwalstwo, które w walce cechowało wszystkich towarzyszy króla, dawało się odczuć w każdym jego poczynaniu. Przestrogi ojca puszczał mimo uszu ze źle skrywanym zniecierpliwieniem, a Parmenion, surowy dla siebie i podwładnych, nie umiał się przemóc, by w sposób bezwzględny dać synowi odczuć swe nadrzędne stanowisko i resztę władzy ojcowskiej. Lękał się zupełnego zerwania, czując, że jest to słabość, zarazem słabości swej przypisując winę niebezpiecznych wad Filotasa. Mimo że pozostali synowie, Nikanor i Hektor, okazywali ojcu szacunek, i oni nie różnili się od innych druhów Aleksandra. Stary wódz czuł się osamotniony i zagubiony, tracił nawet półwiekowym doświadczeniem ugruntowaną pewność siebie, gdy wszystko, co król uczynił wbrew jego radom, dotychczas okazało się w skutkach trafne. Pozostał jednak Aleksander dla niego symbolem ojczyzny, któremu winien wiarę i posłuszeństwa, mimo że nie znał jego celów. Ze własne jego męstwo i szaleńcza odwaga na nic się nie zdadzą, jeżeli porwane tym przykładem wojsko nie będzie sprawne, karne i wytrwałe, tego Parmenion był pewny i w tym jeszcze czuł się niezastąpiony. Nikt tak jak on nie zna macedońskiego żołnierza i nie potrafi nim pokierować. Niech młodzi zarozumiałcy podrywają z drobiazgowości i zapobiegliwości wodza, sami kiedyś zrozumieją, że najlepszy szermierz niczego nie zdziała rozhartowanym, poszczerbionym, zardzewiałym mieczem. Z ułożonymi do łowów psami każdy, polować potrafi. Parmenion z niechęcią myślał o tym/że król zbyt szybko, za samo tylko

męstwo w boju, czyni młodzików dostojnikami. Naukę rozkazywania należy zaczynać od posłuchu.

Walki i pozostawianie załóg poczyniły wyrwy w macedońskich szeregach. Postępy Aleksandra rozbudziły wprawdzie w helleńskich miastach Azji Mniejszej nadzieje zrzucenia perskiego jarzma, ale nieufny Parmenion nie wierzył w ich współdziałanie, póki potęga Dariusza pozostaje nie naruszona. Wojska należało uzupełnić najemnikami, ale potrzebne na to zasoby król trwonił na budowę Ilionu i Smyrny, przekopanie istmu w Klazomenoi, budowę świątyni Heraklesa w Sardes czy inne cele, które w niczym nie przyczyniają się do pomnożenia jego sił. Gorzej jeszcze, że przydługi bezczynny postój w Milecie rozhartuje żołnierza, a rdza rozpusty zacznie go przeżerać. Wprawdzie i Filip po zwycięstwie pozwalał wojsku na wszystko, ale nie trwało to nigdy długo i w takich jak tu rozmiarach, gdy nie sprzyjały temu obyczaje zajmowanych krajów. Panujące w Azji budziły w Parmenionie wstręt i pogardę. Ukazanie obnażonego ciała nie tylko przez niewiastę, lecz nawet przez męża uchodzi za hańbę, ale w Lidii wszystkie niezamężne dziewczki są do kupienia, cały kraj zdał się wodzowi wielkim domem nierządu. Tym dziwniejsze, że Aleksander ha to pozwala, w przeciwieństwie do Filipa sam trzymając się z dala od tych spraw.

Parmenion oglądał się za współpracownikami, których nie widział nawet we własnych synach. Na myśl przyszedł mu Klejtos, zwany Czarnym. Wprawdzie również w młodym wieku mianowany został strategiem przez Aleksandra, gdy królewicz był namiestnikiem Filipa, ale Klejtos z wojskiem zżyty był od pacholecia. Zaledwo liznąwszy nieco helleńskiej oglady, przez ojca oddany został do chłopców królewskich, gdy jednocześnie siostra jego Xanike została piastunką małego Aleksandra. Przez nią, mimo że o dziesięć lat starszy od króla, zżył się z nim i spoufalił. Jego żarliwe uwielbienie dla Filipa udzielało się zrazu Aleksandrowi, pozwalając mu wyzwolić się od wpływu matki, zanim wyzwolił się od wszelkich innych. Ale pozostało przywiązanie do towarzysza chłopięcych lat, od czasu zaś bitwy nad Granikosem, gdy Klejtos sam będąc w śmiertelnym niebem-

pieczeństwie ocalił królowi życie, cieszył się jego szczególną przychylnością. Otwarty był i niewyniosły, przy całej swej szorstkości i porywczosci lubiany zarówno przez towarzyszy jak i prostych wojowników. Parmenion w nim upatrywał swego następcę w przyszłości, a tymczasem zastępcę, bo Klejtos, choć nie stronił od wina i dziewczek, wzorem Filipa uważał to tylko za wypoczynek między jednym a drugim wysiłkiem. Nudziły go natomiast przeciągające się uczyty wraz z nie kończącymi się dyskusjami, w których nie wiele miał do powiedzenia, nie powąchawszy filozofii, a z poetów znając tylko Eurypidesa. Dlatego wolał przebywać z niższymi hegemonami lub z prostymi lochagosami i łatwiej go było znaleźć w obozie niż w mieście.

Tam go też zastał Parmenion, jak konno uwijał się między ćwiczącymi oddziałami na obszernym błoniu dochodzącym do zatoki. Na widok wodza Klejtos wydał rozkazy i wojska sprawnie formować się jęły do przeglądu, sam zaś podjechał, by złożyć raport,

Parmenion zapytał:

— Czy jest tu jeszcze ktoś ze strategów?

— Od rana nie widziałem żadnego. Pewnie ochrypli od gadania albo śpią.

Parmenion nic nie odpowiedział i ruszył koniem, a Klejtos zajechał od lewej strony i pól konia z tyłu, jak należało wobec dostojniejszego. Ten skinął na niego.

— Chcę się z tobą rozmówić — rzekł.

Przez dłuższą chwilę nie odzywał się jednak, oglądając chody i zwroty falangistów, a potem ćwiczenia łuczników w strzelaniu. Klejtos, nie zapytany, powiedział: — Jazdę wysłałem do Latmosu. Niechaj konie zrobią tych kilka parasang i pochodzą po górach, bo wnet by się zastały.

— Ludzie też — mruknął jak do siebie Parmenion.

— Nie zdążą już — odparł Klejtos, - bo ruszamy na Halikarnas. Tam się rozgrzeją. A niejeden ostygnie zaśmiał się — bo Memnon potrafi się bronić, będzie zaś chciał zyskać na czasie. Nawet gdyby miał ochotę poddać się, nie może, bo rodzinę odesłał do Damaszku w zakład wierności Dariuszowi.

— Skąd te wieści? — zapytał Parmenion na pozór

obojętnie, choć dotknięty się poczuł, iż dowiaduje się o nich od niższego dostojeństwem.

— Od Ady, a mówił mi Hefajstion. Ty masz prowadzić maszyny i pieszych wprost do Halikarnasu, a my z królem wstąpimy do Alindy, bo nie bardzo z drogi. Ada popieścić chce nowego jedynaka, którego jeszcze nie widziała. — Zaśmiał się i dodał: — Innym przybywa dzieci, Aleksandrowi zaś rodziców.

Parmenion rozumiał, do czego pije Klejtos; rzucił ostro:

- Ty uważaj, co gadasz, by nie doszło do króla, bo drwić z siebie nie pozwoli.

— Niech mu przybłądy palą kadzidła — odparł po-pędliwie Klejtos — ja co innego wahałem, gdy mu Lanike przy mnie tyłek wycierała. Żeby nie ja, już by się, dowiedział, że nie jest nieśmiertelny, a żeby nie oni — wskazał na falangistów — ani by na tronie nie osiedział. To ojciec mu zostawił, a nie Dzeus. Niechby Filipowi dorównał, starczy mu sławy.

— Choćbyś miał słuszość, raz jeszcze radzę ci mil-czeć. Aleksandra zrozumieć trudno, a na nic porówny-wać tego, co już się skończył, z tym, który zaczyna. By-strości ni męstwa nikt królowi nie odmówi, ale trzeba doświadczenia, by rozumieć, co własnej zasłudze przypis-ać, a co zbiegowi okoliczności. Filip, nie lubił szczęścia, którego nie przewidział.

Parmenion urwał i zadumał się, Filip padł w chwili, gdy nabrał przekonania, że nic nie może stanąć w po-przek jego zamierzeniom. Aleksander z tym przekona-niem rozpoczyna.

— Jeśli jutro ruszać mamy na Halikarnas, każ lu-dziom spocząć i przysposobić się do drogi. W rozprawie z Memnonem na szczęściu polegać nie można, tu Alek-sander okaże, czy dorósł ojca.

Mimo przenikliwego jesiennego wiatru dwóch pedze-tajrów z taksy Perdikkasa siedziało na polnych kamie-niach przed szeroko otwartym namiotem, raz za razem czerpiąc wino ze stojącej między nimi amfory. Dzień

mieli wolny od zajęć po pracowitej nocy, taksa ich bowiem, stojąc najbliżej zwalonych wież i uszkodzonego między nimi muru w północno-wschodnim narożniku obwarowań Halikarnasu, brała najgorętszy udział w odparciu nocnego wypadu, którym Memnon usiłował zniszczyć poczynione przygotowania do uderzenia na miasto. Król pochwalił męstwo pedzetajrów i uraczył ich obficie winem, które rozgrzało dwóch towarzyszy tak, że zrzuciwszy chitony chłodzili kudłate piersi w porywach przenikliwego wiatru.

W amforach jednak przeświecało już dno, a daleko jeszcze było, by sobie wzajem skończyli opowiadać o swych bohaterskich czynach. Od Cheronei wprawdzie walczyli ramię w ramię, ale podniecona wyobraźnia stroiła przeżyte przygody w coraz to nowe szczegóły. Gdy jednak wino się skończyło, ogarnęło ich rozrzewnienie. Teutanos ozwał się z goryczą:

— Bion z prostego hypaspisty lochagosem został, a my co? Poklepią cię jak konia i tyle naszej nagrody.

Zacisnął ze złością pięść potężną jak maczuga, patrząc, w co by nią wyrznąć, ale tylko zgniół trzymany w dłoni kubek i rzucił na ziemię skorupy.

— Bo jak walczymy w szeregu i rzędzie — odparł z namysłem Metron — to nas nie widać, tylko falangę; nawet gdy cię zabiją, ani dziury nie ma po tobie, bo następny wstępuje. A dziś w nocy, gdy każdy leciał, jak wydażył, ciemno było i nikt nie wie, że przynajmniej ze stu ubiłem.

Teutanos zdawał się coś liczyć,

— Chyba łiesz. Wszystkiego legło stu pięćdziesięciu a mnie samemu niewiele do stu brakło.

— No to co? Ty stu i ja stu. Ty się zawsze lubisz spierać. Żeby nie my, byłby Memnon spalił maszyny i dalej stalibyśmy tu jak głupi.

Czerwona jego twarz jeszcze poczerwieniała, a czarny włos na piersi zjeżył mu się jak chyb rozsiedźpnego dzika. W nagłej złości kopnął amforę i krzyknął:

— Byle błazna basileus złotem smaruje, na ucztę zaprasza. Spasieni jak wieprze, a do bitki ich nie ma.

Równie nagle rozplakał się, ale Teutanos rzekł:

— Nie rycz, bo mi przeszkadzasz myśleć!

Metron rozgłośnie wytarł nos i zapytał:

— Cóżes wymyślił? Może na cytrze grać będziemy tymi paluchami jak kołki?

Patrzył na swoje sękaty dłonie, a Teutanos ciągnął:

— Pomnisz, jakieśmy Teby wzięli od jednego zamachu, choć wszyscy gadali, że rok będziemy stać pod nimi?

— Dobrze było — westchnął Metron, ale zaraz dodał rozszierzony: — Było i zbyło się, tylko Perdikkas skorzystał. Strategiem został, ino patrzeć, jak somatofilakiem zostanie taki młodziak. Sam basileus leczył jego zadrapania.

Rozgarnął kudły na piersi i pokazując bliznę w gęstwinie włosów ciągnął z goryczą:

— Mnie też podrapali, a sam się lizać musiałem jak pies.

Zdało się, że znowu się rozplacze, ale Teutanos przerwał mu:

— Nie rycz, jeno słuchaj mędrszego: wszyscy gadali, że to Perdikkas wziął Teby, dlatego jemu korzyści, choć bez nas by nie wziął. My możemy wziąć Halikarnas bez Perdikkasa. Nikt nie będzie mógł rzec, że to jego zasługa. Pierwsi będziemy do łupu i dziewczek i co najmniej lochosami zostaniemy.

- Czemu nie strategami jak on? Żeby nie my, basileus stałby tu całą zimę. Aże wstyd tyle czasu na jedno miasto.

Zerwał się, by biec ku murom ale Teutanos chwycił go za ramię,

— Czekażcie! Przecie trzeba wziąć tarcze i sarysy,

- Prawda! Całe miasto nawlokę na dziedę.

Poskoczyli do namiotu po broń i pognali pod uszkodzoną bramę, Stanąwszy na zboczu złożyli dłonie koło ust i jęli wrzeszczeć jeden przez drugiego:

— Wychodźcie, tchórze!

- Albo otwierać bramę, to do was przyjdziemy !

— Kto Memnona na powrozie przywiedzie ten żywot ocali...

— Dziewkom każcie się wykąpać i namaścić, bo lubimy pachnące.

Pracujący przy naprawie uszkodzonej bramy i murów

przez chwilę patrzyli ze zdziwieniem na dwóch opojów, ale wyzwiska i obelgi leciały coraz grubsze. Kilku pobudliwszych chwyciło za broń i po stoku pobiegło ku zuchwalcom. Ale nim się kto obejrzał, trzech leżało już na ziemi, a ostatni rzucił się do ucieczki. Nie ubiegł jednak ni kilku kroków, gdy ciśnięty oszczep przewiercił mu plecy, a napastnicy ryczeli już razem jak dwa lwy, że trudno było słowa rozróżnić. Na murach porzucano pracę i kto jeno zdążył chwycić za broń, biegł pomścić poległych.

Napastnicy jednak ani myśleli uchodzić, a kto tylko się zbliżył na długość sarysy, zegnał się z życiem. Odskoczyli przeto, by gromadnie uderzyć, ale już i z macedońskiego obozu dostrzeżono, co się dzieje, i kto broń miał pod ręką, pędził do walki. Teutanos i Metron nie czekali nawet na pomoc, sami natarli i pędzili uchodzących pod bramę. Wysypywały się z niej coraz większe, choć beładne gromady, ale tymczasem dobiegli i Macedończycy, i bitwa się wywiązała, przybierając na zajądłości i rozmiarach. Sąsiadujący mur ogołocony już był z ludzi i obrońcy liczbą mieli przewagę, ale macedońscy drwale zwarli się w gromadę najeżoną włóczniami i parli beładny tłum ku otwartej bramie.

Jak w Tebach, brakło tylko rozkazu króla do ogólnego uderzenia, by miasto padło. Zamiast tego jednak trąby z obozu zagrały do odwrotu i Macedończycy zawrócili.

Teutanos i Metrona jednak zawód wprawił w szal. Nie zważając na innych skoczyli ku bramie i wpadli w tłoczący się tłum. Ale zapłacili za swe zuchwalstwo. Zewsząd posypały się ciosy i nim towarzysze, widząc, co się dzieje, zdążyli dopaść, obydwoj leżeli na ziemi.

Zabrano ich co prędzej, bo już z murów leciały pociski, i wraz z innymi rannymi złożono koło namiotów. Leżeli czekając na lekarza, a tymczasem pojono ich resztkami wina otrzymanego za odparcie nocnego wypadu,

Teutanos dźwigiął się stękając i trącił leżącego obok Metrona:

Napij się, tyle naszego. Kto się wyzna, czego chce basileus! Chiliarchami nie zostaniemy.

Gdy Metron się nie poruszył, Teutanos spojrział na nie-

go, a widząc, że szklistymi oczyma patrzy w niebo, mruknął:

— Daleś się zabić, a nie było za co. Niech sobie basileus sam zdobywa miasto.

Zniechęcony, zamknął oczy, również usiłując umrzeć, ale tylko zasnął.

Nie tylko prości żołnierze nie rozumieli, dlaczego król nie chciał wykorzystać sposobności zajęcia miasta, gdy tyle trudu kosztowało już oblężenie. Memnon zwłokę, natychmiast wyzyskał, za zwalonym murem budując nowy, do którego burzące maszyny po zwaliskach starego; nie miały dostępu. Prace oblężnicze należało rozpocząć w innym miejscu. Wobec oczywistej wyższości macedońskiego żołnierza i maszyn, doświadczony Memnon nie może spodziewać się, by przetrzymał oblężenie, ale nie bez celu gra na zwłokę. Parmenion domyślał się, iż liczy na to, że stawiany przez niego opór odbije się echem w Helladzie, a Dariusz zrozumie, że odparcie najazdu przerasta siły miejscowych satrapów. Obecny w Suzie, zbiegły z Aten Charidemos zna macedońskie siły i ich przywódców i przekona króla królów, że najazdu lekceważyć nie można. Dlatego Parmenion sądził, iż Aleksander łudzi się, że Memnon odda nie zniszczone miasto bez walki, skoro sił mu brak, by je utrzymać. To jest wódz umiejący patrzeć na wojnę nie tylko od strony pola bitwy. Aleksander może w nim znaleźć przeciwnika który położy kres marzeniom o podbojach, a nawet gotów zniszczyć źródło siły, leżące w kraju.

Parmenion trafnie odgadywał rachuby Memnona, natomiast trudno było staremu wodzowi, nawykłemu wszystko podporządkowywać celom wojny, odgadnąć, że Aleksander oszczędzać chce miasto dla jego piękna ukoronowanego zaliczanym do cudów świata grobowcem Mauzolososa. Budowla z białego marmuru wysokości stu pięćdziesięciu stóp, uwieńczona schodkową piramidą, wspartą na trzydziestu sześciu kolumnach zdawała się świecić własnym światłem, a na jej szczycie rydwan z posągami Mauzolososa i Artemisji, ciągniony przez cztery

rumaki zwiewnej lekkości, jakby za lada podmuchem oderwać się miał od ziemi i ulecieć w niebo. Parmenion nie był obojętny na piękno, ale dla jego ocalenia nie poświęciłby życia ani jednego żołnierza. Mniej jeszcze zdolny byłby zrozumieć, że Aleksander chciał to ocalić dla Ady w odwzięcie za jej czułość i troskliwość, z jaką gościła przybranego syna w Alindzie, własną ręką ściągając mu miękkie łoże i przyrządzając wymyślne potrawy, co młody król przyjmował z pobłażliwym uśmiechem. Parmenion wiedział, że wychowawca Aleksandra Leonidas nie pieścił swych wychowanków i król od pacholecia nawykł do niewygód, prostej stawy i szorstkiego obejścia. Nie rozumiał, że dlatego właśnie pozostało w nim nie zaspokojone pragnienie miękkiej ręki kobiecej, które trafnie wyczuła w nim Ada.

Memnon nie głowił się nad przyczyną niezwykłego u Aleksandra braku stanowczości, który powodował zwłokę w zajęciu miasta i wiązał pod jego murami siły macedońskie, Dariuszowi dawał czas na przygotowania do odparcia najazdu, a jemu samemu do zabiegów mających na celu przeniesienie wojny do Europy. Przesłane przez króla złoto płynęło do Hellady wzmacniając antymacedońskie stronnictwa i ściągając najemników.

Niemniej Memnon nie poprzestał na biernym oczekiwaniu, ale raz jeszcze potężnym wypadem postanowił zniszczyć poczynione przygotowania oblężnicze. Przekonał się znowu, że wojska jego nie dostają w otwartej walce macedońskim, mimo zaskoczenia bowiem przeciwuderzenie prowadzone przez samego króla odparło wypad, a gdy rzucony na rowie most załamał się pod ciężarem cofających się w popłochu obrońców, tysiąc ich zwłok wypełniło rów, otwierając napastnikom dostęp do uszkodzonej bramy. Aleksander jednak zamiast rozkazu do ogólnego uderzenia kazał dać sygnał odwrotu i Memnon doszedł do wniosku, że król chce zająć miasto nieuszkodzone, by w nim przezimować.

Po odparciu wypadu obóz macedoński wypoczywał już, w ciszy, gdy stráže zauważyły tu i ówdzie poblask nad miastem, który rozszerzał się i wzmacniał, a jednocześnie dochodzące stamtąd odgłosy zdradzały, że dzieje się coś niezwykłego. Nim wieścią o tym obudzono króla,

porywisty wicher rozdmuchał pożogę, a z bram wylewać się zaczęły bezbronne gromady zrozpaczonej ludności, wypędzanej z domów objętych pożarem. Memnon palił miasto wycofując załogę do panującego nad przystanią zamku i na Wyspę Królewską. Obsadziwszy warowne miejsca na półwyspie, zapewnił sobie oparcie dla floty i z przeważną jej częścią odpłynął na Chios, skąd przy pomyślnym wietrze w ciągu jednej doby zagrozić mógł Eubei, gdy na lądzie na razie brakło sił, które by mogły położyć kres panowaniu Aleksandra w Azji Mniejszej. W głębi kraju nie było załóg perskich, bogate miasta na wybrzeżu słały do Aleksandra poselstwa z hołdem wieńcami i prośbą o przymierze i przyjaźń, helleńska załoga twierdzy w Hiparna wydała ją bez walki, zapewniwszy sobie jedynie swobodne wyjście.

Korzystając z tego Aleksander odesłał do kraju niedawno ożenionych, wojowników pod wodzą Seleukosa, z rozkazem, by z wiosną przyprowadził uzupełnienia, Parmeniona z ciężkim sprzętem i częścią wojska — na zimowe leże do Sardes, sam zaś w triumfalnym pochodzie dotarł do Faselis nad Zatoką Pamfilijską i tam zatrzymał się na dłuższy postój.

Mieszkańcy ze zdziwieniem patrzyli na młodego króla i jego towarzyszy. Za dnia zajęty zarządzaniem kraju, wieczorem zabawiał się beztrosko w gronie hetajrów, jakby nie pamiętał, że rzucił wyzwanie perskiej potędze, z którą prędzej czy później przyjdzie mu się zmierzyć. Jednego wieczora jak stado wyrostków, uwieńczeni kwieciami, urządzili uroczysty pochód do posągu niedawno zmarłego poety i filozofa Teodektesa i złożyłwszy pod nim wieńce, ku czci jego wykonali taniec przy wtórce cytr i fletni. Gdy jednak ta sama gromada młokosów, jakby dla rozrywki, nocnym wypadem zniszczyła w sąsiednich górach zbójcekie gniazdo Pizydów, z których dokuczliwym sąsiedztwem miasto dotychczas nie umiało sobie poradzić, niejeden pomyślał, że i Dariusza niełatwe czeka zadanie.

Dariusz jednak nie zamierzał jeszcze ściągać sił swego rozległego państwa dla odparcia najazdu. Klęskę nad Granikiem uważał za wynik błędu, którego główny winowajca, Arsites, w obawie przed gniewem króla królów,

odebrał sobie życie. Gdyby posłuchano rady Memnona, groźba macedońskiego najazdu raz na zawsze przestałaby istnieć. Obecnie, gdy pełnia władzy znalazła się w jego ręku, flota zapewnia mu panowanie na morzu, a złoto wpływy w Helladzie, sam winien uporać się z najeźdźcą,

Beztruskę Dariusza zakłóciła wiadomość o upadku Halkarnasu. Przyniósł ją zbiegły stamtąd do Suzy Amyntas, syn Antiocha, wraz z wieścią, że poległ Neoptolemos Lynkestis, przez którego Dariusz poprzednio już usiłował odnowić stosunki z jego stryjcem Aleksandrem, nawiązane w czasie poselstwa na dwór Filipa, a zerwane po straceniu jego braci. Zdradzony przez mordercę udział w zamachu na Filipa, który młody król wybaczył księciu Lynkestis tylko ze względu na jego teścia Antypatra nakazywał mu szczególną ostrożność, by na nowo nie rozbudzić nieufności Aleksandra, widocznie przygasłej, skoro dawnego spiskowca ustanowił hipparchem jazdy tesalskiej, na której czele odesłał go wraz i Parmenionem na zimowe leże.

Parmenion jednak nie zapomniał jego roli w zabójstwie Filipa. Król myli się, jeśli sądzi, że wspaniałomyślnością zdołał pozyskać zawistnego człowieka, który budził podejrzliwość starego wodza napomknieniami o niewdzięczności króla względem niego. Zbył oschle zabiegi Lynkesty, ale postanowił mieć go na oko,

Zatrzymawszy się na zamku w Sardes, wyznaczył jeździe tesalskiej zimowisko koło Gordion. Satrapa Wielkiej Frygii, Atisjes, musi z wiosną spodziewać się najazdu. Parmenionowi nieobce były perskie sposoby prowadzenia wojny złotem, zbiegli do Dariusza zdrajcy objaśniają go, z kim można ich próbować.

Istotnie jeden z podjazdów przyprowadził do Sardes pojmane koło Gordion poselstwo perskie, którego przywódca Sisynes tłumaczył się, że wysłany został z rozkazami do Atisjesa. Stawiony przed Parmeniona, powtórzył to samo, ofiarowując wysoki okup za uwolnienie. Parmenion długo wpatrywał się w jeńca, nim zapytał:
— Nie Wiedziałeś, że w Gordion nie ma już satrapy?
— Nie wiedziałem — odparł jeńiec, ale zmieszał się widocznie.

— Tedy nie doręczyłeś rozkazów. Pokaż je.
— Rozkazy były ustne — powiedział Sisynes, zbladł jednak i czoło jego zalsniło od potu, gdy Parmenion rozkazał:

— Obszukać go!

Znaleziony za pasem zwitek pergaminu wódz szybko przebiegł oczyma, po czym przewierciwszy spojrzeniem jeńca drżącego na całym ciele, zagadnął:

— Jakie to warunki twój król ofiaruje księżęciu Lynkestis?

Sisynes odparł z wysiłkiem:

— Nie wiem. On miał pisać do króla.

— Takich układów nie powierza się posłańcom. Gdy cię każe wbić na krzyż, przypomnisz sobie. A czy potrafisz milczeć do skonu, przekonam się zaraz.

Zwracając się do straży rozkazał:

— Wysmagać go.

Gdy zaczęto zdzierać z Sisynesa szaty, krzyknął:

— Siebie zhańbisz, jeśli każesz mnie zhańbić. Jestem szlachetnego rodu!

— Jesteś barbarzyńcą, a głupcem, jeśli sądzisz, że milczeniem osłonisz zdrajcę, choć jest rodu królewskiego. Powiesz?

— Powiem — szepnął Sisynes posiniałymi wargami — książe Lynkestis zgładzić ma waszego króla w zamian za wprowadzenie na tron i tysiąc talentów złota.

Gdy na skinienie Parmeniona wyprowadzono jeńca, wódz przez chwilę siedział zamyślony, następnie kazał zawołać hegemoną swjej straży przybocznej, którego był pewny jak własnej dłoni. Gdy wezwany zjawił się, Parmenion rozkazał:

- Weźmiesz dziesięciu najsprawniejszych ludzi i pojedziesz do hipparcha Aleksandra. W Ipsos zostawisz rozstawne konie, bo sprawa pilna. Powiesz mu, że czeka tu na niego posłaniec króla. Ma przyjechać natychmiast czy będzie chciał, czy nie, chyba żeby nie żył. Rozumiesz?

Aleksandra Lynkestis zaskoczyło nagłe wezwanie, a zwłaszcza pośpiech, na jaki nalegał posłaniec; i oschłe powitanie Parmeniona. Mimo że noc zapadła, nie prosił na wieczerzę i wypoczynek. Tknęło Aleksandra, gdy

wódz zapytany o posłańca, zamiast odpowiedzi, rozkazał strażnikowi:

— Sprowadzić tu jeńca.

Lynkestis stał się czujny i napięty. Stwierdzić musi, kogo pojmał Parmenion i czego się dowiedział. Nie odezwał się ni słowem i niczym nie zdradził, gdy po chwili wprowadzono związanego Sisynesa. Mrugał odwykłymi od światła oczyma, a poznawszy księcia Lynkestis trząsał się począł pod jego pogardliwym spojrzeniem. Parmenion patrzył przenikliwie na obydwu, a gdy milczenie przedłużało się, przerwał je:

— Znasz go?

— Przypominam go sobie. Bawił w Pelli z poselstwem — obojętnie odparł Lynkestis.

— Tedy znajomość nienowa — gniewnie zauważył Parmenion.

— Nienowa. Czy wezwałeś mnie, by o to zapytać?

Parmenion spojrział na niego groźnie i odparł:

— Jeżeli jeszcze nie wiesz, po co cię wezwałem, przeczytaj to!

Wręczył Aleksandrowi zwitek pergaminu i mimo woli podziwiać musiał jego opanowanie. Lynkestis rzuciwszy jeno okiem na pismo zwrócił je, mówiąc:

— Nieprzezorny jesteś, mógłbym połknąć ten kawałek i straciłbyś pozór, by mnie zgubić.

— Pozór! Czy on — Parmenion wskazał na Sisynesa — ma ci powtórzyć, do czego się zobowiązałeś Dariuszowi?

— Gdy mi pozwolisz pytać go tak, jak ty pytałeś zezna to, co ja zechcę, Jeśli mam mówić, każ go wyprowadzić, bo to tylko dla twoich uszu..

Parmenion zamyślił się. Po chwili zawołał strażnika, by zabrał jeńca, i rzekł:

— Starczy, że porozumiewasz się z wrogiem: Mów, jeśli masz co na swe usprawiedliwienie.

— Jeszcze nie stoję przed sądem. Ja nieraz już chciałem otwarcie mówić z tobą, ale tyś nie chciał.

— Mów! — powtórzył Parmenion.

Patrzył na swe dłonie i siedział nieporuszony, gdy Aleksander zaczął:

— Jesteś przyjacielem mego teścia. Nie było niechęci między nami, póki żył Filip. Nietrudno mi zgadnąć, że

mnie winisz o jego śmierć. Dowodem dla ciebie, że Aleksander bez sądu zamordować kazał obu mych braci, bo nie chcesz słyszeć, że Olimpias niemal nie tai, że to ona nasłała mordercę. Natomiast stara się zataić Aleksander i dlatego kazał wyrwać język zabójcy.

Smagłe policzki Parmeniona zarumieniły się z lekka, ale milczał. Aleksander podjął:

— Ty za cześć sobie uważasz dochowanie, wiary każdemu królowi, nie pytając, jak doszedł do tronu. Czy Amyntas nie był synem i prawowitym następcą Perdikasa, któremu również ślubowałeś wiarę?

— Amyntas był pacholęciem niezdolnym udźwignąć ciężar, który wziął na siebie Filip — powiedział cicho Parmenion nie podnosząc oczu.

— To mogę przyznać. Wziął także nasz ciężar, odbierając nam księstwo Lynkestis. Ale czy Amyntas był pacholęciem, gdy zginął Filip? Czy nie jemu z prawa należał się tron, który wraz z życiem wydarł mu Aleksander?'

Twarz Parmeniona poczerwieniała, ale podniósł oczy i odparł:

— Amyntas miał być kukłą w ręku twoim i twych braci. Kraj potrzebował takiego władcy jak Aleksander.

- Wierzę ci, że takie jest twoje przekonanie, skoro pozwoliłeś mu zamordować swego zięcia. Nie będę mówił, jak odwdzięcza się tobie, skoro nie chcesz tego słuchać. Czy jednak równie pewny jesteś, że to, co czyni, na dobro wyjdzie krajowi? Dla zaspokojenia swej pychy najlepsze jego siły marnuje, by przywrócić Hellenom wolność, o którą nie proszą, i dać ją barbarzyńcom, nawykłym do niewolnictwa. A wytraci te siły do reszty, gdy przyjdzie mu zmierzyć się z potęgą króla królów. O kraj troszczyć się ma teść mój, bez pieniędzy i wojsk, bo i to, co zdołał zebrać i wyćwiczyć, Aleksander kazał tu sobie odesłać. Gdy ruszy się spartański Agis i jego sprzymierzeńcy, a nadciągnie Memnon z flotą, której nie mamy co przeciwstawić, czy kraj obronią dzieci i starcy?

Gdy Parmenion milczał, Lynkestis sądząc, że go przekonał, ciągnął gwałtownie!

Dzięki Aleksandrowi z rodu Karanosa pozostał tyl-

ko bękart i półgłówek Arridajos i ja, póki liczyć się musi z moim teściem. Ciebie znosi, póki jesteś mu potrzebny.

Zdało mu się, że przekonał Parmeniona, bo wódz siedział zamyślony. Gdy się nie odzywał, Lynkestis zapytał:

— Czy nieprawda to, co mówię? Aleksander wszystkich i wszystko uważa za narzędzia mające służyć mu do celów, których nie zna nikt. Może on sam nawet. Kraj nie potrzebuje tego Achillesa, Agamemnona i Heraklesa w jednej osobie.

— Aleksander jest królem, którego obwołało wojsko, a my obydwoj złożyliśmy mu przysięgę wierności — odrzekł Parmenion. — Nie twoja ni moja rzecz sądzić go. I jest wodzem, tedy nie obowiązany zdawać sprawy podwładnym, do czego zmierza, ale naszą rzeczą słuchać.

— Co uczynisz? — zapytał Lynkestis niespokojnie.

— Sisynesa odeślę królowi, a ty zaczekasz tu do zarządzenia króla.

Parmenion, pozostał sam. W tym, co mówił księżę Lynkestis wiele było słuszności, ale świadczyło to zarazem, że rozdwojenie w kraju tylko przygasło. Lynkestis nie mógł liczyć jedynie na poparcie Parmeniona czy swego teścia, a nawet perskiego króla. Dotychczasowe osiągnięcia Aleksandra wódz przypisywał ociężałości perskiego olbrzyma. Powodzenia nie wywołały powszechnego zrywu wolności ujarzmionych przez Persję narodów. Jedno niepowodzenie natomiast może stać się zarzewiem wojny domowej w kraju, a hasłem buntu w Helladzie. Nieufność, jaką w królu obudzić musi poselstwo Sisynesi, może, stać się przyczyną zguby Aleksandra Lynkestis, a dotknąć może Antypatra, kładąc kres półwiekowej przyjaźni Parmeniona.

Przez chwilę rozważał, czyby nie zgładzić Sisynesa i przemilczeć sprawę, ale odegnał tę myśl. Zatajenie kno-
wań oznaczałoby przyłączenie się do nich i tak musiałby to przyjąć księżę Lynkestis. Antypater powinien zrozumieć, że Parmenion nie mógł tak postąpić. Poświęcił przecie nawet własnego zięcia. Czy tak samo jednak postąpi przyjaciel nie był pewny. Mimo podejrzenia o udział Aleksandra Lynkestis w zamachu na Filipa, Antypater zdołał mu oszczędzić losu jego braci. Parme-

mon nie był spokojny o skutki, jakie sprawa ta wywołać może w kraju.

Pomyślne wieści również nie uspokoiły starego wodza. Aleksander nadużywa sił własnych i wojska, rzuca wyzwanie nie tylko ludziom, ale i żywiołom. Mimo zimowej pory nie spoczął, lecz po krótkim pobycie w Faselis ruszył dalej, by zająć południowe wybrzeże Azji Mniejszej, wysyłając lekkie oddziały piesze dłuższą i uciążliwszą drogą przez pasmo gór Tauros, sam zaś z pozostałymi, mimo przestróg, że naraża życie własne i losy wyprawy, ruszył drogą przybrzeżną, u stóp przedgórzy dochodzących aż do zatoki stromymi urwiskami, zwanymi Drabiną Pamfilijską. Dostępna była tylko wówczas, gdy północy wiatr odgarniał falę, przy innym zalewała drogę powyżej wzrostu człowieka. Aleksander sam idąc pieszo na czele, przez cały dzień brnąc w wodzie, często powyżej pasa, przebył ją szczęśliwie, a uwieńczone powodzeniem zuchwalstwo znowu posłuży dworakom, by pochlebstwami utwierdzić młodego króla w przekonaniu, że panuje nawet wiatrom i fali. Bogowie jednak nie lubią, by śmiertelny przypisywał sobie należną im władzę, obalają wszystko, co przekracza miarę ludzką.

Wieści od króla przywiózł zaufany Amfoteros. Przybył potajemnie z kilkoma Pergejczykami, przebrany za jednego z nich, z rozkazem uwięzienia Aleksandra Lynkestis, tak jednak, by sprawa nie nabrała rozgłosu. Król widocznie chciał ją zataić przed wojskiem i zapobiec wieści o niej w Helladzie, a może i wobec Antypatra, w którego rękę spoczywały teraz sprawy Macedonii.

Memnon tymczasem zajął się opanowaniem wysp. Jasne było że zamierza odciąć Aleksandrowi morskie połączenie z krajem i tam przenieść wojnę. Król jednak zdał się z tym nie liczyć i opanowawszy wybrzeża pociągnął w głąb lądu wśród uciążliwych walk z bitnymi góorskimi plemionami Pizydów, z końcem zimy dotarł do królewskiego gościńca wiodącego do Suzy i stanął na zamku w Gordion, prastarej stolicy królów frygijskich.

Parmenion coraz mniej rozumiał niłodego władcę. Zamiast liczyć i przewidywać, w postępowaniu swym zda się kierować przecuciami i wróżbami, których na dobitkę, jak w Delfach, sam sobie udziela czego w Gordion

ponownie Parmenion był świadkiem. Aleksandrowi pokazano przechowywany na zamku wóz, na którym wedle legendy rozpoznany został Midas, jako przez bogów wskazany władca. Jarzmo umocowane było do dyszla wiązaniem z dereniowego łyka, którego początku ni końca nie można było odnaleźć. Gdy królowi wyjaśniono, że istnieje przepowiednia, iż kto zdoła rozsupłać węże}, ten zostanie władcą Azji, przeciął go mieczem. Jeśli nie było to spełnieniem warunku wróżby, to jednoznacznym isynv bólem. Ale miecz posiada także Memnon i potrafi przeciąć nim pasmo powodzenia Aleksandra.

Parmeniona nie dziwiło, że wiara króla, iż nikt mu się oprzeć nie zdoła, udziela się wojsku, a lekceważenie wszelkich niebezpieczeństw znajduje licznych naśladowców zarówno wśród dostojników, jak i prostych żołnierzy. Chwytał się na tym, że wbrew rozsądkowi sam zaczyna wiarę tę podzielać. Niespodziewana śmierć Memnona, będąc w sile wieku, zdała się dowodzić, że król przewidział, dlaczego się z nim liczyć nie potrzebuje.

Powodzenie, ma największą siłę przekonywania. Z dwóch strategów ateńskich, których wydania ongiś żądał Aleksander, Chares ofiarował swe współdziałanie i wraz z Hegelochem zajęty jest zbieraniem nowej floty z kontyngentów zajętych miast przybrzeżnych oraz wracających z Pontu statków helleńskich; Charidemos natomiast, mający zadawnione obrachunki jeszcze z czasów Filipa, nie mógł liczyć na pojednanie i zbiegł do Suzy, a wypadki, jakie tam zaszły, wykazały, że nawet przeciwnicy, którzy lepiej niż Dariusz zmagają Aleksandra, zaczyna ją wierzyć w jego zwycięstwo.

Dotychczasowy przebieg wojny niecierpliwiał perskiego króla. Zleciwszy sprawę Memnonowi i zaopatrzywszy go w złoto, Dariusz sądził, że niegodna jest jego uwagi. Wieść o chybieniu zamachu i straceniu Sisynesa przyjął obojętnie. Wojna się przedłuży, ale koniec będzie jednak, przeniesienie jej do Europy raz na zawsze położy kres poczynaniom zuchwałego władcy kraiku, nie większego od drugorzędnej satrapii. Poselstwa Sparty, Aten i Teb zapewniały króla, że z chwilą lądowania Memnona Helada powstanie przeciw Aleksandrowi.

Przyniesiona przez Charidemosa wiadomość o śmierci

Memnona i upadku twierdzy w Halikarnasie zmąciła bez troskę Dariusza. Charidemos nie wątpił, że gotów jest objąć dowództwo po Memnonie, powołując się na swe doświadczenie w walkach z Filipem. Pod pierwszym wrażeniem wieści Dariusz skłonny był zrzucić na niego troskę o dalsze prowadzenie wojny. Ochłonawszy jednak postanowił zwołać swych dostojników na radę wojenną, obawiając się, że nie zechcą podlegać obcemu, a położenie nie pozwalało już spodziewać się odparcia najazdu siłami samych najemników.

Ogrom wielkiej sali królewskiego pałacu powiększała jeszcze ciemna barwa ścian z polewanych cegieł, czyniąc wrażenie ponurej pustki, mimo że zebranie było liczne. Nawykły do pełnej światła i niewymuszonego wdzięku sztuki helleńskiej Charidemos patrzył z pogardliwym niesmakiem na biegnący dokoła ścian fryz, który wyobrażał miał potęgę króla królów— nie kończący się szereg wojowników, zbrojnych w dzidy i łuki, z kołczanami, płaskich i jednakowych jak na darejkach, w których od lat już pobierał żołd od perskiego króla. Chętniej brałby piękne statery Filipa ze zwycięską czwórką koni, ale nie miał wyboru. Udawał, że nie dostrzega niechętnych spojrzeń schodzących się perskich dostojników. Gdy w otoczeniu straży przybocznej wszedł król i zajął miejsce na pozłocistym tronie, a obecni padli na twarz, Charidemos jeno skłonił się lekko, gdy zaś Dariusz pozwolił zgromadzonym usiąść, pierwszy zajął miejsce koło tronu i wyzywającym spojrzeniem odpowiadał na niechętnie spojrzenia perskich dostojników. Czuł się niezbędny. Po śmierci Memnona nie było poza nim nikogo, kto mógłby się chlubić, że skutecznie walczył z niezwyciężonymi zastępami macedońskimi. Z lekceważącym zniecierpliwieniem słuchał przemówień, z których wyłoniły się dwa zdania: rzucić przeciw najeźdźcy siły najbliższych satrapii, aby zatrzymać dalszy jego pochód, w ustawicznych walkach wykuszając jego szeregi, albo też zebrać siły z całego państwa i pod wodzą samego króla zadać Aleksandrowi jeden stanowczy cios.

Dariusz wahał się. To potakiwał, to spoglądał na Charidemosa, który sądząc, że król czeka na jego zdanie, zabrał głos:

— Co oznaczają siły kilku satrapii w ręku nieudolnych wodzów, okazało się nad Granikiem. Ale nie ma jeszcze ostatecznego niebezpieczeństwa, by wszystko rzucać na szalę, a zwłaszcza, by sam król obejmował dowództwo. Nie należy zapominać, że Aleksander niejedną już zgotował nieprzyjaciółom niespodziankę. Nie oparła mu się nawet Hellada, której nie zmoęła cała potęga Kserksesa. Gdyby udało mu się zwyciężyć króla, wojna może przybrać nieoczekiwany obrót. Ja zaś poręczam, że jeśli otrzymam sto tysięcy wojska, w tym przynajmniej trzydzieści tysięcy helleńskich najemników — zniszczę nieprzyjaciela.

Gdy Charidemos mówił, wśród dostojników perskich wzmagął się nieprzychylny szmer, ale on nie tracąc pewności siebie podniósł głos:

— Możecie mnie zakrzyczeć, ale nie zaprzeczyc, że gdyby Memnon znalazł posłuch, nie byłoby klęski nad Granikiem. Nie słuchajcie i mnie, jeśli wam mało tego doświadczenia...

Nie mógł mówić dalej, bo zerwał się Arsakes, satrapa Kapadocji, i nie prosząc nawet króla o głos zakrzyknął:

— To, co mówi ten najemnik, obrazą jest godności naszego państwa, a zniesławieniem tych, co walcząc mężnie z najeźdźcą położyli swe życie. Nie po to płacimy najemników, by ich słuchać, a tym mniej wysłuchiwać ich obelg.

— Gdybyśmy posłuchali tego zuchwalca — wpadł mu w słowo Spitamenes — dalibyśmy najsmutniejsze świadectwo bezsiły i nieufności dla samych siebie. Jasne jest, czego chce: otrzymać władzę, by zdradzić państwo Cyrusa. Zaklinam cię, królu, nie ufaj temu obcemu, nie zawieraj mu niczego! Gdy sam staniesz na czele wojska powszechny zapal i poświęcenie, jak płomień mierzwę, w pył i proch obróci zuchwałego wroga.

Charidemosowi krew uderzyła do głowy. Nie widział, że Dariusz patrzy na niego gniewnie i wybuchnął:

— To wy chcecie narazić na zgubę państwo Cyrusa. Zaślepieni pychą, z pogardą mówicie o najemnikach. Czy to nie oni do końca walczyli nad Granikiem, gdy wyratowaliście się tchórzliwą ucieczką, czy nie Memnon wyprowadzić zdołał tych, co pozostali przy życiu, by

nadał opór stawiać najeźdźcy? Czy najemnik Hegesilochos nie bronił Halikarnasu mężnie i umiejętnie, zatrzymując całą siłę Aleksandra, gdy wasz Mitrynes oddał mu Sardes bez walki! Nie chcecie uznać potęgi helleńskiej broni, by nie przyznać własnej bezsiły. Jeśli mądrość króla nie przeważy pychy i wojna przybierze zły obrót, od was, nie od nas spodziewać się może zdrady, przekonają się, oby nie za późno, kto mierzwą jest, a kto płomieniem,...

Głos Charidemosa utonął w powszechnej wrzawie. Dariusz dotknął jego pasa i skinąwszy na dowódcę straży rozkazał:

— Udusić!

Gdy opierającego się Charidemosa wleczono do wyjścia, ten jeszcze krzyknął:

— Moją wartość ocenisz miarą własnego żalu nad tym, co czynisz. Mój mściciel blisko!

Mimo że wniosek Demostenesa o zerwanie układów korynckich przypadł odejście Aleksandra z najlepszymi siłami do Azji ożywiło nastroje wojenne w Atenach. Nie przygasiła ich nawet wieść o zwycięstwie nad Granikiem, nie zachodziła bowiem obawa powrotu Aleksandra. Antypater zaś związany jest buntem w Tracji. Demostenes żałował jednak, że wniosek postawił. Ucierpiała nie tylko jego miłość własna. Aleksander niewątpliwie dowiedział się o tym, klęski jego mówca nie uważał już za pewną, a wspomnienie przeżytej trwogi o własną głowę nakłaniało do ostrożności, którą przed sobą samym usprawiedliwiał troską o niedawno urodzonego syna. We własnym stronnictwie znaczenie jego zmalało, Hypereides po raz wtóry nie poparł jego wniosku i poróżnili się znowu. Demostenes przestał brać udział w zebraniach. Odsunął się od spraw, nie atakował więcej Fokiona, a nawet szukał porozumienia z Demadesem.

Gdy jednak z Aten doszła wiadomość o losie jeńców pojmany nad Granikiem, Demostenes postanowił uczestniczyć w zebraniu przywódców swego stronnictwa.

Chciał wiedzieć, co zamierzają począć nieprzejednani, a w razie potrzeby odciąć się od pochopnych poczynań. Zgromadzeni w osobnej izbie gospody, przywódcy zdali się czekać na Demostenesa, ledwie bowiem zajął miejsce, Hypereides zwrócił się do niego:

— Dobrze, żeś przyszedł, bo nie wiedzieliśmy, czy jeszcze należysz do naszego stronnictwa.

— Tę samą wątpliwość miałem co do ciebie - odparł Demostenes — gdyś poparł naszych przeciwników, by udaremnić ostateczną sposobność poderwania Hellady do walki z tyranem. A może sądzisz, że teraz nastąpi sposobniejsza pora?

— Nie jest żeglarzem, kto umie żeglować jeno przy pomyślnym wietrze.

— Ale jeno nierozważny wyrusza na morze, gdy rozsądni chronią się w przystani przed burzą.

— Czy mamy rozumieć, że należysz do stronnictwa rozwagi?

— Pozostawcie na uboczu wzajemne wyrzuty i spory — gwałtowną odpowiedź Demostenesa uprzedził Likurg. — Nie o przeszłości radzić mamy, jeno co począć, gdy dwa tysiące naszych obywateli pracować musi pod batem w kopalniach tyrana. Jeśli nie uczynimy nic, hańba spadnie na nasze miasto, a tyran utrwali się w przeświadczeniu, że bezkarnie może pozwalać sobie na wszystko.

— Teraz doszliście do przekonania, gdy jeszcze wzmógł się na siłach, a co więcej, ma pozory słuszności? - odparł Demostenes. — Ja przestrzegałem, by nie obsyłać korynckiego zjazdu, bo to na podstawie jego uchwał Aleksander zburzył Teby, a teraz naszych obywateli czyni niewolnikami.

— To samo mówi twój przyjaciel Demades, z tą jedynie różnicą, że przyznaje słuszność tyranowi bez obłonek — wtrącił Hyperides. — Czy przypominanie twych dawnych zasług, których nie chowałeś pod korzec, ma oznaczać, że dość już uczyniłeś dla miasta, by dbać teraz o siebie?

— Przestańcie swarzyć się — niecierpliwie przerwał Mojrokles. — Nie pora na to, gdy dwa tysiące obywateli

gnije w smrodzie i ciemności. Co zamierzacie uczynić, by ulżyć ich losowi?

— Mnie pytasz? — sarknął Demostenes. — Gdybym doradzał, by odbić ich siłą, nawet nieprzejednany Hypereides uważałby to za demagogię. A jeśli nie, niech taki wniosek postawi sam. Dobrze odegrał nieustraszonego, gdy Aleksander zażądał wydania przywódców naszego stronnictwa. Mógł być przecie pewny, że jego stary przyjaciel Fokion nie pozwoli mu krzywdy wyrządzić i to bezpłatnie, gdy ja za, to samo musiałem Demadesowi grubo zapłacić

— O tyle więcej warta teraz twoja głowa od mojej - drwiąco odpowiedział Hypereides. — Muszę ci jednak przyznać, że nie masz równego, jeśli chodzi o umiejętność ponizania przeciwnika.

— Skoro uznałeś się już za pokonanego — wtrącił Demon — powiedz, co twoim zdaniem należy uczynić w tym położeniu, bezczynność bowiem istotnie nie przyniesie nam chluby.

— Ja sędzę, że kto nie może przyzwoicie żyć, może jeszcze przyzwoicie umrzeć.

— Wielkie słowa i mruknął Demostenes. — Każę je wyryć w marmurze.

- Każ to uczynić, bo inaczej zapomnisz. Ale w Sparcie to jeszcze nie słowa. Nie oglądając się na nie i na nikogo, gotuje się ona do walki z tyranem. Teraz nie chodzi o zaszczyt, kto jej będzie przewodził ale by ją podjąć. Kto nie chce niech stoi na uboczu i czeka, aż sam zostanie niewolnikiem.

— Należałoby przeto porozumieć się z Agisem. Brat jego z flotą spartańską bawi przy Farnabazosie. Zapewne zamierzają lądować na Istmie lub na Eubei, w Tebanach znajdą naturalnego sprzymierzeńca. Wtedy pora będzie poderwać do walki nasze miasto.

— Ja radzę wysłać wspólne poselstwo wszystkich trzech największych państw helleńskich do Dariusza. Klęski nad Granikiem nie zechce pozostawić bez odpłaty. Memnon może tylko hamować postępy Aleksandra, ale gdyby wszyscy jego przeciwnicy współdziałali w porozumieniu, jego nieprawdopodobne powodzenie znalazłoby swój kres.

— Słuszne jest to, co mówisz, ale ściągnięcie sił perskich z odległych satrapii wymaga czasu, a kto widział, jak wygląda życie niewolnika w kopalni, wie, że każdy dzień jest drogi.

— Na to nie widzę rady — powiedział Demon. — Gdy Dariusz przyśle pieniądze, możemy zwerbować najemników i z nimi zaczynać.

— Pieniądze winien mieć jeszcze Demostenes - wtrącił Hypereides. — Trzystu talentów nie wydał na pomoc dla Teb i przekupienie Demadesa.

— Pieniędzy nie mam, a wyrachuję się z nich tam, skąd je dostałem — warknął Demostenes.

— Nie zaczynajcie znowu sporów — przerwał Liskurg. — Ty, Hypereidesie, możesz jeszcze jedno uczynić nakłoń Fokiona, by spowodował wysłanie poselstwa do Aleksandra. Mogą mu złożyć życzenia z powodu zwycięstwa, a zarazem prosić o uwolnienie pojmanych Ateńczyków. Uwolnił przecie Teban, choć również walczyli i walczyć będą przeciw niemu. Aleksander lubi, by podziwiano jego wielkoduszność.

— Ja sędzę, że lęka się gniewu bogów za to, co uczynił w Tebach. A prosząc Fokiona, musiałbym mu powiedzieć, co my zamierzamy. Aleksander może się dowiedzieć, że układamy się z Agisem i Dariuszem, a wówczas dwulicowość poszłaby na rachunek Fokiona.

— Skoro ważniejsze dla ciebie, by twój przyjaciel nie stracił szacunku twego nieprzyjaciela, niż los dwu tysięcy współobywateli — uszczypliwie sarknął Demostenes — obędziemy się bez twojej przysługi! To ja mogę załatwić z Demadesem.

— Tym lepiej — odparł Hypereides. - Ty pozostaniesz w zgodzie z sobą, a ja miałbym niesmak.

Dariusz istotnie nie mógł dłużej lekceważyć najazdu. Był mężem w pełni lat, wielkiej siły i uderzającej urody. Za młodu odznaczył się męstwem i obrotnością w walkach z Kadusiami co przyniosło mu godność satrapy Iranu, a w pojedynczej walce pokonał olbrzyma, przeciw któremu nikt nie ważył się wystąpić. Pamiętał jed-

nak, jakimi drogami on sam i niejedyn z jego poprzedników doszedł do tronu, na skutek czego nieufny był, sądy o ludziach miał chwiejne i niepewne. Ostatnie słowa Charidemosa utkwily w jego umyśle jak drzazga, której zrazu nie czuje się, aż potem jątrzyć się zaczyna; teraz zdało mu się słuszne, że w wypadku klęski może się spodziewać zdrady raczej ze strony własnych krewniaków i dostojników niż najemników helleńskich, którzy dbać muszą o swe zawołanie, by nie stracić chleba. Już teraz Dariusz żałować zaczynał, że pozwolił się powodować niechęci i zawiści swych doradców i pozbył się potrzebnego człowieka, który z niego zdjąć chciał ciężar dalszego prowadzenia wojny.

Niemniej klęskę uważał za nieprawdopodobną. Aleksander dotychczas zwyciężał, bo nigdzie nie spotkał się z siłami większymi od własnych. Ściągające nad Eufrat wojska perskie już kilkakrotnie przewyższały liczbę najeźdźców, stanowiły dopiero nieznaczną część tego, co Dariusz mógł im przeciwstawić. Plan Memnona, by wywołać powstanie w Helladzie i przenieść wojnę do Europy, upadł z jego śmiercią. Wątpliwe było, czy Farnabazos, który po i zmarłym objął dowództwo, zdoła wykonać go, a dalsze postępy Aleksandra w zajmowaniu wybrzeża pozbawiały flotę wpływu na przebieg wojny w Azji Mniejszej, gdzie nastąpić musi rozstrzygnięcie.

Pasmo niepomyślnych wieści urwało się nagle i Dariusz znowu powziął nadzieję, że skończy wojnę bez wysiłku. Z Tarsu nadeszła wiadomość, że ciężka chotobą zwała tam Aleksandra z nóg. Zziębnięty, chciał się ochłodzić w mroźnych falach Kydnosu, gdzie chwycił go kurcz tak straszny, że nieprzytomnego wyciągnięto z wody. Od tego czasu leży trawiony gorączką, a lekarze zwątpili, czy uda się utrzymać go przy życiu.

Skoro los się uśmiechnął, Dariusz postanowił dopomóc losowi. Od macedońskich zbiegów znał stosunki na dworze Aleksandra, szpiegzy donosili o zamieszaniu, jakie wywołała jego choroba. Przyjaciele króla są zrozpaczeni, lekarze bowiem, widząc bezskuteczność swych zabiegów, odstępowali go w obawie, że gdyby, zmarł wzburzone wojsko na nich wyrze swój zawód i żal.

Tylko Filip z Akamanii, który od dzieciennych lat Aleksandra miał troskę o jego zdrowie, nie tracił jeszcze nadziei. Podtrzymywał ją też w wyczerpanym gorączką! i bezsennymi nocami chorym, który sam zwątpił już o swym wyzdrowieniu.

Po doświadczeniu z Sisynesem Dariusz, nie chcąc pismu powierzyć tajemnicy, przez posłańca ofiarował Filipowi tysiąc talentów złota i rękę swej córki, jeśli otruje Aleksandra. Sądził, że zdoła go skusić, zbrodnia nie mogła wyjść na jaw, a nie wątpił, że za taką cenę własny lekarz nadworny otrułby jego samego.

I tym razem jednak posłaniec wpadł w ręce czujnego Parmeniona który strzegł przejść przez góry Ammanu. Gdy wikłał się w odpowiedziach, skąd i do kogo był wysłany, poddany torturom wyznał swe zadanie, nie umiał jedynie wyjaśnić, czy to nie Filip sam ofiarował Dariuszowi swe usługi. Tak czy inaczej, należało króla zawiadomić i Parmenion wysłał pismo do Aleksandra, doradzając nie ufać Filipowi.

List doręczono królowi, kiedy lekarz z ziół i korzeni gotował dla niego lekarstwo. Aleksander szybko przebiegł pismo; oczyma i gdy Filip przystąpił z kufelkiem napoju do łoża, wręczył mu list. Twarz lekarza mieniła się w miarę czytania. Potem spojrzał na króla, który uśmiechnął się i wypił. Filip otarł pot z czoła i usiadł, widocznie nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Po chwili powiedział z wysiłkiem:

— Zawsze jednak nieostrożny jesteś, królu.

— Czy ostrożni nie umierają? Gdybym był tak ostrożny, jak Parmenion, zapewne wkrótce bym nie żył. Ale tym razem mylisz się. Gdyby prawdą było, że cię skusił Dariusz, sam byś wypił truciznę, bo jeśli bym zmarł, ciebie czekałaby śmierć mniej lekka,

To prawda — szepnął Filip — ale jeszcze nie wyzdrowiałeś.

— Teraz wzajem krzepić będziemy w sobie nadzieję - odparł Aleksander. — a Dariusz tysiąc talentów zapłaci, choć nie wyjdzie po jego myśli.

Wieść o wyzdrowieniu Aleksandra zastała Dariusza w Babilonie, gdzie wyznaczył zbór swych wojsk. Zrozumiał, że już tylko walna rozprawa może położyć kres dalszym postępom najazdu. Satrapa Kilikii nie zdołał go zahamować w wąwozach gór Tauros, a nawet spustoszyć kraju, by nieprzyjaciela pozbawić zaopatrzenia. Lato było na schyłku, Dariusz postanowił nie czekać na poczynania Aleksandra i ruszył w górę Eufratu. Dwieście tysięcy zgromadzonych już wojsk winno aż nadto wystarczyć do zniszczenia co najmniej czterokrotnie słabszego wroga, który mimo przywiedzionych z kraju uzupełnień nie więcej wojsk liczył niż nad Granikosem. Czas naglił, Aleksander umacniał się, zgniótł opór górskich plemion, w miastach, które już niemal zapomniały o swych helleńskich zaczątkach, oddawał władzę helleńskiej mniejszości, zwalniając uległe od trybutu, a ciężkimi kontrybucjami okładając odporne. Burzył stary porządek, który niełatwo będzie przywrócić. Zbiegowie donosili, że Aleksander obsadził przełęczę przez pasmo Ammanu, niewątpliwie, by zabezpieczyć sobie przejście przez nie w równiny Syrii. Na wieść o tym Dariusz przeprowił wojska przez Eufrat i dotarłszy do Sochoi stanął obozem w odległości dwóch marszów dziennych od przełęcz, tu postanawiając wydać bitwę, Rozległa równina pozwalała na pełne wykorzystanie przygniatającej przewagi, zwłaszcza nieprzebranego mnóstwa jazdy, wobec której pięć tysięcy konnych wojsk Aleksandra zdało się garstką bez znaczenia. Dwór króla i jego rodziny, orszaki satrapów i krewnych; królewskich liczniejsze były niż całe wojska Aleksandra. Wróżebny sen upewniał Dariusza, że zwycięstwo będzie zupełne i ostateczne: widział Aleksandra w płaszczu perskiego króla jadącego konno przez ulice Babilonu na tle łuny ogarniającej całe niebo, a potem jeździec i koń zniknęli. Magowie Chaldejscy przepowiadali śmierć Aleksandra. Spoglądano ku północy, każdej chwili spodziewając się ujrzeć chmurę kurzawy zwiastującej nadejście nieprzyjaciela, ale nikt nie nadchodził.

Dostojnicy perscy zaczęli drwić: Aleksander wie, że jego garstkę rozniosą kopytami swych koni nie sięgając do miecza, nie waży się opuścić wybrzeża i wychylić

poza Tarsos, tam go należy poszukać i zniszczyć. Darmo przestrzegał Amyntas, by nie zapuszczać się w wąskiej doliny Kilikii, które nie pozwolą na rozwinięcie całych sił, a w razie niepowodzenia na uporządkowany odwrót; Zapewniał, że Aleksander nadejdzie, gdy się przekona, że nie zdoła wywabić przeciwnika z korzystnej pozycji. Odpowiedziano Amyntasowi drwinami i podejrzeniami: Aleksander będzie mu wdzięczny i gotów nawet wybaczyć zdradę, gdy zyska na czasie, by ująć. Należy go ścigać natychmiast.

Dla przyspieszenia pochodu Dariusz kazał odprowadzić do Damaszku skarbiec, haremy oraz znaczną część sprzętu i zwinawszy obóz, ruszył na zachód. Przełęcząc w górach Ammanu zastał nie obsadzone, perskie zastępy, nie spotykając oporu, dotarły do Issos, gdzie z wojsk macedońskich znalazły tylko niezdolnych do marszu rannych i chorych. Reszta odeszła na południe.

Teraz Dariusz nabrał pewności, że Aleksander uniknąc chęć starcia, porzucając tych, którzy hamować go mogą w ucieczce. Zapewne uchodzić chce w góry, gdzie łatwiej bronić się może przed pościgiem niż na drodze przybrzeżnej, zagrożonej przez flotę perską, a miasta na wieść o zbliżaniu się Dariusza niewątpliwie staną po jego stronie, by uchylić się od kary za bunt.

Wyróżnawszy wśród okrutnych znęcań maruderów macedońskich, Dariusz stanął obozem opodal ujścia rzeki Pinaros, wysyłając po wieści o poruszeniach Aleksandra. Tak czy inaczej, miał go w pułapce. Teraz już nie żałował, że nie posłuchał Charidemosą i dowództwo objął osobiście. Sława niezwyciężonego, którą głosili nawet wrogowie Aleksandra, jemu przypadnie, zniszczy go tak że noga nie ujdzie z pogromu. Potem nastame czas rozprawy z jego sprzymierzeńcami zarówno w Azji, jak w Europie.

Wieść o zjawieniu się Dariusza w Sochoi doszła Aleksandra w Malos, na północnym krańcu zatoki. Nie chcąc przed bitwą wyczerpywać swych wojsk uciążliwą prze-

prawą przez góry, postanowił je obejść łatwiejszą drogą i dotrzeć do Sochoi przez Bramę Syryjską. Odwołał Parmeniona i ruszył na południe brzegiem zatoki, by się upewnić, że zakotwiczona na Cyprze flota perska nie zagrozi jego tyłom, gdy zajęty będzie bitwą. Dla pośpiechu pozostawił w Issos niezdolnych do walki i dotarłszy na południowy kraniec zatoki, zastał wiadomość, że Dariusz porzucił dogodną pozycję w Sochoi i przeszedłszy pasmo gór stoi obozem pod Issos.

Wiadomość uważał Aleksander za tak pomyślną, że zdała się nieprawdopodobna, ale potwierdzili ją wysłani statkiem do Issos hetajrowie, donosząc zarazem o rzezi bezbronnych towarzyszy. W wojsku wieść wywołała przynębnienie i rozgoryczenie a wśród starszyny obawę, że Dariusz podejmie plan Memnona, nie stanie do walnej rozprawy i hamować będzie wszelkie ruchy. Aleksandra, wyniszczając jednocześnie kraj, by wroga pozbawić zaopatrzenia.

Zwołani na naradę schodzili się milcząco, a gdy król wezwał do zabierania głosu, odezwał się tylko Parmenion:

— Zle się stało, że odwołałeś mnie z gór, gdzie skutecznie mogłem powstrzymać nieprzyjacielską przewagę i zabezpieczyć przynajmniej drogę odwrotu. Nie wiem, co zamierzasz teraz, wiem natomiast, co bym uczynił na miejscu Dariusza. Jak długo możemy walczyć bez zaopatrzenia, gdy na wszystkich drogach czyhać będzie nieprzyjaciel? Połączenie z krajem odcięte przez flotę, a tu nawet ci, którzy nam sprzyjają, ze strachu przed Dariuszem zwrócą się przeciw nam.

— Dobrze tedy, że nie ty dowodzisz wojskami Dariusza — odparł Aleksander. — I dobrze, że nie dowodzisz naszymi. Czy na jego miejscu nie czekałbyś na spotkanie pod Sochoi, zamiast tłoczyć te tłumy w ciasne doliny czy wąską równinę przybrzeżną? Bo ty mnie, znasz i wiesz, że nie uchodziłem jeszcze nigdy i po to tu przyszedłem, by się z Dariuszem zmierzyć; a jemu się zda, że uchodzę na samą wieść, że przyprowadził tu chmary niewolników, które jeść muszą kilkakrotnie tyle, co my, ilu wszakże przed jednym uciekało, widzieliśmy nad Granikiem. Dlatego on mnie ściga przed bitwą, a ja

będę go ścigał po bitwie. Ale nie potrzeba twego doświadczenia, bo wie tu ostatni pacholek, że gdybyśmy ją przegrali, wszystkich czeka taki los, jaki spotkał naszych, towarzyszy w Issos. Do wyboru mamy pomścić go lub podzielić. I ty pytasz, Parmenionie, co zamierzam uczynić?

Parmenion musiał przyznać przed sobą, że Aleksander jest wodzem, który potrafi przygnębienie i zniechęcenie zmienić w zapał i zajadłość. Nawet starzy strategowie Filipa, nawykli inną miarę przykładać do spraw wojny, ściskali teraz dłoń króla. Młodzi drwili z Dariusza i wygrażali mu wołając, by Aleksander natychmiast prowadził ich przeciw niemu, zanim Persowie pomiarkują, że nie ścigać mają uchodzących, ale stawić czoła niezwyciężonym zastępom macedońskim.

Aleksander pohamował niecierpliwość towarzyszy: wojska muszą wypocząć i pożywić się przed pochodem i walką, on zaś poznać dokładnie przyszłe pole bitwy i ustawienie wojsk nieprzyjacielskich, którym w ciasnej dolinie niełatwo będzie zmieniać szyki. Zwiady ruszyły celem rozpoznania położenia i zamiarów nieprzyjaciela, król sam doglądał przygotowań do walki. Tu i ówdzie rzucił słowo zachęty, przypominał znajomym żołnierzom przebyte niebezpieczeństwa i obowiązek poniszczenia wymordowanych w Issos towarzyszy. Gdy podjazdy wróciły przed zmrokiem, Aleksander nakazał pochód zostawiając wozy z zapasami i sprzętem technicznym, a sam jadąc na czele uważnie słuchał sprawozdania.

Obóz perski leżał w odległości kilku stadiów od prawego brzegu Periandrosu, który wypływając z wąskiej doliny wśród stromych, wzgórz zmierzał przez równinę ku ujściu w zatoce. Prawy brzeg, miejscami urwisty, na oczach zwiadowców zaczęto umacniać nasypami; lewy był płaski na przestrzeni dziesięciu stadiów od ujścia, dalej ku wschodowi natomiast biegł u stóp dość wyniosłego wzgórza, wysuniętego niemal do połowy szerokości nadmorskiej płaszczyzny, rozszerzając się ku północy aż do odległego o pięć mil Issos. Dariusz wie widocznie o nadsięganiu Aleksandra i bitwę postanowił wydać nad rzeką, by się od pierwszego uderzenia nią zasłonić.

Ciemno było jeszcze, gdy Aleksander zatrzymał pochód na kilka stadiów od Periandrosu, a sam przesiadłszy się na Bukefalosa, którego oszczędzał bardziej niż siebie samego, w otoczeniu strategów ruszył ku rzece.

W pierwszych brzaskach świtu późnego dnia jesienno-widocznym zadaniem jej było tylko zabezpieczyć obóz od nocnego napadu, a[^] teraz, rozdzieliwszy się na dwie części, zajmowała stanowiska na skrzydłach ustawiających się już do bitwy wojsk perskich. Parffienton biegłym okiem ocenił ją na trzydzieści tysięcy. Gdy jazda ustąpiła, ujrzeli liczne oddziały lekkobroջnej piechoty, które przesuwały się ku lewemu skrzydłu perskiemu, zasłoniętemu przez wzgórze. Nieprzyjaciel ubezpieczał się ilością wojsk większą od całej armii Aleksandra.

Słońce wzbilo się tymczasem i Aleksander wjechałszy na przybrzeżny pagórek mógł ogarnąć okiem Całe pole przyszłej bitwy, od wyjścia z wąwozu aż do siniejącej w dali zatoki, oraz obóz perski rozłożony u stóp przedgórzyciągnących się ku północy. Wychodziły z niego gromady, Ustawiając się w kolumny za rozwiniętymi już nad rzeką głębokimi szykami wojsk, które pierwsze miały wziąć udział w bitwie. Na prawym skrzydle jak spiżowy mur stał trzydziestotysięczny zastęp najemnych hoplitów Tymondasa, na lewym — stłoczone głowa przy głowie od rzeki aż pó stromy stok wąwozu — sześćdziesięciotysięczne zastępy ciężkobroջnych Kardaków *, Dariusz potóarfeował. Widocznie, iż tu nie da się użyć po* zbawionej swobody ruchów jazdy, gdyż przesuwał ją teraz na swe prawe, skrzydło. Na lewym natomiast poza linię bojową wysuwał się dwudziestotysięczny oddział ciężkiej piechoty, niewątpliwie celem oskrzydlenia wojsk macedońskich w toku bitwy. Sam Dariusz stanął pośrodku w otoczeniu gwardii i jazdy szlacheckiej i, lśniacej świetną bronią i klejnotami; oraz jazdy medyjskiej i hyrkańskiej w odwodzie. Patrzył z lekceważeniem, jak nadciągające wojska macedońskie z szyku marszowego rozwijają się w linię bojową. Idąca w przodzie jazda rozdzieliła się, część pokłusowała ku zatoce, reszta skryła

się za pagórkiem, na którego skłonie stojąca gromadka pozwalała domyślać się obecności Aleksandra, co chwilą bowiem któryś z jeźdźców pędził ku wojskom, widocznie z rozkazami. Najeżona ogromnymi dzidami falanga zajęła miejsce naprzeciw hoplitów, obok niej ustawiały się oddziały łuczników kreteńskich i lekkiej piechoty trackiej. Rozwinięci[^] prawego skrzydła macedońskiego nie było widoczne, bo krył je pagórek, Dariusz jednak nie wątpił, że tam nastąpi uderzenie. Nie wątpił też, że tu zacznie się klęska Aleksandra, gdy zajętego walką z przygniatającą przewagą otoczy wysłany dla oskrzydlenia oddział Kardaków. Zwracając się do brata swego Ostyatresa powiedział z drwiną:

— Jak sądzisz, czy to już wszystko, co ten zuchwały młokos ma nam do przeciwstawienia?

— Słupi mogą patrzeć w słońce — odparł Oxyatres. — Każ Nabarsanesowi uderzyć jazdą, skoro im nie spieszo. Dzień krótki, w ciemności trudno będzie ścigać nieprzyjaciela.

— Nie będziemy ich ścigać. Niech przejdą przez rzekę, otoczmy ich i wytniemy.

Ten zamiar perskiego króla był widoczny i zdać się mogło, że Aleksander waha się, ale nagle wrzawa wśród wzgórz, gdzie wysunięty oddział Kardaków zagrozić miał tyłom Aleksandra, zdradziła, że tam rozpoczął bitwę, by się przed tym zabezpieczyć. Dwie ile sarysforów gnały w górę rzeki, odcinając Kardakom odwrót za nią, jednocześnie Agrianie i Peoni uderzyli wręcz, a łucznicy zasypali Kardaków gradem strzał. Aleksander przez chwilę patrzył, jak sforna linia perskiej piechoty wygina się i łamie; a gdy rozsypała się po skalistych zboczach, zwrócił się do ilarchów Peroidasa i Pantodarnosa:

— Tamtych zawrócić, nie pora na pościg. Piesi niech dołączą do prawego skrzydła, a Protomachos z jazdą wzmocni Parmeniona. Wy dopilnujcie, by mi czasu bitwy nikt stąd nie zagroził.

Odwrócił się, by spojrzeć ku lewemu skrzydłu. Początek bitwy był pomyślny, ale nie tu leżało główne niebezpieczeństwo. Parmenion nic nie rzeki, gdy król kazał mu trzymać się brzegu zatoki i za żadną cenę nie pozwo-

lic się od niej odepchnąć. Trzy i pół tysiąca jazdy tesalskiej i sprzymierzonej stawić ma czoło trzydziestu tysiącom perskiej. Czy uderzenie masy jazdy wytrzymają najemnicy traccy i kreteńscy łucznicy, tego Aleksander nie był pewny. Jeżeli nie, zmagająca się z helleńskimi hoplitami falanga, zwłaszcza skrajne takty zostaną osaczone, a jazda Parmeniona odcięta. Trzystu saryssoforów Protomacha niewiele potrafi zmienić położenie, zmienić je może tylko Aleksander sam na czele sześciu ili jazdy hetajrów, wybranych z tysięcy, ale niespełna tysiąc ludzi liczących. Na twarzy króla nie widać było napięcia, gdy wyjechawszy na czoło w otoczeniu somatofilaków, wskazał na widnego z dala, stojącego na swym wozie w purpurowym płaszczu Dariusza i rozkazał: — Za mną!

Z miejsca ruszyli w skok, wparli konie w rzekę i pod gradem pocisków przebywszy ją, niemal nie wstrzymując pędu, roznieśli lekką piechotę, która pierwszy opór miała dać uderzeniu, a nie dała żadnego. Kogo nie strątały konie, pierzchał, wprawiając w zamęt szeregi Kardaków i otwierając drogę hypaspistom i oddziałowi chłopców królewskich, którzy przez nikogo nie powstrzymywani, biegiem nadążali za jazdą, Nim Kardakowie, o których Aleksander otarł się tylko, zdołali stanąć w sprawie, Seleukos wpadł na nich od skrzydła i przeciw jemu coraz bardziej bezładną, masę w górę Peaiandrosu, skąd już sypały się pociski agriańskich łuczników, którzy przebywszy rzekę uderzyli od skrzydła na Kardaków. W zupełny zamęt wprawiło ich uderzenie dwóch tysięcy jazdy, którym król kazał strzec prawego skrzydła od obejścia. Widząc jednak, że rozbita z początkiem bitwy piechota perska nie wrzaca do walki, teraz zaskoczyły drogę cofającym się Kardakom, rozpraszając ich w bezładną ciżbę, z której każdy na własną już rękę usiłował się wydobyć.

Dariusz z osłupieniem, jakby oczom nie mógł uwierzyć, patrzył, jak lewe skrzydło jego wojsk zamienia się w stado owiec, niemal bez oporu oddających gardła pod nóż. Nie mógł natomiast dojrzeć, że na prawym skrzydle uderzenie jazdy Nabarsanesa zmiotło niemal do nogi hufiec tesalski, który pierwszy stawił czoło, a pozostałe

cofają się odcinając. Parmenion dwoił się i troił, formując rozbitych do przeciwuderzeń, ale skrzydło niebezpiecznie wyginało się ku południowi i tajało. Czuł, że niedługo już zdoła wykonywać rozkaz, by trzymać się brzegu zatoki i nie dopuścić do wdarcia się jazdy perskiej na tyły falangi, która ciężko zmagać się musi z helleńskimi hoplitami, jak świadczyła nasilająca się wrzawa i szcęk broni. Aleksander, jak rozzuchwalony powodzeniem gracz, wszystko stawia na jeden rzut. Klęska zdała się Parmenionowi nieunikniona. Na myśl o tym raz jeszcze sformował z rozbitków klin i sam stanąwszy na czele, uderzył. Nie chciał oglądać klęski, a od początku nie miał nadziei zwycięstwa.

Z osłupienia, w jakie Dariusza wprawił widok Kardaków pierchających bez oporu przed kilkakroć słabszym liczbą nieprzyjacielem, wyrwał go rosnący wrzask i tętent kopyt. Z zamętu pierchającej na wszystkie strony lekkiej piechoty perskiej wyłonił się klin idącej w skok jazdy jak wymierzony w niego grot. Mężny. Oxyatres na czele gwardii szlacheckiej skoczył naprzeciw, by osłonić króla, ogłuszająca wrzawa stłumiła inne głosy. Gdy Dariusz podniósł oczy, które zmrużył, jak przed nadlatującym pociskiem, uczyniły się okrągłe z prerażenia i nie mógł ich oderwać od strasznego widoku. Klin jazdy macedońskiej orał bruzdę w wyborowym hufcu gwardii, pod kopyta koni walili się najmężniejsi, którzy usiłowali powstrzymać jego pęd. Dariusz wpił wzrok w jasnowłosego młodzieńca, przed którym pierchało wszystko. Widział już jego utkwione w siebie lśniące źrenice. Skoczył przeciw Aleksandrowi olbrzymi Reomitres, nie zdołał jednak nawet skrzyżować szabli z oszczepem i runął pod końskie kopyta.

Dariusz nie pierwszy raz dowodził w bitwie i walka wręcz nie była mu pierwszozną. Ale teraz nie widział, że w lukę powstała, gdy hypaspiści nie mogli nadążyć jeździe hetajrów, skoczył Aristomedes na czele nie związanych walką zaciężników helleńskich, odcinając tyły macedońskiej jeździe; zapomniał Dariusz, że za nim

stoją przeznaczone do pościgu hufce jazdy medyjskiej i hyrkańskiej, że otoczony ze wszystkich stron Aleksander, jak tygrys, który wdarł się w stado bawołów, choć uderzeniem łapy obalić zdoła najtęższą sztukę, prędzej czy później tysiącem kopyt zmieniony zostanie w krwawą miazgę. Dariusz widział tylko, jak dzieląca go ich wroga ściana jazdy szlacheckiej wątleje i pęka; jeszcze chwila, a przyjdzie zmierzyć się z niezwyciężonym.

Wypróbowany woźnica królewskiego rydwanu nagle cisnął wodze płoszących się koni i zeskoczywszy z wozu pognął do tyłu. Nie panując nad sobą Dariusz pochwycił wodze, zawrócił na miejscu i rzucił się do ucieczki. Jak hasło odwrotu rozległ się wrzask:

— Król uchodzi!

Porwane widokiem uciekającego Dariusza odwodowe oddziały runęły za nim, wpadły na stojące z tyłu kolumny wojsk, które nie brały udziału w bitwie i nie widziały jej przebiegu, zamieszały je i porwały za sobą,

Oxyatres z rozpaczą usiłował zgromadzić rozbitą gwardię szlachecką i wycofać się za walczące jeszcze szyki najemnych hoplitów, ale wieść, że Dariusz zbiegł, uprzedziła go i wszędzie opór gasł, a coraz bardziej bezładny odwrót wkrótce zmienił się w paniczną ucieczkę. Aleksander zaś, otarłszy się jeno o cofających się już hoplitów, wpadł na skrzydło jazdy Nabarsanesa w chwili, gdy Parmenion gotował się do rozpaczliwego uderzenia.

Teraz on nie mógł oczom uwierzyć; jazda perska zdzieraa konie i gnała na północ. Reszta ogromnych wojsk Dariusza ciskała broń, zawierając życie własnym czy końskim nogom. Pościg zamienił się w rzeź.

Jak daleko wzrok sięgał, na równinie kłębiły się tłumy uchodzących, obalając się wzajemnie i tratując, byle wydostać się ze śmiertelnego wiru.

Macedończycy brali odwet za wymordowanie w Issos towarzyszy, dziewięćdziesiąt tysięcy trupów i konających zalegało przybrzeżną równinę, zawałiło górskie wąwozy; w ręku zwycięzcy znalazł się obóz perski wraz z matką, żoną i dziećmi Dariusza, który był o krok od zwycięstwa, a teraz u wejścia wąwozu porzuciwszy wóz swój, płaszcz królewski, tarczę i łuk, uchodził na ściegłej

klaczy. Gdy ciemność zapadła i umilkły odgłosy pościgu, miał czas pomyśleć o tym, co się stało: nie rozumiał nic i nie rozumiał sam siebie.

Na widok Aleksandra powracającego z pościgu na złotystym rydwanie Dariusza, w purpurowym płaszczu perskiego króla, z jego łukiem i tarczą w rękach, zwycięskie wojska ogarnął szal radości: Dariusz poległ, wojna z Azją skończona, pozostaje tylko spożywać owoce zwycięstwa. Już teraz raczono się obficie zdobytymi w obozie zasobami. Nie wygasła jeszcze podniecenie walką podtrzymywano winem, nikt nie myślał o wypoczynku, przy setkach ognisk wszyscy omawiali przebieg bitwy, której wynik przeszedł najśmielsze oczekiwanie. Pierzcha przed Aleksandrem nawet Thanatos, z niespełna pięciuset poległych niemal wszyscy padli na lewym skrzydle, dowodzonym przez Parmeniona, szaleńcze uderzenie Aleksandra na czele garstki straceńców, które rozstrzygnęło bitwę, niemal nie kosztowało krwi!

Stary wódz, obchodząc obóz, by zaprowadzić ład, słuchał tego ze sceptycznym uśmiechem. Tak wyrasta legenda! Prości żołnierze lubią bajki, dworacy — pochlebstwa. Parmenion wiedział, że rannych było wielu, między nimi sam król. Gdyby niecz, którego pchnięcie ugodziło go w udo, trafił nieco wyżej koniec byłby nie tylko legendy. Jeszcze teraz, gdyby po stronie perskiej znalazł się dowódca nie poddający się popłochowi, mógł nocnym uderzeniem choćby niewielkich sił klęskę zamienić w zwycięstwo. A oprócz Parmeniona nie myśli o tym nikt; starszyzna zbiera się właśnie w ogromnym namiocie Dariusza, zaproszona przez króla na ucztę zwycięstwa.

Parmenion niechętnie skierował tam swe kroki. Wolałby spocząć po wysiłku, niż słuchać gwaru pijących. On najlepiej wiedział, jak blisko było klęski, kilkuset poległych to niezmiernie niska cena za utrzymanie całego ciężaru uderzenia przeważających sił perskich. I król lepiej by uczynił, świeżą ranę pozostawiając w spokoju.

Choć skarbiec, harem i dwór wraz z całym zbytkow-

nym zaopatrzeniem Dariusz odesłał do Damaszku, to, co pozostawił dla własnego użytku, musiało oszołomić nawykłych do skrajnej prostoty w obozowym życiu macedońskich wojowników. Złote i srebrne naczynia, broń zdobna szlachetnymi kamieniami, wonności w naczyniach z fenickiego szkła, sprzęty, często niewiadomego użytku, z hebanu; kości słoniowej, szaty ciężkie od klejnotów, mieniające się wszystkimi barwami tkaniny i kołnierze nieciły błyski chciwości w rozognionych już od wina oczach towarzyszy króla, który rozdawał między nich nagrody z upajającą go widocznie rozrzutnością. Parmenion usiadł na niskim stołku przy wejściu, by wymknąć się przy nadarzonej sposobności. Do niego przysiadł się Seleukos, ponury i milczący. Syn jego, Ptolemaios, poległ dowodząc taksą pedzetajrów z Tymfajon. Wszyscy trzej żywi i cali synowie Parmeniona tłoczyli się koło Aleksandra; ale czy zawsze tak będzie? Parmenionowi przyszedł na myśl opustoszały dom ojczysty. Czy któryś z nich zechce kiedyś wrócić do niego, pojąć małżonkę i pozwolić staremu wodzowi cieszyć się wnukami?

Beztronski gwar zmaćił niespodzianie niewieści lament, dochodzący z sąsiedniego namiotu, gdzie pod strażą przebywała pojmana rodzina Dariusza. Aleksander zmarszczył się i polecił Leonnatosowi:

— Idź zobaczyć, co się tam dzieje.

Podpity Filotas zaśmiał się hałaśliwie:

— Zapewne ktoś pociesza Andromachę tego Hektora, który uciekł. Jeśli wzorem twego przodka Neoptolemosa nie weźmiesz jej dla siebie, to daj ją mnie. Pono to najpiękniejsza niewiasta w Azji.

— Milcz — ostro rzucił Aleksander. — I niech się nikt nie waży mówić bez szacunku o królewskiej rodzinie.

Filotas nieznacznie wzruszył ramionami. Od Homero-wych czasów zawsze Hellenowie uważali barbarzyńskie branki za łup lub towar; gdyby nie to nie byłoby Iliady. Zaczął bełkotliwie:

Gniew Achillesa Pelidy opiewaj, bogini...

Urwał, w tej chwili bowiem wrócił Leonnatos, mówiąc:

— Niewiasty Dariuszowe płaczą, bo ktoś im doniósł, że poległ.

— Idź i powiedz im, że Dariusz żyje, a ja nie jestem ani jego, ani ich wrogiem. Zwyciężyłem go w otwartej walce i jeśli uzna się za pokonanego, nic mu nie grozi. One zaś niech uważają, że są u mnie w gościnie, i będą podejmowane jako dostojne niewiasty.

Słowa króla wywołały wśród obecnych poruszenie i zdziwienie. Zdały się zapowiadać, że zakończyć chce wojnę i utorować drogę do porozumienia z Dariuszem. Parmenion pomyślał, że mylił się, sądząc, iż król ruszy w pościg za Dariuszem, od jeńców zaś dowiedział się, że w Sochoi bawiły u perskiego króla poselstwa Sparty, Aten i Teb, których cel nie budził wątpliwości, a zarazem świadczyły o porozumieniu między nimi. Flota spartańska już współdziałała z perską, z Atenami omal nie doszło do otwartej wojny, gdy groźbą wysłania stu trójrzędowców wymogły od Hegelocha zwrot zajętych przez niego statków ateńskich dla tworzącej się na nowo floty. Dariusz wprawdzie może zebrać znacznie większe siły niż te, które uległy zniszczeniu, nieprędko jednak, a tymczasem, choćby kosztem wielkich ustępstw, napewno zechce odzyskać pojmaną rodzinę. Dlatego Parmenion postępek Aleksandra uważał za rozsądny i przewidujący.

Młodzi dostojnicy natomiast, którym tylko wojna obiecywała władzę, korzyści i używanie, nie chcieli widocznie tego zrozumieć.

Filotas mruknął do Peukestasa:

- Pewnie my będziemy padać na twarz przed tymi niewolnicami, zamiast one na grzbiet przed nami.

— Nie trap się — odparł Peukestas. — Dariusz w swym kurniku ma tyle niewiast, ile dni w roku. Będziesz mógł jeszcze okazać swe męstwo.

— Co z tego, kiedy odesłał je do Damaszku. — Bądź cierpliwy. One królowi niepotrzebne, ale skarby, które wraz z nimi odesłał, przydadzą mu się. Słuszność tego przewidywania potwierdził Aleksander który przystąpił do Parnaeniona mówiąc:

— Widzę, że zmęczony jesteś, skoro nie weselisz się wraz z nami. Dam ci łatwiejsze niż dzisiaj zadanie. Damaszek trzeba zająć, nim dojdzie tam wieść, co tu zaszło. Wezmiesz jazdę tesalską i sprzymierzoną. Zostawisz ją Memnonowi, który pójdzie z tobą jako satrapa Koilestryi, a ty dołączysz do mnie, gdzie będę. Jutro złożę ofiary dziękczynne i odprawię święto zwycięstwa, a potem ruszam na południe.

— Tedy pozwól, że teraz pójde wydać rozkazy i spocząć, by ruszyć o świcie. I tobie radzę spocząć, nie zawsze będziesz młody, a rany lepiej się goją w spokoju.

— Dotychczas goiły się w pochodzie. Ja nigdy nie będę stary, a ty byłeś zawsze.

Parmenion niezbyt rozumiał, co Aleksander chciał przez to wyrazić. Zapewne po prostu nie znosi ludzi, którzy myślą inaczej niż on. Parmenion nie dziwił się już, to, czego świadkiem był dzisiaj, nawet teraz zdało mu się nieprawdopodobne.

Jeszcze mniej to, co się stało, rozumiał Dariusz. W nocnej ucieczce przez góry myślał tylko, by nie wpaść, w ręce zwycięzcy. Na każdy odgłos dochodzący z tyłu zmuszał do cwału swą klacz mimo obawy, że w ciemności nogi może połamać na głazach. O świcie przemęczona odmówiła posłuszeństwa, ale droga schodziła już w dół, wąwozy rozszerzały się w doliny, a w dziennym świetle poznał, że nieprzyjacielskim pościgiem zdali mu się rozbitkowie własnej jazdy. Gdy dołączyli, jechali w milczeniu i zatrzymali się dopiero w Onchai. Mimo że śmiertelnie znużony, Dariusz chciał ciągnąć dalej, by Eufrat zostawić za sobą, ale widział, że nie zdoła zmusić swoich do dalszego wysiłku. Walili się, gdzie który stał, nie myśląc nawet o pożywieniu ni obroczeniu koni, a tym mniej o strażach. Postanowił czuwać sam, nie zdołał jednak i zasnawszy obudził się dopiero koło południa. Rozbitkowie musieli napływać przez cały czas, było ich już bowiem około czterech tysięcy, przeważnie bez broni, wyczerpanych i niekarnych. Tylko oddział helleńskich hoplitów przyszedł zwarcie, z hegemonami na czele, rozłożył się obozem przed miasteczkiem i wystawiwszy strażę, gotował posiłek. Jak zło-wroga przepowiednia odżyły w pamięci Dariusza słowa

Charidemosa. Jego mściciel już przyszedł, z ówczesnych doradców nie widział przy sobie nikogo, zaufać może tylko najemnikom, przynajmniej póki nie dotrze tam, gdzie klęska jeszcze nie rozluźniła karności.

Ciągnąc już pod Tapsakos, gdzie stała liczniejsza załoga strzegąca przeprawy przez Eufrat, Dariusz miał czas przemyśliwać nad rozmiarami klęski. Jakkolwiek trudno jeszcze było przewidzieć jej skutki, jasno widział jej przyczynę i przygnębianie jego wzrastało. Trwoga, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał i sam nie mógł teraz zrozumieć, zmusiła go do ucieczki, w chwili gdy Nabarsanes i Tymondas byli o krok od zwycięstwa, a nie naruszone jeszcze siły, zdolne stawić skutecznie czoło słabszemu liczbą i wyczerpanemu już walką wrogowi, sam wprawił w połoch. Na myśl zaś, że przez to własna jego rodzina popadła w niewolę, ogarniały go wstyd i rozpacz. W ogromnym jego państwie nie brak jeszcze sił i zasobów, które mogą położyć kres najazdowi i zetrzeć hańbę klęski, ale wydawszy najbliższych w ręce wroga, tym samym związał własne. Za wszelką cenę musi swoich wydostać. Aleksander wie, że ze swą garstką nie zdoła więcej strawić, niż już zdobył, i jemu zależeć musi na chwilowym choćby pokoju. Wygrał bitwę, ale nie wojnę. Pismo, które Dariusz kazał do niego wysłać, nie było prośbą ni poddaniem.

„Król królów Dariusz do Aleksandra Filipowego, króla Makedonów. Ojciec twój z poprzednikiem moim na tronie Persów i Medów zawarł przyjaźń i przymierze po wieczne czasy. Artakserkses zgodził się zostawić twemu ojcu wolną rękę w Helladzie, jeżeli nie będzie się mieszać do naszych spraw w Azji, i Filip zobowiązał się do tego przysięgą. Mimo jednak, że z naszej strony nie doznał żadnej krzywdy, złamał wiarę i gdy poprzednik mój, Arses, zasiadł na tronie, wojskami swymi najechał kraje należące do naszego państwa. Sam wiesz, że nie wystąpiliśmy przeciw nim z całą naszą potęgą, by ukarać wiarołomstwo, spodziewając się, że gdy ty objąłeś po nim władzę, zechcesz wysłać do nas poselstwo dla utwierdzenia dawnej przyjaźni i przymierza, bardziej tobie niż nam potrzebnych. Gdy jednak bez słusznej przyczyny sam wkroczyłeś do Azji, wiele złego wyrzą-

dzając Persom, i ja wyruszyłem przeciw tobie,, jako władca, od którego poddanym należy się ochrona. Sam wiesz, że nie własna siła, ale tylko pomoc któregoś z bogów dała ci nad nami zwycięstwo, bogowie jednak nie zawierają ze śmiertelnymi przymierzy. We mnie natomiast możesz zyskać sprzymierzeńca przeciw wszystkim wrogom, jeśli mi oddasz moją matkę; żonę i dzieci, za co ja nie omieszkać po królewsku cię wynagrodzić. Pismo to wręczą ci moi zaufani Arsimas i Meniskos i upoważniłem ich do wysłuchania twych życzeń i uwzględnienia ich, jeśli będą rozsądne i słuszne, a zarazem do odebrania od ciebie dowodów wierności. Ty wyślij swoich posłów, którzy by je wzajem ode mnie odebrali".

Nadzieję Dariusza na przychylną odpowiedź rozniecały nadchodzące wieści. Farnabazos i Autolrades znieśli załogę macedońską w Mitylene, zmuszając całą wyspę do wystąpienia z Korynckiego Związku i uznania warunków pokoju Antalkidesa. Zajęli Tenedos, wymógłszy zerwanie układu z Aleksandrem, wysłali kilkanaście statków dla opanowania Hellespontu, a sami pożeglowali do Chios, zostawili tam część floty dla utrzymania wyspy i ze stoma trierami zawinęli do Sifnos. Lądowanie na Eubei lub w Istmie Korynckim skupi dokoła nich wszystkie wrogie Aleksandrowi siły w Heliadzie, Aleksander nie o zdobyczach będzie zmuszony myśleć, ale o własnym kraju.

Tymczasem jednak Syria leżała przed nim bezbronna, w Damaszku pochwycił dwór, harem i skarbiec wojenny Dariusza, zyskując środki nie tylko na utrzymanie wojsk, ale i na zaciąg. Nowo utworzona flota jego odbiła Tenedos, twierdza w Halikarnasie padła, wraz z nią ostatnie punkty oparcia dla floty na wybrzeżu Azji Mniejszej. Nadzieja Dariusza na pomyślny rozwój wypadków zaczęła przygasać. Rozbitków spod Issos, którzy uszli na północ, wytępiono do nogi, wobec postępów Aleksandra w Syrii Egipt był zagrożony. Dariusz wysłał tam Mazakesa: celem przygotowania obrony, wieść jednak o samowolnym postępku Amyntasa, a zaraz potem o jego klęsce i śmierci, zapowiadać zdała się utratę także tego kraju, a tym samym oparcia i zaopatrzenia floty na całym Morzu Śródziemnym.

Amyntas, który po poległym pod Issos Tymondasiej objął dowództwo helleńskich najemników, korzystając z tego, że większość wojsk macedońskich zajęta jest bezładnym pościgiem, zdołał skupić osiem tysięcy hoplitów, przebił się z nimi w górę rzeki i nocą przeszedłszy przez góry dotarł z nimi do Tripolis, gdzie zakotwiczona była część floty perskiej. Załadowawszy na statki swych ludzi, pozostałe spalił i wylądowawszy w Egipcie ogłosił się następcą poległego satrapy Sabakesa.

Mimo to Dariusz nie spodziewał się takiej odpowiedzi, jaką miał otrzymać, a której treść doszła do niego, zanim wrócili jego posłowie wraz z posłańcem Aleksandra. Pisał ją do Dariusza, ale chciał widocznie, by znana była powszechnie, a zwłaszcza w Helladzie. Posłowie perscy zastali go w Maratos, stolicy króla Aradiów, który uprzedzając nadejście Aleksandra wysłał do niego syna z hołdem i wieńcem, a zarazem odwołał swe statki z floty Farnabazosa. Na zebraniu dostojników własnych i fenickich Aleksander kazał odczytać pismo Dariusza, a zarazem i swoją odpowiedź:

„Aleksander, król macedoński, strategos-autokrator Hellady i władca Azji, do Dariusza. Bez najmniejszej przyczyny ze strony Hellady poprzednicy twoi wtargnęli do Macedonii i pozostałych państw helleńskich, niosąc wiele nieszczęść. Obwołany wodzem Hellenów, postanowiłem odplacić Persom za to, co nam uczynili, i gdy znowu dałeś przyczynę do wojny, przyszedłem do Azji. Wspomagaliście Peryntian, którzy obrazili mego ojca, Ochos wysłał wojska do Tracji, która znajduje się pod naszą władzą; ojciec mój zginął z ręki spiskowców, których wyście podjudzali do czynu, jak sam stwierdziłeś wielokrotnie w rozsyłanych na wszystkie strony listach. Wspólnie z Bagoasem zamordowałeś króla Arsesa, przywłaszczając sobie tron perski, nie tylko niezgodnie z prawami Persów, ale z naruszeniem ich najświętszych praw, Bynajmniej niepochlebnie pisałeś o mnie do Hellenów, by ich podżegać do wojny ze mną; Spartanom i niektórym innym posyłałeś pieniądze, jakkolwiek z wyjątkiem Sparty żadne inne państwo ich nie przyjęło. W końcu przez swych wysłańców usiłowałeś uwieść moich przyjaciół i zburzyć pokój, jaki ofiarowałem Hel-

lenom. Z tych przyczyn, skoro ty rozpocząłeś nieprzyjazne kroki, wyruszyłem przeciw tobie. Jako zwycięzca w uczciwej walce, naprzód nad twymi strategami i satrapami, a teraz z łaski bogów także nad tobą i twoją siłą zbrojną, ja jestem panem kraju, który swoim zowiesz. Ci, którzy walczyli przeciw mnie w twoich szeregach, a nie legli w walce i oddali się pod moją ochronę, doznają mej opieki, nikogo nie zmuszam, by pozostał u mnie, z własnej chęci, dobrowolnie oddają się pod moje rozkazy. Gdy przeto jestem panem Azji; przybądź do mnie i ty; gdybyś jednak lękał się, że przyszedłszy narazisz się na troski, przyślij szlachetnych ludzi, by odebrali stosowne zapewnienie twego bezpieczeństwa. Jeżeli przybędziesz, znajdziesz u mnie powołane ucho dla twej prośby o oddanie ci matki, żony i dzieci i o cokolwiek będziesz prosił ponadto, przyznam ci. Gdy jednak ponownie będziesz do mnie słał, masz zwracać się do mnie jako do króla Azji, a nie pisać jak do równego sobie, życzenia swe przedkładać z należną pokorą, jako panu tego wszystkiego, co niegdyś było twoje, w przeciwnym razie postąpię z tobą, jak ze znieważającym mój majestat. Gdybyś jednak był odmiennego zdania, kto jest dzierżycielem władzy, to nie uciekaj, ale oczekuj mnie do walki o nią w otwartym polu; jeśli o mnie chodzi, to ja poszukam cię, gdziekolwiek jesteś".

Mimo że już znana była mu treść odpowiedzi, Dariusz czytał ją, wstrząśnięty do głębi. Odkąd istnieje monarchia perska, nikt nigdy nie ważył się pisać do króla królów jak ten zuchwały młokos. Przebijała z pisma pogarda i lekceważenie, a Dariusz musi je znosić, dopóki nie wydobędzie z rąk najeźdźcy swych najbliższych. Opanował się i rzekł do Aleksandrowego posłańca.

— Zuchwały jest twój pan, rozumiem jednak, iż nie do mnie to pisał, ale by u swych wrogów, których mu nie brak, wzbudzić przekonanie, że już mnie pokonał, choć sam wie, że to nieprawda. Chcę zapomnieć, co pisze, a mówmy, czego istotnie chce w zamian za oddanie mej rodziny. To jest jego przewaga nade mną, bo ja mogę przegrać dziesięć bitew i wojna potoczy się dalej, a jeśli on przegra jedną, niecn nie czeka nie tylko względów, ale nawet miłosierdzia.

— Ja jestem posłańcem, a nie posłem — odparł Persippos, — nie mam omawiać warunków pokoju, ale oddać pismo, w którym król wyraźnie określił swe żądania.

— Tedy istotnie nie mam z kim się układać — powiedział Dariusz wyniośle, zaciskając zęby. — Powiesz tedy swemu panu moje pismo, w którym ja podam, do jakich granic skłonny jestem pozwolić mu wykorzystać przypadkową przewagę.

— Jeśli mi zapłacisz, mogę ci oddać tę przysługę, bo tego mi król nie zabronił. Ale sądzę, że zapłacisz na darmo.

— Odejdź więc prędko, bym ci nie zapłacił tak, jak na to zasługujesz — powiedział Dariusz hamując gniew.

Musi znosić zuchwałstwo nawet tego najemnika. Drogo przychodzi płacić za jedną chwilę utraty panowania nad sobą. Zapłaci, ale gdy tylko odbierze swoich, przyjdzie czas obrachunku.

Czas ten jednak był daleki, a skutki klęski nie dały na siebie czekać. Siły swe Dariusz musiał ściągać z dalekich obszarów swego rozległego państwa. O najemników helleńskich, zdolnych w równej sile stawić czoła falandze, łatwiej teraz było Aleksandrowi, gdy mógł ich ściągać z Hellady i wysp, a żołąd płacić z zagarniętego w Damaszku skarbcza. Wraz z nim wpadli w ręce Parmeniona posłowie państw helleńskich, łączność z nimi była zerwana. Miasta fenickie poddawały mu się bez oporu, co gorsze — wycofując swe okręty z floty Farnabazosa, a wzmacniając macedońską, która już zajęła szereg wysp przybrzeżnych, nadzieją zaś na bunt w Helladzie topniała wraz z flotą.

Mimo wszystko troska o wynik wojny nie spędzała by snu z oczu Dariusza, gdyby najeźdźca nie miał w ręku jego rodziny. Arsimas wprawdzie przyniósł wiadomość, że nie brak jej niczego, prócz wolności, a Sisigambis przesłała przez niego list do syna, w którym nie skąpiła słów dla wspaniałomyślności zwycięzcy. Ale donosiła zarazem, że synowa jest w ciąży i źle znosi rozłąkę, bła-

ga przeto męża, by uczynił wszystko celem wydobycia jej z niewoli.

Dariusz zaś mógł tylko czekać. Bezczylnie słuchać musiał nawet wiadomości, że tyryjski Azemilkos odrzucił żądanie Aleksandra wydania mu położonego na wyspie Nowego Tyru, stanowiącego twierdzą niedostępną od lądu, od morza zaś bronioną przez górującą nad wszystkimi sprzętem i doświadczeniem flotę fenicką. Wszczęte przez Aleksandra oblężenie przeciągało się w miesiące, ale zbliżał się także czas rozwiązania Stateiry. Skuteczny wreszcie opór i znaczne straty powinny zmiekczyć pychę zdobywcy i Dariusz nie bacząc, że wywołać może wzburzenie wśród swych krewniaków i dostojników, postanowił ofiarować raz jeszcze takie warunki, których przyjęcia był pewien. Zleciwszy posłom jak największy pośpiech, niecierpliwie czekał odpowiedzi, nieśmiało żywiąc nadzieję, że ujrzy własną rodzinę wraz z posłami dla zaprzysiężenia pokoju. Zdało się, że nadzedeł kres oszłamiających osiągnięć Aleksandra, nie może stać pod Tyrem w nieskończoność ani zostawić go za plecami, a nie weźmie go bez potężnej floty, choć i to było wątpliwe. Twierdzą dzieli od lądu szeroka na tysiąc kroków cieśnina, spławna tylko przy brzegu wyspy na szerokość trzech sążni; starczy kilka statków, by ją zamknąć.

Przybywszy do Tyru Arsimas również nabrał przekonania, że tym razem poselstwo jego odniesie skutek. Na posłuchanie wprowadzie kazano mu czekać, a pismo złożyć w kancelarii królewskiej, ale zyskał przez to czas na rozpatrzenie w położeniu, które nie układało się dla Aleksandra korzystnie. Po długotrwałej, mozolnej pracy nad budową grobli przez cieśninę, wystawione na niej wieże oblężnicze zostały właśnie zniszczone przemysłnym manewrem Tyryjeżyków, którzy do nich podprowadzili statek naładowany drewnem i smołą i podpaliwszy go, w ciągu godziny udaremnił kilkumiesięczny wysiłek, zadając przy tym znaczne straty zajęтым przy budowie. Jasne się stało, że od strony lądu wzięcie twierdzy jest niemożliwe i w wojsku dawało się odczuć znużenie i zniechęcenie. Toteż Arsimas był niemal pewny, że odpowiedź Aleksandra będzie pomyślna.

Parmenion dowiedział się o ustępliwości Dariusza po powrocie z wypadu przeciw łupieskim Pizydom, którzy utrudniali zaopatrzenie wojsk i dowóz materiałów potrzebnych do robót oblężniczych. Archigrammateus Eumenes okazał mu pismo Dariusza, zaznaczając jednak, że Aleksander zakazał rozpowszechniania jego treści, posła zaś polecił trzymać pod strażą, by przez niego się nie rozniosła.

Parmenion znał Eumenesa z czasów, gdy był pisarzem w kancelarii Filipa. Bystry i wykształcony, nie licząc lat trzydziestu został kanclerzem Aleksandra pozyskawszy jego zaufanie, ku zawiści macedońskich dostojników. Zamilowany w księgach i nawykły do ładu, urząd swój chętniej pełniłby w stolicy niż ustawicznie przenosząc się z miejsca na miejsce. Toteż Parmenion oddając mu pismo, powiedział:

— Zapewne rad jesteś, że dokończysz w kraju pisać swe efemerydy, a ja chętnie odwiedzę dom swój.

— Nie przeczę, wodzu, że wolałbym pisać w spokoju. Lubię porządek, a trudno go utrzymać w drodze. Dopiero tu ład jakiś zdołałem wprowadzić, ale daleko do tego, by w kancelarii królewskiej było jak w Pelli.

— Sądzę, że wkrótce tam będziemy, a ład zdałoby się wprowadzić nie tylko w kancelarii. Antypater pisze, że się z królową uładzić nie może. Sparta wojną grozi, reszta Hellady niepewna. Wiem, że Aleksander wojnę lubi dla wojny, ale jakiś cel musiał sobie postawić. Większej sławy nad tę, którą już pozyskał, nie zdobędzie, więcej kraju nam nie trzeba, a gdy przyjmie warunki Dariusza, pozbędzie się przeciwnika, a raczej pozostanie tylko Sparta, której Antypater sam może nie wydołać. Gdy z nią skończymy, nikt się nie waży przeciwstawić naszej hegemonii. A jeżeli postoiemy tu jeszcze jak ongi pod Peryntem, doczekać możemy Dariusza, me z taką jeszcze potęgą, jak pod Issos, gdzie już klęska wisiała nad nami jak miecz Damoklesa. Aleksander winien zgodzić się, bo kto by nie chciał skończyć wojny jako zwycięzca, w chwili gdy Tyche zdą się odwracać ód niego.

— I ja tak sądę, ale dowiemy się jutro, bo król naradę zwołać kazał, niewątpliwie nad odpowiedzią na pismo Dariusza.

Parmenion wiedział, że wśród weteranów Filipa wiara w niezwyciężoność Aleksandra przygasa, ale stanowili oni mniejszość. Przed naradą chciał się połapać, co myślą młodzi dostojnicy Aleksandra, dla których wojna była treścią życia, a przynajmniej środkiem wyżycia wszystkich namiętności, od żądzy władzy do zwykłego wyuzdania. Król wprawdzie narady zwoływał raczej ze zwyczaju i przychodził na nie z gotowym postanowieniem, ale teraz może na rękę mu będzie, by wniosek o zakończenie wojny, a zarazem o odstąpienie od chybionego oblężenia nie od niego wyszedł. Filotas może znać zamiary króla. Parmenion przeto chciał rozmówić się z synem.

Dwór i agema Aleksandra, a więc i wszyscy trzej synowie Parmenidna stali gospodą w rynku Starego Tyru, Wczesnym rankiem udał się do nich, zastał jednak tylko Hektora i Nikanora, którzy zapytani o brata, uśmiechnęli się, a Hektor wyjaśnił:

— Wyniósł się stąd, bo mu przeszkadzamy.

— W czym? — zapytał Parmenion, choć znając Filotasa domyślał się przyczyny, a gdy nie odpowiadali, dodał ostro:

— Kogo sobie znów namotał?

— Tym razem zda się, że jego sobie namotała Antyгона — odparł Hektor.

— Idź do niego i powiedz; że, rozkazuję mu stawić się u mnie natychmiast.

Wódz wyszedł chmurny. Na rozpustę zwykł patrzeć z pobłażliwym niesmakiem, jako na odprężenie po wyśilkach i niebezpieczeństwach ale nie w ich toku, a związanie się Filotasa ze znaną w Pelli z urody, zbytku i chciwości heterą uważał za niebezpieczne. Dziewki zawsze ściągają do wojska jak gzy do końskiego potu, Antygoną jednak nie była zwyczajną nierządnicą, której pozbyć się można byle czym. Jeżeli porzuciła wygodne życie w Pelli, narażając się na trudy i niebezpieczeństwa podróży, to nie po to, by zarobić parę drachm. Istotnie omal nie skończyła w haremie Dariusza, do którego pojmaną w drodze odesłał Farnabazos. W Damaszku wpadła jednak w ręce Parmeniona i uwolnił ją na własne utrapienie.

Czekając na syna Parmenion postanowił mówić z nim

spokojnie. Nie pora teraz surowo karcić jego wybryki, gdy jest dojrzałym mężem, jednym z pierwszych dostojników Aleksandra, pewny siebie i zarozumiały. Gdy zjawił się wreszcie, ojciec nie okazując zniecierpliwienia zapytał:

— Basileus ma dziś odprawić perskiego posła. Czy wiesz, co mu odpowiedzieć zamierza i czy nad tym właśnie mamy uradzać?

— Ja sędzę, że nad tym, jak wziąć tę przeklętą warownię — odrzekł z ulgą Filotas.

Spodziewał się wyrzutów z powodu nowej kochanki Parmenion jednak wolał zostawić tę sprawę na koniec i odpowiedział:

— Jeżeli Aleksander przyjmie warunki Dariusza, nie ma co radzić nad oblężeniem. Nie mówił, co zamierza?

— Nie potrzebuje mówić! Nie zniesie, by ktoś mógł rzec, że on nie postawił na swoim.

— Gdyby zawarł pokój z Dariuszem; to z kim byśmy Tyr musiałby się poddać.

— Gdyby zawarł pokój z Dariuszem, to z kim byśmy wojowali? — rzucił Filotas beztrąsko.

— Z kim? — Parmenion zaczął ostrzej. — Nie brak jeszcze wrogów w Helladzie i dość będzie jeszcze potu i krwi kosztowało, nim się w zdobytych krajach nowy ład ustali. Filip, choć zwycięstwa lubił nade wszystko, gdy gotował perską wyprawę, zamierzał tylko odepchnąć Persję od morza, by sobie panowanie nad nim zapewnić. Czegóż więcej chceć może Aleksander?

- Nie wiem, czego chciał Filip. Ale wiem, że nie po to ostrzy się miecz, by go powiesić na ścianie.

- Mówisz jak najmita, który żyje z wojny, bo nie ma swego domu i ojczyzny — gniewnie fuknął Parmenion. — Żołd i łupy zdobyte z narażeniem życia trwoni na dziewczki i pijaństwo, bo nie ma dla kogo dorabiać się. Ale nawet Filip, który nie był wzorem powściągliwości, swoje i cudze żądze umiał okiełznać, gdy nie pora była dawać im folgi. Hegemona najemników, który heterę sprowadził do obozu, kazał wysmagać i wygnąć. A ty, słyszę, związałeś się z nierządnicą, która cię wyssie i wypłuje jak łupinę bobu, dobrze jeśli zdradą nie odpłaci.

— Bo dość mam takich z którymi człek się prześpi,

nawet ich nie obejrzawszy. Czegóż ode mnie chcesz? Bym żył jak Aleksander?

— Radziłem ci już, byś o królu mówił ostrożnie, jeśli nie z większym szacunkiem — spokojniej rzekł Parmenion. — Bacz, że szybciej się upada, niż wznosi, a utraconej życzliwości nie odzyskuje się nigdy. Szybko wyszedłeś w górę, nieradeś mieć nad sobą nikogo. Chciałbym przynajmniej zrozumieć, do czego ty zmierzasz.

— Jeżeli tego chcesz — chmurnie rzekł Filotas --to pozwól mówić i mnie.

— Mów — powiedział Parmenion.

Oczy utkwiał w swych dłoniach i siedział nieporuszony gdy Filotas zaczął:

— Czy tylko najmita nie ma domu? Czy to był dom, w którym nigdy nie siedziałeś? Najlepiej z niego pamiętam te noce, które przeplakałem, gdy przyjechałeś na dzień lub dwa i znowu cię nie było i nie wiedziałem, czy i kiedy wrócisz. Pięcioro dzieci matka ci urodziła, bo pewnie tyle razy z nią spałeś! Nie pomnę jej, zawsze tylko obcych ludzi. Pono nie przyjechałeś nawet, by ją pochować, gdy zmarła.

Gdy Parmenion się nie odezwał, Filotas ciągnął:

— Nie po to nas wyrostkami oddałeś Leonidasowi, byśmy dom mieli i gospodarzyć się uczyli, jeno by nas do wojny zaprawiał jak psy do łowów. Nie pieścił nas. Teraz chcesz się nami opiekować? Masz dom, czemuż w nim sam nie siedzisz?

— Czy to już wszystko? — po chwili zapytał Parmenion.

— Nie, Chcesz, bym cisnął Antygonę bo strwonię pieniądze który życie narażając zdobyłem; na nierządnicę, jak ją zwiesz, Niech i tak będzie, ale zna swoje rzemiosło, pieścić umie jak żadna i pogwarzyć z nią można. Kupuję, czego mi brak, a jej kto za złe wziąć może, że sprzedaje drogo, by gdy zwiędnie, nie musiała sypiać z brudnymi żołdakami za parę oboli. Na co mam oszczędzać, gdy nie wiem, czy za rok, miesiąc lub dzień nie z dziewczką będę leżał, ale w ziemi. Policz, ilu już legło z agemy Aleksandra od czasu, gdy ujął berło, bo ni siebie nie szczędzi, ni kogo. Mówisz, że mnie zdradzić gotowa. Ja ją też, gdy mi się sprzykrzy. Ale póki nie, niech

mi się zda, że mam kogoś swojego, co się o mnie troszczy, choćby z wyrachowania.

Parmenion długo milczał. Wstał wreszcie i rzekł:

— Ja ciebie rozumiem, jeno nie ty mnie. Krótko ci powiem: chciałbym, by u nas wreszcie synowie ojców chowali, a nie ojcowie synów. O to walczyłem przez całe życie.

— I cóżes wywalczył? Ja synów grzebać nie będą, bo ich nie mam; kto mnie pogrzebie, o to nie dbam. Ale póki żyję, chcę z tego coś mieć.

— Możesz odejść — powiedział po chwili Parmenion.

Nie dowiedział się, co zamierza Aleksander, ale, to, co usłyszał od Filotasa, rzucało światło na młodych towarzyszy króla. Znał ich wszystkich od wyrostków, a teraz uświadomił sobie, że ich nie zna. Mają swoje cele, zapewne nie wszyscy takie jak Filotas, ale zawsze związane z wojną. Poparcia swego zdania może się spodziewać tylko u dawnych współpracowników Filipa o ile to zda się na coś. Niemniej postanowił próbować przekonać Aleksandra. Jeśli nie z rozsądku, to z pychy powinien; w chwili gdy powodzenie zdaje się załamywać, zgodzić się zakończyć wojnę jako zwycięzca.

Rozmowa z Filotasem przygasła jednak w Parmenionie tę nadzieję. Idąc na naradę układał sobie, czym może nakłonić króla nie urażając jego pewności siebie i dumy.

W wielkiej sali gromadzili się już hetajrowie, dowódcy wojsk sprzymierzonych i najemnych oraz posłowie wrogich Tyrowi miast. Wśród obecnych Parmenion zauważył także pojmanego w Damaszku wraz z posłami Teb i Sparty posła ateńskiego, Ifikratesa, trzymanego dotychczas pod strażą. Aleksander widocznie chciał, by udzielona Dariuszowi odpowiedź nabrała rozgłosu, narada nad nią natomiast odbyć się miała u Eumenesa i on miał wygotować pismo.

W kancelarii Parmenion zastał już zgromadzonych wszystkich somatofilaków z wyjątkiem Hefejstiona. Prócz nich byli Peukestas i Klejtos. Jeżeli Parmenion spodziewać się mógł poparcia swego zdania, to chyba tylko od Klejtosa, choć i on od pacholecia nie znał życia bez wojny, Ale jego dwóch siostrzeńców legło pod Mi-

letem, jego uwielbienie dla Filipa, jako też szacunek i zaufanie do współpracowników starego króla pozwalało żywić nadzieją, że da się przekonać, a jest śmiały, otwarty i spoufiony z Aleksandrem. Eumenes natomiast, mimo że podziela zdanie Parmeniona, głosu nie zabierze, bo odniósłby odwrotny skutek. Ze swym pisarzem, nie wtrącając się do rozmowy, gotował się do sporządzenia pisma. Towarzysze Aleksandra nie lubią obcych współpracowników, lekceważą nawet najwyższych dostojników nie biorących udziału w walkach, Eumenes zaś ma poczucie swej wartości i nie zamierza im się narzucać. Hefajrowie zresztą rozmawiali o oblężeniu, widocznie nie licząc się z jego zakończeniem i Parmenion upewnił się, że żaden z nich jego zdania nie poprze.

Aleksander w towarzystwie Hefajstiona wszedł swym szybkim krokiem i skinąwszy głową na powitanie, zwrócił się do Eumenesa:

— Przeczytaj, co pisze Dariusz.

Gdy Eumenes skończył, Aleksander powiedział:

— Dziś odprawię perskiego posła, bo nie chcę, by myślał, że go więzimy. Co o tym sądzicie?

— Ja bym zaczekał z odpowiedzią, aż się sprawa Tyru wyjaśni— powiedział Klejtos.

— O tym radzić będziemy później.

— Jeśli radzić mamy nad odpowiedzią — zaczął Parmenion — to słusznie czynisz odkładając naradę nad oblężeniem, bo może okazać się niepotrzebna. Azemilkos broni się licząc na pomoc i odsiecz, podda twierdzę, gdy się przekona, że liczyć nie ma na co. Nie Tyr zresztą jest celem naszej wyprawy. Ojciec twój, gdy ją zamierzał, chciał zjednoczyć pod swym berłem wszystkich Helenów, zarówno w starym kraju, jak i na wyspach i wybrzeżach Pontu Trackiego i Egejskiego Morza. Ty, zawierając pokój, osiągniesz więcej: nawet dostęp do Zatok Arabskiej, a przez nią do Etiopii i Indii. Cóż jeszcze osiągnąć możemy prowadząc dalej wojnę? A co ponadto przyniesie nam pokój z Dariuszem, to leży na dłoni. Bez jego pieniędzy i poparcia nawet Sparta musi zrozumieć, że na nic dalszy opór, Małżeństwo z córką Dariusza utrwali przymierze z nim, a tobie da następcę, który twoje i Filipa dzieło daiej będzie prowadził, bo nie

ugruntuje się ono w jednym pokoleniu. Za złoto zaś, które ci Dariusz ofiarowuje, możesz z Pelli uczynić stolicę godną państwa, jakiego jeszcze nie było. Wybór przeto masz: albo zawrzeć zwycięski pokój, albo na niepewny los zdać kraj i wszystko, co osiągnąłeś. Pomnij na trudności i niebezpieczeństwa, jakie ojciec twój musiał przezwyciężyć po bezskutecznym oblężeniu Peryntu i Bizancjum. Tam jeno ateńska flota i pomoc jednego satrapy Udaremniła przedsięwzięcie. Tutaj doczekać możemy całej potęgi perskiej od ładu i morza. Gdybym był Aleksandrem, przyjąłbym warunki Dariusza.

— A ja, gdybym był Parmenionem — odparł Aleksander. — Skromność przystoi przeciętności. W niepowodzeniach człowiek poznaje samego siebie. Chcę poznać granice tego, co potrafię.

Arsimas nie tylko pewny był skuteczności swego posłannictwa, ale uważał, że Dariusz pod wpływem obawy o los rodzimy ofiarowuje więcej, niż Aleksander mógł się spodziewać. Odpowiedź, jaką po raz pierwszy otrzymał, uważał za chępliwość oczadzonego niespodziewanym zwycięstwem zuchwalca. Niepowodzenie pod Tyrem powinno go otrzeźwić. Wobec licznie zebranych dostojników postanowił dać mu odczuć, że tylko przypadkowi zawdzięcza ustępliwość króla królów, którego potęga pozostała jeszcze nienaruszona. Pewnym krokiem przystąpił do podwyższenia, na którym zasiadł Aleksander na pozłocistym tronie Azemilkosa, i skłoniwszy się lekko, zamierzał przemówić.

— Dlaczego nie upadasz na twarz, jak wobec króla nakazuje wasz obyczaj? — szorstko zwrócił się do niego Aleksander.

Arsimas odparł naciskając zęby:

— Na twarz padamy przed swoim królem, którego, ja tu przedstawiam.

— Wiesz, że kazałem, by sam stawił się przede mną i prośby swe przedłożył z pokorą, jeśli chce, bym je spełnił.

- Ja nie prośby przedkładam, ale ofiaruję układ,

w którym król królów gotów jest uznać cię za równego sobie, a nawet z tobą się spokrewnić.

— Gdybym zechciał pojąć jego córę, uczyniłbym to nawet wbrew jego woli. Nie przyjmę części kraju, gdy cały do mnie należy wraz ze wszystkimi skarbami, tedy pieniędzy jego nie potrzebuję. Jeżeli jednak uważa, że jeszcze go nie pokonałem, niech się gotuje do walki. Nie zmieniam tego, co raz postanowiłem. Możesz odejść.

Nie zważając więcej na perskiego posła, który stał jeszcze niepewny, co czynić, król skinął na Ifikratesa, a gdy ten przystąpił Aleksander powiedział.

— Zwracam ci wolność przez szacunek jaki żywiłem dla twego ojca. Może w Atenach wreszcie zrozumieją, że nie jestem ich wrogiem.

— Dziękuję ci, królu — śmiało odparł Ifikrates - ale łatwiej przekonałbyś Ateńczyków o swej przychylności uwalniając jeńców, którzy gniją w twoich kopalniach. Uwolniłeś przecie Teban, którzy są i pozostaną twymi wrogami.

— Nie mogę oczekiwać przyjaźni od Teban skoro zburzyłem ich miasto. Aten jednak nie zburzyłem, choć mogłem to uczynić. Powtórzę, co rzekłem w Gordion waszemu poselstwu: uwolnię jeńców, gdy przyjdzie stosowna pora. Sam wiesz, że jeszcze nie nadeszła. Kto sądzi, że ubliża mu przyjmowanie dobrodziejstw, nie powinien ich oczekiwać. Przekażesz moje pozdrowienia Fokionowi.

Odpowiedź Aleksandra była dla Dariusza nie tylko zaskoczeniem i pogrzebaniem nadziei na odzyskanie rodziny, ale wzmogła w nim trwogę o jej losy, ukojoną przez list Sisigambis, Może po to go napisała, albo też najeżdźca wymusił go na niej. Bezbronne niewiasty zdane są na jego zachcianki, a pogardliwe odrzucenie małżeństwa z córą Dariusza zdało się zawierać zapowiedź, że helleńskim obyczajem Aleksander wykorzysta zechce prawa zwycięzcy. Niczym była troska Dariusza o dalsze losy wojny wobec zgryzoty i przygnębienia świadomości, że najbliżsi jemu zawdzięczają swą niewolę. Zbyt

pewny był zwycięstwa, zabierając ich z sobą, a potem pod wpływem panicznego strachu zapomniał o nich, zostawiając ich samowoli najeźdźcy, wobec której czuł się bezsilny. Stateira musi małżonkowi przypisywać winę swego losu, a co gorsze, sądzi zapewne, że on nie chce ponieść ofiary, by go odwrócić. W bezsenne noce wijąc się na łożu, gdy wyobraźnia nasuwała mu najgorsze przypuszczenia, Dariusz gotów już był ulec żądaniu nieprzyjaciela. Wiedział jednak, że nie dotarłby do Aleksandra, by w zamian za wolność swej rodziny oddać tiarę. Zostawiłby ją wraz z głową w rękach satrapów ściągających już na miejsce zboru pod Babilonem. Rozpacz Dariusza zdała się nie mieć dna.

Jednak osiągnął je: niespodziewanie zjawił się na dworze pojmany wraz z królową wierny jej sługa, eunuch Tireus. Nie zważając na swą godność, Dariusz wybiegł naprzeciw nadchodzącego, a gdy niewolnik rozpoczął od należnych królowi tytułów, ten porwał go za ramiona i postawiwszy na nogi krzyknął:

— Przestań! Czy nie rozumiesz, że czekam...

Tireus stał z opuszczonymi oczyma, nie wiedząc, jak zacząć. Król usiadł ciężko i ocierając pot z czoła, szepnął chrapliwie:

— Nie czekam na dobre wieści. Mów!

— Królowa zmarła w przedwczesnym połogu — cicho powiedział Tireus.

Jak ugodzony pociskiem, Dariusz chwycił się za głowę i runął na ziemię. Przez chwilę leżał jak martwy potem łkanie wstrząsać zaczęło jego wielkim ciałem. Nagle zerwał się i tłukąc się pięściami po głowie zaczął krzyżeć:

— Moja wina, że królowa Persów życie zakończyła jak niewolnica, nawet ostatniej czci pozbawiona. Jam najnędzniejszy z ludzi!

— Uspokój się, królu — rzekł Tireus. — Pozostała królową do końca żywota i jak królowa pochowaną wedle naszych obyczajów z najwyższą czcią. Nawet Aleksander oplakał jej zgon.

— Co mówisz? Czyżby on...

Urwał, gdyż nie śmiał ubrać w słowa nowego podejrzenia, boleśniejszego niż wieść o zgonie umiłowanej, Tireus domyślił się wszakże.

— Nie kończ, królu — rzekł — bo znieważasz pamięć swej małżonki niegodnym przypuszczeniem. Przysięgam ci na boga światłości, że żyła i zmarła w cnocie.

— Mógł ją zniewolić — szepnął Dariusz, ale Tireus odparł żywo:

— Krzywdzisz i jego. Matka twoja prawdę ci napisała, że wielkoduszność Aleksandra równa jest jego męstwu.

Dariusz odetchnął szlochem i powiedział:

— Jeśli bogowie pozwolą mi zwyciężyć go, równą mu odpłacę. Jeśli im się spodoba zwycięstwo dać jemu, go-dzień jest, by tiara wielkiego Cyrusa spoczęła na jego głowie.

Gdy jednak najcięższa zgryzota spłynęła ze łzami żalu i Dariusz myśl swą zdolny był kierować na sprawy wojny zwycięstwo Aleksandra zdało mu się wciąż nieprawdopodobne. Zajęte przez niego satrapie stanowiły jeno nieznaczną skrawek olbrzymiego imperium perskiego, a zawsze były zarzewiem buntów i wojen ze światem helleńskim. Niezmierne przestrzenie od Jaksartesu po Zatokę Perską i Morze Erytrejskie, od Eufratu po Indus, ze swymi licznymi i bitnymi ludami, nie tkniętą były najazdem. Gdy dwustutysięczne zastępy pod Issos nie starczyły, by pokonać Aleksandra, Dariusz zbierze ich milion. Nie liczył już na helleńskich najemników ni macedońskich zbiegów. Siłami ludów Azji zdoła odeprzeć najazd.

Bez wrażenia przyjął Dariusz wieść o upadku twierdzy w Tyrze, a potem o zdobyciu przez Aleksandra potężnej Gazy. Nie zamierzał rozpraszać gromadzących się sił. Jedną klęską Aleksandra oznaczać będzie utratę wszelkich, jego zdobyczy, jeśli wcześniej nie straci życia. Dziwne, że jeszcze go nie stracił ustawicznie igrając ze śmiercią. Pod Gazą, wbrew przestrodze swego wróżbity, poprowadził natarcie, podczas którego pocisk z katapulty przebiwszy tarczę i pancerz zranił go w ramię. Gniewny o zwłokę wywołaną niespodziewanym oporem, nie wyleczywszy rany Aleksander nadal sam dowodził uderzeniem i znowu. śmierć przeszła koło niego, gdy arabski wojownik, pozorując poddanie rzucił się na niego ze sztyłem, szybszy jednak od wroga Aleksander odrąbał

wzniesione już do ciosu ramię, a choć ugodzony kamieniem w goleń okulał, wieszony na wozie nadal brał udział w walce, zakończonej bezlitosną rzezią. Rozjuszony bólem, śmiertelnie rannego dowódcę perskiego, Batisa, obdartego z szat kazał przywiązać do swego wozu i włączył dokoła miasta, a żony i dzieci obrońców zaprzedał w niewolę. Ogromny łup, zwłaszcza w wonnościach i kadzidle, których Gaza była głównym rynkiem zbytu, roztrwonił, posyłając je matce i siostrze, a cały statek załadowany nim ofiarował swemu wychowawcy, który ongiś skarcił go za rozrzutne szafowanie. Do cennego daru załączył list: „Posyłam ci w obfitości mirry i kadzidła, byś na przyszłość nie był sknerą dla bogów”. Z całego łupu zachował dla siebie tylko cenną szkatułę na wonności, przeznaczając ją na przechowanie ofiarowanej mu przez Arystotelesa *Iliady*.

Dariusz nie rozumiał tego przeciwnika. Czego chce, skoro nie dba o bogactwa ani o życie? A gdyby zginął, wszystko, czego dokonał, rozsypie się w gruzy. Dariusz jednak przestał już liczyć na to, jak również na opór Hellady.

Parmenion natomiast sądził, że wyprawa zbliża się do kresu, mimo że Aleksander odrzucił ofiarowany przez Dariusza pokój. Zdobycie Gazy otwarło drogę do Egiptu, a okrutny los jej obrońców przestrzegał satrapę Mezakesa przed nieopatrzny oporem bez nadziei na rychłą pomoc. Z nadejściem Aleksandra znieawidzone przez lud egipski jarzmo perskie spadło bez przelewa krwi. Strzegąca wschodniego ujścia Nilu warownia Peluzjon otwarła przed nim bramy, flota macedońska zawinęła do jej portu, przywożąc wieść o pomyślnym zakończeniu walk z Farnabazosem i opanowaniu wysp Egejskiego Morza. Aleksander skierował ją do Memfis, a sam ruszył do Heliopolis, wszędzie witany jak wybawca zesłany przez bogów. Przywiązany do nich lud egipski pamiętał, że Kambyzes znieważył i obrabował ich świątynie, żyli jeszcze świadkowie świętokradztwa Artakserksesa, który zbeszcześcił i spalił zwłoki faraona Amazisa, a własną ręką zabił świętego byka. Poniewierana i uciskana przez Persów kasta kapłanów witała Aleksandra imieniem Meri-Ammon-Sotep-En-Re (umiłowany syn boga słońca),

uznając w nim prawowitego następcę faraonów. Krążyła legenda, że jest wcieleniem wygnanego faraona Nektanebo, który wedle przepowiedni wrócić miał w postaci młodzieńca, by wyzwolić swój lud. Z dawna zakorzeniony w Egipcie żywioł helleński widział w Aleksandrze swego przywódcę, który nie mając lat dwudziestu czterech ziszczył marzenia Peryklesa z najświetniejszego okresu Hellady, otworzył drogę dla helleńskiego handlu do Etiopii i Indii, a dla jego potrzeb rozpoczął panowanie od budowy wspaniałego emporion na mierzei dzielącej jezioro Mareotis od morza — najdogodniejszego portu, a zarazem trwalszego od piramid pomnika założyciela.

Uczciwszy w Heliopolis ofiarami boga Ptah i świętego byka Apisa, Aleksander skierował się do Memfis. Spokojny i zazwyczaj zamknięty w sobie lud egipski witał z ferentycznym zapalem nowego władcą o młodzieńczej twarzy, jak u dawnych faraonów pozbawionej zarostu. Objęcie nowej stolicy uświetniły igrzyska na modłę helleńską oraz zawody poetów i śpiewaków zakończone rozdaniem nagród i wieńców na wydanej w pałacu królewskim uczcie.

Parmenion szedł na nią spodziewając się znaleźć tu sposobność do pomówienia z królem i uzyskania zwolnienia. Pół wieku spędził w walce, a choć nie brakło mu jeszcze sił, ciążyli sobie wzajem. Stary wódz czuł się już królowi niepotrzebny, skoro wyprawa, przynajmniej na razie, skończona. Od Eumenesa wiedział, że Aleksander w pismach do kraju czynił wzmianki o powrocie. Z nim wrócą synowie Parmeniona. Niepokoił się o nich i to wstrzymywało go dotychczas od prośby o zwolnienie. Widział wszystkich trzech zdrowych i całych w różnorodnym i barwnym tłumie biesiadników. Znając Aleksandra wiedział, że nie zadowolony dotychczasowymi osiągnięciami, zechce opanować Wielką Helladę, Italię, północnych barbarzyńców i wybrzeża Afryki aż po Słupy Heraklesa. Morze Śródziemne uczynić morzem helleńskim. Ale przedtem rozprawić się musi ze Spartą. Nie odbędzie się bez walki, Aleksander jednak nie znajdzie przeciwnika, który by mógł udaremnić jego zamierzenia Tymczasem Parmenion pożeni synów, by przy wnukach

spędzić spokojną starość po burzliwym i mozolnym życiu.

Marzenia starego wodza spłoszyły głosy trąb, gdy w licznym orszaku zjawił się Aleksander. Parmenion zrozumiał, że trudno będzie z nim się rozmówić. Zdać się mogło, że tutaj rozpoczynają się zawody pochlebców, którzy tłocząc się dokoła króla, prześcigali się wzajemnie w wynoszeniu jego czynów pod niebiosa. Parmenion przecisnął się przez tłum i zajmwszy miejsce naprzeciw Aleksandra słuchał tego z niesmakiem. Drażniło go, że król z widoczną przyjemnością upaja się coraz bardziej niewybrednymi pochlebstwami, a niepokoił wodza widok Filotasa, który spoczywając opodal obok Klejtosa, niedwuznacznie podrwiwał z tego. Sam Parmenion jednak nie wytrzymał, gdy helleński poeta, wygłaszając pean na zdobycie Gazy, porównał Aleksandra z Achillem i włączając pokonanego przeciwnika za wozem. Stary wódz przerwał mu gniewnie:

— Homer nie oddał przysługi Achillesowi, uwieczniając ten uczynek. Gdyby Achilles nie zmazał go zwracając Priamowi zwłoki syna bez okupu, na jego sławie pozostałaby czarna plama. Kto bowiem w uczciwej walce broni swej ojczyzny, zasługuje na szacunek, choćby był naszym wrogiem.

Parmenion wytrzymał, gniewnie spojrzenie Aleksandra, który rzekł:

— Batis nie bronił ojczyzny, lecz panowania Dariusza. Czy sądzisz, że to, co z nim uczyniłem, pozostanie czarną plamą na mojej sławie?

— Nie — odpowiedział Parmenion. — Bo ten gawędziarz nie jest Homerem i jego wypociny przeminą jak skomlenie szakala, który wlecze się za lwem, by się pożywić cuchnącymi ochłapami. Ty pomnij, że pochlebcy są przekleństwem królów, a oznaką siły jest wspaniałość, nie okrucieństwo.

— Jestem wspaniałościwy, gdy to uważam za potrzebne. A ty troszcz się o własną sławę — odciął się szorstko Aleksander. Odwrócił się i wszczął rozmowę z Hefajstionem.

Parmenion zrozumiał, że prosząc teraz o zwolnienie naraziłby się tylko na pogardliwą odmowę. Ogarnęło go

przeczcucie, że nigdy nie ujrzy swego domu ni wnuków po synach. Z niepokojem patrzył na Filotasa: król nie znosi najlżejszej przygany, zazdrosny jest o swoją sławę, a Filotas pozwala sobie pokpiwać z niego i swoje czyny stawiać na równi z jego czynami. Aleksander wyrozumiał bywa wobec druhów z dziecięcych lat i towarzyszy swych pierwszych zwycięstw, ale w gniewie jest nieobliczalny.

Nie tylko w gniewie. Także w swej wspaniałomyślności, we wszystkim, co czynił. Po zdobyciu Gazy. zażądał od Syrii palestyńskiej zaopatrzenia dla wojska, a gdy arcykapłan Simeon odmówił, powołując się na przysięgą wierności złożoną Dariuszowi, Aleksander ruszył na Jerozolimę. W drodze zjawili się posłowie arcykapłana Samarii Hiskiacha z hołdem i prośbą, by zezwolił zburzyć świątynię jerozolimską i Parmenion był przekonany, że tym razem nie tylko oporne miasto ulegnie zagładzie, choć Aleksander oszczędził świątynie nawet w Tebach. Gdy wojska znalazły się o kilka stadiów od miasta, naprzeciw nich wyszedł uroczysty pochód z arcykapłanem na czele. Na jego widok Aleksander zmieszał się i zeskoczywszy z konia, z czcią go powitał, prosząc, by pozwolił złożyć ofiarę swemu bogu w jego świątyni. Z rosnącym zdziwieniem Parmenion usłyszał odpowiedź:

— Błogosławiony dzień, w którym cię ujrzałem, tyś przepowiedzianym przez proroków jego wysłannikiem, który wyswobodzi naród wybrany z niewoli niewiernych. Ale nie mogę ci być powolny, póki śmierć króla królów nie zwolni mnie od złożonej mu przysięgi. Dni jego jednak są policzone.

Gdy zaskoczony zajściem Parmenion zapytał króla, dlaczego zamiast ukarać opornego kapłana oddał mu cześć, Aleksander odparł w zamyśleniu:

— Zjawił mi się we śnie. Ale nie oddałem czci kapłanowi, lecz jego bogu.

Nie to zdziwiło starego wodza. Król po kolei oddawał cześć bóstwom zdobytych miast i krajów, ale tylko gdy nie napotkał oporu, Parmenion był sceptykiem. Sam, na równi z Aleksandrem, czcił bogów olwpijskich bo taki był obyczaj, a wiarę ludu w nich uważał za czynnik ładu i spójnię. Wiedział jednak, że Żydzi wierzą w boga jedy-

nego i wszechmogącego, a bóstwa pogańskie uważają za demonów lub wymysł. Ksenofont, Sokrates, Diogenes, Arystoteles też co innego pojmują przez bóstwo niż rozpustną zgraję olimpijskich bogów. Wódz sądził, że zgodnie ze swym mistrzem wierzy i Aleksander. Tak zrozumiał jego odpowiedź. Że nie zaprzeczał pogłosce, której źródłem była Olimpias, iż sam jest synem Zeusa-Ammona, to było zrozumiałe. Nerozsądne byłoby temu zaprzeczyć; ale mniej jeszcze rozsądne w to wierzyć.

Czym innym jednak trudno było wyjaśnić obecnie postępowanie Aleksandra. Zostawiwszy główne siły w Memfis, z częścią jazdy i budowniczym Deinokratesem, odjechał, by pilnować budowy pałacu na wyspie Faros naprzeciw powstającego miasta swego imienia. Stamtąd miał zwiedzić warownię strzegącą libijskiej granicy u ujścia zachodniego ramienia Nilu. Niespodzianie wyruszył w głąb pustyni, by w świątyni Zeusa-Ammona zbadać tajemnicę swego pochodzenia.

Dziewięciodniową podróż przez bezwodną pustynię, gdzie zimową porą północne wiatry zacierają wszelki ślad niosąc piaskowe burze, uważał Parmenion za wyzwanie losu, a jej cel za uwłaczanie pamięci Filipa. Jak zwykle jednak zuchwalstwo uszło Aleksandrowi bezkarnie i pod koniec zimy przyszła ubarwiona już legenda wiadomość, że wrócił do Aleksandrii. Min-Ammon, rządca deszczu, zesłał go usychającym z pragnienia, a zatartą przez burzę drogę wskazywały dwa kruki lecąc przed pochodem. Bóg powitał Aleksandra jako swego syna, a kapłani oddali mu cześć boską, której teraz żąda od wszystkich cudzoziemców.

Wieści te przyniósł Kleitos na zebranie starszyny macedońskiej, ale nie zdał się nimi przejmować bo powiedział:

— Nam nic nie szkodzi, że Egipcjanie będą mieli o jednego boga więcej, skoro ich lubią, Zeus-Ammon zaś jeszcze jednego syna, a synów mu i bez tego nie brak.

Wśród obecnych rozległ się śmiech, Parmenion jednak, wzburzony, odparł:

— Ale sobie ujme przynosi kto się swego ojca odrzeka, A trudniej i chwalebniej jest być pierwszym wśród ludzi niż ostatnim z bogów.

Miał żalować, że się uniósł. Nazajutrz dowiedział się od Nikanora, że Filotas napisał do króla list składając mu życzenia, iż został bogiem, by zaś podkreślić, że drwi, dodał, iż żał mu ludzi, którzy muszą słuchać kogoś, kto nie jest człowiekiem. Gdy Parmenion próbował skarcić syna, Filotas odparł zuchwale:

— Mniej napisałem, niż ty powiedziałaś, o czym Aleksander też będzie wiedział. Skoro się go lękasz, trzeba było milczeć. Ale ja się nie lękam i niechby spróbował żądać od nas czci boskiej, to mu tak zakadzę, że mu nos odpadnie.

- Parmenion nie o siebie się lękał. Widział gromadzące się nad Filotasem chmury, z których wypaść może grom. Nękające go przecucie przygasło jednak, gdy Aleksander wróciwszy do Memfis w niczym nie zmienił swego stosunku do macedońskich hetajrów. Filotas był nadal stałym towarzyszem jego posiłków. Hektor i Nikanor cieszyli się zaufaniem i przychylnością króla. Umysły zajęte były wieścią, że Dariusz gromadził siły, by raz jeszcze stanąć do rozprawy o władzę nad Azją, Aleksander zajął się przygotowaniami do walki i opuszczenia Egiptu, by wyjść naprzeciw nieprzyjaciela. Powrót do kraju odsuwał się w nieznaną przyszłość, ale zaciąg, ćwiczenia i uzbrojenie wojsk odwróciły myśl Parmeniona od gnębiącego przecucia.

Grom uderza zawsze tam, gdzie się go nie spodziewać. Łódź, w której Hektor przeprowiał się do Heliopolis przewróciła się, i choć pływał jak ryba, obciążony zbroją, poszedł na dno jak kamień.

Objawy serdecznego współczucia Aleksandra ni uroczystości pogrzebowe z udziałem wszystkich wojsk nie przyniosły Parmenionowi ukojenia. Jego ponure, przecucia zaczynają się spełniać.

Z wiosennymi wodami spływały na równinę Babilonu ludy zamieszkujące niezmierne przestrzenie perskiego imperium. Rozkaz królewski poruszył narody Azji, podległe lub sprzymierzone z monarchią Achemenidów

Z dachu swego pałacu w Babilonie Dariusz nie mógł już ogarnąć wzrokiem lasu namiotów, pod którymi milion wojowników czekał, by wyruszyć przeciw zuchwałemu najeźdźcy. Aleksander ciągnął teraz na północ, by omijając bezwodną Arabię stoczyć z królem królów walkę o władzę nad Azją. Siły prowadził niewiele większe od tych, którymi pod Issos rozstrzygnął ją na swoją korzyść, a nie była to już twarda i zwarta jak głaz armia macedońska, która przed trzema laty przetoczyła się przez wybrzeża, miażdżąc wszystko przed sobą. Szczerby w niej Aleksander wypełniał najemnikami i nowymi sprzymierzeńcami, a wczorajszymi przeciwnikami. Słał do kraju po uzupełnienia, lecz Antypater sam potrzebował wojsk do rozprawy z Agisem, który przy poparciu ze strony resztki floty perskiej rozpoczął już walkę z macedońskimi sprzymierzeńcami na Peloponezie. Dariusz przestał pokładać nadzieje w pomyślnych okolicznościach, a nawet wstydził się sposobów, jakimi poprzednio próbował pozbyć się przeciwnika, Tylko przez zwycięstwo w otwartej walce może odzyskać zachwianą powagę u swych ludów.

Wedle ludzkiej rachuby zwycięstwo Aleksandra było, nieprawdopodobne, Dariusz jednak pamiętał, że to samo sądził pod Issos. Choć zaopatrzenie olbrzymich wojsk było trudne i kosztowne, przez dwa lata gromadził wszystko, co mógł, niczego nie zaniedbując, by szalę zwycięstwa przechylić na swoją stronę. Na wieść, że Aleksander wyruszył już z Tyru, Dariusz wysłał satrapę Mazaiosa z jazdą, by pilnował poruszeń nieprzyjaciela.

Na radzie wojennej zdania były podzielone. Zapalczywsi, zwłaszcza ci, którzy nie zetknęli się jeszcze z Aleksandrem, radzili, by natychmiast wyruszyć przeciw niemu. Mazaios donosił, że przeciwnik nie zważając na letnie upały szybkimi marszami zmierza nad Eufrat, a przednie jego straże już budują pod Tapsakos dwa mosty, czemu jednak on przeszkadza, czekając na dalsze rozkazy. Sądzi, że Aleksander pociągnie w dół Eufratu, na Babilon. Mimo że Bessos, satrapa Baktrii i Sogdiany, podejmował się na czele samej jazdy wstrzymać dalszy pochód nieprzyjaciela, król nie zgodził się. Pamiętał, że pycha jego dostojników wywabiała go z korzystnej pą-

zycji pod Sochoi. Teraz Dariusz sam postanowił obrać pole bitwy.

Gdy Aleksander nadszedł Mazaios zgodnie z rozkazem cofnął się bez walki na południe, ścigany przez jazdę tesalską. Aleksander zaś przeprowadziwszy wojska przez Eufrat skierował się w górę rzeki. Oderwawszy się od pościgu Mazaios doniósł o nadciąganiu nieprzyjaciela i znowu, jak pod Sochoi, wypatrywano jego nadejścia. Wysłane naprzeciw podjazdy nie spotykając nieprzyjaciela dotarły aż do Tapsakos i tam stwierdziły, że odszedł na północ.

Dostojnicy perscy znowu domagali się pościgu za Aleksandrem, który dowiedziawszy się o potędze wojsk perskich zapewne uchroni przed nimi. Dariusz jednak oparł się. Rozumiał, dlaczego Aleksander nie chce przyjąć bitwy pod Babilonem ani prowadzić wojsk przez pustynię. Pociągnął w górę Tygrysu, bo jedyna zdatna dla wojsk przeprawa przez rwącą i głęboką rzekę leżała na równinie koło ruin Niniwy. Dariusz natychmiast zarządził wymarsz, by uprzedzając przeciwnika przygotować pole bitwy. Dziesiątki tysięcy łopąt usuwało piaszczyste wzniesienia, a nawet krzewy i drzewa, które utrudniać mogły wgląd w przebieg boju, a zarazem hamować działania jazdy i wozów siecznych, w których Dariusz pokładał główną nadzieję zwycięstwa. Znowu liczne straże nad rzeką spoglądały, na zachód, by w porę zaskoczyć wroga u przeprawy. Tygrys to nie Granikos ni Periandiros, które Aleksander przekroczył nie wstrzymując pędu. Przebycie tej zapory drogo będzie go kosztowało.

Ale o tym wiedział też Aleksander. Przeprawa pod gradem pocisków przesądzić mogła wynik spotkania, toteż postanowił przeprowadzić wojska w górnym biegu Tygrysu, zanim przeciwnik połapie się w jego zamiarze.

Potężna górską rzeką, usiana głazami[^] pełna niespodzianych głębi i wirów, wśród poszarpanych, niedostępnych brzegów zdać się mogła przeszkodą nie do przebycia, Aleksander jednak bez namysłu pierwszy wparł w nią konia, a za nim przepłynęła się jazda. Ubezpieczony przeciw niespodzianej napaści kazał przeciągnąć liny przez rzekę i rozpoczął przeprawę pieszych

wojsk i taborów. Do wieczora wojska znalazły się na lewym brzegu, wyczerpane jak po najcięższej bitwie, ale z niewielkimi stratami pokonana została przeszkoda, na której załamać się miał dalszy zwycięski pochód. Tymczasem jednak przemarznięte w lodowatej wodzie i wyczerpane niehumanicznym wysiłkiem wojska niezdolne były nie tylko do walki, ale nawet do dalszego marszu. Żołnierze walili się z nóg i zasypiali, nie czekając na gorącą strawę, którą król kazał warzyć za dnia, by w ciemności łuna ognisk nie zdradziła postoju.

Zarządziwszy wystawienie straży i zupełną ciszej Aleksander sam również ułożył się na spoczynek, ale nie mógł zasnąć. Myślał o nadchodzącej rozprawie, która rozstrzygnąć miała o panowaniu nad światem. Po złamaniu Dariusza nie będzie siły, która mogłaby powstrzymać pochód do jego krańców. Wiedział już, że jego wielkość i różnorodność wybiega poza ciasny zakres pojęć helleńskich. Skłócony świat helleński żadnej nie przedstawia siły, nie odegra już żadnej roli w wojennych poczynaniach Aleksandra. Tylko helleńska wiedza i sztuka będą potrzebne, by stopić w jedną całość zdobyty przez Aleksandra świat. Wyrzekł się domu, ojczyzny, miłości w zamian za władzę, jakiej nie miał nikt ze śmiertelnych. Za nim idą młodzi towarzysze i prosty żołnierz jak psy za przewodnikiem stada, żadne walki i łupu. Dla weteranów Filipa jednak celem jest potęga kraju. W miarę jak oddalali się od niego, Aleksander czuł budzącą się niechęć i głuchy opór. Wrócił myślą do nadchodzącego rozstrzygnięcia. Persowie mogą już wiedzieć, gdzie szukać przeciwnika. Niespodziany napad na przemęczone do kresu sił wojska mógłby zaważyć na losach wyprawy. Aleksander postanowił osobiście sprawdzić strażę i wyszedł z namiotu.

Przed wzejściem księżyca noc była ciemna, przenikliwy chłód ciągnął zlesistych wąwozów i od rzeki, jaśniejszej od poszarpanych brzegów pianami porozbijanych o głazy fal. Przez ich szum, jak tajemnicza mowa boga Tygrysu, głucho dudniły toczony po dnie kamienie. W ciemności żywa noga nie przejdzie przez spieniony odmęt. Aleksander skierował kroki ku zalesionym wzgórzom i w miarę jak się oddalał, szum rzeki przyga-

sał, aż umilkł, i dzwoniąca w uszach dawanie pozwoliłaby domyślić się obecności blisko pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

W ciszy tej jednak najśłabszy odgłos nie mógł ująć uwagi i Aleksander nasłuchiwał. Straż rozmawiała, król podchodził cicho i przystanął, gdy rozróżnił słowa:

- Siedem lat! Król jeszcze był szczeniakiem, bawiła go bitka. A mnie dawno już nie była dziwna.

Mówili o bitwie pod Cheroneą. To jeden z weteranów Filipa. Aleksander przysiadł i słuchał. Drugi głos zapytał:

— Dawno wojujesz?

— Jeszcze ciebie na świecie nie było, a ci dzisiejsi strategowie nie wojowali jeszcze nawet patykami.

— Sprzykrzyła ci się wojaczka?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, widocznie weteran nie umiał ubrać w słowa tego, co czuł. Zaczął:

— Filip był swój chłop. Pedzetajrami nas nazwał i tak było. Nieraz przysiadł się do nas, popił, pogadał. Chciałeś czego, nikt ci dostępu do niego nie bronił. Parmenion! Nawet gadać nie potrzebowałeś, czego ci trzeba, lepiej wiedział niż ty sam. A falanga! Pod Cheroneą ciężko było. Na nas szła najcięższa nawała, słońce prażyło, pić się chciało jak psu, woda przed tobą, a ruszyć nie wolno, bobyś złamał szyk. Ale wiedziałeś, kto przy tobie w szeregu, kto za tobą w rzędzie. Sami swoi. Rannyś, to cię wyciągnęli w bezpieczne miejsce, ręce ci omdlały, następny zaskoczył. A teraz? Nie wiem, czy mnie w plecy nie pchnie. Dziś ci pedzetajrem byle gównem!

- Skąd król ma brać wojsko skoro Antypater w kraju go potrzebuje. Przecie i Filip najemnikami wojował i nie byli najgorsi, bo wygrywał.

— Ale ich z nami nie mieszał, bo my nie za pieniądze wojowali, jeno jako towarzysze króla. Sami odrabiać musieli żołąd, a nie naszym potem. Wymieszać mąkę z łajnem, ani nawozu, ani chleba.

— Skoro ci się tu nie podoba, czemuś nie odszedł do kraju, kiedy starych król zwalniał?

- Z Parmenionem przyszedłem i z nim odejdę. Mówią, że już radził królowi by skończył wojnę. Dariusz oddawał kraj po Eufrat, więcej, niż chciał Filip. A my

już za Tygrysem. Dokąd i po co? Aleksandra demon jakowyś opętał albo i sam jest demonem. Innego by dawno ubili, gdyby tak nie dbał o życie jak on. I co ma z niego? Filip przynajmniej wiedział, po co żyje...

Urwał, bo towarzysz wskazał na księżyc.

— Patrz, co się wyrabia!

Gdy rozmawiali, poblask na wschodzie rozszerzał się, aż nad wzgórze wzbil się księżyc, przygasił gwiazdy i spychać jął mrok do wąwozów. Nagle na tarczę jego zasuwając zaczął rudy cień, aż przysłonił całą jakby gęstą zasłoną dymu, a mrok z powrotem wypełznął na świat. Zaskoczeni zjawiskiem strażnicy umilkli, Aleksander wycofał się cicho. Wiedział, że nie tylko z Dariuszem przyjdzie mu stoczyć walkę.

Wzbudzony w wojsku nocnym zjawiskiem niepokój zmienił się w zapal, gdy zapytany o jego znaczenie Aristandros wyjaśnił, że księżyc jest gwiazdą Persów. Potwierdziła to wróżba z wnętrzości zwierząt, jakie Aleksander złożył na ofiarę bóstwom ziemi, słońca i księżyca: zanim będzie na nowiu, bitwa położy kres potędze Dariusza.

Po całodziennym wypoczynku wojska ruszyły ochoczo. Pogoda sprzyjała pochodowi. Jesień już była w pełni, łagodne słońce złościło wędnące listowie lasów na stokach przedgórzy gordajskiego pasma, które mały W miarę, jak droga zbiegała w równiny Niniwy, aż czwartego dnia pochodu przed oczyma przednich straży otworzył się rozległy widok na bezleśny kraj, a wśród niewielkich wyniosłości dostrzegły uwijających się jeźdźców. Oni zapewne również zauważyli nadciągających, skupili się bowiem i zawrócili.

Aleksander, sam na czele ili królewskiej i peońskich saryssoforów, pognął za uchodzącymi. Pojmanie jeńców było rzeczą ważną, by wydobyć wiadomości o siłach i położeniu nieprzyjaciela, Parmenion sądził wszakże, że naczelny wódz inne ma zadania niż prowadzenie podjazdu, który łatwo może być wciągnięty w zasadzkę. Zajął się jednak założeniem warownego obozu na obszernym wzniesieniu nad stronieniem. Zatrzymał wojska i natychmiast przystąpił do sypania wałów.

Nie był dobrej myśli. We wróżby przestał wierzyć,

odkąd Pytia przepowiadać zaczęła na zamówienie Filipa. Nie chciał też wierzyć swym przeczuciom, zdając sobie sprawę, że źródłem ich jest przygnębienie, które nie opuszczało go od śmierci syna. Stary hypaspista łudził się sądząc, że z wodzem swym wróci do ojczyzny. Parmenion nie wróci, póki żyje choć jeden z jego synów. Nie zniósłby beczynnego oczekiwania na wieści w opustoszałym domu, a niepokój o nich towarzyszył mu teraz stale. Przy Aleksandrze nikt nie może rozsądkiem kłaść tamy nieokiełznanemu męstwu, jego młodzi wodzowie współzawodniczą z królem w zuchwalstwie.

Gdy schwytani przez Aleksandra jeńcy podali liczbę i rozłożenie wojsk perskich, Parmenion pomyślał, że gdyby on nimi dowodził, z macedońskich nie uszłaby żywa noga. Męstwo może nie mieć granic, ale ma je wytrzymałość, a zwłaszcza wytrzymałość koni. Starczy przez jeden dzień nie poić ich i nie obroczyć, by ustały. Dariusz mógłby stoczyć dwadzieścia bitew, nie pozwalając przeciwnikowi złapać tchu we dnie ni w nocy. Pod koniec drugiego dnia ni jedna ręka macedońska nie byłaby zdolna dźwignąć się w obronie, ni jeden jeździec ująć przez pościgiem. Parmenion nie chciał jednak mówić o tym Aleksandrowi, by znowu jak pod Issos nie narazić się na lekceważącą odprawę.

Sam Aleksander po raz pierwszy zdał się wahać, przez cztery dni bowiem stał na miejscu, osobiście dokonując przeglądu wojsk, koni i uzbrojenia. Parmenion sądził już, że król chce przyjąć bitwę za wałami i częstokołem obozu. Najgroźniejsza część armii perskiej, jaką była jazda, nie odgrywałaby żadnej roli. Dariusz nie może zbyt długo czekać na przygotowanym przez siebie polu, zaopatrzenie olbrzymich wojsk wkrótce wyczerpie niezbyt ludną okolicę.

Niespodzianie jednak piątej nocy nad ranem Aleksander podniósł wojska i zastawiając w obozie wszystko, co je mogło obciążać ruszył na południe. O świcie straż dotarły do pagórków nad Lykosem, za którymi otwierała się rozległa równina, a na jej krańca widniały ciemniejsze od piaszczystej płaszczyny masy wojsk perskich i zabudowania wioski Gaugameli.

Aleksander aługo patrzył na te wojska, w zamyśleniu

jakby nasłuchiwał odległego gwaru, po czym zwrócił się do zgromadzonych wokół niego wodzów:

— Jak wam się zda: uderzyć natychmiast, póki tam zamieszanie, czy wywiedzieć się przedtem, jak nam walczyć przyjdzie?

Perdikkas nie przyniósł ujmy swemu zawołaniu mówiąc:

— Będziemy ich oglądać, gdy ich pobijemy.

Farmenion jednak przerwał gniewnie:

— Zachowaj swoje męstwo, gdy przyjdzie do walki, teraz potrzebniejsza jest rozważa. Największym niebezpieczeństwem jest niebezpieczeństwo nieznanne. Ale tego, co wiemy, starczy, by poniechać lekkomyślnego działania. Nasi żołnierze nie dospali, od kilku godzin są w drodze. Persowie są wypoczęci, stoją tu dawno. Przejąłem wiadomość, że założyli na przedpolu wnyki na konie. Czas mieli przygotować wilcze doły czy inne zasadzki. Ja sądzę, że winniśmy założyć i obwarować obóz, by w czasie bitwy ranni mogli w nim znaleźć schronienie i opiekę, a sprzęt i jeńcy straż i osłonę. Tymczasem zbadamy, jak nieprzyjaciel ustawia się do bitwy. Niełatwo mu będzie w jej toku coś zmienić. W miarę tego uszukujemy nasze wojska.

— Tak będzie — uciał Aleksander. Gdy Perdikkas prosił, by jemu powierzono dowództwo oddziałów lekkiej jazdy i pieszych, które miały zbadać pole, odmówił pobłażliwie: — Nie mam do ciebie . zaufania, gotówes rozpocząć bitwę. Ja sam poprowadzę.

Na widok wracającej w popłochu i zdziętkowanej jazdy z doniesieniem o nadciąganiu nieprzyjaciela w Dariuszu odżyło wspomnienie panicznego strachu, jaki sam przeżył pod Issos. Ale pewność siebie i pycha zwołanych na naradę krewniaków i dostojników kazał mu o tym zapomnieć; pod Issos tylko ciasnota miejsca nie pozwoliła wykorzysta liczebnej przewagi. Teraz przewaga jest bez porównania większa, a swoboda działania zupełna, tu Macedończyk przekona się, jak zuchwale wyzywa perską potęgę.

Plan bitwy miał Dariusz przygotowany i natychmiast przystąpił do ustawiania swych niezmiernych wojsk w trzech rzutach na przestrzeni niemal dwóch parasang. Nauczony doświadczeniem klęski, gdy sam zagrożony porwał za sobą w ucieczce całe wojsko; tym razem wzmacniał środek swych wojsk, gdzie osobiście kierować miał bitwą. Jazda szlachecka i tysiąc pieszych meloforów ubezpieczać miały osobę króla.

Ustawwszy wojska, czekał. Z niewielkiego wzniesienia widział, jak z macedońskiego obozu wyszły niewielkie oddziały piesze i konne i bez pośpiechu zbliżyły się tak, że można było rozróżnić poszczególnych ludzi. Przeszły wzdłuż frontu i zawróciły. Dariusz nie pozwolił ich ścigać, czekał na ogólne uderzenie. Ale czas płynął i nic się nie działo. Gdy słońce pochyliło się ku zachodowi, jasne się stało, że w tym dniu uderzenie nie nastąpi. Może Aleksander, stwierdziwszy niezmierną przewagę wojsk perskich, zamierza uderzyć w nocy, licząc na wywołanie popłochu. Dariusz wydał rozkaz, by wojska pożywiły się na miejscu, jazda trzymała konie pod siodłami, a piesi stali pod bronią, do świtu podtrzymując ogniska. Sam do późna objeżdżał wojska sprawdzając ustawienie i gotowość, i zachęcając do wytrwania i męstwa,

Aleksander zaś po powrocie z objazdu zwołał swych wodzów i przedstawwszy położenie wroga, wydawał rozkazy do bitwy, którą postanowił stoczyć nazajutrz. Ze szczególnym naciskiem podkreślił, by uważać na znaki, bezzwłocznie i ściśle wykonywać rozkazy i w tym celu zachować zupełną ciszę, dopóki nie dojdzie do walki wręcz. Każdy winien pamiętać, że jest ogniwem łańcucha, sam nic nie znaczy, a rozerwać może całość; przestrzegał przed samowolnymi poczynaniami, choćby się mogły wydawać korzystne. Na to będzie czas, gdy wojska Dariusza znajdą się w bezładnym odwrocie.

Młodzi wodzowie okrzyknęli króla z zapalem, tylko Parmenion milczał. Aleksander zbyt pewny jest, że znowu zdoła wzniecić popłoch swym uderzeniem. Ale gdy, by mu się nawet powiodło, przy liczbie i szerokim rozłożeniu nieprzyjaciela, popłoch wywołany w jednym miejscu nie zdoła ogarnąć od razu całości. Już pod Issos

niewiele brakło, by Aleksander w bezładnym pościgu za rozbitym skrzydłem wojsk perskich otrzymał z tyłu niespodziane uderzenie całej niemal zwycięskiej jazdy perskiej, którą ostatkiem sił wiązał Parmenion. Tam przynajmniej zatoka stanowiła oparcie, tu w otwartym polu ochrona przed oskrzydleniem, znowu zlecona staremu wodzowi, stanowiła najcięższe a niewdzięczne zadanie.

Słońce zaszło tymczasem, strategowie rozeszli się, by podwładnym wydać zarządzenia do jutrzejszej bitwy, Aleksander zaś złożył ofiarę i wykąpawszy się rozmawiał jeszcze z Heiajstionem i Perdikkasem przed udaniem się na spoczynek. Nad obozem perskim nasilać się zaczynała poświata dziesiątków tysięcy ognisk. W macedońskim gasły już, wojska układały się do snu, gdy nadszedł Parmenion. Aleksander zagadnął go niecierpliwie:

— Czy nie zrozumiałeś czegoś? Wiesz, jakie ci wyznaczyłem zadanie?

— Wiem. Jeno zważ, że łańcuch, o którym mówiłeś, bardzo będzie wąty i napięty, a składa się z ludzi, którzy tylko poty spełniać mogą rozkazy, póki żyją.

— Czy znowu, jak pod Issos — uszczypliwie zapytał Aleksander — wróżysz naszą klęskę?

— Ja nie współzawodniczę z Aristandrem, ale też nie polegam na tym, co on wróży. Jestem strategiem i staram się przewidywać.

- Czego chcesz?

— Pod Issos zwycięstwo dał nam popłoch...

- Nam? — wtrącił Aleksander.

— Tobie. Gdyby Persowie walczyli do ostatniego tchu, nam prędzej go zabraknie. O popłoch najłatwiej w ciemności. W nocy mała ilość naszych wojsk stanowi naszą przewagę, we dnie wielka ilość Dariusza.

— Nie zwykłem zmieniać rozkazów i nie zamierzam ukraść haniebnego zwycięstwa - szorstko odparł Aleksander. — Troszcz się, jak wykonać, co tobie zaleciłem. Idź spać, by ci jutro tchu nie brakło. Stary jesteś.

Gdy Parmenion wyszedł bez słowa, Aleksander przez chwilę patrzył na łunę stojącą nad obozem nieprzyjacielskim. Nie gasła, nawet na przedpolu płonęły ogromne

ogniska. Dariusz widocznie obawia się nocnego uderzenia. Niech trzyma wojska w pogotowiu, od tego oddech ich nie stanie się dłuższy.

Aleksander usnął późno i spał tak twardo, że nie zbudził go ruch w obozie. Wojska stały już w sprawie. Zaczynał się miesiąc mapnakterion (1 X 331), dni były krótkie. Strategowie sprawiwszy swe oddziały gromadzili się koło królewskiego namiotu, niecierpliwie wyczekując na obudzenie się Aleksandra. Słońce zaczynało, już dogrzewać, stanie pod bronią wyczerpuje wojska, nie pora wysypiać się. Parmenion wszedł do namiotu i po trzykroć wołać musiał króla, nim go zbudził. Aleksander otrzeźwiał natychmiast i pozywając się napędce, przywdziewał zbroję: lekki pancerz lniany, zdobyty pod Issos, srebrzysty hełm z naszyjnikiem żelaznym; zdobny kamieniami, na bogatym pasie, ofiarowanym mu przez Rodos, zawiesił miecz — dar króla Kitionu. Ujął w dłoń krótki oszczep, po czym dosiadł trzymanego przed namiotem Bukefalosa i wyjechał na czoło. Strategowie odeszli do swych oddziałów i pochód ruszył. W obozie pozostał tylko oddział piechoty trackiej, koniowody z jucznymi dla dowozu pocisków i jeńcy.

Przeciwników dzieliła jeszcze przestrzeń trzydziestu stadiów, ale Dariusz stojąc na swym rydwanie bojowym z niewielkiego wzniesienia widział, jak promienie słoneczne zalsniły na spiżu i żelazie, a po chwili rozróżnić już mógł nadciągające oddziały. Aleksander prowadził je w szyku marszowym, zmierzając wprost ku środkowi wojsk perskich, w miarę jednak jak się zbliżał, przechodził w szyk bojowy zмінając zarazem kierunek. Jazda hetajrów szykiem schodkowym przesuwała się coraz bardziej ku lewemu skrzydłu perskiemu, odsłaniając rozwinięte już taksy Kraterosa i Siminiasa, a na lewo od nich rozciągała się w ławę jazda tesalska i sprzymierzona helleńska.

Dariusz z wzrastającym napięciem patrzył na ruchy nieprzyjaciela, czekając, aż zwiąże się walką. Sądził, że Aleksander, którego poznał na czele ili królewskiej, zno-

wu spróbuje wymierzonym w nieprzyjacielskiego wodza uderzeniem rozerwać zwarty szyk wojsk Dariusza i wywołać zamieszanie. Gotował przeciwuderzenie stu wozów siecznych, których dyszle i osie zaopatrzone w kosy, kalecząc konie, wstrzymają ich pęd, a słonie bojowe, z którymi nieprzyjaciel zetknie się po raz pierwszy, dopełnią klęskę.

Tymczasem Aleksander oddalał się coraz bardziej ku lewemu skrzydłu perskiemu, a skrajna łała najemników Menidasa już je mijała i wychodziła poza uprzątnięty dla działań wozów i jazdy teren.

Do tego Dariusz nie mógł dopuścić, bitwa przybrałaby nieoczekiwany obrót. Do stojącego na lewym skrzydle na czele jazdy scytyjskiej i baktryjskiej Bessosa pchnął gońca i po chwili wrzawa oznajmiła, że walka rozpoczęta. Dwa tysiące jeźdźców Bessosa zważyło się na kilkuset ludzi liczącą łałę Menidasa i mimo zajadłego oporu zaczęła spychać ją w tył, na idących w odwodzie agriańskich łuczników i weteranów macedońskich.

Gwałtowne uderzenie jazdy peońskiej odrzuciło Bessosa, sam Aleksander jednak z jazdą hetajrów nadal spokojnie przesunął się w prawo. Ale już bez rozkazu Dariusza śpieszyły do walki dalsze oddziały sprzymierzonych z Dariuszem Scytów i Massagetów i zajadłość walki wzrastała. Mimo przewagi liczebnej jazda scytyjska zaczynała się jednak cofać, a macedońscy hypaspiści i Agrianie już wychodzili poza przygotowane do walki wozów pole za chwilę znajdują się poza zasięgiem ich działania.

Dariusz wydał rozkaz, sto wozów siecznych ruszyło pędem. W tym pokładał nadzieję wprowadzenia zamętu w nieprzyjacielskie szeregi. Tymczasem zamęt wkradł się w jego własne. Usiłował je przesunąć ku rozwijającej się na lewym skrzydle bitwie: pod gradem pocisków waliły się konie, ranne ciskały się łamiąc szyk i kalecząc sąsiednie, część wozów siecznych jednak wyrwała się z kłębowiska i już dopadła agriańskich łuczników. Ale uderzyły w próżnię, szeregi rozwarły się i natychmiast zamknęły, a wozy napotkały najeżoną sarysami ścianę odwodowej falangi.

Dariusz nie wiedział już, jak skończyło się uderzenie

z którym tyle wiązał nadziei. Oddziały lewego skrzydła perskiego oderwały się od środka, śpiesząc wesprzeć jazdę scytyjską i baktryjską, która cofała się coraz bezładniej. Między nią a środkiem powstała wyrwa. Ale Dariusz patrzył teraz na z wolna, miarowo naciągających hypaspistów. Las olbrzymich sarys pochylał się jak łan zboża pod uderzeniem wiatru, lada chwila i tu zaczęła się walka. Mardyjscy łucznicy Dariusza już naprowadzali cięciwy na łuki, zaświstały pierwsze pociski, a zasypana nimi falanga jak koń spięty ostrogą ruszyła biegiem ze straszliwym krzykiem.

Od tego widoku uwagę Dariusza odwróciły jednak bliższe, a zmieszane głosy. Teraz dopiero spostrzegł, że w jego szeregach wytworzyła się luka, którą w pośpiechu usiłowała wypełnić jazda gwardii szlacheckiej, a hoplici Patrona zmieniali front, by przyjąć uderzenie Aleksandra. Ale było już za późno. Klin jazdy hetajrów, z królewską ilą na czele, odepchnął jazdę szlachecką i poza plecami hoplitów, nie wstrzymując pędu, mierzył już w gwardię meloforów stanowiącą ostatnią osłonę Dariusza. Zdrętwiał, jak pod Issos, widział tylko Aleksandra, jego lśniące jak kamienie oczy i grot jego oszczepu. Rzucony przeszył pierś woźnicy, pozbawione wodzy konie jęły się ciskać. Dariusz zeskoczył z wozu, odciął uprząż rumaka i doskoczywszy go, wolną jeszcze przestrzemią przed trzecim rzutem swych wojsk pognął ku rzece, która chronić miała tyły jego wojsk przed obejściem, a teraz zamykała odwrót. Myślał tylko o tym, by dopaść brodu, zanim tłok uchodzących zamknie mu drogę ucieczki.

Tymczasem właśnie tłokowi zawdzięczał ocalenie, bo bezładna ciżba zastawiła drogę Aleksandrowi. Uderzenie jazdy neońskiej złamało opór Scytów, Baktrów i Masagetów, którzy widząc, jak rozsypał się środek wojsk perskich, szukali w ucieczce ocalenia, wprowadzając zamęt w nie tknięte jeszcze odwody, spychając je na wschód, gdy jednocześnie taksy pedzetajrów Koinosa i Perdikkasą nie napotykając już oporu parły na południe ku rzece, a jazda hetajrów trupami słała sobie drogę do brodu. Nim doń dotarła, Dariusz gnał gościńcem do Arbeli, a za nim, kto jeno zdołał się przeprawić.

Niewielu zdążyło. Z pozostałych jedni rzucali się w wodę, by wplaw osiągnąć zbawczy brzeg, inni ciskali broń usiłując się poddać. Ale zwycięzcy nie zamierzali obciążać się jeńcami i straszliwa rzeź zaważyła dostęp do brodu ciałami poległych i rannych, a łucznicy agriańscy gradem pocisków zasypywali uchodzących. Jazda hetajrów straciwszy pęd utknęła w tłumie. Aleksander próbował ją wycofać, by przeprawiwszy się powyżej brodu podjąć pościg za Dariuszem, gdy na zagnanym kniu przypadł goniec z jazdy tesalskiej i chwytając oddech krzyknął:

— Obóz zajęty, otaczają nas. Parmenion prosi o pomoc.

— Parmenion oszalał! - gniewnie krzyknął król. — Miecz ma w ręku jak ja. Kto nie umie zwyciężać, niech ginie.

— Jak każesz, królu — odparł goniec i zawróciwszy konia pognął z powrotem.

Aleksander spojrzął za nim i pohamował zapalczywość. Lewe skrzydło wojsk macedońskich, oderwane od reszty, cofało się, odwodu, który miał je chronić przed osaczeniem; nie było, lewoskrzydłowe, taksy pedzetajrów straciły łączność z pozostałymi. i w ciężkiej walce przesuwały się ku głównemu kolisku, gdzie z przygniatającą przewagą tłumów jazdy nieprzyjacielskiej zmagał się Parmenion. Los bitwy, którą Aleksander uważał za wygraną, ważył się jeszcze, wynik zależał od tego, czy Parmenion utrzyma się do nadejścia odsieczy. Nie pora ścigać Dariusza ni dochodzić, kto zawinił że walka na lewym skrzydle przybrała obrót, który zaprzepaścił mógł owoce dotychczasowych zwycięstw. Aleksander wydał rozkaz, ilarchowie wyjechali na czoło swych oddziałów i jazda ruszyła ławą, by ogarnąć duży odcinek koliska. Jeżeli Parmenion nie wytrzyma, będzie to walka ostatnia.

Gdy Aleksander rozbił środek wojsk Dariusza, lewe ich skrzydło ogarnięte bezładem rozsypało się, a taksy pedzetajrów ruszyły biegiem, by dokończyć pogromu,

lewoskrzydłowa Simmiasa zatrzymała się w miejscu. Jednocześnie bowiem potężne uderzenie zakolebało lewym skrzydłem macedońskim, helleńska jazda sprzymierzona ugięła się, bezskutecznie usiłując powstrzymać nawałę i ruchem tym odkryła skrzydło taksy Kraterosa, który obskoczony z trudem usiłował przebić się do jazdy tesalskiej, również ciężko zmagającej się z wielokrotną przewagą perskiej. Simmias osłaniał go, spodziewając się, że odwodowe oddziały wyprą wrogów, którzy przedostali się przez powstałe luki, część jednak perskiej jazdy nie napotykając oporu pognąła aż do macedońskiego obozu. Zaskoczona nieliczna załoga tracka usiłowała się bronić, ale pozbawieni straży jeńcy perscy rzucili się na nią z tyłu i rozpoczęła się rzeź i rabunek. Najbliżej jednak stojące, a nie związane walką odwodowe oddziały Traków, odryzyjska jazda i najemnicy macedońscy, wpadłszy niespodzianie do obozu, po krótkiej walce niemal do nogi wycięli napastników.

Nikanor, który dowodził całością falangi, dostrzegł niebezpieczeństwo, grożące zniszczeniem lewego skrzydła wojsk macedońskich. Gdyby masy jazdy uporały się z Parmenionem i uderzyły niespodzianie na tyły pozostałych wojsk, rozposzonych w pościgu i zajętych rzezią bitwa szczęśliwie rozpoczęta skończyć by się mogła zupełną klęską. Nie zważając na zabiegających już tyły jeźdźców scytyjskich, Nikanor pognął do obozu, by wprowadzić do bitwy odwodowe oddziały.

Tu jednak walka już dobiegała końca. Pchnął przeto Traków na pomoc Kraterosowi, a sam na czele jazdy przebił się przez słaby jeszcze w tym miejscu pierścień jeźdźców scytyjskich. Pułapka zamknęła się zaraz za nim, ale chwila oddechu pozwoliła Parmenionowi sformować walczącą tu bezładnie ilę jazdy z Farsalos do przeciwuderzenia. Wtedy dopadł go wysłany o pomoc goniec. Złany był krwią i staniał się w siodle Podniósł pochyloną głowę i wyszeptał:

— Król kazał nam zwyciężyć lub...

Nie dokończył, przechyla się w tył i spadł z konia, ale Parmenion domyślił się.,

— To potrafię— powiedział.

Sygnal trąb macedońskich powitali Persowie okrzykiem, sądząc, że oznacza odwrót, walcząca bowiem w przód jazda tesalska zawróciła konie. Ale gdy rozległ się drugi, w okrzykach zabrzmiało zaskoczenie. Uchodzący jeźdźcy tesalscy rozstąpili się na boki, a w powstałej przerwie ukazał się idący pędem klin jazdy macedońskiej. Na jej czele gnał mąż ogromnego wzrostu z purpurową kitą na hełmie. Nim Persowie ochłonęli, wdarł się głęboko w ich tłum. Gwałtowność uderzenia malała jednak z każdą chwilą i już tylko zajadłość i wprawa farsalskich jeźdźców pozwalała im jeszcze przeć naprzód. Wiedzieli, że jeśli nie zdołają się przebić przez ścianę Persów, żaden nie ujdzie z życiem.

Parmenion stracił już nadzieję, ale nie stracił głowy. Widząc przed sobą gęstniejący tłum, nagłym zwrotem zmienił kierunek uderzenia, przełamał nadwątloną od wschodu ścianę armeńskich i kapadockich wojowników i wy dostał się z koliska. Teraz Farsalczycy odzyskawszy swobodę ruchów mogli znów okazać swą bojową wartość. Nie dając czasu perskim dowódcom na sformowanie walczących bezładnie oddziałów, jęli je spychać, wprawiając w coraz większy zamęt. Zagrożeni oskrzydleniem dowódcy perscy usiłowali oderwać się od przeciwnika, by na nowo sprawić swą jazdę. Zdołali skupić dokoła siebie część Medów i znaczniejszą siłę Partów i Scytów, ale tymczasem cofające się oddziały pod ciosami Farsalczyków niemal bez walki zasały trupami drogę. Omijając w odwrocie stojących już w sprawie Babilończyków Mazaios rzucili się na wschód i w rozpęce, kto jeno wydoił, powierzał swe życie szybkości konia, nie myśląc już o walce.

Mazaios wszelako miał jeszcze dość wielką przewagę liczebną, by na nowo ogarnąć i zniszczyć wyczerpane kilkugodzinną walką oddziały macedońskie. Chciał konczyć, słońce już chyliło się ku zachodowi, główna bitwa zapewne też skończona. Dziwił się tylko, że nie widzi uchodzących rozbitków armii Aleksandra. Sądził, że przyparci do Tygrysu, w jego falach znaleźli swój koniec. Wyjechał na czoło, by osobiście poprowadzić uderzenie gdy na tyłach rozległy się pojedyncze krzyki, a potem jeden ogromny wrzask. Obejrzał się i zrozumiał

przyczynę zamieszania: pędem szła na niego ława ciężkiej jazdy macedońskiej i ledwo zdążył odwrócić swoich czołem, gdy nastąpiło uderzenie.

Mimo zupełnego zaskoczenia opór perski był twardy. Do ostatniego żołnierza każdy rozumiał, że nie o zwycięstwo walczy, ale o życie. Mazaios myślał już tylko o tym, by nie pozwolić się rozerwać i jak najwięcej wojsk swych wyprowadzić z pogromu. Dariusz zdołał przegrać i tę bitwę; w następnej nie on już będzie dowodził.

Jazda macedońska coraz głębiej wchodziła się w nieprzyjacielskie szeregi, w które znowu wkładał się zamęt. Na skrzydłach oddziałów perskich coraz częściej odrywali się poszczególni jeźdźcy, by skorzystać z otwartej jeszcze drogi odwrotu i w niej szukać ocalenia.

Ale i ta zaniknęła się wkrótce. Parmenion poniechał pościgu za uchodzącymi Partami, zawrócił i uderzenie jego załamało resztę oporu. Beładne gromady rozsypały się na wszystkie strony, a zarazem beładnemu pościgowi ciemność położyła kres.

Tylko Parmenion nie pozwolił rozprószyć się jeździe tesalskiej, na jej czele bez trudu zajął obóz perski w widłach rzecznych, koło wioski Gaugameli, zatroszczył się o rannych, napojenie koni i posiłek dla strudzonych całodzienną walką, z wolna ściągających wojsk.

Wydawszy zarządzenia poszedł wywiedzieć się o synów. Nikanora zastał w namiocie Dariusza, gdzie w oczekiwaniu na Aleksandra gromadziła się starszyzna omawiając z podnieceniem przebieg bitwy. Straty były zdumiewająco małe, najznaczniejsze znowu w jeździe tesalskiej i ili królewskiej, poniesione pod sam koniec bitwy. Sześćdziesięciu hetajrów legło, ranni byli Hefajstion, Koinos i Menidas. Natomiast Filotas i sam Aleksander bez szwanku, po rozbiciu Mazaiososa ruszyli w pościg za nim.

Radosne okrzyki oznajmiły powrót króla, zwycięskie wojska witały zwycięskiego wodza. Wszedł, towarzysze

rzucili się ścisnąć go i całować, Aleksander jednak Chmurny był, Gdy Parmenion przystąpił, rzekł oschle:

— Widzę, że nie radujesz się, zapewne dlatego, że nie spełniły się twoje przewidywania. Istotnie niewiele brakło, byś przegrał wygraną już bitwę. I dzięki tobie Dariusz uciekł.

Zwracając się do pozostałych dodał:

— Uczujcie, jeśli chcecie. Ja idę do Hefajstiona. O północy ruszamy na Arbelę.

Wyszedł, ale zmroził radosny nastrój. Wszyscy rozumieli, że skrzywdził zasłużonego wodza. Nikanor szepnął do ojca:

— Aleksander niełaskaw, bo zły, że mu Dariusz uszedł, a niespokojny jest o swego Hefajstiona, który dobrze oberwał, gdyśmy ci przyszli z odsieczą.

Filotas zaś chlapnął na cały głos:

— Aleksander nie lubi dzielić się chwałą zwycięstw. Nagrodami sypie, ale sławę całą zachować chce dla siebie, jakby sam bitwy wygrywał.

— Nie wasza rzecz przyganiać królowi — surowo uciął Parmenion. — Nikt nie zaprzeczy, że dzisiejsze zwycięstwo jemu należy przypisać, a mnie nie trzeba pocieszać, bo nie dziś zdobywam swe iirnię, i nie walczę o łaskę króla ani o jego nagrody.

— Nie bądź za skromny, wodzu — wtrącił się Klejtos. — Niech helleńskie darmozjady nadymają Aleksandra pochlebstwami, ale ktoś mu prawdę rzec musi.

— Tedy mu powiedz w oczy. A wam radzę spocząć, skoro ścigać mamy Dariusza — zakończył Parmenion i wyszedł.

Młodzi jednak jęli winem gasić prawię całego moźolnego dnia. Klejtos powiedział do Filotasa:

— Nie dziw, że Aleksander zawidzi zawołania twemu ojcu, skoro zawidzi nawet własnemu. Na mój rozum, za dzisiejsze zwycięstwo dziękować nam Dariuszowi.

Odpowiedział mu śmiech, a Peukestas zawołał:

— Tedy po co nam go ścigać? Niech ucieka zdrowo, gotować nam nowe zwycięstwa.

Popijali zdrowie Dariusza, ale o północy gnali już do Arbeli. Gdy o dobrym dniu na zajeżdżonych koniach Aleksander dotarł tam na czele jazdy, nie było już śladu

rozbitków armii perskiej. Król uszedł w góry na wschód, by przez nie dotrzeć do Ekbatany, tam zamierzając gotować dalszy opór. Jeszcze nie wiedział, że obalone bóstwo traci wyznawców, a za klęską idzie odstępstwo i zdrada. Pozostało przy nim dziewięć tysięcy wojsk, ponad czterdzieści natomiast zdołał wyprowadzić Ariobarsanes, lecz śpieszył z nimi, by obwarować się w Górach Uksyjskich, które już wielokrotnie położyły tamę najazdom, i zamknąć zwycięzcy drogę do Persepolis, kolebki państwa perskiego. Mazaios, który ostatni ustąpił z pola walki, z trzema tysiącami zamknął się w Babilonie. Mury Semiramidy i Nebukadenesara, do których dostępu broniła sieć kanałów, ongiś potrafiły latami urągać potędze perskich zdobywców. Niczym były wobec nich obwarowania Halikarnasu, Tyru i Gazy, które przecież długo powstrzymywały falą, macedońską. Ale Mazaios pamiętał, że Babilon siłą został włączony do perskiego państwa. Dariusz jej nie ma, skoro poniechał stolicy, widocznie zamierzając bronić już tylko reszty. To samo ma na celu Ariobarsanes, jedyną siłą, jaką można przeciwstawić najazdowi obwarowując górskie przełęcze, ale nieprawdopodobna klęska pod Gaugamelą i te nadzieje podawała w wątpliwość. Gdy przyszła wiadomość, że Aleksander przekroczył ponownie Tygrys i ciągnie na Babilon, Mazaios przestał się wahać. Upojone zwycięstwem wojska macedońskie ochoczo szły po nowe. Gdy na krańcu rozległej płaszczyzny wylaniać się zaczęły mury i baszty Babilonu i rosły w oczach, które ogarnąć już nie mogły ogromu miasta, zapanowało podniecenie, zmieszane z ciekawością i niepokojem. Stali pod bramą innego świata, całkowicie obcego wpływowi helleńskim. Król zatrzymał pochód i zwołał starszyznę na naradę. Rozmiar miasta nie pozwalał na ospasanie go szczupłymi siłami macedońskimi, należało rozważyć inny sposób przełamania obwarowań. Pod osłoną ili królewskiej z Klejtosem wyszedł oddział mechanopojów, by rozejrzeć się w położeniu.

Aleksander stał jeszcze głęboko zamyślony, patrząc na najbliższy cel swych zamierzeń. Zdał się nie słyszeć, głosów, by pominąć twierdzę, która zatrzymać *go* może przez lata całe, wyczerpując, do reszty siły. Wysłany

z Gazy do kraju po posiłki Simmiasowy Amyntas dotychczas nie wrócił, mimo że wkrótce rok upłynie od jego wyjazdu.

Aleksander jednak nie o tym myślał: musi zająć stolicę państwa Achemenidów nie tylko dla nagromadzonych tam w skarbcach olbrzymich zasobów, które pozwolą mu nie liczyć się więcej z wydatkami na dalsze prowadzenie wojny. Narody Azji rozumieją wówczas, że nadszedł kres zmurszałego państwa Cyrusa, a z nowym władcą nastaje nowy porządek.

Aleksander stał jeszcze, gdy na równieniu ukazał się wracający oddział jazdy. Wśród zgromadzonej dookoła króla starszyny rozległ się szmer: wraca w większej liczbie koni, niż wyszedł. Jadący na jego czele Klejtos wysforował się i dopadłszy króla, z siodła jeszcze krzyknął:

— Babilon otwiera bramy. Perskie psy proszą, byś im pozwolił lizać twe stopy.

Aleksander zmarszczył się. W jego otoczeniu znajdowali się Persowie, którzy, jak Mitrynes, porzucili sprawę Dariusza i służyli doświadczoną radą. Okazywana im przez Macedończyków pogardliwa niechęć krzyżowała zajniary Aleksandra. Powiedział ostro:

— Każdy naród czi swego króla wedle swego obyczaju. Im się zda poniżające, że wy odkrywacie przede mną głowy. Ale zmienia się wszystko i obyczaje też. Każ się zbliżyć poselstwu.

Przez północną bramę, zwaną Isztar, w purpurowym płaszczu perskiego króla, wśród nie milknących okrzyków nieprzebranych tłumów Aleksander wkroczył do Babilonu nie jak zdobywca, lecz jak prawowity pan. W najbliższym jego otoczeniu jechali perscy dostojnicy z Mazaiosem na czele, pod kopyta Bukefalosa sypały się kwiaty. U stóp świątyni Baala w białych szatach stali chaldejscy magowie, ze złotych kadzielnic unosiły się wonne dymy. Gdy arcykapłan w wysokiej tiarze na głowie przystąpił zamierzając widocznie wygłosić przemówienie, Aleksander zeskoczywszy z konia rzekł:

— Chcę się pokłonić waszemu bogowi. Prowadź mnie.

W orszaku magów, śpiewających hymny, po szerokich schodach strzeżonych przez skrzydlate lwy o ludzkich

twarzach, byki i słonie, Aleksander piął się na tarasy górującej nad miastem świątyni Zikkurat, noszącej jeszcze ślady wściekłości Kserksesa, którą wywarł na niej po salamińskiej klęsce w odwet za bunt. Wśród magów żyła pamięć rzezi ich poprzedników, wyprawionej przez Cyrusa, gdy chytry judejski przybysz zdradził tajemnice ich boga, a oszustwo jego kapłanów. Ciemne oczy arcykapłan utkwiał badawczo w młodzieńczej twarzy zdobywcy, usiłując odgadnąć jego myśli. Gdy stanęli przed drzwiami dzielącymi dostępny tylko wtajemniczonym przybytek Baala od przeznaczonego dla wyznawców przedsionka, i Aleksander kazał otworzyć, arcykapłan rzekł cicho:

— Oglądanie bogów nie przynosi szczęścia śmiertelnym.

— Ale wiara w nich. Mędrzec helleński mówi, że ludzie nie są bogom potrzebni, jeno bogowie ludziom.

Wszedł wraz z arcykapłanem, a gdy zamknęły się za nimi ciężkie podwoje, dodał:

- Mnie nie bogowie są potrzebni, jeno ich kapłani. Dostaniesz ze skarbcza, ile potrzeba, by przybytkowi przywrócić świetność godną tego, który przezwyciężył chaos i ład wprowadził na świecie.

Arcykapłan skinął poważnie farbowaną na czerwono brodą:

— Masz słuszność - rzekł. — Nie ma ładu bez boga, a boga bez wyznawców. Możesz być pewny jego wdzięczności. Wręczając Aleksandrowi zwój pergaminu dodał: — To dzieje ludów chaldejskich spisane w helleńskim języku. Władca winien znać tych, którym panuje.

Dla wojowników Aleksandra trzydziestodniowy postój w Babilonie był jedną uctą zwycięstwa, rozpoczętą uroczystościami, jakimi nowego pana powitał na zamku Bagofanes. Poi nadludzkich wysiłkach, wyrzeczeniach Macedonowie aż do zachłyśnięcia używali wszystkimi zmysłami nie znanych dotychczas rozkoszy. Wszystko tu było inne niż napotykanie w dalekiej drodze z ubogiej ojczyzny, od kwiatów i pisma do potraw i rozpusty. Nie tylko chłop macedoński, ale i helleńscy dworacy oszomieni byli wymyślnym zbytkiem, zagubieni w wielkim mieście i przytłoczeni ogromem jego budowli z wypala-

nej cegły o barwnej polewie, jakby wzniesionych przez olbrzymów i dla olbrzymów, labiryntem wąskich ulic— wąwozów o ścianach bez okien, często zdobionych wizerunkami skrzydlatych zwierząt w powtarzających się szeregach. Nic tu nie miało helleńskiej lekkości i młodocianego wdzięku, ale ponurą powagę przedwiecznego trwania od chwili, gdy Baal wyprowadził świat z chaosu.

Aleksander pod najsurowszą karą zabronił wszelkich gwałtów, przywrócił miastu dawne prawa, satrapą ustanowił Mazaïosa. Nie było też skarg. Miasto, przez blisko dwa lata przytłoczone samym ciężarem ogromnej armii Dariusza, w swobodzie handlu skrępowane wojną, jak świeży powiew odczuło zmianę, z łatwością unosząc na jaoruszonej przez nią fali życia garstkę przybyszów, których nawet pijackie wysoki miały znamię młodości i swobody, a rozrzutność, z jaką trwonili żołąd i hojnie przez króla rozdzielane nagrody, z nawiązką opłacała po-, niesione straty. Martwo leżące w skarbcu zasoby srebra i złota Aleksander kazał Harpalosowi przekuć na monety i strumień jej spływał na miasto przez zakupy towarów i uzbrojenia oraz utrzymanie dworu z wystawnością, która budziła podziw nawet w porównaniu z przepychem perskich władców. Aleksander z wdziękiem rozsiadł się na Dariuszowym tronie i ze swobodą rozparł w jego pałacu na wzgórzu Babil, który co wieczór, jak nowa konstelacja gwiazd, tysiącami świateł wisi nad miastem dopóki nie zgasła ich jutrzienka.

We dnie jednak król pracował. Uszczuplona stratami armia malała ciągle. Mianowany hipparchem Syrii, Fenicji i Gylcji Menes odejść miał przez Półwysep Arabski ze znacznym oddziałem dla zabezpieczenia przed zbójckimi plemionami koczowników krótszej drogi do nadmorskich prowincji. Wyślany z Arbeli do Suzy dla zabezpieczenia głównego skarbcza Achemenidów Filoksenos donosił, że satrapa, pod wrażeniem klęski Dariusza zdał się na łaskę Aleksandra. Odstępcy mnożyli się, Aleksander jednak jeszcze nie mógł na nich polegać, dopóki nie dostanie w swe ręce króla. Widział też, że macedońscy dostojnicy, krzywią się, gdy władzę nad ludnością podbitych satrapii powierza miejscowym Persom. Woleliby nie dzielić jej z nikim.

Tymczasem wciąż jeszcze głównym źródłem siły, którą Aleksander łamał przeszkody na drodze do coraz rozleglejszych celów, był ojczysty kraj. Doczekał wreszcie wiadomości, że nadciąga Amyntas wiodąc uzupełnienia oraz pięćdziesięciu efebów szlacheckich, którzy jako paides basilikoi zastąpić mieli w dworskich i wojennych posługach przy królu starszych poprzedników, dojrzałych już do miecza i tarczy.. Przybycie znacznych posiłków stwarzało sposobność zmiany organizacji wojska by potomków dawnych rodów książęcych pozbawić na nie wpływu, a dowódców uzależnić od króla.

Z nie mniejszym zadowoleniem odebrał Aleksander listy z kraju. Dawno nie miał wiadomości, wysłanie jednak kilkunastotysięcznych wojsk świadczyło, że stosunki musiały ułożyć się pomyślnie. Zaczął czytać list od matki, a Hefajstion, który znał Aleksandra jak samego siebie, zauważył, że w miarę czytania ogarnia króla zniecierpliwienie, a potem gniew. Nie pytał wiedząc że Aleksander tego nie lubi, ten jednak sam rzucił mu pismo mówiąc:

— Przeczytaj! Drogo płacę za dziewięć miesięcy schronienia, którego mi matka udzieliła. Posłuchaj też, co pisze Antypater: „Antypater, strategos Europy Aleksandrowi, królowi Makedonów, pozdrowienia. Ponieważ kazałeś sobie przysłać posiłki, więc je posyłam. Wcześniej tego uczynić nie mogłem, bo pod nieobecność twoją i Sitalkesa, Seuthes uznał, że jest to stosowna pora, by zrzucić nasze zwierzchnictwo. Ustanowiony przez ciebie strategiem, dla, gracji Memnon też sądził, że twoja nieobecność zwalnia go od posłuchu. Musiałem mu przypomnieć, że nie z imienia tylko ja ciebie tutaj zastępuję. Wojska, które stamtąd ściągnąłem, tobie będą przydatne, mnie mogły tylko szkodzić. To samo muszę powiedzieć o części naszych ludzi, których ci posyłam, tych mianowicie, o których wcielenie będzie się na mnie przed tobą skarżyć twoja matka. Przyznaję, że zabrałem ich wbrew jej woli, a nawet przemocą, ale przypominę ci, że upoważniłeś mnie czynić wszystko, co uznam za potrzebne, a nie wątpię, że i ty uznasz, iż dwóch sterników na jednym okręcie może go tylko rozbić. Brak mi ludzi i pieniędzy, a dziewierz twój, epirocki Aleksander, nie tylko

nie udziela mi należytej pomocy, ale miał ją otrzymać dla swych zamierzeń w Italii od swej siostry, a twojej matki, która zgoła nie troszczy się o to, że wojna ze Spartą jest nieunikniona, Agis już ją rozpoczął z naszymi sprzymierzeńcami na Peloponezie; Elis, Achaja i Arkadia już wystąpiły ze Związku, w Tesalii i Perhebie wahania. Jeżeli pozostawimy sprzymierzeńców własnemu losowi, to odpadną wszyscy inni, w Atenach wezmą górę nieprzejednani. Na szczęście Demostenes poróżnił się z Hypereidesem i wzywa do rozsądku, którego sam nigdy nie miał. O tych sprawach dokładniej pisze do ciebie Fokion, prosi też, by uwolnić pojmanych przez ciebie posłów ateńskich, co rzekomo ma wzmocnić nasze stronnictwo w Atenach. Na twój rozkaz uwolniłem pojmanych nad Granikiem ateńskich obywateli, mimo że ubytek dwóch tysięcy niewolników w kopalni oznacza ubytek złota, którego mi brak. Wspaniałomyślność zarówno twego ojca, jak i twoją odpłacają Ateńczycy grubą niewdzięcznością. Motłoch zawsze wielkoduszność uważa za słabość, dlatego ja nie zamierzam nią się kierować. Wojna to nie zawody, by pokonany biesiadował razem ze zwycięzcą.

Wreszcie sprawa, które j wolałbym nie poruszać, a jeśli to czynię, to dlatego, by uprzedzić lub odeprzeć oszczerstwa. Wiesz, że Olimpias nienawidzi mnie, i wiesz, do czego zdolna jest w swej nienawiści. Znasz także i mnie, że nie jestem płochliwy i śmierci się nie lękam bardziej, niż przystoi mężowi. Ale w obecnym położeniu byłaby szkodą dla kraju, dlatego muszę się strzec we dnie i nocy, nawet we własnym domu. Gdybym bez twego przyzwolenia ustanowił sobie somatofilaków, co u nas przysługuje tylko władcy, łatwo mógłbyś dać wiarę pomówieniu, że berło Perdikkasowe zamierzam sobie przywłaszczyć. Dlatego, jeśli nadal żywiesz do mnie zaufanie, zechciej wydać zarządzenia, które pozwolą, spełnić zadanie, jakie mi zleciłeś, co nie jest łatwe, nawet jeśli i usuniesz przeszkody, które mogą mi to uniemożliwić.

Ponieważ żądałeś posiłków, sądzę, że nie zamierzasz wkrótce wracać; Pomnij jednak, że długa nieobecność króla nie wychodzi na korzyść krajowi i że najpiękniej-

szą zdobyczą i najtrwalszą sławą jest pomyślność i potęga ojczyzny.

Niechaj Nike towarzyszy ci nadal. Chajre!" Aleksander zmarszczył się i z kolei rozwinął pismo Arystotelesa. Przebiegłszy je szybko oczyma, powiedział niechętnie!

— Każdy czeka ode Ninie bym służył jego zamierzeniom. Arystoteles radzi mi czynić to, co już czynię, albo to, czego czynić nie zamierzam. Gdybym go zapytał, dlaczego w swoim Lykeion nie uczy także pływać, odpowiedziałby zapewne, że sam nie umie. Ale nie waha się pouczać mnie, jak rządzić ludami, o których nie ma pojęcia choć sam nigdy nie rządził nawet w swojej Stagirze, którą Filip po to mu odbudował, by mógł na niej wypróbować swoje idee.

— Nie wiem tedy, czy słusznie ufasz wczorajszym przeciwnikom.

— Jeszcze, nie ufam. Dlatego broń i pieniądze oddaję w ręce naszych ludzi. Niech się wzajem z Persami poznają i nawykną do siebie.

— Wątpię, czy to osiągniesz. Ty sam głosisz, że idziesz jako przywódca Hellenów, by pomścić perskie najazdy i spalenie naszych świątyń.

— Gdybym ogłosił co innego, rozpadłby się Związek Kbryncki, który mi potrzebny, póki się Antypater nie upora z Helladą. Ale nie zamykam oczu na spostrzeżenia, choć burzą nasze pojęcia. Diogenes miał słuszność mówiąc, że wiemy tylko to, czego sami doświadczymy.

— To ogranicza poznanie do postrzeżeń, a nie ma poznania bez pojęć.

— Ale poznanie bez postrzeżeń nie odpowiada żadnej rzeczywistości, dlatego tylko w wodzie można nauczyć się pływać. Jeśli mądrość służyć ma życiu, sama musi być żywa i płodna. A Hellenowie zasklepili się w swojej, stworzyli kanon i wszystko, co się w nim nie mieści, uważają za barbarzyńskie. Ptak nie może pozostać w skorupie, w której się uląkł, chyba że jest niezdolny do życia. A tym bardziej nie może wrócić do niej. Dla mnie, też Partenon piękniejszy niż świątynie. Ammona czy Baala, ale nie uważam za barbarzyńcę tego kto ma odmienne zdanie, a tym bardziej tych, co je zbudowali.

Choć uwielbiam Homera, nie twierdzę, że *Iliada*, jest piękniejsza od *Mahabharaty*, bo tej nie znam.

— Do czego ty, zmierzasz?

— Chcę zaprowadzić ład na świecie, a na to muszę go poznać. Jest inny i większy nawet, niż wydaje się Arystotelesowi. Dlatego nie pozwolę przeszkodzić sobie w tym ani jego radom, ani milczeniu Parmeniona.

— Chcesz dokonać tego, co nie udało się nawet bogom—cicho odezwał się Hefajstion. — Pomnij los Prometeusza.

— Ale pomnij też, że Herakles uwolnił go z więzów. Arcykapłan Baala rzekł mi, że nie ma boga bez wyznawców; tedy nie są nawet nieśmiertelni. A kto zyska wyznawców, sam zostaje bogiem. Jeśli jest jakiś inny, to nie możemy go poznać, bo uchyla się od postrzeżeń.

— I ty nie jesteś nieśmiertelny. A gdyby ktoś zabił tytana Atlasa, sklepienie niebieskie zwałoby się ludziom na głowy.

— Czy nie pijesz wina, choć potem głowa cię boli? Arystoteles uczy, że szczęście leży w działaniu. Przeczy, sam sobie, osiągnięcie celu uważając za zdobycie doskonałości. Istotnym celem jest doskonałość jednostki, działanie przeto ma wartość samo w sobie. Zewnętrzny cel to jego epitafios. To, co jest dokonane, staje się martwe.— Czy więc nigdy nie spoczniiesz?

— Wolałbym umrzeć zaraz, niż jak Parmenion przeżyć samego siebie. Całe życie walczył o sławę niezwykłego, by ją teraz utracić.

— On nie walczył o sławę. Filotasowi powiedział, że chce by synowie grzebali ojców, a nie ojcowie synów.

- Cel niewielki, a i tak trudny do osiągnięcia, gdy ojcowie żyją za długo. Już jednego syna pochował. Może pochowa wszystkich, jeśli nadal będzie walczył tak ostrożnie.

— On nie siebie oszczędza, lecz swoich ludzi. Dlaczego nie lubisz go? Ojciec twój stawiał go najwyżej ze wszystkich swych wodzów. Mylisz się też mówiąc, że traci sławę; nie ma nikogo, kto by się cieszył tak powszechnym poważaniem. To on potrafił z chłopów i pasterzy zrobić wojowników, którym się nikt nie oprze, utrzymać karność nie sięgając do kar. I wiedz, że nawet nasi to-

warzysze za złe ci mieli, żeś go poniżył, mówiąc, iż omal nie zaprzepaścił twojego zwycięstwa. Uczynił wszystko, co mógł, by się utrzymać, póki myśmy nie rozstrzygnęli bitwy.

— A dzięki niemu Dariusz mi uszedł i wojna się przelecze, ty zaś omal życiem nie zapłaciłeś za jego nieudolność. Filip go cenili bo mu był potrzebny. Mnie od początku ciąży tym właśnie; że— jak mówisz — cieszy się powszechnym uznaniem. Potrzebuję wodzów, którzy; wykonują moje rozkazy nie pytając o ich cel, a nie takich, którzy swój chcą mi narzucić.

— Będzie ci potrzebny choćby po to, by wyćwiczyć i wcielić posiłki

— Mylisz się. Tego właśnie nie mogę zlecić jemu. On też ma kanon wypracowany wspólnie z Filipem. Dobrze służył ich celom, ale nie moim, do których on nie potrafi ani nie chce się nagiąć. Wciągnąć muszę do wojska Azjatów, bo Makedonów nie starczy nawet na zabezpieczenie dotychczasowych zdobyczy, a po to muszę rozbić i wymieszać taksy i ile, które wciąż jeszcze przypominają czas, gdy król był tylko pierwszym pośród książąt dowodzących swymi wojskami, a zgromadzenie wojsk mogło mu wolę swą narzucić.

— Napotkasz opór nie tylko Parmeniona— powiedział Hefajstion w zamyśleniu. - I na kim w końcu chcesz się oprzeć, bo przecie nie na Hellenach, nawet najemnych?

— Na nich mógłbym się oprzeć, bo dotrzymują wiary, póki im się płaci. Ale nie ma ich tylu ilu mi potrzeba. Ważniejsze jednak, by w wojsku nie mieli oparcia ci, którzy mi się przeciwstawiają. A prosty lochita, gdy nie będzie miał przywódcy przed sobą, a sąsiadów ze swej wsi po obu stronach, nie będzie się buntował. Zwycięskie wojska zresztą rzadko się buntują, pokonane niemal zawsze. Dlatego nie chcę wodzów, którzy nie umieją zwyciężać, a nie w tym rzecz, czy lubię ich czy nie. Lubię swoją matkę, ale nawet jej nie pozwolę mieszać się do moich zamierzeń. Antypater otrzyma, czego żąda, a ponadto pieniądze na zaciąg dla mnie i dla siebie, choć wiem, że Olimpias mi tego nie zapomni, On nie tai, że i jego celem jest potęgą Macedonii, ale to mojemu nie

przeszkadza i wierzę, że potrafi złamać Spartę. Gdy Hellada pokosztuje jego bezwzględności, lepiej potrafi ocenić moją wspaniałomyślność.

— Mimo wszystko zamierzasz być nadal wobec niej wspaniałomyślny? Antypater słusznie pisze, że poczytają ci to za słabość.

— Ale nawet w Demostenesie zaczyna kiełkować rozsądek. Prosił mnie przecież o wybaczenie. Spodziewam się, że Antypater i innych rozsądku nauczy. A poczytanie wielkoduszności za słabość mogłoby mi szkodzić, gdybym był słaby. Nie wypieram się zresztą słabości: do wiedzy, poezji i sztuki, którą stworzyła Hellada, ale te mogą stworzyć także niewolnicy. A gdy wreszcie i Sparta przestanie marzyć o hegemonii, nikt już naszej nie będzie mógł zagrozić.

— Czy się nie mylisz? Z tego, co pisze Antypater, zda się wynikać, że twój epirocki dziewierz już się wyłamuje z posłuszeństwa i korzystając, że tu jesteś zajęty, zamierza opanować Italię i Sycylię. Jeśli mu się to uda, z łatwością pokona zachodnich barbarzyńców i będziesz miał groźnego współzawodnika na Morzu Śródziemnym. Twój przykład pobudzi go do naśladownictwa.

— Niewiele znajdzie na drodze, którą pierwszy przeszedł kto inny — lekceważąco odparł Aleksander. - Ale nie starczy nosić moje imię, by mnie naśladować. Póki jestem w Azji zajęty, niech zdobywa. Gdy przyjdzie pora, albo mi się podporządkuje, albo zniszczy i jego.

— Nie zapominaj, że przy nim stoi twoja matka.

— Nie zapominam, Będę miała wszystko prócz władzy, bo to nie zabawka dla niewiast. Nikomu nie pozwolę stawać w poprzek moim zamierzeniom.

Dariusz winien zrozumieć, że już przegrał. Jeśli się ukorzy i poprosi, uczynię go królem północnych satrapii. Jeśli nie, schwytam go. Wtedy zrobi, co ja zechcę. Tymczasem zajmę Persepolis i Pasergadai. To mu ułatwi powzięcie rozsądnego postanowienia.

Dariusz jednak nie był zdolny powziąć żadnego postanowienia. Nie umiał zrozumieć, dlaczego po raz wtóry uciekł na sam widok Aleksandra. Pogarda, jaką sam

żywił do siebie, wzmogła jego nieufność wobec otoczenia, podejrzewał, iż w milczeniu towarzyszących mu dostojników kryje się nagana i lekceważenie. Był jeszcze panem olbrzymich połaci państwa, ale czuł swą zależność od potężnych satrapów, a nieufność do nich pogłębiały wieści o odstępstwach, oddaniu bez walki Babilonu i Suzy, a zagarnięcie przez najeźdźcę nagromadzonych tam skarbów odbierało Dariuszowi ostatnią przewagę, jaką nad nim posiadał. Główny skarbiec królestwa złożony był wprawdzie w Persepolis, ale Dariusz z każdym dniem oddalał się od niego. Jednego był pewny, że jeśli chce jeszcze coś przedsięwziąć, nie może wpaść w ręce prześladowcy.

Trudy ucieczki zimową porą przez górskie bezdroża nie sprzyjały zresztą rozważaniom, ale obawa pojmania minęła, gdy stoki ostatniego pasma górskiego pochyliły się ku wschodowi, a u ich stóp słała się Wyżyna Medyjska. W pałacu Ekbatany czekał wypoczynek i oddana służba, tu jeszcze skutki klęski nie dały się odczuć. Z dna przygnębienia podniosła Dariusza wieść, że wierny Ariobarsanes uszedł w góry i wysokim murem zamknął Przełęcz Perską, jedyną dla wojsk drogę do Persepolis, bez tego uciążliwą i niebezpieczną, w stromym wąwozie o niemal prostopadłych ścianach, wiodąca przez dziedziny górskie Uksjów, którzy nawet od potężnych królów perskich pobierali opłaty za zezwolenie na przejazd. Obejście jej górkami ścieżkami nawet ciepłą porą wymagało szczególnej sprawności i wytrwałości, przez zasypane śniegiem zbocza przedostać się mógł chyba koziół skalny. Wszystkie trudności i niebezpieczeństwa stały na drodze najeźdźcy do serca monarchii Achemeniów. Dariusz odetchnął; zyskiwał czas, by z nie tkniętych jeszcze wojną, odległych kresów swego państwa ściągnąć siły które raz jeszcze przeciwstawić zdoła najeźdźcy, odzyskać zaufanie do siebie i zachwianą powagę u poddanych.

Podniosła go też na duchu obecność posłów Aten i Sparty. Jeszcze tam nie brak Aleksandrowi wrogów, którym milsza zwierzchność perskiej potęgi, niż pogardzanych Makedonów. Widocznie w Helladzie nie wierzą w ostateczne zwycięstwo Aleksandra. Jedną jego klęską

odwrócić może położenie, cienka nić jego połączeń z krajem pęknie, pozbawionego uzupełnień i zaopatrzenia czeka zagłada.

Nikły płomyk nadziei zgasił wszakże Ariobarsanes. Przybył do Ekbatany z garstką zmarnowanych niedobitków swej czterdziestotysięcznej armii, a to co opowiadał, przechodziło wiarę ludzką. Aleksander jednym uderzeniem obrócił w perzynę niedostępne siedziby Uksjów, od zupełnej zagłady ocalało resztki zbójckiego plemienia wstawiennictwo Sisigambis, pod warunkiem płacenia olbrzymiego haraczu w bydło, owcach i koniach. Otworzył tym drogę przez góry Aleksander z marszu uderzył na wzniesione na Perskiej Przełęczy umocnienia, ale wojsko, zasypane głazami i pociskami z muru i stromych zboczy wąwozu, zmuszony był cofnąć ze stratami. Wszyscy, do ostatniego żołnierza, pewni byli, że nie ponowi beznadziejnego przedsięwzięcia, zwłaszcza gdy wieczorem nastąpiła burza śnieżna, w której białych ciemnościach próba obejścia niezdojbytej pozycji szczytami górskimi zakrawała na szaleństwo. Kto żył, chronił się pod namiotem przed mrozem i zawieją. Niemniej wobec przeciwnika, który bezkarnie niejedno już szaleństwo popełnił, Ariobarsanes zachował wszelkie środki ostrożności. Nie tylko strażnicy na murze, ale potrójny ich łańcuch na tyłach czuwał nad bezpieczeństwem reszty, a sam Ariobarsanes obchodził je niemal do świtu, aż burza zaczęła nacichać, a kopny śnieg utrudniał poruszanie nawet na drodze. Grom z przecierającego się nieba mniej zaskoczyłby uśpionych niż dźwięk spiżowych trąb na tyłach obozu, któremu, jak echo odpowiedziały podobne dźwięki od strony muru, a potem wrzask zgłuszył wszelkie inne odgłosy. Nie zdoławszy nawet wydobyć się z zawalonych śniegiem namiotów, schronieni w nich żołnierze oddawali szyje pod miecz.

Mimo zupełnego zamętu, Ariobarsanes zdołał skupić kilkutysięczny oddział, z którym przebił się przez gromady wrogów, uchodząc drogą na Persepolis, by zamknąwszy się w nim doczekać odsieczy. Ale most na Aksaresie obsadzony już był przez hypaspistów i łuczników, a w czasie nawiązanej walki dopadł pościg i garstka niedobitków to było wszystko, z czym nadludzkiem

wysiłkiem i trudem Ariobarsanes zdołał bezdrożami ująć przed pościgiem. Resztą legła na dnie górskich przepaści lub zasnęła ciałami drogę od przełęczy do mostu. Persepolis było stracone, w najstarszej stolicy perskiego państwa rozpięta się wróg, grobowiec w Pasargadai, kryjący w złotej trumnie szczątki jego założyciela, relikwia, stanowiąca symbol władzy nad Azją, znalazła się w ręku zdobywcy.

Sprawozdania Ariobarsanesa słuchał Dariusz jak złej bajki. Oczy spuścił, jakby się lękał, by obecni przy nim dostojnicy nie wyczytali z nich, o czym myśli: że opór woli tego przeciwnika jest daremny, a jedyne, co Dariusz chciałby jeszcze odzyskać, to rodzina. Gdyby u stóp zwycięzcy złożył tiarę, mógłby się połączyć z najbliższymi, wierzył, że Aleksander dotrzymałby słowa, Ale wiedział też, że tego uczynić nie może. Zdać się musi na los i dźwigać go do końca, nigdy już nią ujrzy swoich najbliższych.

W cieniu kolumnady otaczającej sześciostopniowy cokół z surowych głazów, z kamiennym, bez żadnych ozdób grobowcem na szczycie, stał Aleksander z Helajstionem i w zadumie słuchał, jak bramin sprawujący pieczę nad grobem założyciela perskiego, państwa, tłumaczył wyryty na ścianie napis. Mówił szeptem, jakby lękał się zakłócić jego spoczynek.

Przechodniu kimkolwiek jesteś i skądkolwiek przybędziesz — a wiem, że przybędziesz! Jam jest Kurusz, król Achemenida, Nie żałuj mi tej garstki ziemi, która kryje moje zwłoki,

Aleksandrowi zdało się, że to do niego zza grobu zwraca się człowiek, którego żywot i czyny Rozpałiły ongiś chłopięcą wyobraźnię żądzą naśladowania. W pokorze wobec śmierci ma świadomość przemijania, nie żąda czci boskiej, prosi tylko o spokój. Aleksander również szeptem zwrócił się do bramina:

Każ napis ten wyrzeć także w helleńskim języku. Niechaj będzie symbolem zjednoczenia Azji z Europą.

Nie przyszedłem niszczyć jego dzieła, ale dalej je prowadzić.

Co jednak zamierzał przedsięwziąć, nad tym głowił się nawet Hefajstion. Zrozumiałe było, że po nadludzkich trudach i niebezpieczeństwach Aleksander sobie i wojsku pozwala na odprężenie, a umocnić chce dotychczasowe zdobycze. Dziesiątki miast, budowanych na wzór helleńskich, ale ze świątyniami helleńskich i miejscowych bogów, dźwigało się na jego rozkaz, ściągając kolonistów z przeludnionej Hellady i wybrzeży Azji Mniejszej. Rządy w nich powierzał niezdolnym do walki weteranom. Zdać się mogło, że król jak inni chce już tylko spożywać owoce, swoich zwycięstw. Nieprzebrane, od setek lat gromadzone w skarbcach zasoby, dotychczas martwo leżące, teraz płynęły rzeką, jakby źródło ich nigdy nie mogło wyschnąć. Wrodzona hojność Aleksandra przeszła w rozrzutność, której nie kładł żadnej tamy. Rozbudowany na wzór perski dwór pochłaniał sumy wystarczające na utrzymanie dziesięciotysięcznej armii, zbytek przerastał wyobrażenie, a wynagradzani ponad wszelką miarę młodzi dostojnicy sami zaczęli żyć jak królowie, otaczając się dworem, trwoniąc pieniądze na ściągających jak muchy do miodu darmożądów, muzykantów, błaznów, fletnistki i hetery, klejnoty i stroje dla nich, nieustające uczty, łowy, sprzęty i urządzenia swych pałaców, jakby nigdy nie zamierzali ich opuścić. Leonnatos karawanami wielbłądów sprowadzał piasek z Egiptu dla założonego przez siebie gimnazjonu, Filotas wyruszył na polowanie z tysiącami osaczników i setkami mułów dźwigających sieci klejnotów, jakimi obsypywał swą miłośnicę, zazdrościć jej mogła królowa. Zaślepiiony w niej nie widział, jak znudzona wdzięczyć się zaczyna do innych i z kpiącym uśmiechem słucha jego przechwałek, gdy podpiwszy puşył się przed nią jak kogut, sławiąc własne czyny bohaterskie. Wynosząc je nawet ponad czyny Aleksandra. Antygona kpiła z niego wobec swych nowych zalotników, a usłużni nie omieszkali donieść królowi o zachowania i przechwałkach Filotasa. Aleksander jednak z dziwną wyrozumiałością znosił wybryki, a nawet występki towarzyszy swej młodości i zwycięstw. Filotas

miął za sobą przynajmniej wielkie i niewątpliwe zasługi wojenne, dziwniejsze było, że wobec Harpalosa, który nie miał żadnych, król okazał wyrozumiałość graniczącą z lekkomyślnością. Niezdolnemu do walki z powodu ułomności powierzył kasę wojenną, z którą Harpalos przed bitwą pod Issos zbiegł do Megary, zapewne w przewidywaniu klęski. Teraz Aleksander nie tylko zezwolił mu wrócić, ale ponownie powierzył mu skarbiec. Pamiętał, że w czasie zadzierki z Filipem Harpalos opowiedział się po jego stronie i za to poszedł na wygnanie. Folgował zresztą Aleksander także i sobie, jego powściągliwość w jadle, a zwłaszcza w napoju rozluźniała się w ustawicznych ucztach. Jeszcze tylko w stosunkach z niewiastami nie wkroczył w ślady Filipa, choć nie stronił od towarzystwa wykształconych i obytych heter, których ogląda łagodziła obyczaje zdziczałych w walkach towarzyszy Aleksandra, a słynna z urody i dowcipu Tais zdała się nawet zyskiwać wpływ na niego.

Ucztę, igrzyska i uroczystości ciągnęły się miesiącami, przerywane jeno dla odmiany wypadami przeciw górskiemu plemieniu Mardów. Parmeniona męczyła pustotą dworskiego życia, mierzył udział w nim dostojników perskich, w których płaszczeniu się Aleksander zdał się znajdować potwierdzenie, iż przed wolą czy samowolą, jego ugiąć się musi wszystko.

Tymczasem wieści z Hellady były złe. Dariusz, władający dotychczas dwoma trzecimi swej niezmiernej dziedziny, zyskiwał czas, by raz jeszcze zebrać siły i zasoby, którym może nie poddać rozhartowaną w zbytku i rozkoszy armia macedońska. Zatwierdzeni na swych urzędach satrapowie perscy, którzy po klęsce Dariusza przeszli na stronę Aleksandra, w razie jego niepowodzenia natychmiast zwrócą się przeciw niemu. Ludzi się, jeśli sądzi iż pozyska ich dobrodziejstwami, a bardziej jeszcze, że wciągając ich w codzienne pożycie swego dworu i agemy zdoła zbudować trwały pomost między nimi. Dostojnicy macedońscy ni na chwilę nie zapomnieli, że oni są zwycięzcami, a podział pogłębiała jeszcze różnica stroju, obyczajów i języka.

Bliższym i głębszym niepokojem przejmował Parmeniona Filotes. Nikanor wkrótce po bitwie pod Gaugame-

lą uległ nieznannej chorobie; wspaniały pogrzeb, w którym całe wojsko oddało cześć jednemu z bohaterów tej bitwy, uświetniony igrzyskami, żadnej ulgi nie przyniósł ojcowskiemu sercu. Niepokój, jaki w nim ongiś tkwił o trzech synów, teraz zagaścił się na ostatnim, który zawsze najwięcej dawał do tego powodów. Choć stary wódz świadomy był, że stracił już wpływ na syna, postanowił raz jeszcze powściągnąć jego rozpasanie, a przynajmniej nakłonić do większej ostrożności. Wieści o jego przechwałkach musiały dojść do Aleksandra, skoro doszły do Parmeniona, on zaś znał króla od dziecka i wiedział, że im dłużej hamuje gniew, tym gwałtowniej wybuchnie, niespodziany i nieopanowany jak trzęsienie ziemi.

Przedsmak rozmowy z synem odczuł, gdy wezwany przez niego Filotas nie przyszedł, lecz kazał odpowiedzieć, że ma u siebie gości i czeka w swym pałacu na ojca. Domyślał się niewątpliwie, o, czym Parmenion chce mówić, a wiedział, że nie będzie mówił przy obcych. Parmenion jednak postanowił go zmusić do rozmowy w cztery oczy i wczesnym rankiem udał się do niego, wiedząc, że po biesiadzie zastanie go samego. Dowiedziawszy się, że jeszcze śpi, kazał go obudzić i oglądając zbytkowne urządzenie, powściągał gniew. Mierzić będzie Filotasa drewniany dom ojców i dziadów, ze sprzętami, które wykonali własnymi rękami. Gdy, zniecierpliwiony, sam już zamierzał wejść do talami zjawił się Filotas, wystrojony i woniejący. Parmenion, mimo że postanowił mówić spokojnie, zmarszczył się i rzucił ostro:

— Dla mnie nie potrzebowałeś się stroić, a tym mniej kazać mi na to czekać. Pachniesz niczyin nierządnicą.

— Nie kazałem ci czekać— zuchwale odparł Filotas.— A dość długo śmierdziałem własnym i końskim potem, by się wreszcie pozbyć tęj woni.

— Ja dłużej śnierdziałem niż ty, ale by się tego pozbyć, starczyła mi zimna woda.

— Żiawsze podziwiałem twoją wstrzeźliwość, ale nie żądaj, bym ją naśladował. Czy po to zdobywamy kraje i skarby, po stokroć narażając życie, by jak Diogenes mieszkać w beczce, a odżywiać się bobem i socze-

wicą? Przestań mnie już wychowywać, dawno noszę miecz i tarczę. Jestem dowódcą jazdy hetajrów, nie ma wyższego w wojsku dostojęstwa i nikt nie może mi rozkazywać. Jedynie król — dodał jakby po namyśle. Parmenion zagryzł wargi. Syn odmawia mu posłuszeństwa. Odparł:

— Dobrze, żeś sobie o tym przypomniał. Radzę ci zawsze pamiętać, a wiem, że często zapominasz. I przed kim! Przed sprzedajną dziewczką która ciebie sprzeda, gdy jej kto więcej zapłaci. Nie uznajesz mej władzy ojcowskiej, ale jeśli nie uznajesz także mego doświadczenia, toś głupi. Czy sądzisz, że nikt ci nie za widzi j że brak takich, którzy powtarzają Aleksandrowi, kto i co mówi o nim? Rozumiem go lepiej niż ty, choć dwa razy na dzień z nim biesiadujesz. Wybaczył Harpałosowi, że ukradł skarb. Ale nie wybaczy temu, kto by uszczknął choć jeden liść z wieńca jego sławy, którą zazdrośnie garnie wyłącznie dla siebie.

— Wiem o tym, ale nie jestem zależny od jego łaski, by mu palić kadzidła, bo bez nas byłby niczym. Ja też walczyłem nie tylko o złoto, nie jestem najemnikiem, jak ci się podobało mnie nazwać. Mam swój udział w chwale tego, czegośmy dokonali, nie mniejszy niż Aleksander i też nie pozwolę go sobie odebrać.

Parmenion zrozumiał, że trzodzi się daremnie. Miał uczucie, że stracił już i tego syna. Jak ślepiec pędzi przed siebie, nie widząc przepaści. Powiedział głucho:

— Mój synu! Nie bądź taki ważny. Pycha zgubiła już niejednego.

— Dlaczego nie mam być ważny, skoro nim jestem? Nie każ mi i w tym naśladować swej powściągliwości. Pół wieku walczyłeś i potrafisz spokojnie patrzeć, jak zdobytą sławę chce ci odebrać Aleksander, on, który na tronie zasiadł z twojej łaski.

— Milcz. Wiem, że i to nie pierwszy raz mówisz. Chęć się, skoro chcesz, własnymi zasługami, moje pozostaw na boku. Bacz, byś ty mi ujmy nie przyniósł, bo po owocach sądzą drzewo — zakończył i wyszedł bez pożegnania.

Położony za miastem u stóp górskiego wału, od zachodniej strony zamknięty wykutą w nim skarpią, z trzech pozostałych wysokim murem, okrąg pałacowy w Persepolis od miesięcy już stanowił siedzibę Aleksandra, skupiając tu wątki wszelkich spraw, bliskich i odległych, wielkich i małych. Od północnej strony rozległe zabudowania, ongiś pomieszczenie haremu i dworu, zajmował archigrammateus Eumenes z rozbudowaną kancelarią królewską, którą mimo nawału spraw doprowadził do ładu, a nawet znajdował czas na pisanie swych pamiętników, chwytnym umysłem ogarniając całość, krótko a wnikliwie umiając je przedstawić królowi w codziennych sprawozdaniach. Aleksander upewniał się, że znalazł w nim człowieka, któremu może zawierzyć dźwiganie rosnącego z każdym dniem ciężaru spraw budującego się państwa, wiele z nich zostawiając jego Rozstrzygnięciu. Wzrastało też znaczenie Eumenesa, budząc zawiść wojskowych dostojników, tym bardziej, że mimo helleńskiego pochodzenia zajmował poczesne miejsce wśród rodowych macedońskich hetajrów. Współzawodnictwo zresztą o łaskę Aleksandra falą intryg lub wprost doniesień objęło się o niego, lecz puszczał je lekceważąco mimo uszu i w tej powodzi utonęły też plotki o zachowaniu się Filotasa. Aleksander znał swych towarzyszy, widział ich nasilającą się żądzę bogactw i władzy, ale tego starczy dla wszystkich. Wielu już sprawowało ją na obszarach większych od dawnej ojczyzny, ograniczoną jedynie wolą króla. Myśl jednak, że któryś mógłby próbować współzawodnictwa, była od niego tak daleka, że wydawała mu się śmieszna. Ci sami ludzie zresztą w codziennych niemal biesiadach zamieniali się z powrotem w gromadę rozpasanych młodzików, puszczących się urządzeniem swych siedzib, wdziękami i strojami swych kochanek; byli skorzy do drwin i prześmiejów często w podnieceniu winem kończących się pogroźkami lub nawet burdą, o czym nazajutrz nikt zdał się nie pamiętać. Aleksandra bawiło to, sam stawał się wówczas młodzikiem gadatliwym i chełpliwym. Przy ogromie i bogactwie jego nowej siedziby gasła świetność wszystkiego, co dotychczas oglądał i zdobył w swej zwycięskiej drodze: zaliczane do cudów świata — ateh-

ski Akropol, efeskie Artemizjon, grobowiec Mauzolos, nie mówiąc już o ojczystym zamczku Fakos z którego drwiono w Helladzie jako siedziby godnej chłopskiego króla.

W Parmenionie pogłębiło się przeświadczenie, że Aleksander nigdy już tam nie wróci. Zarówno jego, jak i jego młodych towarzyszy urzekła wspaniałość zdobyczy, sam zresztą stary wódz mimo uprzedzenia nie mógł się oprzeć podziwowi dla nie znanej dotychczas sztuki, całkowicie odmiennej od helleńskiej, którą przywykł uważać za najwyższe osiągnięcie, do jakiego zdolny jest człowiek. Przygnębiała go jednak.

Strzegące wejścia do propylejów Kserksesa dwa olbrzymie, skrzydlate byki o ludzkich, brodatych, twarzach, uwieńczone wysokimi koronami, ponad tłumem rojącym się u ich potężnych kopyt, spoglądały obojętnymi oczyma, jakby wypatrując równych sobie olbrzymów. Na fryzie, wysoko ponad nimi, igrało sześć kamiennych lwów.

Z cienia propylejów otwierał się widok na olbrzymią budowlę otoczoną krużgankiem z kolumnadą, której Wejścia strzegły również skrzydlate byki, narożników zaś płaskiego, dachu uskrzydłone lwy,

We wnętrzu wzrok gubił się w lesie stu kolumn, podtrzymujących powałę z cedrowego drewna, bogata rzeźbiona, wsparta o kapitele z podwójnych głów rogatych koni, ślizgał się po posadzce z wielobarwnych kamieni, ściany od niej aż po powałę pokryte były bogatą mozaiką i ozdobione wyobrażeniami dziwacznych zwierząt. Źródłem rozproszonego światła, które powiększało jeszcze złudzenie nieskończonego ogromu sali, była wzniesiona część powały, z szeregami okien, które wieczorem, gdy wnętrze rozbrzmiało od świateł, wydobywały z cienia zarysy budowli, jakby odrywając ją od ziemi, niczym pałac z bajki.

I tę wspaniałość jednak przyćmiewał pałac Kserksesa. W otoczeniu wymyślnych ogrodów, na tarasie obwiedzionym niskim murem, górował nad całym okręgiem strzeżoną kolumn perystylu, z dala wywołując złudzenie lekkości, u stóp jednak potężnych bloków kamiennych, pnących się w niezmierną wysokość, jakby dźwigać

miały sklepienie niebieskie, przewalający się tu codziennie tłum przygniatamy swym ogromem jak symbol potęgi władców, którzy go wznieść kazali i tu nagromadzili wszystko, co było najświetniejszego w ich bezkresnych dziedzinach.

Parmeniona rzadko można było ujrzeć w tym tłumie. Od bitwy pod Gaugamelą Aleksander nie zlecał mu żadnych szczególnych zadań. Starego wodza drażnił wymyślny zbytek i wystawność życia, w jakim Aleksander rozsmakował się tak, że zdał się zapomnieć o niebezpieczeństwie, które może położyć jego zdobyczom gwałtowny a niesławny kres. W ucztach Parmenion nie brał udziału, wymawiając się od zaproszeń żałobą po synu. Teraz postanowił się przełamać, w nadziei, że dowie się czegoś o zamiarach króla, a może nawet zdoła na nie wpłynąć. Aleksander mimo widocznej niechęci liczył się z nim jednak. Zima miała się ku końcowi. Jeżeli nie zaślepiły króla dotychczasowe osiągnięcia, a nie rozhartowały trwające od pół roku ucztę, łowy i igrzyska, musi w najbliższym czasie powziąć jakieś postanowienie.

Z ciągnącym z miasta i zabudowań pałacowych tłumem Parmenion wszedł do sali stu kolumn, oświetlonej tysiącem lamp z barwnego fenickiego szkła, których blaski igrały na złotej zastawie uginających się pod nią stołów, zdobnych intarsją z hebanu, kości słoniowej i perłowej macicy. Na szczycie środkowego ich rzędu na podwyższeniu, stało kline królewskie, nakryte purpurowym kobiercem, na złotych nogach przedstawiających skrzydlate gryfy. Nie przestrzegano macedońskiego obyczaju sadzania biesiadników wedle godności, Aleksander do swego stołu zapraszał tych, z którymi przyszła mu ochota rozmawiać. Inni zajmowali miejsca wedle własnego wyboru, wielu kręciło się koło królewskiego stołu, widocznie w nadziei, że zostaną zaproszeni i trafi się sposobność zgrabnym pochlebstwem wkraść się w łaski króla. Roje służby i gromady chłopców królewskich powiększały jeszcze panujący tu gwar i zamęt.

Zasiadłszy przy sąsiednim stole Parmenion żałował już, że przyszedł. Tu nie znajdzie sposobności do rozmowy z Aleksandrem o istotnych sprawach, a na przyszłość trudno już będzie wykręcić się od udziału żałobą.

Z przyganą patrzył na obecność chłopców królewskich. Zamiast do posług wojennych, które gotować ich miały na przyszłych dowódców, sposobią się na dworaków, słuchając rozmów niestosownych dla młodzików, pochlebstw i pustej gadaniny, patrząc na wyuzdany zbytek i niepowściągliwość dostojników. Zwycięstw nie odnoszą zniewieściali w zbytkach dworacy.

Parmenion rozglądał się, któredy dałoby się wyjść niepostrzeżenie, ale w tej chwili zabrzmiały trąby, strażnicy sprezentowali broń, wszedł Aleksander i zajął miejsce. Obok niego spoczęli Hefajstion i Tais, na dalszych miejscach sędziwy Demaratos i Kallistenes. Dostrzegłszy Parmeniona Aleksander wskazał mu kline naprzeciw siebie. Gwar, który przycichł ma chwilę, teraz wzmógł się na nowo, roznoszono wymyślne potrawy. Król jadł szybko, wkrótce skończył i wziął się do picia, jednocześnie z ożywieniem rozmawiając z Tais. Parmenion usiłował słuchać, o czym mówią, ale w ogólnym gwarze chwycił tylko poszczególne słowa. Patrzył na słynną heterę i musiał przyznać, że sława jej była uzasadniona. Nie potrzebowała niczym podnosić swej nieskazitelnej piękności, niewymuszony wdzięk znamionował każdy jej ruch, jej dźwięcznego głosu sam Parmenion słuchał z lubością, zastanawiając się, czy król nie trafił wreszcie na kobietę, która nim zdoła zawładnąć. Plotki o jego odrzecie do niewiast ucichły, od czasu gdy wdał się z wdową po Memnonie, pojmaną w Damaszku, spłodził syna, którego kazał nazwać Heraklesem ku czci przodka swego rodu uznając tym zarazem swe ojcostwo. Ale nie przywiązał się do starszej od siebie Barsine i wraz z dzieckiem pozostawił ją w Syrii. Od tego czasu jednak nie słysząc było, by się zadawał z niewiastami, teraz widocznie ulegał urokowi Tais. Parmenion podejrzewał, że z pomysłem nasłana została przez Ateńczyków, by przez nią zyskać wpływ na króla i lękał się, że to osiągną. Złupione przez Kserksesa w Atenach skarby i dzieła sztuki król odesłał Ateńczykom, mimo że wiedział już, iż Ateny prowadzą podwójną grę i posłowie ich wraz ze spartańskimi bawią w Ekbatanie u Dariusza, niewątpliwie, by uzgodnić współdziałanie.

Biesiada zamieniała się w pijatykę, nikt już nie pilno-

wał swego miejsca. Wręczano sobie wzajem kubki, z wezwaniem do przemówień, których nikt nie słuchał. Aleksander, również podchmielony, mówił coraz prędzej i głośniej, sławiąc własne czyny. Tais słuchała z pobłażliwym uśmiechem, od czasu do czasu rzucając słowo, wreszcie skinęła na stojącego przy królu młodego Hermolaosa i wyciągając kubek rzekła:

— Nalej i podaj go Hefajstionowi. Król mówi, czego już dokonał, a ja rada bym wiedzieć, co jeszcze zamierza.

Zmieszła się z lekką, gdy chłopiec nie ruszył się, Aleksander rzucił gniewnie:

—Dlaczego nie czynisz, co ci kazano?

— Jestem na posługach króla— śmiało odparł Hermolaos.

— Istotnie, czas mu jeszcze wysługiwać się niewiastom — powiedziała Tais z uśmiechem, a Kallistenes, by odwrócić uwagę od chłopca, biorąc kubek z jej ręki napełnił go i podał Hefajstionowi.

— Rozkazów pięknych niewiast słuchają nawet królowie— powiedział. — Ty, Hefajstionie, który jedno jesteś z Aleksandrem, mów, czy Persowie dostatecznie już ukarani zostali za najazdy na Helladę i zniewagę naszych bogów.

Hefajstion spojrział na króla, jakby czekał na przyzwolenie, widząc jednak, że Aleksander nad czymś zadumał się, podjął:

— Imiennik i przodek króla ustanowiony został przez Kserksesa satrapą Hellady. W odwzięcie przystoi nam ustanowić Dariusza satrapą Persji i Medit

Parmenion, który zamierzał wymknąć się niepostrzeżenie, teraz słuchał pilnie. Gdy Tais roześmiała się z odpowiedzi Hefajstiona, wódz zabrał głos: — Pół roku czasu miał Dariusz na rozważenie, czy uznać się za pokonanego, czy raz jeszcze przygotować opór. Tedy zda mi się, że za wcześniej, a z pewnością, za długo święcimy ostateczne zwycięstwo. Znasz, królu bajkę Ezopa o wyścigu zająca z żółwiem?

Tais klasnęła w dłonie:

— Oto szczypta soli attykiej! Cóż stąd, królu, że zasiadasz na koronacyjnym tronie Achemenidów i ucztu-

jesz w ich pałacu! Nie jesteś ich następcą ale zdobywcą, jako wódz Hellady.

- Wielkiej rozkoszy pozbawieni są ci, którzy tego nie widzą — wtrącił Demaratos ale Tais odparła:

— Czy sądzisz, Demaratosie, że to dostateczna kara za spalenie ateńskiego Akropolu, zniewagę grobów naszych herosów i zburzenie świątyń? Dariusz winien się przekonać, że Aleksander słów nie rzuca na wiatr. Skoro pisałeś do niego, że przyszedłeś pomścić krzywdy Hellady, każ, królu, spalić ten pałac. To będzie pogrzebowy stos perskiego państwa, barbarzyńcy muszą zrozumieć, że od twej woli zależy, czy będziesz budować, czy burzyć.

Parmenion z niepokojem patrzył na zamyślonego Aleksandra. W podnieceniu winem gotów spełnić szalone żądanie, byle zachłysnąć się władzą.

— Tego nie powinieś uczynić — powiedział. — Nikt rozsądny nie niszczy swej własności po to jeno, by drażnić pobitych zniewagą ich świętości.

— Ty zawsze jesteś rozsądny, Parmenionie — odparł Aleksander. — Gdybym ciebie słuchał, dzisiaj ucztowałby tu Dariusz.

Zwrócił się do Hermolaosa:

— Każ pacholkom przynieść pochodnie.

Podchmieleni i rozbawieni biesiadnicy na widok płonących żagwi sądzą, że — jak już nieraz — król zamierza urządzić procesję z pochodniami. Ze śpiewem i okrzykami wysypywali się na dziedziniec za kroczącą na przodzie Tais, która z żagwią w ręku skierowała się do pałacu. Na szczycie schodów przy wejściu zatrzymała się i podniosła rękę na znak, że chce przemówić. Wskazała na wyryty nad wejściem napis i odczytała go głośno:

— *Mówi król. Ten kraj, Persja, oddany mi przez Ahuramazdę zasobny w ludzi i konie wolą, Ahtirantazdy i moją, króla Dariusza, nie zdrzą przed żadnym wrogiem.*

Wręczając żagiew Aleksandrowi, powiedziała:

- Ahuramajda oddał ten kraj Achemenidom, ty odebrałeś i niech zdrzą przed tobą.

Buchające z pałacu promienie łuną zabarwiły nocne niebo. Kto jeno dostrzegł ją w mieście, biegł na ratunek.

ale straż nie puszczała nikogo na obejście pałacowe. Dopiero gdy z oddziałem wojska nadbiegł Leonnatos, Aleksander nakazał ugasić pożar, a sam dosiadłszy konia udał się do miasta. Zamieszkali poprzednio w pałacu dostojnicy szli tam również. Parmenion zaprosił Demaratos na swoją gospodę. Przez jakiś czas obaj milczeli, Parmenion odezwał się jakby do siebie:

— Aleksander zazdrości sławy nawet Herostratesowi... albo po pijaneniu spełnia zachcianki naślanej dziewczki. Zapewne się mylisz - odparł Demaratos. — Znamy go obydwaj z tego, że nie zna go nikt. Szkoda zniszczonych skarbów, a zwłaszcza dzieł sztuki. Ale pomnij, ile razy uważałeś za szaleństwo to, co robił, a dzięki czemu stał się panem świata.

— Jeszcze nim nie jest, a może jeno pobudzić do oporu tych, którzy już byli skłonni ulegać mu. Ale masz słusność, że rozsądkiem jego postępowania nie mierzyć. Jeżeli jednak tym, co uczynił, spodziewa się zjednać Hellenów, to wątpię, czy takie będzie skutek. Że nie zjedna Persów, to pewne.

— Ale ty winienesz być zadowolony. Sikoro król spalił swą siedzibę, to niechybny znak, że zamierza wracać.

A Persom okazał, że jego wola jest ponad wolę ich boga i króla, i znosić muszą wszystko, cokolwiek on zechce.

— Lękam się, że nie tylko Persom, a gotów tam natopkać opór, gdzie się go nie spodziewa. Czy zauważyłeś, że Aleksander był gniewny, gdy ten szlachecki pacholek odmówił posługi heterze? Zapomina, że nie po to oddajemy mu swoich synów, by byli sługami, i że władza nie tylko jego upaja. Dla Makedonów król jest na wojnie wodzem, poza tym jeno pierwszym między równymi. Tyrani zawsze znajdują współzawodników, a często morderców.

— A ty zapominasz, że świat to nie Macedonia i że władcom nigdy nie brak służalców i pochlebców .. i że lepiej nie myśleć głośno.

— Może masz słusność, Ale jak żywot długi, nigdy nie ukrywałem tego, co myślę, a za stary jestem, by się tego uczyć.

Parmenion musiał przyznać, że za stary też jest, by prostać wysiłkom, przed jakimi nagle postawił swe wojsko Aleksander. Jeszcze dymiły zgliszcza pałacu, gdy ruszył na północ, zleciwszy Parmenionowi przewiezienie skarbów z Persepolis i Pasargadai do Ekbatany, gdzie z pozostałymi satrapami północnych i wschodnich prowincji bawił jeszcze Dariusz. Znajdujące się przy nim siły nie były wprawdzie wielkie, trzy tysiące jazdy i sześć tysięcy wojsk pieszych, w tym półtora tysiąca helleńskich najemników pod Patronem. Dariusz jednak czekał na nadejście dalszych posiłków od sprzymierzeńców, a zwłaszcza na wieści z Hellady. Posłowie Sparty i Aten zapewniali, że wiadomość o zwycięstwie Aleksandra pod Gaugamelą nie tylko nie przygnębiła Hellenów, ale stanie się bodźcem do wystąpienia przeciw Macedonii, póki Aleksander przebywa daleko w Azji jeszcze związany wojną. Wiele państw helleńskich już połączyło się z Agisem, który oblega Megalopolis, pozostałe czekają tylko na powodzenie tego przedsięwzięcia, by się do Sparty przyłączyć. Bunt trackich plemion i intrygi Olimpiady wiążą szczupłe siły Antypatra, Aleksander nie o zdobyczach będzie zmuszony myśleć, lecz o ocaleniu własnego państwa.

Przygnębienie Dariusza wypierać zaczynała nadzieją że wkrótce skończą się jego nieszczęścia. Bezczyność Aleksandra rozniecała ją jeszcze, ale nauczony doświadczeniem Dariusz tłumiał to uczucie, Aleksander zbyt wiele niespodzianek zgotował już przeciwnikom, należało zachować najwyższą ostrożność. Skarbiec wraz z haremem i sprzętem odesłał Dariusz do Ragai, a na wypadek uderzenia postanowił bronić przełęcz kaspijskich aż do nadejścia sił dostatecznych, by wreszcie położyć kres najazdowi.

Wieść o pochodzie dotarła do Dariusza, gdy Aleksander, zająwszy bez walki Paraitakene, zostawił wszystko, co mogło hamować w pochodzie i znalazł się o trzy dni drogi od Ekbatany. Spodziewane przez Dariusza posiłki nie nadeszły, odstępstwa zaczynały się już we własnym jego otoczeniu tym, którzy pozostali przy nim, Dariusz

coraz mniej ufał. Bessos radził wycofać się do Baktrii. Dariusz wiedział, że tam będzie od niego zależny, ale nie miał wyboru. Pętla na jego szyi zaciskała się. Nie chciał wpaść w ręce prześladowcy. Wspomnienie niezrozumiałej trwogi, jaką dwukrotnie przeżył na jego widok, odzywało się echem, głuszając w nim głos, który doradzał zdać się na łaskę zwycięzcy. Opuściwszy Ekbatanę pośpiesznie uchodził na wschód, ale tylne, strażę jazdy baktryjskiej donosiły, że wróg zbliża się i już tylko dwadzieścia parasangów dzieli przeciwników.

Dariusz widział, że jego ludzie idą ostatkiem sił, ale tym bardziej chyba wyczerpany musi być pościg. Jeżeli ma dojść do walki, która zdała się nieunikniona, rozsądniej stanąć z wypoczętymi przeciw znużonym. Zatrzymał więc pochód i oznajmił dostojnikom swe postanowienie. Odpowiedziało mu wymowne milczenie, które go rozdrażniło. Rzucił gniewnie:

— Nie brakło wam rady, by z Sochoi wywabić mnie pod Issos, gdzie zaczęła się klęską. Ujść nie zdołamy, pozostaje walka. Jeśli ktoś widzi inne wyjście, niechaj zabierze głos, a nie chowa przede mną swych myśli.

Dźwignął się Nabarsanes i pomijając zwykłe tytuły, zaczął:

— Jeżeli chcesz słyszeć, czego wolelibyśmy nie mówić, twoja wola. Są jeszcze siły w Baktrii, Sogdianie i innych prowincjach na północy i wschodzie, zdolne tamę postawić najazdowi. Jeżeli tu przyjmiemy walkę, nie będzie komu ich zebrać. Ty nie ufasz nam, ale twoje ludy nie ufają też tobie. Po dwakroć uszedłeś wydając je na rzeź. Oto nasza rada: do ukończenia wojny złóż tiarę w ręce Bessosa. Mężny jest, ma powagę u ludów swych satrapii i sprzymierzonych Indów i Sakków, jest członkiem dynastii...

Nie dokończył, bo Dariusz wyrwał sztylet i skoczył ku mówiącemu. Sędziwy Artabastos zastąpił mu jednak drogę. Nabarsanes zaś wypadł z namiotu, a w ślad za nim wyszedł Bessos i arachozyjski Barsaentes. Wybuch gniewu wyczerpał resztkę sił Dariusza. Usiadł i twarz ukrył w dłoniach. Nie było nad czym radzić i zaległo milczenie, które przerwał Patron

— Pójdę zobaczyć, co poczynają.

— Słuszny jest twój gniew — odezwał się Artabasos — ale powściągnij go, królu. W obecnym położeniu rozdwojenie to klęska ostateczna. To muszą zrozumieć i buntownicy, gdy się zastanowią. Zezwól, a spróbuję ich przekonać. Nie odmów im przebaczenia, jeśli się ukorzą.

Gdy Patron wrócił z oznajmieniem, że baktryjska jazda zbiera się do odmarszu, pozostałe wojska jednak nie chcą odejść bez króla, Artabasos wstał mówiąc:

— Widzisz, królu, że nie wszystko jeszcze stracone. Nie zacinaj się w gniewie, a ja spróbuję nakłonić buntowników do posłuszeństwa.

Dariusz nic nie odrzekł, Artabasos wyszedł. Po dłuższej chwili wrócił.

— Winowajcy — rzekł — chcą cię błagać o wybaczenie.

Dariusz skinął głową, ale nie odezwał się, gdy weszli satrapowie i upadłszy przed nim na twarz czekali, aż pozwoli im wstać. Artabasos podjął:

— Pozwól im, królu, spojrzeć w twe oblicze i wiernością zmasać plamę nieposłuszeństwa.

— Wstańcie — powiedział Dariusz.

Gdy usiedli, Bessos nie patrząc na króla zaczął:

— Nikt by się nie ośmielił świętokradzkiej ręki wyciągnąć po twoją tiarę, gdybyś za wierność nie odpłacał nam nieufnością. Bo jeślibyś nam ufał, nie żądałbyś, byśmy tu stawiali czoło prześladowcy z nielicznym i znużonym wojskiem, gdy w naszych satrapiach zebrać możemy niezliczone, świeże zastępy. Tu ciebie i nas czeka zguba, tam najeżdźcę, jeśli się waży zapuścić za kaspjskie przełęcze z wyczerpanym wojskiem, bez zaopatrzenia i wszelkiej pomocy. Ciebie on ściga, bo wie, że gdyby cię dostał w swe ręce, zwiąże tym nasze. Im głębiej go wciągniemy, tym prędzej utonie.

— O świecie ruszamy do Tary — odparł Dariusz wstając na znak, że narada skończona.

Nie wierzył buntownikom, ale nie widział wyjścia i gdy rankiem wyruszył w drogę, zrozumiał, że Bessos ma go w ręku. Satrapa ciągnął tak szybko, że piesze wojska pozostały daleko w tyle. Doszły w nieładzie gromadkami, gdy w południe zatrzymał pochód, by napoić i nabroczyć konie. Tylko Patron przyprowadził zwarty

oddział helleńskich najemników a teraz kręcił się w pobliżu króla, jakby chciał mu coś powiedzieć. Dariusz zwrócił się do Ateńczyka Mellona, który służył za tłumacza:

— Patron widocznie nie chce, by zauważono, że mówię mną. Spróbuj ty rozmówić się z nim.

Czuł się jak więzień, któremu nie wolno porozumiewać się z nikim, i z niepokojem czekał na powrót Mellona. Ten wrócił wkrótce i rzekł cicho:

— Patron prosi cię, królu, byś się zawierzył Hellenom bo tylko między nimi pewny być możesz żywota.

— Jesteś pomszczony, Charidemosie — szepnął do siebie Dariusz.

Od początku najazdu tylko helleńscy najemnicy nigdy nie zawiedli a z podszeptu swych dostojników wydał na śmierć potrzebnego człowieka. Wbijali go w pychę, gdy był potężny, opuścili lub zdradzili w nieszczęściu. Nie wątpił, że przestroga Patrona niepróżna, ale Bessos nie darmo otoczył go swymi ludźmi. Nieudana próba. Wymknięcia się byłaby ostatnią. Postanowił czekać na sposobność i gdy Bessos zatrzymał się na nocleg, Dariusz w swym namiocie nasłuchiwał odgłosów, chcąc z nich wymiarkować, czy Patron już nadszedł. Szelest skradających się kroków poderwał go, uchyliła się zasłona namiotu, ale zamiast spodziewanych hoplitów Patrona: Dariusz ujrzał Bessosa.

— Czego chcesz? — zapytał z gniewnym zaskoczeniem.

— Chcę ocalić resztę dziedzictwa naszych przodków, którego jeszcze nie zdołałeś zmarnować — odparł Bessos.

Dariusz skoczył ku wyjściu, ale obalono go na ziemię i po chwili z więzami na rękach i nogach, na wozie otoczonym przez jazdę baktryjską jechał na wschód.

Wiść o uwięzieniu króla wprawiła w popłoch ściągające do Tary wojsko. Poselstwo helleńskie i Artabazos z synami przyłączyli się do Patrona, który ze swym oddziałem uchodził w góry Tapurii. Ale rozumiał, że odwrót Ksenofonta niczym był wobec trudów i niebezpieczeństw, czyhających w dalekiej drodze do ojczyzny. Satrapa, Babilonu Bagistenes zebrał swych ludzi i ruszył w powrotną drogę, by poddać się Aleksandrowi, z nim

razem odszedł Artabelos, syn Mazaios. Walka skończona. Liczyć mogli już tylko na łaskę zwycięzcy. Pozostałe oddziały rozproszyły się na wszystkie strony.

Wieść o wypadkach w Tarze doszła do Aleksandra w Hagai, gdzie zatrzymał się, by przed wejściem w bezludny step zaopatrzyć się w żywność. Zleciwszy Kraterosowi, by zaczekał na pozostałe w tyle wojska i prowadził je w ślad za nim, sam na czele jazdy hetajrów i ili sarysoforów gnał do Tary przez dwie doby, tyle wypooczywając, by konie nie ustały. W Tarze zastał już tylko Mellona, który z powodu choroby nie odszedł z Patro-nem, i od niego dowiedział się, że Bessos ogłosił się królem i uszedł do Hekatompilos, by wraz z pozostałymi spiskowcami gotować dalszy opór.

Wiadomości wprowadziły Aleksandra w gniew. Mając w rękę Dariusza, mógł wymusić na nim zrzeczenie się władzy na swoją rzecz. Bessos go uprzedził. Aleksander wybrał pięciuset najsilniejszych ludzi i koni i pognał za buntownikami. Nie zważając, że i z tej szczupłej siły coraz ktoś odpada z wyczerpania, gnał przez całą noc i nazajutrz w południe dotarł do osady, z której poprzedniego wieczoru ze swą jazdą odszedł Bessos. Po nocnym marszu musi spoczywać, już tylko o kilka parasangów może wyprzedzać pościg.

Aleksander nie myślał o tym, że i jego żołnierze trzy noce z rzędu spędzili na koniach. Wywiedziawszy się od miejscowych ludzi, że może stepem przeciąć daleki łuk królewskiego gościńca, ruszył skrótem, mimo że przestrzegano go, iż okolica jest bezwodna i dopiero niemal u końca drogi wypływa źródło, którego nie starczy jednak nawet na napojenie konia, bo wątła strużka ginie zaraz w suchej glebie.

Ledwie zjechali z gościńca oddział jął się wyciągać w długiego węża. Jadący na czele obok Aleksandra Hefajstion powiedział:

— Krateros tędy nie pójdzie. Kto zostanie, tego, już więcej nie ujrzymy. Bez wody nie wyżyje nikt.

— Ja też nie — odparł Aleksander i popędził konia. Jakiś czas jechali w milczeniu. Słońce wbiło się i zaczęła dopiekać. Hefajstion obejrzał się mówiąc:

— Ludzie już pozostają. Zwolnij, by dociągnęli

— Im prędzej przebędziemy step, tym wcześniej do-
trzymamy do wody.

— Bessos ma trzy tysiące jazdy, a spójrz, ilu za nami.

— Nie patrzę za siebie. Będę go ścigał choćby sam.

Hefajstion wiedział, że to prawda, i umilkł. Nie pora
zresztą było zawracać, chyba by pozbierać pozostałych
w drodze, ale oznaczałoby to wyrzeczenie się pościgu.
Aleksander od pacholących lat nigdy nie odstępował od
tego, co zamierzył.

Godziny wlokły się jak konie, które szły z opuszczo-
nymi łbami. Wszyscy milczeli, słyhać było tylko stukot
kopyt na stwardniałej od upału glebie i brzęczenie much.
Hefajstion odezwał się, z trudem przełknąwszy ślinę;

— Spocznijmy przez chwilę. Może ktoś jeszcze dociąg-
nie. Mnie już płaty latają przed oczyma.

— Do gościńca nie musi być daleko, źródło winno
tu gdzieś być. Poszukaj i napij się, a ja poczekam na
ludzi.

Skinął na żołnierza, by szedł za Hefajstionem, który
chwał się na nogach. Zaczerwienionymi oczyma spojrzął
za siebie. Nadciągało nie więcej niż sześćdziesięciu. Zsia-
dali zataczając się i szukali cienia za końmi, które stały
rozkraczone, z opuszczonymi łbami. Gdy w drgającym
od lipcowego skwaru stepie nie widać już było nadciąga-
jących, Aleksander nakazał dosiąść koni. Zdać się mogło,
że jeźdźcy czynią to po raz pierwszy, poruszali się jakby
członki mieli z ołowiu, konie chrapały i potykały się. Po-
wlekli się noga za nogą.

Aleksander wypatrywał Hefajstiona i ujrzał z dala
nadchodzących. Żołnierz szedł raźnie z odkrytą głową,
hełm niosąc w ręku. Gdy przystąpił, podniósł go i wrę-
czył Aleksandrowi mówiąc:

— Napij się i ty, królu.

Aleksander przez chwilę trzymał hełm, czując na so-
bie smutne spojrzenia towarzyszy. Twarz jego skurczyła
się, jakby w wielkim wysiłku. Zagryzł spękane wargi
i podniósł w górę hełm. Zdało się, że przyłoży go do
ust, ale niespodzianie słońce zalśniło w strudze wody,
która spłynęła na ziemię.

- Dla wszystkich za mało — powiedział. — Jeszcze
trochę wysiłku, a napijemy się do syta.

Odpowiedziały mu okrzyki, choć przez chwilę zdać się mogło, że wyschnięte gładziele nie zdołają już wydobyc słowa:

- Nie czujemy pragnienia. Z tobą jesteśmy nieśmiertelni!

Jakby i koniom udzielił się zapal, bo ruszyły raźniej, a wkrótce rwać się zaczęły. Nikt nie wstrzymywał ich, poczuły wodę i gnały, wreszcie zanurzywszy pyski w chłodnym strumieniu piły i piły, a ludzie tarzali się w wodzie i pluskali nią wzajem na siebie, krzycząc i śmiejąc się jak dzieci.

Ale postój nie trwał długo. Znaleźli się na gościńcu, w którego pyle widniały świeże ślady kół. Widocznie wóz z królewskim więźniem szedł na tyłach oddziału Bessosa. Gościniec wił się wśród pagórków ograniczających widoczność, ale już każdej chwili można się było spodziewać nieprzyjaciela: sześćdziesięciu jeźdźców macedońskich przeciw trzem tysiącom Bessosa.

Gościniec wspiął się na wzniesienie i Aleksander ujrzał ich. Widocznie i oni dostrzegli nadciągający pościg, bo pognali konie. Król zatrzymał się, by zebrać swą rozproszoną garstkę, gdy dopadł Hefajstion mówiąc:

— Pójdź. Znaleźliśmy wóz z Dariuszem.

Gromadka ludzi rozstała się przed nadchodzącym Aleksandrem. Po raz trzeci patrzył na przeciwnika, którego ścigał z taką zajadłością. Leżał obok wozu, wielki i spokojny, szklistymi oczyma obojętnie patrząc w jasną krawę słońce. Niepoczerniała jeszcze krew z licznych ran świadczyła, że niedawno rozstał się z życiem. Bessos musiał zmiarkować, że nie ujdzie pościgowi, i zabił prawowitego króla, by pojmany przez Aleksandra nie zrzekł się tronu na rzecz Macedończyka.

Aleksander z dziwnym uczuciem patrzył na niedawnego wroga. Nie myślał teraz o korzyści, jaką może mu przynieść jego śmierć, ale o swym zmarnowanym nadludzkiem wysiłku, by dostać go w swe ręce i okazać mu wspaniałomyślność zwycięzcy. Zamknięty został ważny okres własnego życia, ze zdziwieniem zrozumiał, że przywiązał się w jakiś sposób do przeciwnika, w walce z którym zdobył swą wielkość. Zarazem jednak żał mu było nieszczęśliwego człowieka, którego los skazał na walkę

z niezwyciężonym, a na śmierć z ręki zdrajcy. Zawód i żal Aleksandra obrócił się w gniew. Wskazał na zwłoki Dariusza.

— Odeślemy je matce. Niechaj choć pochowa syna **jak** króla. A za jego krew Bessos swoją zapłaci.

Bessos łudził się sądząc, że śmierć Dariusza otworzy mu drogę do tronu i odda w ręce siły nie zajętych jeszcze satrapii, na których czele zdoła się skutecznie przeciwstawić dalszym postępom najazdu. Gdy bowiem Aleksander, doczekawszy się w Hakatompilos nadejścia ciągnących za nim oddziałów, ruszył, by opanować górskie przejścia na wybrzeże Kaspijskiego Morza, pojawili się u niego satrapowie z hołdem i prośbą o łaskę. Wraz z nimi przyjechał najwierniejszy z przyjaciół Dariusza, sędziwy Artabasos z trzema synami, a wśród nich z mężnym obrońcą Perskiej Przełęczy Ariobarsanem. Aleksander Persów przyjął łaskawie, Artabasowi przypomniał jego gościnę na dworze Filipa, natomiast posłańców Patrona, przybyłych z prośbą o podanie warunków kapitulacji, odprawił gniewnie, mówiąc, że ze zdrajcami układać się nie będzie. Jeśli Patron chce naśladować Ksenofonta, niech uchodzi szybko. Jeśli nie, ma się zdaje na łaskę i niełaskę i stawić się osobiście dla wysłuchania wyroku.

Odpowiedź Aleksandra przygnębiła posłańców, mieli przed oczyma los jeńców helleńskich pojmanych nad Granikiem. Zwłaszcza ateńscy posłowie lękali się, że oni będą musieli zapłacić za fałszywą grę, gdy miasto ich stało Aleksandrowi życzenia i wience, a jednocześnie zmawiało się z Dariuszem przeciw niemu. Gdy Patron, mimo grożącego mu niebezpieczeństwa, postanowił spełnić żądanie Aleksandra, wiedział bowiem, że nie zdoła swych ludzi doprowadzić do ojczyzny, przywódca ateńskiego poselstwa Dropidas rzucił się na miecz. Pozostali szli z Patronem jak na rzeź i gdy stanęli przed królem, żaden nie odważył się podnieść na niego oczu.

Aleksander szorstko zwrócił się do Patrona:

— Wiesz, że uchwałą korynckiego zjazdu służbę Persom uznano za zdradę, i wiesz, jaką karę mają ponieść zdrajcy?

— Za moich ludzi mnie możesz ukarać, bo ja ich zaciągałem. Proszę o łaskę dla nich, nie dla siebie.

— Prosisz zuchwale, ale że za nimi wstawiał się też Andronikos, który podziwiał ich męstwo, zwolnię od kary tych, którzy zaciągnęli się przed uchwałą zjazdu. Innych pod warunkiem, że zaciągną się w moją służbę. Pozwolę i tobie skorzystać z mej łaski, ponieważ wiernie służyłeś poprzedniemu panu, nawet wtedy, gdy nic już nie miał do rozdania.

— Z łaski twej, królu, nie skorzystam. Wcześniej niż zjazd koryncki była bitwa na Polu Krokosa, po której Antypater utopił trzy tysiące tokijskiej młodzieży, a wśród niej moich dwóch braci. Jestem najemnikiem, ale nie wszystko mam do sprzedania.

Helleńscy posłowie słuchali z przerażeniem odpowiedzi Patrona, oczekując na wybuch gniewu Aleksandra, ale ten odparł spokojnie:

- Ty nie sprzedajesz zemsty, a ja nie kupuję przyjaciół. Możesz tedy odejść, skoro zaciągnąłeś się przed uchwałą zjazdu, bo słowa nie cofam.

Zwrócił się do posłów Chalkedonu i Synopy.
- Wy też. Skoro wasze miasta podlegały Dariuszowi, wolno im było śłać poselstwa do swego króla. A wy - rzekł do posłów Aten i Sparty — pozostaniecie pod strażą. O was postanowię, gdy się dowiem, czy skończona już w Helladzie myomachia . Mógłbym kazać zniszczyć wasze państewka jak Teby, względy jakie wam okazuję, to tylko moja łaska.

Aleksander zdał się zapominać o tym, że ogołocił swój kraj z najlepszych sił a wszystkie siły ongiś tylko dzięki nieobecności Sparty pod Cheroneą z trudem złamały opór Hellady. Teraz Sparta stanęła na czele stawiających opór.

Toteż pogardliwe określenie ciężkiego zadania Antypatra wzburzyło starszyznę mecedońską. Król lekcewa-

żył nie tylko Helladę, ale własny kraj, twórcom jego wielkości, na której wyrósł, zawidzi ich sławy, by nie przyćmiła jego własnej. W agemie coraz więcej zaprzadców perskich, którzy pełzają przed królem, tylko od jego łaski zależni, dwór i urzędy roją się od bezwstydných pochlebców.

Nie brakło wśród nich także donosicieli i Aleksander wiedział, że postępowanie jego budzi sprzeciw starych towarzyszy. Ale i ten lekcewazył. Gdyby opór ich stał się czynny, złamie go. Lubił ich jak swego starego konia byli narzędziem i świadkami jego czynów. Wybaczał, że się narowia, nie mogąc zrozumieć, do czego zmierza. Jak ongiś w swej wyprawie na Olimp czuł się samotny, nawet nieodstępny Hefajstion pozostał gdzieś w dole. Nie liczył się z nikim, z wyjątkiem właśnie Antypatra. Przez wzgląd na niego dotychczas w zawieszeniu pozostawił sprawę jego zięcia, tylko jego zaszczycał w listach swych pozdrowieniem, choć wiedział, że Antypater jeno dlatego pomógł mu w pokonaniu trudności po śmierci Filipa, że uważał to za korzystne dla kraju. Temu Aleksander zawdzięczał, że nie znalazł w nim najgroźniejszego przeciwnika, ale też dzięki niemu nie potrzebował zaprzatać swych myśli krajowymi sprawami.

A jednak narastające ich brzemie mogło się okazać zbyt ciężkie na barki blisko siedemdziesięcioletniego starca. Wprawdzie zniszczenie floty perskiej zabezpieczyło kraj od uderzenia od strony morza, a wysłany przez Antypatra Amfoteros wyparł z Krety flotę spartańską, pozbawiając ją swobody ruchów. Jasne było jednak, że rozstrzygnięcie zapaść musi na lądzie, a tu położenie było groźne. W kraju Olimpias nie przebiegając w środkach zmierzała do zagarnięcia władzy. Zniszczenie wojsk stratega Pontu, bunt w Tracji i jej przymierze z Atenami zmuszały do rozdzielania i tak szczupłych sił.

Wysławszy Korragosa na pomoc oblężonemu Megalopolis, Antypater z resztą wojsk sam wyruszył do Tracji, licząc na zapowiadany w listach powrót Aleksandra z Egiptu. Niespodziewanym uderzeniem stłumiwszy bunt w zarodku, pobrał licznych zakładników i śpieszył

do kraju nie wiedząc, co tam zastanie. W drodze już, dowiedział się o klęsce Korragosa, a zamiast Aleksandra przybył Amyntas z żądaniem przysłania posiłków. Z Tyru król ruszył nad Eufrat.

Kassandros, któremu Antypater na czas swej nieobecności zlecił rządy, mówiąc o tym wzburzony był i z niepokojem patrzył, jak wiadomość przyjmie ojciec, ale z surowej jego twarzy nic nie mógł wyczytać. Zapytał:

— Co uczynimy?

— To, co król kazał — odparł wódz.

Kassandros nie śmiał już dopytywać, jakie wojska zamierza ojciec wysłać Aleksandrowi. Wiedział, że brak pieniędzy na najemników; wszystko niemal, co można było ściągnąć z wyczerpanego kraju, zabrała Olimpias na pomoc dla swego brata. Siły, którymi rozporządza Antypater, mogą nie sprostać czekającym je zadaniom. Król zdobywa cudze państwa, a nie dba o własne, W obcych krajach buduje miasta zamiast w swoim. Aristotelesowi na jego badania posłał sumy, które zaspokoić mogły pilne potrzeby kraju, gdy zabrakło na nie środków.

W Pelli, dokąd przybyli nazajutra wieczorem, w dworcu Antypatra czekał już na niego Amyntas, który tymczasem rozejrzał się widocznie w położeniu bo powitawszy wodza, powiedział:

— Zda mi się, że wracać mi przyjdzie z niczym.

— Mylisz się — odparł Antypater. - Ja zwykłem wykonywać rozkazy króla, a tu moje będą wykonane.

Późny świt jesienny jeszcze nie rozjaśnił chmurnego nieba, gdy starszyzna zebranych przez Olimpiadę oddziałów i wyciągnięci z pościeli dworzanie jej jechali pod strażą do przystani, by tam na statku oczekiwać na wysłanie do Azji. Do możniejszej zaś szlachty wiejskiej, która niechętna nowościom trzymała się z dala od stolicy, biegli gońcy z rozkazem, by dojrzewających synów oddali do chłopców królewskich. Był to zaszczyt i pierwszy krok do dostojenstw, ale nikt nie wątpił, że Antypater widzi w nich zakładników. Chłopcom uśmiechały się podróże i przygody, ojcowie jednak wzburzeni byli oddając ich wbrew woli w nieznanne strony. Jeszcze

za Filipa wolnego człowieka obowiązywała służba tylko we własnym kraju albo w jego obronie.

Klęska Korragosa dowiodła, że do rozstrzygnięcia ze Spartą nie doprowadzi wspieranie sprzymierzeńców posiłkami. Należy zebrać wszystkie siły i jak pod Chero-neą rzucić je na szalę. Na szczęście zimą walka przy-gasła, przysłane tysiąc pięćset talentów pozwoliły Anty-patrowi na zbrojenia. Na przedwiośniu pokończył przy-gotowania, ale czekał jeszcze na zarządzenia Aleksandra i wieść o wyniku jego wyprawy przeciw Dariuszowi. W razie klęski pozostawało tylko bronić kraju, a znając zajadłość Olimpiady wiedział, że nieobecności jego nie omieszkają wykorzystać do wywołania zamętu i podju-dzania niezadowolonych. Dworzec i zamek leżały na-przeciw siebie jak legowiska dwu drapieżników i każde czyhało, by wyprzeć drugiego.

Olimpias żywiła nadzieję, że zdoła wymóc na synu pozbawienie Antypatra władzy i powołanie go do Azji. Wśród innych zarzutów wysunęła podejrzenie, że Anty-pater jakoby zamierzał uchwycić berło Macedonii. Chęć pozbycia się znenawidzonego człowieka przeważała w niej nawet nad żądzą władzy, dla tego celu nie wa-hała się porozumiewać z wrogami; przychylnie odpowie-działa na prośbę Demostenesa nawiązania stosunków i zamieściła w liście do syna życzliwą wzmiankę o ko-rzyściach, jakie przynieść może pozyskanie w Demoste-nesie sprzymierzeńca.

Demostenes otrzymał od niej list, który upewnił go, że w Helladzie nie ma ważniejszego niż on człowieka. Odczytywał go dziesiątki razy, choć znał go już na pa-nięć:

„Nie ja miałam ci za złe, że występowałeś przeciw Filipowi; nieprzezorny byłeś natomiast, na równi z wy-uzdanym rozpustnikiem oceniając mojego syna. Jak się jednak przekonałeś, jego cele są zgoła inne i słusznie uczyniłeś usiłując się z nim pojednać. Nie on bowiem, lecz Antypater jest wrogiem Hellady i Aten. Umiał jed-nak wkraść się w zaufanie króla, by zagarnąć władzę w Macedonii, której nie zamierza wypuścić z ręki, czego dowodem, że nie słucha rozkazu, by nie mieszał się w wasze sprawy. Gdyby mu się udało przy niej utrzy-

mać, nietrudno odgadnąć, czego od niego spodziewać się możesz ty. i wszyscy, którzy kiedykolwiek występowali przeciw Filipowi, gdy ja, matka jego króla, życia przy nim pewna nie jestem. Mam jednak nadzieję przekonać króla, by mu władzę odebrał, nim będzie za późno. List ten tymczasem zachowaj w tajemnicy, nie wątpię bowiem, że wiadomość o nim Antypater nie omieszkałby przeciw mnie wykorzystać. Niemniej donoś mi o jego poczynaniach sprzecznych z rozkazami króla, a ja postaram się przekonać Aleksandra, że przywracając ci swą łaskę zjedna sobie Ateny, co będzie lepszą ręką spokoju w Helladzie, niż poczynania Antypatra, które ją wprawiają w zamęt, potrzebny mu, by siebie uczynić potrzebnym. Mamy wspólnego wroga w człowieku który był złym demonem Filipa, i te niech ci będzie ręką mej przychylności".

Zrazu pogłoski, a potem pewna wieść o zwycięstwie Aleksandra pod Gaugamelą wywołała poruszenie w całej Helladzie, u Olimpiady zaś wybuch nieprzytomnego gniewu. Wraz z bogatymi darami bowiem otrzymała pismo syna, w którym Aleksander stanowczo, a nawet ostro zakazywał jej wszelkiego mieszania się w sprawy, kraju. Bez osłonek dawał matce do zrozumienia, że nie wierzy jej doniesieniom i zezwala Antypatrowi na ustanowienie sobie straży przybocznej. Olimpias cisnęła pismo na ziemię i depcąc je wołała:

— Z węża poczęłam i węża urodziłam. Jak Zeus rządzi światem, a odmawia mi tego chłopskiego kraiku, słuchać każe spróchniałego dziada! Mnie zawdzięcza to, czym jest, a w zamian jak dziewczkę zbywa tymi ochłapami. Spalić to! — krzyknęła, wskazując na stertę szat, klejnotów i wonności.

— Siebie byś spaliła w swym gniewie - powiedziała Eufemele. — Nic nim nie wskórasz, zwłaszcza przeciw synowi. Podziękuj mu i proś o więcej. Możesz napisać, że Antypater pozbawił cię wszelkich środków, z majątności twych ściągnął ludzi zdolnych do pracy, uwięził oddanych ci hegemonów, tak że życia nie jesteś pewna i uchodzić musisz z kraju.

— Nigdy nie ustąpię temu capowi! By się tu panoszył jak król?!

— Aleksander nie miłuje go. Będzie stał za nim, póki jest mu potrzebny. Ustąp do czasu, jedź do Epiru. Brat twój wojuje w Italii, córa nie waży ci się sprzeciwić, tam będziesz rządzić i siły zbierać; gdy Antypater swoje wytraci w walce z Agisem, ty będziesz potrzebna Aleksandrowi. A to każ sprzedać — wskazała na skarby — za pieniądze możesz zaciągnąć najemników, Antypater nie odbierze ci ich, bo ledwo mu starczy na żołąd dla tych, których już zaciągnął.

— Może słusznie mówisz. Sprzedaj to.

Olimpias jąta oglądać przysłane dary. Ujawszy złoty diadem włożyła go na głowę spoglądając w zwierciadło. Eufemele z uśmiechem powiedziała:

— Piękniejszy niż złoto włos twój, a nie ma takich kamieni jak twoje oczy. Gaśnie przy nich i ten klejnot.

Olimpias zdjęła diadem i pogardliwie rzuciła na stertę kosztowności:

— Zabawkę mi przysłał Aleksander, a władzy mi nie da...

— Władzy się nie dostaje, jeno bierze, jak on. A zapominasz o wróżbie, że nigdy tu nie wróci, jak nie wraca płomień tam, gdzie raz się wypalił.

Olimpias drgnęła i przybladła, a Eufemele ciągnęła:

— Pomnisz mój sen wróżebny przed jego urodzeniem? Nim zgaśnie ten płomień, musisz być gotowa,

— Wiem, że już nie ujrzę syna — szepnęła królowa. — Sprzedaj to — powtórzyła wskazując na klejnoty — i każ sposobić wszystko do wyjazdu.

- Zawiadomiony o przygotowaniach Antypater zamyslił się. Od czasu odejścia Aleksandra tylko przez posłańców znosił się z królową. Teraz jednak należało się z nią spotkać, by wymiarkować, co knuje. Wahał się jeszcze jak zmusić ją do tego, gdy sama wezwała go, by stawił się bez zwłoki. Zabrawszy z sobą straż przyboczną i synów Kassandifa i Jolaosa, Antypater udał się na zamek. W podwórcach na zaprzężone wozy ładowano sprzęty, naczynia i kobierce, pośrodku opustoszałego megaronu stała Olimpias przybrana już do drogi. Na widok Antypatra w otoczeniu straży, nie odpowiadając na jego pokłon, zaczęła drwiąco:

— Czy to ze strachu przed jedną niewiastą jawisz się tutaj zbrojnie? Zabrałeś mi przecie nawet pacholców. A może chcesz okazać, że służą ci prawa należne królowi? Pozostawiam tobie i zamek jego, bo wyjeżdżam do Dodony. Możesz tu odgrywać króla, skoro ci syn mój pozwala, choć sądzę, że obszedłbyś się i bez pozwolenia.

— — Dlaczego przychodzę ze strażą, ty wiesz równie dobrze jak ja —odparł zimno Antypater. — A król wie, że póki żyje, ja nie sięgnę po berło Macedonii, Ani nikt inny, zwłaszcza ty. Rządź sobie w Epirze, ale nie zapomnij, że z łaski Filipa brat twój otrzymał tron. Nie moja rzecz, czy uraduje go twoja obecność.

— Z łaski Filipa! To moja ojcowizna, gdzie nie będę zmuszona słuchać byle stratega. Podziwiam twą niezłomną wierność dla dynastii, ale nie raduj się zbytnio moją nieobecnością. Pamiętaj, że raz już musiałam stąd wyjechać i wróciłam. Wyjeżdżam i teraz. Macedonia jest za małą dla nas obojga. Ale wrócę.

— Dość wielka, by pomieścić grób twój i mój. Każdy go znajduje nie szukając. Ja jestem stary, ale synów mam. Choćby mnie nie stało, oni cię powitają, Teraz jednak oboje, ty i ja, słuchać będziemy króla. Dlatego możesz jechać bezpiecznie.

Odwrócił się i odszedł odprowadzany gorejącym spojrzeniem Olimpiady.

Zniszczenie szczupłymi siłami Aleksandra niezmiernych zastępów Dariusza wydawało się tak nieprawdopodobne, że wieść o tym przez dłuższy czas budziła wątpliwość, niemniej stała się bodźcem zaostrej walki między stronnictwami w Helladzie. Z wyjątkiem Sparty nie było w niej państwka, w którym by chytra polityka i złoto Filipa nie posiały rozdwojenia. Od jego śmierci złoto macedońskie przestało płynąć, po bitwie pod Issos wysechł też strumień perskiego. Jeszcze tylko Sparta jego resztkami z uporem podtrzymywała walkę, a zarazem wojenne nastroje. Teraz Agis śpieszył, by rozprawić się z macedońskimi sprzymierzeńcami na Pe-

loponezie, zanim skutki bitwy pod Gaugamelą dadzą się odczuć w Helladzie.

Obłężenie Megalopolis przeciągało się jednak, wiążąc i wyczerpując siły i zasoby Agisa, spodziewane przystąpienie Aten do walki w przymierzu z trackimi buntownikami uprzedzone zostało szybkim działaniem Antypatra. Pięknie wykuty w kamieniu układ z trackim Seutesem pozostał jako dowód, że na sprzymierzeńców ateńskich liczyć nie można. Nie było się zresztą nawet z kim układać. Stronnictwo wojny, odsunięte od władzy, osłabione było na domiar rozdwojeniem, wyjątkowo ostra zima nie sprzyjała ani wojnie, ani polityce. Obywatel ateński, który na zebrania przychodził, by w braku lepszej rozrywki wysłuchać krasomówczych popisów, nie przychodził na nie wcale, gdy zimny wichur niósł bryzgi deszczu przetykane czasem śniegowymi płatami.

Burzliwe morze czyniło żeglugę niebezpieczną, przycisnął nawet handel i nie dochodziły wieści. Przywódcy stronnictwa wojny przestali się zbierać, nie warto było przemacać sandałów dla wysłuchiwania jałowych utyskiwań, kłótni i wyrzutów. Nawet Diogenes przestał waleśać się po mieście i ożywiać drwinami niemrawy nastroj. Siadywał pod portykami szukając osłony od wiatru i podkulając bosc stopy pod dziurawy płaszcz mrucał sam do siebie w braku słuchaczy.

Rozgoryczony i zniechęcony Hypereides zamknął się w domu i czytał dialogi Platona, byle oderwać myśli od położenia. Wieści o wyniku bitwy pod Gaugamelą uważał za przesadne, nie wierzył, by walka Aleksandra z Dariuszem już była skończona. Póki związany jest nią w Azji, Antypater zaś domowymi sprawami, jeszcze popołu z Agisem można by zrzucić macedońską hegemonię.

Ale czas naglił. Rozdwojenie w Atenach pogłębiało się. Demostenes szukał porozumienia z Aleksandrem za pośrednictwem Olimpiady, wysłał do króla siostrzeńca swego z życzeniami z powodu zwycięstwa. Tłumaczył wprawdzie krok ten chęcią wykorzystania tarcia między królową a Antypatrem, Hypereides jednak zarzucił mu wprost dbałość o własne bezpieczeństwo i poróżnili się ostatecznie. Wiedział, że Demostenes przeciwny będzie

przymierzu ze Spartą, a nie trzeba było nawet jego wymowy, by Ateńczyków skłonić do bezczynności. Hype-reides ją unikać ludzi, którymi gardził.

Gdy odzwierny oznajmił mu przybycie Fokiona, podniósł się niechętnie. Zgorzkniały powziął i do niego urazę. Nie okazał jej jednak i wyszedł, by go powitać. Widząc, że płaszcz Fokiona ocieka wodą, a bosa jego stopy pozostawiają mokry ślad na posadzce perystylu, powiedział:

— Jak mawiali twoi podwładni, tęgie zimno być musi, skoro Fokion włożył chłajnę. Mógłbyś jednak włożyć i sandały. W twoim wieku należy dbać o zdrowie.

— W moim wieku nie warto już dbać o siebie ani zmieniać przyzwyczajzeń. Nie potrzebuję się obawiać, że umrę młodo. Zresztą ciało jeszcze mi nie dolega.

— O ile wiem, nie obawiałeś się śmierci nawet za młodu.

— To tak dawno, że zdążyłem zapomnieć. Zdaje mi się jednak, że raczej nie myślałem o niej, gdy byłem zajęty sprawami ważniejszymi niż własne życie.

- Tedy możesz o sobie rzec, że jesteś człowiekiem szczęśliwym. Cóż bowiem gorszego niż lęk o życie które w końcu każdy i tak straci.

— Nie trzeba nigdy mówić o szczęściu człowieka, nim nie nadejdzie dzień, który go czeka. Cóż to zresztą szczęście? Każdy je widzi w czym innym.

— To samo Protagoras powiedział o prawdzie. Ale tu nie Lykeion, by dysputować stojąco. Pozwól do megaronu.

— Może ci w czym przeszkodziłem?
- Czytam, nie wiem po raz już który, dialogi Platona, bo nic lepszego nie mam do czynienia. Możemy rozmawiać o szczęściu i prawdzie, choć zapewne nie po to w taką pluchę wybrałeś się do mnie. Filozofia jest skuteczną ucieczką przed rzeczywistością. Może choć w niej dojdziemy do zgodnych wniosków.

- Sądzę, że przed rzeczywistością uciec się nie da, a polityk nawet nie powinien.

— O tych sprawach wolałbym z tobą nie mówić. Mi-

mo całego szacunku, jaki dla ciebie żywię, byłem, jestem i pozostanę odmiennego niż ty zdania.

— Szkoda, że się uprzedzasz. Mówmy o filozofii. Co czytasz?

— *Kritiasa*.

— To bodaj najsłabszy utwór Platona. Tak bywa, gdy poeta chce być uczonym lub mężem stanu. Ja do tego nie wracam, gdy jest tyle lepszych.

— Tedy pewnie zapomniałeś. Posłuchaj więc, co rzekł kapłan Neith, czyli naszej Ateny, Solonowi: *Państwo wasze złamało potęgę, która gwałtem i przemocą szła na całą Europę i Azję... Już to na czele Hellady, już to odosobnione nie pozwoliło ujarzmić tych, którzy jeszcze nie byli ujarzmieni i nam wszystkim, zamieszkałym po tej stronie Słupów Heraklesa, zachowało wolność.*

— W poezji wszystko jest możliwe, wybacź jednak, że sprowadzę cię do rzeczywistości. Czy nie zastanawia cię, że Solon sam nic nie napisał o tak chwalebnych czynach naszych przodków? A jako polityk, winienesz myśleć raczej o wnukach niż o dziadach.

— Uparty jesteś, Fokionie. Powiedz w końcu, z czym przychodzisz do mnie. Obiecuję cię wysłuchać, ale nie posłuchać.

— Czy można dojść do prawdziwego sądu, gdy się z góry odrzuca rozważenie przesłanek?

— W polityce nie ma prawd, są tylko wskazania, jak osiągnąć cel.

— Ale cel musi być rozsądny i osiągalny, a wskazania trafne. Roznamiętnienie walką jest zrozumiałe i korzystne u żołnierza; u przywódcy jest niewybaczalnym błędem.

— A co ma twoim zdaniem robić przywódca, którego żołnierze kierując się rozsądkiem doszli do przekonania, że nieprzyjaciel jest silniejszy i uciekli? Czy także uciec, bo sam przecie walki nie wygra? Czy raczej rzucić się na nieprzyjaciela i zginąć?

— Pytanie twoje jest kłopotliwe, ale tylko dlatego że moje porównanie nie jest ścisłe. Ale ja ciebie zapytam: dlaczego nie chcesz widzieć tego, co dzieje się na naszych oczach, a wpatrzony jesteś w legendę sprzed

dziewięciu tysięcy lat? Czy to nie Aleksander właśnie złamał potęgę, która w jarzmie trzymała Azję i Europę, przyniósł wolność nie tylko Hellenom, ale i innym ludom podbitym?

— Domyślałem się, że przychodzisz mnie o tym przekonywać, ale trudzisz się daremnie. To, co ty nazywasz, wolnością, ja zwę tyranją. Czy z dobrej woli przystąpiliśmy do Kornyckiego Związku, czy tylko dlatego, że Aleksander stał nad naszym karkiem? Czy nie on dyktował uchwały zjazdu, na podstawie których, zrównał z ziemią Teby, trzydzieści tysięcy Teban zaprzedał w niewolę, a dwa tysiące naszych obywateli pod batem pracować musiało w jego kopalniach? Czy nie pozbawia wolności lub nie wydaje na rzeź wszystkich, którzy śmiały opór stawiać jego samowoli? Czy ty sam nie czułeś się upokorzony prosząc despotę, by raczył nie niszczyć naszego miasta? Zapytaj tych, co po dwu latach wrócili - nie wszyscy — z jego kopalń, czy wdzięczni mu są za wolność, za którą nasza ojczyzna zapłaciła upokorzeniem, do prośby o ich uwolnienie zmuszona dołączyć życzenia i wieńce po to, by się nie spotkać z odmową.

— Czy ty nie czujesz, Hypereidesie, że nienawiść ma ci twój rozsądek, a nawet poczucie sprawiedliwości? Ty sam skłoniłeś mnie, bym, jak mówisz, poniżył się, prosząc Aleksandra o oszczędzenie naszego miasta i odstąpienie od żądania głów jego wrogów, a między nimi i twojej. Na moją prośbę zwolnił jednak pojmanych nad Granikiem obywateli naszych, a nawet poselstwo do Dariusza, nie bacząc na dwulicowość naszej polityki. A przecie mógł tego nie uczynić.

— Mógł. Tyran może każdego pozbawić życia, wolności i mienia, jego łaska, jeśli tego nie uczyni. Ale jak wiesz, ja wolę śmierć niż życie z łaski barbarzyńcy. Nie chciałem cię jednak dotknąć, Fokionie. Wiem, że ze swej przyjaźni z Aleksandrem żadnych nie ciągniesz korzyści, a zaszczyt ci przynosi, że wstawiłeś się nawet za swymi wrogami. To nie ja groziłem ci za nią śmiercią, lecz Demostenes, który teraz sam zabiega o łaskę tyrana. Ublizas mi jednak, jeśli sądzisz, że mnie nakłonisz, bym i ja poniżył się przed barbarzyńcą; ale ciebie rozumiem: ty jesteś wojownikiem, wojenne zalety

Aleksandra, którym zaprzeczyć potrafił tylko Demostenes, budzą twój podziw i szacunek, Aleksander zaś go odwzajemnia, bo i tobie tylko Demostenes umiał tych przymiotów odmówić.

— Czy tylko wojenne zalety widzisz u Aleksandra, których nie cenisz dlatego, że uważasz go za naszego wroga, choć on nie chce nim być? Czy to nie wielkoduszność i umiar aż dziwny u tak młodego człowieka, że nie miesza się w wewnętrzne sprawy Hellady? Że buduje miasta, gdzie dach i chleb znajdują ludzie, dla których w niej brakło miejsca? Że dla jej handlu otworzył nowe drogi, a dorobek naszych mędrców i artystów roznosi po świecie? Czy, jak mylił się Demostenes nazywając go chłystkiem i gamoniem, nie mylisz się i ty, nazywając barbarzyńcą człowieka, którego umysł kształcili nasi filozofowie; który Arystotelesowi na jego badania przesłał osiemset talentów, popiera naszych artystów i poetów? Każesz mi pytać uwolnionych przez niego jeńców, czy wdzięczni są Aleksandrowi! Ty zapytaj naszych obywateli, czy wolą umierać w beznadziejnej walce lub zamiast wybranych przez siebie władz mieć na Akropolu macedońskiego harmostę, czy też żyć bez chwały, ale w spokoju i dostatku rozwijając to, co ty sam cenisz najwyżej: naszą wiedzę i sztukę. Nie widzę hańby w tym, gdy słabszy korzysta ze względów silniejszego. Ale haniebne jest, jeśli jednocześnie knuje się przeciw niemu z jego wrogiem. Czy to ma być ta uczciwa polityka, o której tak górnie mówił Demostenes? A nawet czy skuteczna, jak się wydaje tobie? Czy wzmacnia nasze państwo, gdy przekupni demagogowie prowadzą: każdy inną, gdy nawet my dwaj, którzy nie handlujemy swymi przekonaniem nie możemy się dogadać? Nawet Demostenes, który własnej chwały szukał w zwalczaniu Filipa i Aleksandra pozwolił do głosu dojść rozsądkowi, a ty zatykasz uszy.

— Wysłuchałem przecie najdłuższego przemówienia, jakie kiedykolwiek wygłosiłeś, ale przestrzegałem cię że mówisz na próżno, Ja nie brałem Dariuszowego złota bym zmienił zdanie, gdy przestało płynąć. Kto chce żyć jak niewolnik, niech nie czeka ode mnie współczucia. Nie będę sam czynił tego, czym gardzę u innych.

— Może niesłusznie. Polityk często musi czynić coś, czego wstydziliby się jako prywatny człowiek.

— Przekonałeś mnie przeto, że nie jestem politykiem. Może mi i rozsądku brak. Pewny jednak jestem, że gdyby do walki za przykładem Sparty stanęła cała Hellada, zdołalibyśmy odzyskać wolność.

— Sam sobie odpowiedziałeś, bo wiesz, że do walki nie stanie Hellada, a zwłaszcza Ateny. A gdyby nawet, nie wiem, po czyjej stronie wtedy byłoby zwycięstwo. Antypater jest wodzem i politykiem nie gorszym od Filipa, który jemu w znacznej mierze zawdzięczał swe osiągnięcia. Gdyby wynik wojny dawał się przewidzieć, żadnej by nie było. Czy uwierzyłbyś, że Aleksander zwycięży Dariusza?

— Ja i teraz nie wierzę. Zapewne po to rozpuscita te pogłoski, by postrachem wstrzymać Helladę od współdziałania z Agisem.

— Czy sądzisz, że gdyby zwyciężył Agis, hegemonia przypadłaby Atenom? A spartańską hegemonię ja pamiętam, flotę ich w Pireusie, załogę na Akropolu i zburzenie Długich Murów.

— Czyli że zwycięstwa życzyłbyś Antypatrowi, może dlatego, że i z nim jesteś w przyjaźni i mógłbyś go uprosić o łaskę dla przeciwników.

— Nie mógłbym, choć nie przeczę że zawarta w Akademii przyjaźń z Antypatrem przetrwała dotychczas. Dlatego znam go: dopóki dotrzemy układów, pewny jestem, że ni jeden Macedończyk nie naruszy naszej granicy. Ale dziś mogę ci zdradzić, że gdybyśmy złamali układ i nie dostarczyli Aleksandrowi dwudziestu trier, mielibyśmy wojnę z Antypatrem, do której, jak zawsze nie byliśmy przygotowani. A gdyby on zwyciężył, nie spodziewać się nam od niego nie tylko względów, ale nawet miłosierdzia. On nie będzie jak Aleksander czekał u naszych granic na wydanie swych przeciwników, ale sam weźmie ich głowy choćby sprzed ołtarzy.

Przekonałeś mnie, Fokionie, że jestem nierozsądny, bo gdybym dzisiaj potrafił wymóc symmachię ze Spartą, uczyniłbym to bez wahania. Być może, że kosztowałoby mnie to głowę. Obawiam się też, iż Demostenes miał słuszność mówiąc, że lud ateński kiedyś cię

straci za przyjaźnienie się z jego wrogami. Czy jednak ze strachu przed tym zmieniłeś swe postępowanie? Ty chcesz pozostać Fokionem, pozwól mi zostać Hypereidem. Czy za mało w Atenach nikczemników za pieniądze lub ze strachu gotowych wyrzec się przekonań?

— Jak widać, słuszność może być spreczna z rozsądkiem. U jednego z nas z nim się kłóci. Pomnij jednak, co powiedział najmędrszy z ludzi: *To trudna rzecz, i godna wielkiej pochwały, jeśli się posiadało wielką moc czynienia złego, sprawiedliwie życie przepędzić*. Przyznasz chyba, że Aleksander nie jest zwyczajnym człowiekiem?

— To ci przyznam najchętniej. Sam przecie twierdzi, że jest synem Zeusa-Ammona, kazał sobie w Egipcie wybudować świątynię i ustanowił przy niej kapłana. Czy to umiar, czy nie pycha, a nawet bluźnierstwo?

— Ja sądzę, że to po prostu polityka. Lud egipski przywykł uważać swych władców za bogów. Czy i Hellenowie nie oddają czci boskiej herosom? Czy Herakles nie uchodzi również za syna Zeusowego? Czy Tezeusz nie ma świątyni w Atenach? A czy ich czyny, nawet gdyby nie były bajką, mogą się równać z czynami Aleksandra, jakich sami jesteśmy świadkami?

— Z tego wniosek, że i jemu należałoby u nas wybudować świątynię. Zapewne wkrótce tego zażąda. Pomnę jednak nawet naszą różnicę zdań w ocenie jego czynów. Ale jak nie można nazwać człowieka szczęśliwym, póki nie dokona żywota, tak samo lub tym bardziej; nie można rzec, że sprawiedliwie życie spędził, póki go nie zakończy. Herosom oddajemy cześć po ich śmierci. Za życia żądają oddawania jej tyrani. Czy ty byś się do tego poniżył, Fokionie? Milczysz? Gzy mam odpowiedzieć za ciebie?

— Zawsze odpowiadam sam za siebie. Sądziłem jednak, że to pytanie retoryczne. Gdyby mi je postawił kto inny uważałbym je za podchwytliwe i wcale bym nie odpowiedział, bo gotów by mnie oskarżyć o bezbożność. Ale ponieważ ty nie jesteś sykofantem, odpowiadam;

żaden rozsądny człowiek nie wierzy w tych Homero-
wych i Hezjodowych bogów, których można klepać po
ramieniu lub nawet zranić, jak Diomedes Aresa. Sądzę,
że nie wierzyli nawet ci, którzy Sokratesa wydali na
śmierć za bezbożność, choć z samej jego obrony wiemy,
że on wierzył w jakieś bóstwo o tyle wyższe od czło-
wieka że niezrozumiałe nawet dla najsprawniejszych
umysłów. Ale motłoch musi wierzyć w bogów, których
pojmuje. Jakże inaczej Demostenes mógł wmówić w lud,
że zjawiała się u niego Pallas Atene, gdyby nie wierzył
lub nie udawał, że sam w nią wierzy? Z tych samych
zapewne względów Aleksander kazał się bogiem ogłosić.

- Sądysz, że, on sam w swoją boskość nie wierzy?

— Nie wiem, ale nie dziwiłbym się, gdyby wierzył,
skoro chowała go taka matka jak Olimpias. To zresztą
obojętne. W każdym człowieku jest coś z boskiego
pierwiastka, co różni go od zwierząt, tym więcej, im
człowiek dzielniejszy. I każdemu bóstwo wyznacza
w życiu zadanie na jego miarę. Nie czuję się poniżony
uznając, że Aleksander przewyższa wszystkich żyjących
lub znanych mi z historii. Jeżeli jest zwyczaj takim lu-
dziom stawiać świątynie, nie widzę w tym nic zdrożne-
go, choć to mojej czci dla Aleksandra ani nie zwiększy,
ani nie zmniejszy.

- I mojej również. Skoro jednak ma to być symbol
władzy nad nami, nie zgodzę się na nią nigdy. Uważa-
łem cię zawsze za sceptyka, a nawet cynika, bo żyjesz
omal jak Diogenes, choć złota masz pod dostatkiem. Wi-
dzę zaś, że na starość zostałeś orfikiem.

- To prawda, że na starość człowiek zmienia się, gdy
niczego już nie spodziewa się i nie pragnie, a gaśnie
zdolność do działania. Ale życie polega na zmianach,
a starzeje się wszystko, co żyje, i ustępować musi mło-
dości. Na naszych oczach umiera zgrzybiałe państwo
Cyrusa a rodzi się nowe. Postarzały się i Ateny, przy-
pominają tępego a porywczego starca z komedii Arysto-
fanesa. Gdy były w pełni sił, wykorzystywały je, by
gnębić zamiast jednoczyć Helladę. Nie pora teraz na to,
gdy kraik, z którym nie liczył się nikt, w rękę Alek-
sandra wyrósł na potęgę, jakiej nikt się nie oprze.

— A ty sądzisz, że nie będzie jej nadużywał? Wielkie drzewa rzucają wielki cień. Teraz ja przypomnę ci, co powiedział Sokrates: Spośród potężnych jednostek wychodzą ci, którzy się wielkimi zbrodniarzami stają. Dlatego nie wolno przyznać boskiej władzy człowiekowi. Ty może jeszcze zmienisz zdanie, ja — nigdy. Słyszałeś zapewne, co powiedział Filipowi schwytany przez niego pirat: „Nazywasz mnie zbójem, bo mam tylko jeden okręt. Ty masz flotę, dlatego zowiesz się królem, choć obydwaj czynimy to samo”.

— Słyszałem. A Filip roześmiał się i kazał go zwolnić.

Czyli przyznał mu słusność. Był na tyle trzeźwy i uczciwy, gdy go to nic nie kosztowało, i umiał się śmiać jak człowiek. Aleksander kazałby pirata ukrzyżować. Uważa, że to bóstwo kazało mu być największym rozbójnikiem, jakiego zna historia, jeżeli nawet sam siebie nie uważa za bóstwo. Gdy wyruszał, stroił się w maskę przywódcy Hellady. Teraz głosi się następcą Dariusza, na miejsce starego buduje nowe imperium. Większe zło zawsze zwycięża, ale nie dziw się, że ja wolę mniejsze. Mówisz, że popiera naszą wiedzę i sztukę. Popiera ludzi, by mu swą wiedzą i sztuką służyli, a podcina korzenie, z których one wyrosły. Buduje miasta i osadza w nich Hellenów! Rozproszeni w morzu barbarzyństwa sami staną się barbarzyńcami. Zmieszaj zboże z chwastem, zwycięży chwast. Mieliliśmy własne kolonie, w których rozkwitała helleńska myśl i piękno. Zniszczył je Filip.

Fokion słuchał, zamyślony. Hypereides podjął:

— Może ci przykre to, co mówię, ale przestrzegałem, że odmienne pozostaną nasze zdania. Przyjaźnisz się z Aleksandrem, podziwiasz jego dzielność. Komu ona dobro przyniesie? Czy choćby jego własnemu narodowi? W morzu krwi, które wylał, niemało jest macedońskiej. Mówisz, że umysł jego kształcili nasi mędrcy i poeci. Czy podniósł swój naród? Z chłopów i rybaków uczynił rozbójników, służalcy i pochlebcy upodlają tyrana, tyrana upodla ich. Ja nie dla swej chwały zwalczam Alek-

sandra. Nie jest nieśmiertelny. Ale skutki tego co czyni, pozostaną.

— Smutne to, ale doświadczenie mówi, że tylko siłą ład można wprowadzić. Po raz pierwszy cała Hellada należy do jednego związku, zaprzysiężono powszechny pokój. Gdyby to uczyniła z własnej woli, przymus byłby niepotrzebny. Jeśli jest w nim zło, to mniejsze, niż gdy wszyscy niszczyli się wzajem.

- Aleksander tylko burzy stary ład. Jak długo się nowy utrzyma, widzieliśmy, gdy tylko pogłoska rozeszła się o jego śmierci.

— To jest właśnie dowód, że nie będzie ładu bez przymusu. Nie wiem, kto z nas ma słuszność, ale jeśli ty; to i tak nie działasz niczego.

- Mimo to zdania swego nie zmienię.

Pozostał przy nim, choć wkrótce bardziej jeszcze osamotniony. W sam bowiem dzień święta Hydroforiów tłumy zgromadzone w nie ukończonej od niepamiętnych czasów świątyni Zeusa Olimpijskiego poruszyła wieść o przybyciu poselstwa od Aleksandra. Z ciepłym już powiewem przedwiośnia do portu w Pirusie zawinęła macedońska triera, wraz z pismem króla przywożąc skarby przed stu pięćdziesięciu laty zrabowane przez Mardoniosa w ateńskich świątyniach. Zwrot ich był nie tylko źródłem radości, stanowił zarazem niezbity dowód, że Aleksander zajął Persepolis, kolebkę perskiego państwa. Ostateczna klęska Dariusza nie mogła już być podana w wątpliwość. Jeszcze tylko każdy na własne oczy chciał stwierdzić prawdziwość wieści i nie czekając na zakończenie obrządków tłum odpłynął do portu falą wzbierającą w miarę, jak wieść rozchodziła się po mieście. Na czele pędziły ciekawe każdej nowości wyrostki, na końcu wlekli się starcy. Wspominano dzień klęski ze wzruszeniem, dziękując bogom, że pozwolili im dożyć zadośćuczynienia. Świątynia opustoszała w jednej chwili, pozostał tylko przewodniczący obrządkom, kapłan, zgorszony i zmieszany, nie wiedząc, co począć. Obdarty filozof zwrócił się do niego:

— Na co czekasz? Bóg, który utracił czcicieli, przestaje być bogiem. Twojemu zresztą nie dzieje się krzywda. On odebrał swemu ojcu władzę nad światem, teraz, z kolei jemu odbierze ją jego syn. Prędzej doczekasz się, że jemu wybudują świątynię niż dokończenia swojej. Ludzie lubią nowych bogów, do starych odwracają się plecami albo gorzej jeszcze.

— Czy ty nigdy się przestaniesz bluźnić?

— Bluźnić można tylko, dopóki są bogowie. Radzę ci pośpieszyć, bo ubiegnie cię ktoś przy nowym. Nie potrafisz ludzi zamienić z powrotem w kamienie Deukalionas, by wykończyć rozpoczętą przez niego świątynię, czego on lekkomyślnie zaniedbał. Nie należy zbyt liczyć na to, że bogowie są wieczni.

— Ty jeszcze życiem zapłacisz za swoją filozofię!

Diogenes wzruszył ramionami:

- Kara śmierci polega tylko na tym, że człowiek dowiaduje się kiedy umrze, a zwykle nie lubi o tym myśleć.

Nie spiesząc się Diogenes ruszył podnóżem Akropolu i Pnyksu na gościniec wiodący wzdłuż Długiego Muru i wmieszał się w gęstniejący tłum, który jednak zatrzymał się w pół drogi i rozstępował na obie strony, by uczynić miejsce nadciągającej od portu ze śpiewami i muzyką procesji. Na czele szła Rada Pięciuset, za nią nad tłumem kołysały się dźwigane na noszach posągi Hermodiosa i Aristogejtona, dzieło Antenora, które wraz z innymi dziełami sztuki, wywiezione ongiś do Persepolis, wracały teraz do Aten. Koło Pnyksu procesja, skręciła na północ, przez miasto ciągnąc na Kerameikos, by przy Drodze Świętej ustawić posągi obok pomników bohaterów ległych pod Maratonem, Platejami i Cheroneą.

Gdy procesja dotarła na miejsce, na przygotowany pod pomniki cokół wstąpił Ajschynes i przez chwilę, sam, jak posąg, stał, dumnym spojrzeniem ogarniając gęstniejącą wciąż jeszcze cizbę. Z podmiejskich demów, dokąd wieść później dotarła, gwarząc w podnieceniu ciągnęli chłopci, których rzadko widywano na zgromadzeniach. Gdy he-

roldom udało się wreszcie uciszyć tłum, Ajschynes zaczął:

— To samo słońce, które przed laty zakryły dymy pożaru naszych świątyń, promiennymi oczyma patrzy teraz na owoce waszej słusznej i dalekowzroczej polityki. Przekupnym rzecznikom perskiego barbarzyńcy nie pozwoliliście rzucić kłody pod nogi wielkiego wodza zjednoczonej Hellady, by mu przeszkodzić w dokonaniu dzieła, jakiemu równego nie zna historia. Dymy ofiary oczyszczalnej, płonącego pałacu królów perskich w samym sercu ich państwa, zgasiły gwiazdą nocy, symbol państwa Cyrusa. Z dalekiego wygnania wracają dziś do ojczystego miasta posągi zabójców tyrana, by spoczywającym tu herosom zaświadczyć, że krew ich nie poszła na marne i nigdy już barbarzyńskie dłonie nie znieważą naszych świętości. Zmyta została hańba klęski i haniebniejszego od niej pokoju Antalkidasa, bogom naszym zwrócona ich własność, pomśczeni ci, którzy tu spoczywają, oddawszy życie za wolność naszej ojczyzny.

Ale dziś jeszcze niegodni spadkobiercy bohaterów spod Termopili w zbrodniczym szaleństwie oddają na usługi odwiecznego wroga swój oręż, by w zamian za to otrzymać od niego satrapię Hellady, a wstyd powiedzieć, że i u nas nie brak takich, którzy usiłowali was skłonić, byście przyłożyli ręki do zguby własnej ojczyzny, wspañiałego jej dobroczyńcę zowią tyranem, w nim upatrując groźbę dla naszej wolności.

Mimo że Ajschynes głos miał potężny i mówił dobitnie, do dalej stojących dolatywały tylko poszczególne słowa i zaczynał się szmer. Postanowił kończyć, nastrój był dostatecznie przychylny dla Aleksandra, by pognać wrogów. Podniósł głos do najwyższego natężenia:

— Nigdy jeszcze za mej pamięci nie zgromadziliśmy się tak licznie, by uczcić dzień chwały, i nigdy tak jednolite uczucie nie wypełniało naszych piersi. Wyrażona tu woła wasza będzie prawdziwym głosem naszej ojczyzny, głosem wdzięczności dla największego z herosów Hella-
dy. Niech trwałym jej wyrazem będzie posąg jego w rynku naszego miasta.

Chciał jeszcze cót dodać, ale przerwała mu burza okrzyków. Dziękował za nie gestami aktora na scenie

i zszedł z cokołu, na którym wśród głośniego entuzjazmu ukazały się posągi zabójców Pizystrata.

Okrzyki rozplynęły się we wrzawę i tłum zakołysał się. Większość odchodziła ku miastu. Ci, którzy poprzednio nie mogli się docisnąć, teraz podchodzili oglądać posągi, wymieniając uwagi i dopytując się, o czym mówił Ajschynes.

— Coś tam o dymach i tyranach — odpowiedział ktoś. Diogenes, który przysłuchiwał się rozmowom, wmieszał się:

— Szkoda, żeście nie słyszeli, bo ładnie mówił i przyjemnie. Pewnie też nie wiecie, coście uchwalili: posąg dla Aleksandra za to, że spalił pałac królów perskich, a waszym bogom oddał to, co im zrabował Mardonios. Nie musicie się już wstydzić, żeście do tego dopuścili, Aleksander umył was z tej plamy jak niańka tyłek dziecku, które jeszże nie umie się samo załatwić. Broni waszej wolności i nie potrzebujecie nadal nic robić, za co was Ajschynes bardzo chwalił.

- Ty inaczej powtarzasz, niż on mówił — wtrącił się, jakiś obywatel — i zdaje mi się, że chcesz nam ubliżyć.

— Może być, bo nie umiem mówić tak pięknie i jestem tępy. Wielu rzeczy nie rozumiałem, to może ty objaśnisz: na przykład, dlaczego klęski zadane wam przez Persów są hańbą, a przez Macedończyków nie? Albo dlaczego wy się macie wstydzić, że Mardonios obrabował bogów, a nie oni sami, że nie umieli bronić swojej własności? Albo dlaczego Aleksander zasłużył sobie na posąg za spalenie takiego pięknego pałacu, a biednego szewczykę, który spalił Artemizjon, zatłuczono kijami i wbito na krzyż?

Ty udajesz głupszego niż jesteś. Aleksander spalił pałac w odpłacie za spalenie naszych świątyń na Akropolu.

— A Mardonios spalił je za to, że wyście spalili świątynię Kybele w Sardem. I dlatego właśnie nie wiem, czy palenie świątyń jest rzeczą chwalebną, czy nie.

— Raz tak, a raz nie - ze złością odparł obywatel.

A ty troszcz się o dziury w swym chitonie, a nie o sprawy, których nie rozumiesz.

— Jak mam zrozumieć, skoro mnie zawsze zbywacie?

— Taka jak ty gołota ma rozumieć tylko, że powinna czcić bogów i władzę, a tego cię łatwo możemy nauczyć.

Odwrócił się i odszedł, inni też zaczęli się rozchodzić, a Diogenes powlókł się ku miastu. Przyłączył się do niego jakiś obcy człowiek i po chwili zapytał:

— Nie jesteś chyba stronnikiem Aleksandra?

— Ja jestem stronnikiem rozsądku i lubię każdą sprawę rozważać z dwóch stron. Właśnie rozważam, czy słuszność miał Sokrates mówiąc, że lepiej jest zło znosić niż wyrządzać. Na przykład więc: zabić czy być zabitym. Dziś ustawili tu posągi zabójców Pizystrata obok pomnika tych, którzy zostali zabici, i uchwalili posąg dla Aleksandra, który niejednego z nich właśnie zabił. Jak jedno z drugim pogodzić?

- Chyba pomnik należy się bohaterom, którzy za ojczyznę oddali życie?

— Nie wiem co im z tego przyjdzie. Ale wiem, że woleliby żyć. Ja też walczyłem pod Cheroneą, bo chciałem doświadczyć, co czuje bohater. Strach. Nie dlatego nie uciekałem jak wielu z tych, co tu leżą, że się nie bałem, ani że rana zadana z przodu jest zaszczytniejsza czy mniej bolesna niż z tyłu, ale że najłatwiej stracić życie w ucieczce. Wybrałem przeto niewolę, zwłaszcza że w niej miałem już doświadczenie, a zabity jeszcze nigdy nie byłem. Jak ci wiadomo choćby z komedii Arystofanesa mądry niewolnik potrafi zrobić głupca ze swego pana, a najmędrszy nieboszczyk nie zdoła zrobić głupca ze swego zabójcy, Jak rzekł pewien mędrzec, źródłem bohaterstwa jest wojna rzecz najgłupsza ze wszystkiego. Dlatego ludzie rozsądni i zrównowazeni nie bywają bohaterami.

Czy dla ciebie Leonidas nie jest bohaterem czy też nie był rozsądny? — ostrzej zagadnął obcy.

Diogenes odparł:

— Jeżeli mi przytoczysz drugi wyjątek, to zacznę mieć wątpliwości, czy to się nie da połączyć. Leonidas zginął by ocalić flotę pod Artemizjon, która zamykała Persom dostęp do Attyki i na Peloponez. Ale cała Hellada usiana jest pomnikami takich co zginęli nie wiadomo za co i wcale nie mieli ochoty umierać.

— Możesz mi wierzyć, że Spartanie potrafią umierać i wiedzą za co.

— Wierzę. Tylko nie wiem po co. Jeśli przybyłeś tu by dowiedzieć się, co robią Ateńczycy, to już wiesz: nie będą się bili, nie dlatego, że są rozsądni, lecz że są chwiejni i gnuśni. W całym mieście tylko Fokion wie, dlaczego nie chce wojny, a tylko Hypereides, dlaczego jej chce.

- My też wiemy. Sparta nie będzie podlegać nikomu.

— Rozumiem. To jest wasza zasada. Ale według mnie, zasady to są sądy powzięte pod wpływem namiętności, a zachowywane przez upór. Rozsądek zaś polega na tym, by zmieniać sądy, gdy zmieniają się przesłanki. Teraz, gdy pewne już, że Aleksander pokonał Dariusza, nie wiem, czy Sparta oprze się samemu Antypatrowi. Ale jeśli chcecie tylko umierać, to wam się zapewne uda.

Gdy po poległym ojcu Archidamosie młodociany Agis obejmował władzę, przemówienie, jakie wygłosił, było krótkie: „I my potrafimy umrzeć”. To samo odpowiedział Filipowi na groźbę zburzenia Sparty, jeśli ta nie przystąpi do Korynckiego Związku.

Filip nie krępował się nawet przysięgami, tym mniej swymi groźbami. Widząc, że Agis istotnie się nie ugnie, spustoszył tylko kraj, osłabił Spartę, wrogom jej oddając zagarnięte przez nią ziemie, i odszedł, uważając, że sprzymierzeńcy będą pewniejsi, gdy wisieć będzie nad nimi odwet Sparty.

Teraz nastała jego pora. Aleksander bawi daleko, Macedonia osłabiona buntem barbrzyńskich plemion i wewnętrznymi tarciami, nie mogła udzielić peloponeskim sprzymierzeńcom skutecznej pomocy. Występowali z Korynckiego Związku, by wstąpić do Peloponeskiego pod przywództwem Sparty. Jeszcze tylko Megalipolis stawiało rozpaczliwy opór. Gdyby został złamany i Agis postawił stopę na Istmie, w całej Helladzie nastąpiłby zryw przeciw macedońskiej hegemonii. Nawet w najbliższej Tesalii zaczynało się wrzenie, grożąc zrzuceniem popieranych przez Antypatra tyranów.

Zgasło natychmiast, gdy niespodziewanie wódz z sil-

nym wojskiem zjawił się w Laryssie. Przeciwnicy jego pod strażą odjechali do Pelli, by głowami swymi ręczyć za dochowanie spokoju i dostarczenie konnych posiłków. Antypater zaś nie czekając na ich zgromadzenie i nim wieść o jego pochodzie dotarła do Aten, uśmierzając wojenne nastroje urósł w siły, przeszedł Istm i stanął na Peloponezie.

Zaskoczeni przeciwnicy, którzy gromadzili już wojska, by z chwilą upadku Megalopolis przyłączyć się do pochodu spartańskiego przeciw Macedonii, teraz gorliwie ślali poselstwa, ofiarując swój udział w walce przeciw Sparcie.

Antypater pogardliwie odrzucił niepewną pomoc, której już nie potrzebował. Pobrał zakładników i pchnął Kassandra z jazdą pod Megalopolis, by je podtrzymać w oporze do swego nadejścia.

Narada w spartańskim obozie była krótka: nie można przyjąć bitwy z przeważającymi siłami pod murami potężnej warowni, zamknąć należy drogę do Sparty. Agis rozkazał zwinąć oblężenie i cofnąć wojska za Alefejos na wyżynę nad Eurotasem. Brat jego, Eudamidas, radził, by wobec odstępstwa sprzymierzeńców, próbował układow z Antypatrem. Agis odparł:

— Gdy po mnie obejmiesz władzę.

Nie spodziewał się zwycięstwa, liczebnej przewadze i wojennemu doświadczeniu Antypatra, długim sarysomy falangi, pociskom łuczników i procarzy do przeciwstawienia ma tylko niezłomne męstwo i krótkie miecze spartańskie.

Zaraz z początkiem bitwy jazda Agisa uległa liczbie i wprawie macedońskich i tesalskich jeźdźców. Piesze zastępy jednak murem stały pod gradem pocisków, raz za razem odpierając uderzenia falangi. Skruszyło opór dopiero uderzenie jazdy wracającej z pościgu; ale zjadłość walki jeszcze wzrosła. W miarę jednak jak bitwa się przeciągała, tchu zaczynało brakować Spartanom. Rozbici na kilka grup, coraz prędzej jęli się cofać na stoku rzece.

Agis od początku walczył w pierwszym szeregi, wystawiony na cel pocisków. Ranny kilkakrotnie, nie ustępował z pola. Czołowy hufiec Spartiatów nie pozwolił

się rozerwać jeździe, ale ociekał krwią. Gdy reszta jak drzazgi rozbitego okrętu spływała nad Eurotas, oni stali jak głaz zalewany falą. Bitwa była przegrana, ale nie skończona, a słońce chyliło się już ku zachodowi.

Puszczony silną ręką pocisk przyśpieszył jej koniec. Ugodził Agis w goleń łamiąc kość i król padł. Towarzy-sze porwali go i dźwignawszy na tarczę uchodzili, a Eudamidas osłaniał ich.

Agis skinął na niego i pochyliwszy się, by we wrzawie brat mógł go usłyszeć, powiedział:

— Zostaw mnie i uchodź. Teraz możesz próbować układów.

— Co mówisz, bracie!

— Rozkazuje ci król.

— Jakże się układać, gdy będziesz pojmany?

— Nie będę.

Eudamidas skinął na niosących i złożyli Agisa pod skałą. Dźwignął się na kolana i sinymi z bólu wargami szepnął:

— Daj mi miecz i uchodź. Żegnaj, bracie!

Spojrzenie przekrwionych oczu w złanej potem i krwią twarzy zwrócił na nadbiegających wrogów. Klęczący zdał się tanim łupem, nęciła wspaniała zbroja. Pierwszy, który dopadł, sięgnął do kity na hełmie i odskoczył rycząc. Uderzenie miecza strąciło mu z głowy petasos i zraniło w twarz. Ale już dopadli inni i przez chwilę Agis zbierał i oddawał ciosy, osłaniając się tarczą. Pchnięty włócznią upuścił tarczę, cios miecza strącił mu hełm, a drugi obalił go na twarz. Jeszcze usiłował się dźwignąć, ale pchnięcie przygwoździło go do ziemi.

Od rozsiekania leżącego powstrzymał rozjuszonych głos Antypatra. Nieprzyjacielski wódz był cennym zakładnikiem. Gdy stanął przed nim, ręce Agisa drgnęły jak skrzydła ugodzonego pociskiem ptaka, który nieświadomie jeszcze zerwać się chce do lotu. Ale gdy go podniesiono, źrenice jego uciekły już w głąb czaszki i uspokoił się. Walka była skończona.

Kończył się też krwawy dzień. Słońce zaszło za wzgó-rza, w dolinie leżał mrok. Antypater kazał trębaczowi, dać sygnał gromadzenia rozproszonych w pościgu oddziałów.

Ściągały z wolna. Teraz dopiero trud całego dnia walki wychodził z kości, a chłód jesiennego wieczoru zaczynał je przenikać. Zapłonęły ogniska, gotowano posiłek i zno-szono rannych.

Antypater siedział, siwą brodę oparłszy na dłoni. Cze-kał, by hegemonowie uporządkowali swe oddziały i zło-zyli sprawozdania o stratach. Wiedział, że są ogromne wskutek zajadłości spartańskiego oporu, który jednak złamany został do cna. Antypater dokonał tego, czego po Cheronei zaniebdał Filip. Król mylił się sądząc, że Hel-ladę można zjednoczyć inaczej niż siłą, gdy nie potrafiła jej zjednoczyć nawet nienawiść do Macedonii.

W blasku ognia Antypater ujrzał nadchodzącego syna, a przy nim wojownika spartańskiego z laską herolda w rękę. Zapewne Spartanie ślą prośbę, by im pozwolił pochować poległych. Gdy herold zbliżył się, Antypater. nie czekając na jego odezwanie, powiedział szorstko:

Możecie pochować swoich. Was my już pochowa-my.

Herold odparł:

Król Eudamidas chce mówić z tobą.

Szkoda, że teraz, a nie rano,

- Jeśliś znużony, wodzu, poczeka.

- Dziś rano, nie jutro.

- Dziś jest już noc, ale jutro też będzie rano.

Spartanin wytrzymał kolące spojrzenie Antypatra.

Wódz zrozumiał, co ma na myśli, i rzucił ostro:

- Ale dla was nie będzie wieczoru, jeśli nie złożycie broni.

- Ja mam tylko skeptron . Broń nasza jest w rękę króla.

— Niech przyjdzie - odparł Antypater.

Zamyślił się. Sparta już się nie dźwignie, dalsze straty są bezcelowe, a nieuniknione, bo walczyć umie jeszcze na kolanach.

Eudamidas zjawił się w towarzystwie dwóch wojow-ników. Na skinienie Antypatra zasiedli przy ognisku. Brodate, bezwase ich twarze nie zdradzały żadnego uczu-cia. Pozostały kamienne, gdy Antypater powiedział:

Agis poległ. Możesz zabrać jego zwłoki.

— Wiem. Po to tu zostałem. Dziękuję ci.

- Nie dla ciebie to czynię. Zasłużył na czestny pogrzeb. Czego chcesz więcej?

— Czego ty żadasz?

— Złóżcie broń, przystąpicie do Korynckiego Związku i dacie pięćdziesięciu chłopców jako zakładników

- Wydanie broni to atimia, bez agogi chłopcy nie mogą zyskać praw. Nie damy chłopców ni broni. I oni będą walczyć, gdy nas nie stanie, ale ta walka nie przysporzy ci sławy. Dam pięćdziesięciu mężów w zakład, że nie podniesiemy broni przeciw tobie.

— Po to nie potrzebowalbym zakładników i nie walczę o sławę. Zakładnicy ręczyć będą za to, że poddadacie się karze, jaką orzeknie synhedrion, za naruszenie powszechnego pokoju, przymierze z wrogiem i nakłanianie innych do zdrady.

Twarz Eudamidasza pozostała kamienna, ale głos zdradził wzburzenie, gdy odparł:

— Synhedrion orzeknie, co mu rozkażesz. Z tobą chcę się ułożyć.

— Nic mu nie rozkażę — odpowiedział Antypater zjadliwie. — Twój wczorajski sprzymierzeńczy będą się prześcigać z wrogami, by wam zgotować los Teb. Będzie tym łatwiej, że Sparta nie ma murów. Wolę — dodał pogardliwie — byś los ten zawdzięczał Helladzie niż mnie. Ale jeśli zmusisz mnie, bym stracił jeszcze jednego żołnierza, bądź pewny, że was nie minie, a niewiasty wasze i dzieci sprzedam w niewolę.

Eudamidas był tego pewny. Żyła pamięć okrucieństwa Antypatra, z jakim po bitwie na Krokosowym Polu wytracił młodzież fokijską. Bliższe niebezpieczeństwo gorsze od dalszego. Powstał mówiąc:

— Zgadzam się. Zakładników przyślę, gdy pochowamy poległych.

Przekazana synhedrionowi w Koryncie sprawa ukarania Sparty przewlekła się. Lękano się gniewu Antypatra, gdyby wyrok zapadł łagodny, ale i cisnięta na kolana Sparta wciąż jeszcze budziła trwogę. Okoliczności mogą się zmienić. Ci, którzy z oburzeniem załamywali ręce nad losem Teb, by szczuć przeciw Aleksandrowi,

wstydzieli się teraz zgotować podobny los Sparcie okazując służalczą uległość. Po burzliwych rozważaniach znaleziono bezpieczne wyjście: sprawę ukarania Sparty złożyć w ręce Aleksandra.

Wyroku, jaki wydał król, nikt nie mógł się spodziewać. Elis i Achaja, jako członkowie związku, którzy złamali zaprzysiężony pokój, za szkody wyrządzone Megalopolis zapłacić mają sto dwadzieścia talentów. Sparta nie należała do... związku, nie wiązały jej przeto jego uchwały i nie podlega jego sądowi. Nie tylko wyszła bezkarnie, ale król zwolnił zakładników, a nawet pojmanych posłów do Dariusza, wyrażając podziw dla męstwa Agisa. Jednocześnie polecił Antypatrowi, by nie drażnił państek helleńskich mieszanem się w ich sprawy wewnętrzne.

Hellada odetchnęła. Zwolennicy Aleksandra sławili jego wielkoduszność, przeciwnicy uznali, że teraz bezpiecznie mogą się rozprawić z wewnętrznymi wrogami. Wśród macedońskiej starszyny natomiast wieść wywołała wzburzenie, a zwłaszcza nazwanie jej krwawego wysiłku myomachią. Jedyne Antypater przyjął ją obojętnie. Gdy na zebraniu podniosły się głosy, że król lekceważy jego zasługi, odparł:

— Basileus lekceważy Helladę. Ja wiem, że byłem raczej kotem niż myszą. Niechaj się gryzą w swoich norach. Moja sprawa, jak temu zapobiec, by z nich nie wychodziły, ale gdyby znowu wyszły, nie będę czekał na zarządzenia Aleksandra.

— Ale basileus pochwalił Agisa, a ciebie nie — wtrącił Kassandros z oburzeniem.

— Nie godzi się triumfować nad poległymi, jak mówi Homer. Nic tańszego jak wspaniałomyślność wobec nieżyjącego wroga. A mnie nie trzeba klepać jak konia, bym wiedział, że uczyniłem, co do mnie należało. Komu zaś potrzebna pochwała za spełnienie obowiązku, niech mu starczy moja.

Oddanie Aleksandrowi orzecznictwa nad Spartą oznaczało uznanie jego władzy nad Helladą, a zarazem koniec walki. Płatni stronnicy nie są mu już potrzebni.

W Atenach uważano, że nadeszła pora rozstrzygnięcia zawisłego od lat dziesięciu procesu przeciw Ktesifonowi o bezprawność jego wniosku, by za zasługi w walce z Filipem uwieńczyć publicznie Demostenesa.

Do swej głównej roli w procesie mówca był dawno przygotowany i pewny siebie. Odesłanie przez Aleksandra odzyskanych skarbów, które Ajschynes usiłował wykorzystać dla usprawiedliwienia swego stanowiska w czasie walki, nie oceniano już jako dobrodziejstwa. Król zwrócił tylko własność bogów, Ajschynes wzbogacił się z macedońskich łapówek, nawet własne jego stronnictwo nie ujmie się za nim odcinając się od jego działalności. Dwukrotne uwieńczenie Demostenesa na podstawie późniejszych niż Ktesifonowy wniosków przesądziło właściwie sprawę. Chodziło raczej o pozyskanie w sądzie większości potrzebnej do zasądzenia Ajschynesa na grzywnę dość wysoką, by nie mógł czy nie chciał jej zapłacić i tym samym utracił prawa obywatelskie.

Toteż gdy Demostenes cyzelował jeszcze swe przemówienie, przyjaciele jego zabiegali o wzbudzenie nieprzychylnych dla Ajschynesa nastrojów. Zainteresowania procesem nie trzeba było rozniecać. Obywatele, którzy nie potrzebowali pracować na swe utrzymanie, nudzili się teraz. Wojna skończona, polityka ograniczona do własnego podwórka. W dniu wyznaczonym na rozprawę na rynek ciągnęły gromady, z zapasami żywności jak do teatru. Nie przyjmowano zakładów za Ajschynesem nawet jeden do pięciu, niemniej spodziewano się popisu dwóch najsłynniejszych mówców. Chytry i obrotny Ajschynes uczynił wszystko, by się obronić przed zajadłym wrogiem, który teraz wreszcie będzie mógł dać upust swej nienawiści.

Ajschynes zdawał sobie sprawę, że w rzeczywistości jest on nie oskarżycielem, lecz oskarżonym, oskarżyciel natomiast miał przemawiać pierwszy, ostatnie słowo zostawiając wrogowi. Do sądu nie towarzyszył mu nikt, a Demostenes zjawił się w orszaku przyjaciół, witany przychylnym szmerem tłumu. Ze swego stronnictwa Ajschynes dostrzegł wśród obecnych tylko Fokiona, który nie mógł być podejrzany o spółkę z łapownikiem, i Demareta, znanego z bezkrytycznego uwielbienia dla Alek-

sandra. Licznie natomiast przybyli przywódcy stronnictwa wojny i zasiedli gromadnie. Tylko Hypereides trzymał się osobno. Usiadłszy obok Fokiona, pogardliwym spojrzeniem wodził po tłumie. Teraz, gdy walka skończona, chętnych do niej przybyło.

— To proces o wieniec chwały waszego stronnictwa — rzekł Fokion. — A raczej pogrzebowy wieniec wielkości Aten! Demostenes zasłużył sobie, by wygłosić mowę na tę uroczystość.

— Obydwaj zasłużyli. Z beczki na pomyje trzeba by zrobić klepsydrę na ich przemówienia.

Umilkli, bo herold wzywał o ciszę, a na mównicę wstępował Ajschynes. Widoczne było, że opuściła go zuchwała pewność siebie, zrazu nawet potężny głos mu nie dopisywał. Opanował go wprawdzie, ale zawodziła zwyczajna mu obrotność i chytrość. Zaczął od genealogii Demostenesa: wnuk zdrajcy, który uchodzić musiał z miasta, syn barbarzyńskiej matki, udający najlepszego z Hellenów.

Ajschynes czuł, że nie znajdzie oddźwięku, ogarniała go złość i tracił panowanie nad tym, co mówi. Nie tylko przeszedł do wulgarnych obelg, ale mówić zaczął rzeczy tak oczywiście nieprawdziwe, że rozległy się gwizdy i syki: nie on, lecz Demostenes był autorem niekorzystnego pokoju Filokratesa. Demostenes rozbił jedność Hellenów, nie wzywając jej do walki z Filipem, jakby mógł to uczynić w chwili, gdy Ateny same pertraktowały o pokój. Ajschynes czuł, że brnie, i brnął coraz głębiej, bez wyboru już zarzucając Demostenesowi przestępstwa, o których winien był donieść w swoim czasie, gdyby zarzuty były prawdziwe. Gdy pomówił Demostenesa o macedonofilstwo, wywołał śmiech, który uciszać musiał herold. Widząc, że przegrywa i nikogo nie zdołał przekonać. Ajschynes jeszcze chciał się ratować i próbował postraszyć; pogardliwym gestem skwitował nawoływanie do końca mowy i zwrócił się do sędziów:

— Weźcie pod uwagę czas, w którym macie wydać wyrok. Za kilka dni święcić będziemy Pytie i zbierze się helleński synhedrion. Polityka Demostenesa w tych czasach będzie podnoszona jako zarzut przeciw miastu.

Bo jeśli przyznacie mu wieniec, o który wnosi Ktesifon, będzie się zdawało, że jesteście jednej myśli z łamiącymi powszechny pokój.

Na tym skończył i szedł z mównicy. Demostenes nie śpieszył się z rozpoczęciem swego przemówienia. Chciał dać czas nieprzychylnym ocenom wystąpienia przeciwnika, które rozrastały się w gwar. Hypereides zwrócił się do Fokiona:

— Wiedziałem, że Ajschynes jest nikczemny. Nie przypuszczałem jednak, że jest głupi.

— Istotnie nie przysporzył chwały ni korzyści naszemu stronnictwu, nawet jako mówca. Demostenes mógłby nic nie odpowiedzieć i proces wygrać.

— Nie obawiam się, Fokionie, że nie usłyszymy popisu krasomóstwa. Ja jestem ciekawy tylko, jak Demostenes rozprawi się z jedynym słusznym zarzutem, że nie złożył rachunków z budowy murów. Gdyby Ajschynes trzymał się tylko tego, jeśliby nawet nie wygrał procesu, mógłby przynajmniej wyjść z niego bez grzywny.

— Słabe argumenty przemycą się w środku przemówienia — odparł Fokiem obojętnie.

— Będziemy tedy wiedzieli, kiedy jest środek. Demostenes zaczyna.

Istotnie ukazał się na mównicy i przez chwilę stał z wzniesionymi w niebo oczyma. W ciszy, która zapanała, wezwał bogów, by natchnęli słuchaczy taką dla niego życzliwością, jaką oh zawsze żywił dla nich i dla państwa.

Zmienił ton i dobitnie zastrzegł się przed narzucaniem mu sposobu obrony przez przeciwnika. Będzie zmuszony mówić o sobie, rachunek zdać z całej swej działalności politycznej, a pewne dygresje konieczne będą dla odparcia kłamstw, obieg i potwarzy zawartych w brukowej hecy, jaką zaprodukował Ajschynes.

Od ogólników Demostenes przeszedł do faktów. Rozpoczął od wojny fokijskiej, raz za razem zwracając się wprost do przeciwnika, gdy porównywał odegrane przez nich obu role w narastającym konflikcie z Macedonią. Mimochodem wspomniał o otrzymanych wówczas odznaczeniach, przeplatając swe wywody ogólnymi sen-

tencjami i pochlebnymi wzmiankami pod adresem słuchaczy. Doskonale panował nad ułożonym starannie materiałem i skromnie, a misternie wił wieniec własnych zasług, pozostawiając słuchaczom wysnucie wniosku, że gdyby dano posłuch wszystkim jego radom, w proch rozsypałyby się zakusy Filipa, a wielkość Aten okryła nowym blaskiem.

Mimo że Demostenes wywodził już blisko dwie godziny, jeszcze nie wspomniał o podstawie oskarżenia.

— Będziemy tu siedzieli do wieczora — powiedział Hypereides.

— Może Demostenes nabierze rozpędu. Wszyscy już trochę znużeni. Łatwiej przejdą słabe argumenty.

Istotnie przystąpił do odparcia zarzutu niezłożenia rachunków. Rachunek składa z całego okresu sprawowania funkcji publicznych. Koszt budowy murów pokrył ofiarą z własnego majątku, a nie ma tak niehumanitarnej ustawy, która by nakazywała tłumaczyć się z wyświadczonych dobrodziejstw. Nie on pierwszy otrzymać ma wieniec przed uzyskaniem absolutorium, dar zasługuje na wdzięczność i pochwałę, i dlatego wniosek Ktesifona prawny jest i uzasadniony.

— Niezbyt chwalebny zwyczaj — rzekł Fokion. — Ukraść sto talentów, pięćdziesiąt ofiarować państwu i zamiast kary zyskać wieniec. Ale jak widzisz, przyjmują fałszywy pieniądz za dobry.

Demostenes nie dał czasu na rozważenie swego wyводу. Stwierdziwszy, że uterował drogę do sprawiedliwego i zbożnego wyroku, teraz zaczął właśnie przemówienie. Dotychczas mówił spokojnie, chwilami z odcieniem żalu, jak mówi człowiek skrzywdzony tak niesłusznie, że nawet się nie oburza, lecz dziwi. Teraz zasyczał jak rozpalone żelazo polane wodą. Rutyną panował jednak nad pasją: śmieciuch, wycierach rynku, wyrzutek!

Hypereides z niesmakiem powiedział do Fokiona: — Obawiam się, że teraz zacznie się walka na pomyje.

Istotnie, Demostenes, podobnie jak Ajschynes, rozpoczął od wyvodu jego pochodzenia: ojciec niewolnik, matka portowa dziewczka, która z dochodów swego rze-

miosła wykarmiła arcydramatycznego artystę trzeciej klasy. Uszlachcił rodziców, *matką wywodząc* podniosłe z *Bławobogów, choć wszyscy wiedzą, że nazywała się Wszeruba, a przezwisko to otrzymała stąd, że na żądanie klienteli wszystko robiła i znosiła i była uniwersalnym sprzętem miłości.*

Hypereides splunął, Fokion skrzywił się z niesmakiem.

— To ma być argument za uwieńczeniem Demostenesa! Skoro przed naszymi sądami wszystko wolno, każdy pokazuje, co ma najpiękniejszego. Ty obnażyłeś Frynę, a Demostenes samego siebie. Ale patrz, jak inni się cieszą.

Istotnie rozległy się prześmiechy, a Demostenes sypnął jeszcze garścią wyzwisk i zaklinając się na wszystkich bogów, że mówi czystą prawdę, przeszedł do omawiania postępowania Ajschynesa.

— Gdybym nie wiedział, że podsądnym jest Ktesifon — powiedział Fokion' — myślałbym, że Ajschynes.

Hypereides odparł: .

— Przez przeciwieństwo tym jaśniej wyjdą na jaw cnoty Demostenesa.

Demostenes osiągnął jednak wyższy poziom swej sztuki. Chwalił słuszną i pełną godności politykę państwa, sobie przypisując skromny w niej udział. Ajschynes poniża ją, ganiąc postępowanie Demostenesa. Skazanie Ktesifona byłoby równoznaczne z potępieniem samych siebie. Wspomnił o wszystkich swych zwycięstwach nad posłami Filipa w obcych państwach, a zwłaszcza w Tebach, chybione wyniki swych starań przypisując losowi. Przesądza zresztą wniosek Ktesifona o odznaczenie mówcy po cheronejskiej klęsce, gdy jemu zlecono żałobne przemówienie nad grobem poległych bohaterów, bo nikt nie był im bliższy; a nie doradca darzy walecznych męstwem, lecz bóg.

— Szkoda przeto, że nie zostawił bogu walki z Filipem — mruknął Fokion.

Z niesmakiem słuchał, jak Demostenes zaczął sypać imionami zwolenników Filipa w państewkach helleńskich, wszystkich określając jako zdrajców sprawy helleńskiej, zwycięstwa nie tylko Filipa, ale Aleksandra nazywając nieszczęściem Hellady. Gdyby w każdym mieście choć jeden człowiek zajmował podobne jak on stanowisko, wszyscy wolni i samorządni zamieszkiwaliby swoje ojczyzny w szczęściu i bezpieczeństwie, wdzięczni wam i innym Ateńczykom — za moją sprawą - za tyle dobrodziejstw . Jeśli działalność jego nie zdoła ocalić wolności, to ocaliła przynajmniej dobrą sławę.

Drwiąco uchylił się od porównań z wielkimi mężami przeszłości. Żyjący zawsze budzą zazdrość, zmarłych nawet wróg już nie ściga nienawiścią, choć za życia i oni byli przedmiotem zarzutów. Nagradza się zwycięzcę w aktualnych zawodach, mimo że dawniej bywali silniejsi zapaśnicy. Nie cieszy się jak Ajschynes ze zwycięstw Aleksandra, choć wie, że zdrajcy doniosą królowi o tym. Zakończył westchnieniem do bogów, by wyrwali niczym chwast tych, którzy obecny stan chcieliby utrzymać na zawsze, i prośbą, by jak najrychlej uwolnili lud od ciężącej trwogi.

Zszedł z mównicy wśród powszechnego poklasku. Ajschynes nie potrzebował nawet czekać na wyrok. Chyłkiem ulotnił się z zebrania i w tajemnicy wyjechał do Efezu. Po jego wyjeździe jeszcze nudniej uczyniło się w Atenach.

Złamanie Sparty, stanowiącej krefosłup oporu Hellady, pozwoliło Antypatrowi zająć się domowymi sprawami. Król epirocki znalazł kres; swych zdobywczych zamierzeń w Italii, zamordowany przez lugańskiego zbiega. Jedyne jego syn, Neoptolemos, był dzieckiem, władzę imieniem nieletniego następcy pochwyciła Olim-

pias, zazdrosna nawet o jej pozory, własną córkę z wnukiem zmuszając do wyjazdu, Epir w jej ręku z hołdownika i sprzymierzeńca stał się wrogiem Macedonii, zmuszając Antypatra do czujności. W listach swych do syna Olimpias usiłowała odebrać mu zaufanie króla. Dotychczas bezskutecznie. Dopóki groziło niebezpieczeństwo ze strony Sparty, Antypater był niezastąpiony. Ale z listu Parmeniona wiedział, że Aleksander wyraził się, iż jedna łza matki zmyć potrafi tysiąc podniesionych przeciw niej zarzutów. Gdy niebezpieczeństwo minęło, król może dać posłuch podszeptom Olimpiady i odwołać namiestnika. Pozbawiony władzy nie ostałby się wraz ze swym rodem i zwolennikami zemście królowej, która dla jej wywarcia potrafiła szukać przymierza z wrogami.

I bez tego wzrastające napięcie między Antypatrem a królową znowu podsycać jęło nadzieje wojowniczych demagogów w helleńskich państewkach. Demostenes głośno chęcił się, że to on wywołał bunt w Tesalii i Perhebie i popierał politykę Sparty; bohaterskimi frazesami odgrywał niezłomnego obrońcę wolności. Tymczasem były to tylko słowa, ale w razie zbrojnego starcia z Olimpiadą stłumione wrzenie mogło rozwinąć się w czynny opór, a w samej Macedonii Olimpias znajdzie zwolenników niezadowolonych z rządów Antypatia. Zakaz króla wstrzymał go od uprzedzenia Olimpiady w jej poczynaniach. Wódz burzył się wewnętrznie. Jeśli król nie ułatwia mu zadania utrzymania pokoju, nie powinien go przynajmniej utrudniać. Antypater przestał uważać na polecenie niemieszania się w wewnętrzne sprawy państewek helleńskich i gdzie się dało, popierał jął tyranów, tańszych i pewniejszych od przekupnych demagogów, gdy nigdy nie wiadomo, za kim pójdzie bezmyślny motłoch obywateli. Dowodnym przykładem było wygnanie z Aten Ajschynesa.

W listach swych Parmenion był powściągliwy, nie miał zwyczaju żalić się, ale Antypater rozumiał starego przyjaciela. Poczynania króla budzą sprzeciw także w wojsku, ustawicznie zmuszanym do nadludzkich wysiłków. Pewne było już, że ani dokonane rozbicie monarchii perskiej nie było celem ostatecznym, ani tym mniej stworzenie jednolitego państwa helleńskiego.

o jakim myślał Filip. Mimo podziwu dla nadludzkiej dzielności Aleksandra, z pisma Parmeniona przebija niechęć do niego.

Antypater rozumiał ją: Aleksander niczym nie przypominał królów, do jakich obydwaj starzy wodzowie nawykli. Samowolny i niezrozumiały w swych poczynaniach, często wielkoduszny wobec oczywistych wrogów, a bezwzględny wobec zasłużonych współpracowników Filipa.

Pismo Parmeniona dotknęło też własnej bolączki Antypatra. Od czterech lat zięć jego, księżę Lnykestis, więziony był za spisek z Dariuszem, córka Antypatra żyła w ustawicznej trwodze o los małżonka. Syn jej nie widział jeszcze ojca. Antypater przyrzekł jej, że sposobną porą wstawi się za zięciem poręczając, że będzie spokojnie siedzieć w swojej majątności. Sposobniejszej porę niż obecnie być nie mogło, gdy walka z Dariuszem i Spartą skończona; spiskować nie ma z kim, a Antypater miał prawo upomnieć się o nagrodę za położone zasługi. Dotychczas nigdy o nic nie prosił i nic nie otrzymał.

List Parmeniona i napływające dalsze wieści świadczyły, że postępowanie króla wszędzie budzi opór. W Arei, Arachozji i Drangianie zatwierdzeni przez niego satrapowie wszczęli bunt, uznając za króla Bessosa, który w Baktrii i Sogdianie zbierał siły, z pomocą sprzymierzeńców raz jeszcze gotując się do odparcia najazdu. Pozostawione w Medii pod wodzą Parmeniona znaczne siły, i tak odległe były o czterdzieści dni marszu, odcięte były od króla.

Położenie zagrażało nie tylko dalszym zamierzeniom, ale utratą dotychczasowych zdobyczy. Zdać się mogło, że nadszedł kres niewiarygodnego powodzenia Aleksandra.

Groźne niebezpieczeństwo przywróciło jednak karność, każdy rozumiał, że rozprężona, o dziesiątki tysięcy stadiów oddalona od kraju armia utonąć musi w morzu buntu. Aleksander natychmiast potrafił to wykorzystać. Nigdy jeszcze wojska macedońskie nie brodziły tak głęboko we krwi. Późną jesienią spokój w zbuntowanych satrapiach został przywrócony, królewski gościniec do

Medii otwarty, niedobitki buntowników schroniły się w Indiach lub zbiegły do Bessosa, który bezpieczny za wałem gór Parapamissos spodziewał się w ciągu zimy zebrać siły dostateczne, by utrzymać się przynajmniej w Baktrii i Sogdianie.

Także ściągające do Proftazji wojska macedońskie spodziewały się, że tu będzie kres ich drogi, a przynajmniej do wiosny wypoczną po walkach. W górach panowała już zima, mroźne jej podmuchy sływały w dolinę, wiodący u ich podnóża gościeńiec zasypany był śniegiem, kurniawy śnieżnym pyłem słały na nim zasy na chłopa wysokie, ze stromych zboczy spadały lawiny. Przeprowa wojsk przez góry zdała się niemożliwa, ale właśnie dlatego Aleksander postanowił zaskoczyć Bessosa. W trudniejszych jeszcze warunkach złamał opór Ariobarsanesa na Perskiej Przełęczy. Wezwał Kraterosa, by z nim omówić porządek pochodu.

Rozrośnięta nad miarę jego postać (krateros — potężny) nie kłóciła się z imieniem, nie było rozkazu, nad którego wykonaniem zawahałby się. Teraz jednak, gdy Aleksander oznajmił mu swe postanowienie, siedział chmurny i milczący. Gdy król przystępował do omawiania kolejności wymarszu, Krateros przerwał mrukliwie:

— Ja pójdę z tobą. A kto prócz mnie, tego nie wiem.

Widząc gniewne spojrzenie Aleksandra dodał:

— Nie żądaj od ludzi więcej, niż mogą dać z siebie. Wycisnąłeś z nich wszystkie siły. Niedawno usychali od skwaru, teraz mróz. Wielu choruje.

Pocierając kudłate uda ciągnął:

— Niedaleko szedłem, a przewiało mnie do kości. Co będzie w górach? Ani ognia naniecić, ani spocząć pod dachem. Konie wyzdychają. Ustaniemy w drodze, tedy po co wychodzić? Zresztą zwołaj radę wojenną, usłyszysz, co ci powiedzą.

— Starczy mi twoja rada — oschle przeciął Aleksander. — Ale gdybyś posłuchał mojej rady i nosił anaksirydy, nie przewiałoby ci nóg do kości.

Krateros odparł zmieszany:

— Nie nasz obyczaj. Nie potrzebuję wstydzić się swojego ciała.

— Istotnie, nie potrzebujesz. Możesz odejść.

Gdy Krateros wyszedł, Aleksander przez chwilę siedział zadumany. Milczenie przerwał Hefajstion:

— Co pocznjemy? Może byś sam przemówił do wojska? Dotychczas zawsze umiałeś je przekonać.

— Nie zawsze. W Egipcie skóra im obłaziła z nóg od słońca, tu nawet Krateros marznie, choć kudłaty jak niedźwiedź. Ale nie zmienia macedońskiego stroju, bo taki ich obyczaj. Dorobili się zresztą i chcą wracać, by siedzieć przed ogniskiem.

Mówił spokojnie, jakby nastrój wojska nie kładł tamy jego zamierzeniom, a nawet nie groził przekreśleniem dotychczasowych osiągnięć. Hefajstion przyglądał mu się zdziwiony. Czyżby Aleksander po raz pierwszy w życiu ugiął się pod cudzą wolą? Zapytał:

— Tedy wracamy?

— Tak. Przez Słupy Heraklesa.

Hefajstion sądził, że się przesłyszał. Słupy Heraklesa leżą na zachodnim krańcu ziemi, oddalali się od nich z każdym dniem. Patrzył pytająco na Aleksandra, na którego twarzy zjawiał się przekorny uśmiech:

— Czemu się dziwisz? Arystoteles twierdzi, że ziemia jest kulą. Jeśli więc będziemy szli wciąż na wschód wrócimy do domu od zachodu.

— Chyba się myli. Na czym by kula spoczywała?

— Nie wiem. Niech on się nad tym głowi. Ale jeżeli nawet ziemia jest tarczą, która oblewa Okeanos, jak chce Hezjod, też na czymś spoczywać musi. Taka jest czy inna, chcę zdobyć całą.

— Z kim? Ze mną i z Kraterosem?

— Herakles zawsze walczył sam.

Istotnie zostaniemy sami. Słyszałeś, co mówił Krateros, wiesz, co myślą inni. Nawet Klejtos. Zresztą chory i bawi przy Parmenionie, a zwykły patrzeć na niego oczyma Filipa. Parmenion zaś uważa, że winieneś poprzestać na dokonaniu tego, co zamierzał Filip. Gdyby wojsko cię odstąpiło, w nim znajdzie swego Ksenofonta.

Na pozór bez związku Aleksander zapytał:

— Czy wiesz, dlaczego uczymy naszych żołnierzy, by godzili w głowę przeciwnika?

— To jasne. Ugodzony w głowę nigdy nie oddaje ciosu. — Zrozumiał jednak, o czym myśli Aleksander,

bo dodał: — Pozwól wojskom wypocząć, karność wróci. Uwielbiają cię. A to przecie Parmenion z chłopów, drwali i rybaków uczynił narzędzie zwycięstw Filipa i twoich. I oddał ci wszystkich trzech synów, a dwóch już nie żyje.

— Żał mi ich. I jego. Ale nie wyrzeknę się swego dzieła dlatego, że nie pochwała go Parmenion. Ja potrafię narzędzie zwycięstw uczynić z barbarzyńców, a Parmenion niezdolny jest ani słuchać ślepo, ani rozumieć, że można się trudzić dla celu większego niż potęga Macedonii.

— Nie możesz mu tego brać za złe, nikt nie chce walczyć dla samej walki. Chce widzieć w niej własny cel. Parmenion swój już osiągnął, a stary jest. I zapewne lęka się utracić ostatniego syna.

— A co sądzisz o Filotasie?

— Sam wiesz, co sądzić, skoro uczyniłeś go pierwszym między nami. Zuchwały jest.

— Wojna nie hoduje ludzi pokornych i nieśmiałych. Ale Filotas przekracza miarę.

— Sameś temu winien, skoro pozwalasz mu drwić z siebie. Czy może spodziewałeś się, że tak młodo osiągnąwszy najwyższe w wojsku dostojenstwo, będzie walczył do końca żywota niczego więcej nie pragnąc?

Filotas istotnie igrał z ogniem. Męska próżność nie pozwalała mu zauważyć, że sprzykrzył się Antygonie. Podpiwszy, puszył się wobec niej i roztaczał plany, w których nie było miejsca dla króla. Nie wiedział, że zwąchała się z Kraterosem, z kpinami powtarzając nowemu kochankowi peany Filotasa ku własnej czci. Słuchy o tym doszły do Aleksandra, a nie zapomniał też przyjaźni jego z Perdikkasowym Amyntasem, którego on kazał zgładzić. Zachowanie Filotasa zdradzało nie tylko zarozumiałość i pychę, ale niechęć i zawiść;

Aleksander zapytał:

— Ty nie lubisz Filotasa?

— Nigdy go nie lubiłem. Zawsze zarozumiały był, nawet gdy jeszcze nie było z czego. Teraz wiesz, co wygaduje przed Antygoną.

— Niezbyt wierzę sprzedajnej dziewczce, ale mam go na oku. Póki tylko gada, znoszę to, bo nie on jedyny.

Muszę znosić — dodał gniewnie — dopóki nie dostanę w ręce Bessosa, by tutejszym dostojnikom obrzydzić zdradę i bunt. Wojska niech spoczną, ale karność nie wróci, póki naszych nie nakłonię do posłuszeństwa. Niech się nikt nie waży stawać w poprzek moim zamiarom, bo nie oszczędzę nikogo.

— Oszczędzaj samego siebie. Zda się i tobie spocząć.

— Nie mogę spoczywać, póki nie dokonam zadania nałożonego na mnie przez bogów. Nie wróżą mi długiego żywota, a większość drogi przede mną,

W osłoniętej od północnych i zachodnich wiatrów Wyżynie Medyjskiej konała jeszcze jesień. Parmenion, przekazawszy Harpalosowi przywieziony z Persepolis skarbiec, zajął się wprowadzaniem ładu w zdobytym kraju. Królewskim gościńcem biegali znów gońcy, rozłożone wzdłuż niego wojska sposobiły zimowe leże. Wiadomo już było, że król wstrzymał działania wojenne i przystąpił do budowy jeszcze jednego miasta nazwanego jego imieniem. Ujęte w karby a zaopatrzone obficie wojska nie ciążyły spokojnym mieszkańcom swawolą. Nawet dzicy Trakowie poniechali rabunku, gdy Parmenion przekonał ich, że zrabowane mienie trzeba oddać wraz z własną głową. Sitalkes próbował osłaniać swych ludzi, zaprzeczając Parmenionowi prawa sądu nad nimi, otrzymał jednak groźną zapowiedź, że w więzach odesłany będzie do króla, jeśli sam rabunków nie ukróci. Nowy ład ustalał się tym łatwiej, że nie nałożono nowych ciężarów, drogi były bezpieczne, w Ekbatanie, gdzie osiadł Parmenion, każdy mógł znaleźć sprawiedliwość. Kraj wypoczywał, wypoczywały wojska i wypocząć mógł wreszcie Parmenion. W królewskim pałacu umieścił urzędy, sam jednak zamieszkał w niewielkim domku w głębi ogrodów pałacowych, gdzie ciszy długich wieczorów nie zakłócał żaden odgłos z miasta i pałacu. Czasem odwiedził go stary żołnierz, dopytując, kiedy król — jak zwykle w spokojniejszym czasie — zwolnić każe wysłużonych. Wiadomo było, że walka ze Spartą skończoną i z kraju nadciąga znacznie-

sze uzupełnienie. Ci, którzy ongiś pierwsi wyszli do Azji pod Parmenionem, od ośmiu już lat nie widzieli domu i niecierpliwie dopytywali się, kiedy wódz ich do kraju odprowadzi. I jemu należy się wypoczynek, broda mu pobielą, a w synu pozostawi następcę.

Odpowiadał, że nie wie, ale wiedział, że bez Filotasa do kraju nie wróci, choć po raz pierwszy od dawna przestały go gnębić złe przeczucia. Walki ustały, synowi nic nie grozi, ale właśnie pora byłaby zatroszczyć się o utrzymanie rodu. Ostatnio Filotas zdał się już nieco znudzony swą miłośnicą. Gdyby wyjechał, hetera znajdzie sobie inną ofiarę, a Filotas przy młodej małżonce zapomni o niej. Byle król zechciał go zwolnić. Co do siebie, Parmenion nie miał wątpliwości. Od początku ciążył Aleksandrowi, nie mogli się uładzić. Znał go od niemowlęcia, a coraz mniej rozumiał. Było w nim coś nadludzkiego i nieludzkiego zarazem.

Parmenion rad był, że bawi daleko od króla. Aleksander umiał wypoczywać tylko w gwarze nie kończących się uczt, wśród chóru pochlebstw lub w gadatliwym samochwalstwie, gdy nadużył winą, a trafiało się to coraz częściej. Tutaj szeleścił tylko pod stopami zwiędły liść, gdzieniegdzie spóźniony kwiat wdzierał się jeszcze blademu, ale pogodnemu niebu, a cisza długich wieczorów jak w ojczystym domu sprzyjała wspomnieniom. Trud długiego życia ma już Parmenion za sobą; gdy dłonie odwykną od miecza, nauczą się pieścić główki Filptasowych dzieci. W jesieni marzył o wiosnie.

Jednego wieczora z zadumy obudził go cichy, lecz wyraźny chrzęst kroków po listowiu. Dużo zwierza hodowano w pałacowych ogrodach, ale kroki zdały się ludzkie. Strażnik obchodzący ogrody nie potrzebował się skradać. Przez dłuższą chwilę Parmenion nasłuchiwał czujnie, ale znowu zapanowała cisza. Mimo to Parmenion pewny był, że słuch go nie złudził. Życie spędzone w walce wyrobiło w nim ostrożność, niczego lekceważyć nie wolno. Ujął sztylet i wyszedł do przedsionka. W tej chwili ktoś lekko zaskrobał do drzwi.

— Kto i po co? — zapytał Parmenion.

— Polidamasowy Koiranos — zabrzmiała ledwo dostrzegalna odpowiedź.

Wódz zdziwił się. Stary hypaspista z osobistej straży króla bawił przy nim o dziesiątki mil od Ekbatany. Otworzywszy drzwi, przy niepewnym poblasku wpadającym z izby do przedsionka z trudem poznał znanego od lat żołnierza. Zarośnięty był i wynędzniały. O tej porze, chyłkiem nie przybywa jako posłaniec. Wódz zapytał ze zdziwieniem:

— Co tu robisz?

— Pozwól mi usiąść, bo ledwo stoją.

Parmenion bez słowa wskazał mu wejście do izby, a widząc, że żołnierz istotnie chwieje się na nogach, podsunął mu kubek i winem i powiedział:

— Posil się, siadaj i mów.

Koiranos wypił, odetchnął, jakby zbierał się mówić, ale milczał. Parmenion powtórzył:

— Co tu robisz?

Zbiegłem.

- Szukasz u mnie ochrony? — pytał Parmenion surowo. Mów, co masz na usprawiedliwienie.

— Ciebie chciałem przestrzec.

— Mnie? przed czym?

Gdy nie otrzymał odpowiedzi, dodał ostrzej:

— Mów bez wykrętów lub każę cię odprowadzić do więzienia.

Ale znowu ogarnęło go złe przeczucie i z napięciem patrzył na żołnierza, na którego wargach jak nabrzmiewająca kropla zdała się wisieć zła wieść:

— Twój syn... nie żyje.

Parmenion usiadł i ręką przetarł czoło. Jakby chcąc uchwycić odpływające źdźbło nadziei, zapytał nieswoim głosem:

— O którym synu mówisz?

— Przecie został ci tylko jeden.

— Miałem trzech — wyszeptał Parmenion, ale rozumiał, że nie ma już żadnego, i nagle wszystko stało mu się tak obojętne, że nie zapragnął nawet dowiedzieć się, jaką śmiercią umarł Filotas.. Głowę oparł na dłoniach zasłaniając oczy, jakby raził go blask oliwnej lampki.

Koiranos patrzył na Parmeniona ze współczuciem, czekając na pytania. Chciał swemu wodzowi oszczędzić

jeszcze większego bólu, a nie wiedział jak. Gdy Parmenion milczał, Koiranos zaczął:

— Kazałeś mi się sprawić, dlaczego zbiegłem. Bogów podziemnych biorę na świadków, że nie ze strachu o siebie. Ja otwarcie głosowałem przeciw...

Zaciął się, ale gdy Parmenion i teraz nie zapytał, wyrzucił jakby ze złością:

— Przeciw ukamienowaniu twego syna.

Parmenion drgnął nieznacznie, ale nie poruszył się.

Koiranos ledwo dosłyszał pytanie:

— Czy długo się męczył?

— Niedługo. Nasi ludzie rzucają silnie i celnie. Anim się obejrzał, już tylko kupa kamieni, jeno oszczepy z niej sterczały. Taki wspaniały mąż, a przywlekli go jak łachman i cisnęli na kolana, bo ustać nie mógł. Zbity jak wściekły pies i stopy miał popalone.

Parmenion syknął, jakby jego ogniem przypieczono. W blasku kaganka czoło jego lśniło od potu. Jak do siebie szepnął:

— Za co?

Przed oczyma miał jasną główkę pacholęcia, którą ongiś tak lubił gładzić, a tak rzadko miał sposobność, przez cały żywot zajęty walką o to, by synowie grzebali ojców. Nie wywalczył nawet tego, by ojciec pochować mógł ostatniego syna. Gdyby choć poległ w walce, pozostałby dumny przykład poświęcenia wszystkiego dla kraju. Ale zginął jak zdrajca, sterta głazów na dalekiej obczyźnie zostanie jako jedyny pomnik. Nawet we wspomnieniu ojca zamazał się obraz jasnej główki, a przed oczyma stała krwawa miazga zlepionych krwią i mózgiem kędziorów.

Długie milczenie przerwał Koiranos, mówiąc szeptem:

— Uchodź, wodzu!

Parmenion spojrział na żołnierza półprzytomnie. Nie rozumiał, o czym mówi. Koiranos powtórzył:

— Uchodź, wodzu. W kraju będziesz bezpieczny.

Bezpieczny? Parmenion nadał nie rozumiał. Bezpieczny przed czym? Nie ma ucieczki przed sobą. Życie skończone. Gdy się nie poruszył, Koiranos zaczął mówić szybko i niespokojnie:

— Uchodź, wodzu. Ja wiem, że nic ci po żywocie. Ale po tylu latach chwały umierać tak...

— Jak?

Parmenionowi zdało się, że osiągnął już dno nieszczęścia i nic go poruszyć nie zdoła. Czyżby jego otchłań nie miała dna? Jakby oprzytomniał. Koiranos kręcił się niespokojnie nie odpowiadając. W głosie Parmeniona zabrzmiał gniew, gdy powtórzył:

— Jak?

— Jak Filotas — szepnął Koiranos.

Parmenion zerwał się i krzyknął:

— Ja?

Koiranos skurczył się i odparł drżącym głosem:

— Ty, wodzu. Filotas na mękach zeznał, że ty wiedziałeś...

— O czym? Mówże!

— Że mają zamordować króla.

Dotychczas Parmenion mniemał, że okrutna kara niebezpiecznie dosięgła Filotasa. Sam go przestrzegał, by nie drwił z Aleksandra, hamował swą pychę, żądzę władzy i użycia. Teraz powstała wątpliwość; Skoro wymuszono na nim, by obciążył własnego ojca, mogli wymusić przyznanie do spisku, do którego nie należał. Straszne przypuszczenie zdał się potwierdzać Koiranos. Zapytany, dlaczego głosował przeciw ukaraniu Filotasa, odparł:

— Bo nie wierzyłem, że winien. Gdy bronił się, nim go wzięli na męki, przyznał tylko, że nie doniósł królowi, co usłyszał od Kebalinosa, bo uważał to za czczą gadaninę, a nie chciał, by mu król nieufnością odpłacił, jak tobie, gdy w Tarsie przestrzegałeś go przed trucizną akarnańskiego Filipa. Mówił śmiało, że przyczyną oskarżenia jest strach i nienawiść, jaki dręczy każdego despotę, i to ma za złe królowi jak wszyscy. Gdyby nie to, co wygadywał przed Antygoną, sąd byłby go uwolnili bo i tak zdania były podzielone. Ale to go zgubiło, a król kazał go wziąć na męki, by wymusić wyznanie, kto był w spisku. Mieli twój list. Filotas długo zaprzeczał, choć bili go tak, że ciało odchodziło od kości; gdy ogniem go palić zaczęli, sam się przyznał i ciebie obciążył. Uchodź, wodzu!

Parmenion, jakby nie słyszał nalegania, zapytał:

— Był spisek czy go nie było?

— Nie wiem. Szemrali wszyscy, że basileus wlecze wojsko nie wiadomo dokąd i po co, że ostatni dech i pot z niego wyciska; że się obcymi otacza, dostępu do niego nie ma, że portki nosi jak Pers. Nie od dziś to było, a niech się jeno zjawiał przed wojskiem, każdy czynił, co on kazał. Prawda, że siebie najmniej oszczędzał, nie oglądał się, kto za nim idzie, i wstyd było zostawić go. Ale chciał dalej wojska pchać przez góry, nie pomogły jego czary, bo nie było sił. Nie chcieli iść dalej. Czulem, że coś się stanie, od dziecka nigdy nikomu nie ustąpił.

Wiesz, że nasi ludzie języka za zębami trzymać nie zwykli. Znałeś Dimnosa z Chalajstry? Odpyskował królowi, a ten zelżył go i kazał wysmagać. Dimnos się spił. Z wściekłości i wygrażać począł, że zabije króla, jeszcze wygadywał, że jakoby w porozumieniu był z jakimiś dostojnikami, którzy dość mają despoty. Nie baczył, że gada przy Nikomachu, który swemu bratu powtórzył, a ten Kébalinosowi. Kébalinos jest sykofant, nieraz donosił. Ale że dostęp teraz do Aleksandra niełatwy, czekał na jakiegoś dostojnika, by przez niego króla uwiadomić, a zły los chciał, że pierwszy nawinął się Filotas, więc jemu powiedział. Że Filotas nie doniósł, to pewne, może myślał, że to głupie gadanie, i Dimnosowi szkodzić nie chciał. Ale Kébalinos czekał na nagrodę, a widząc, że nic się nie dzieje, sam się do króla wprosił i doniósł nie tylko, co gadał Dimnos, ale że powtórzył to Filotasowi. Król kazał Dimnosa pojmać, ale gdy po niego przyszli, zabił się. Filotas tak się tłumaczył, jak mówiłem. Król ufał, że mu wierzy, ale nad ranem otoczyli jego gospodę, powywracali u niego wszystko, list twój znaleźli, który świadczyć ma przeciw tobie. Resztę już wiesz. Uchodź, wodzu.

Ale oburzenie Parmeniona przemogło nawet żal:

— Król wie, że com mu miał wytknąć, otwarcie mówiłem, alem do spisków niezdolny. Gdyby się ważył przed sąd mnie postawić, ilu was jest, tylu mam świadków, że na łzy córy nie bacząc, własnego zięcia poświęciłem, by bunt ukrócić, gdy Aleksander dość miał Innych wrogów. Ja ostrzegłem króla, że Dariusz, przeku-

pić usiłuje akarnańskiego Filipa, by go otruli. Na przyjaźń z Antypatrem nie miałem względu odkrywając knowania księcia Lynkestis, którego po dziś dzień król w więzach wlecze za sobą.

— Księcia Aleksandra Lynkestis także stracili — przerwał Koiranos. — Nawet nie wysłuchali, co chciał rzec. Król kazał uwięzić Demetriosą, Amyntasą, Polemoną, Simmiasą i Attalosą dlatego tylko, że przyjaźnili się z Filotasem. A tyś jego ojcem. W Persepolis ponoć rzekłeś Demaratosowi, że tyrani zawsze znajdują współzawodników, a często morderców i Krateros to słyszał.

— Tak powiedziałem, bo tak jest. Gdybym uszedł, dałbym jeno pozór przeciw sobie. Niechaj mnie król stawi przed zgromadzeniem wolnych, Ono go na tron wyniosło dla dobra kraju, nie po to, by jego krwią karmił swą nienasyconą pychę. Otwarcie wypowiem posłuszeństwo i wezwę, by wrócili do kraju. Obaczy, kto przy nim zostanie: jego nowi niewolnicy i pochlebcy. Prawdę; mu rzekł Filotas, że tyran we wszystkich widzi wrogów, bo sam jest wrogiem wszystkich. Znajdzie w nich swego Bessosa.

Wyczerpany wybuchem, Parmenion umilkł. Koiranos powiedział cicho:

— Król nie stawi cię przed zgromadzeniem wolnych. Wiesz, że dla niego życie ludzkie nic nie znaczy, nawet jego własne, nie wie, co to ból. Czyś słyszał, by jęknął, ilekroć był ranny? Z Filotasa drwił, że się spraszał, gdy go ogniem palili. Nie wie, co to miłość do niewiasty, z Barsiną spłodził syna jak ogier i nawet go nie widział. Nie tęskni za krajem, nawet za matką. Chyba prawda, że go z węża poczęła ta czarownica, jej demon go opętał i gna, spocząć nie pozwalając. Zgubi każdego, kto mu stanie w drodze, aż samego króla ciśnie w ciemności Erebu. Uchodź, wodzu!

— Nie - powiedział Parmenion. — Ja tylko obrzydły żywot mam do stracenia.. Tu jeszcze mogę się przeciwstawić samowoli tyrana. Ty, uchodź. Dam ci pieniądze na drogę. Jeśli uda ci się przedostać do ojczyzny, donieś Antypatrowi, co się tu stało. Niech mi wybaczy, że przeze mnie córka jego została wdową. Za późno zrozumiałem, że księżę Lynkestis słuszność miał, gdy

chciał obalić despotę, póki nie wyrósł ponad wszystkich i wszystko. Ja nie umiałem spiskować, zawsze walczyłem otwarcie. Teraz idź spać. Ja nie zasnę.

Lampka oliwna wypaliła się i zgasła. Parmenion nawet nie zauważył. Ciemność była w nim. Gdy późny świt wydobył z cienia zarysy przedmiotów, wstał i wyszedł chwiejnym krokiem. Wlókł się jak zgrzybiały starzec. Doszedł do kamiennej ławy i osunął się na nią. Nie czuł sił do żadnej walki, wraz ze znużeniem spływało na niego błogie otępienie. Jak zraniony zwierzę chciałby się zaszyć, gdzie go nikt nie znajdzie, i spokojnie doczekać końca.

Ale znaleziono go. Ocknął się na odgłos kroków i gniewnie zmarszczył brwi. Nadchodził Polidamas, jeden z hetajrów Aleksandra, który bawił przy nim w Proftazji. Jednocześnie szelest w krzakach zdradził, że idzie nie sam.

Parmenion wyprostował się. Przeczuwał, co się zbliża. Nie odpowiedział na pozdrowienia Polidamasa, który wyjąwszy z zanadru zwitek papirusu wręczył go wodzowi mówiąc:

— Filotas polecił mi doręczyć ci pismo.

— Dejanira mogła pisać do spalonego na stosie Heraklesa. Spalony Herakles nie mógł pisać do Dejaniry. Oto moja odpowiedź temu, co ci kazał przynieść to pismo.

Zwitkiem pergaminu uderzył w twarz Polidamasa, który cofnął się. Za Parmenionem rozległ się szmer. Odwrócił się i ujrzał trzech dowódców podległych sobie oddziałów. Polidamas zwrócił się do nich i rzekł cicho:

— Czyńcie, co wam zlecił basileus.

Rozgorzały wzrok Parmeniona zdał się jednak trzymać ich na uwięzi. Stał przed nimi wyniosły i potężny, bodąc ich pogardliwym spojrzeniem. Przerwał milczenie:

— Czemuż nie czynicie, co król wam kazał? Gdyby nie było siepaczy, nie byłoby tyranów.

— Odwróć się, wodzu — powiedział niepewnie Polidamas,

— Nigdy nie odwracałem się od wrogów. Uderz! Wszak jestem bezbronny. W plecy mogłeś mnie ugo-

dzić, gdy szedłeś za mną w dziesiątkach bitew. Lękaż się czy wstydzisz?

Zwrócił się do Menidasa:

— Ty uderz, najemniku. Za to ci płacą.

Postąpił ku niemu. Nagle rozłożył ręce, zwinął się i padł. Sitalkes wbił mu sztylet pod lewą łopatkę, aż ostrze wyszło przez pierś. Trak pochylił się nad ciałem, obciął głowę i wręczając ją Polidamasowi powiedział: — Odeślij to królowi na znak, że rozkaz został wykonany.

SŁOWNICZEK WYRAZÓW OBCYCH

- afraktoi (gr). — lekka jazda używana do wywiadu i pościgu
- agema (z gr.) — doborowy oddział przyboczny króla; gwardia królewska
- agoga (gr.) — wychowanie
- Ahuramazda — w religii staroirańskiej najwyższy bóg, duch dobra
- akropol (z gr.) — osada lub część miasta położona na wzgórzu. Pierwotne akropole były warownymi zamkami, później zamieniano je na, ośrodki kultu
- amfidromia (z gr.) — uroczystość nadania imienia sześciodniowemu dziecku
- amfiktion (z gr.) — urzędnik amfiktionii, związku miast-państw greckich, opiekujący się świątynią, regulujący sprawy kultowe, religijne i dotyczące organizacji igrzysk
- amfora — naczynie, ceramiczne o wysmukłym kształcie, z dwoma pionowymi uchwytami
- anaboleus (z gr.) — koniuszy
- anaksirydy (s gr.) — długie wąskie spodnie, noszone przez ludy starożytnego Wschodu
- Ananke — konieczność, los, przeznaczenie, bogini przeznaczenia
- archigrammateus (z gr.) — kanclerz
- archont (z gr.) — władca, przywódca; tytuł wysokiego urzędnika w Atenach
- archont basileus (z gr.) — archont przewodniczący kolegium 9 archontów
- Argas (g.) — Gad, zmija; przezwisko Demostenesa
- atimia (gr.) — wzgarda, pozbawiająca czci

- Baal — mitologiczne bóstwo plemion semickich, uosabiające dobroczynną działalność promieni słonecznych
- barbarzyńca (z gr.) — człowiek nie należący do wspólnoty helleńskiej, każdy cudzoziemiec
- b a s i l e u s (z gr.) — król, władca
- Ba ta los — bohater komedii Antiianesa, zniewiesiały i historyczny fletnista. Zarazem przezwisko oznaczające nieprzystojną część Ciała
- beotar cha (z gr.) — członek naczelnictwa Związku Beociego
- bramin (z sansk.) — kapłan Brahmy, najwyższego bóstwa starożytnych Hindusów
- chajre (gr.) — formułka powitania i pożegnania
- chiliarcha (z gr.) — dowódca tysiąca ludzi; perski lub macedoński "naczelnik straży przybocznej
- chiton (gr.) * — szata z półrękawkami -wkładana na ciało
- eh l a j na (z gr.) — rodzaj wełnianego płaszcza bez rękawów
- chlamidad (gr.) — obszerne wierzchnie odzienie 'męskie, owalny płat; sukna spinany broszą na barku lub pod szyją, głównie do konnej jazdy; płaszcz wojskowy u starożytnych Greków
- cykuta — trucizna wyrabiana z szaleju, rośliny trującej
- darejka — złoty pieniądz perski
- d e k a d a r c h a (z gr.) — dziesiętnik
- de mag o g (gr.) — przywódca ludu dbający bardziej o własne wpływy i interesy niż o dobro ludu lub państwa
- de mos (gr.) — okręg, gmina, również lud, pospólstwo
- Deukalion — w mitologii greckiej syn Prometeusza, mąż Pyrry, z którą uratował się podczas zesłanego przez Zeusa potopu i wylądował na Parnasie. Wyrocznia Temidy, bogini sprawiedliwości, zapytana, jak mają odrodzić rodzaj ludzki, kazała im rzucić za siebie kośćmi matki. Zrozumeli, że są to kamienie; rzucali je i stąd powstałi nowi ludzie.
- Dipylon (gr.) — Podwójna Brama, jedna z bram w Atenach
- drachma (z gr.) — moneta srebrna równa 6 obolom
- Droga Święta — przynależny znajdował się cmentarz ateński
- d z i ryt (z arab.) — rodzaj włóczni o krótkim drzewcu
- efeb (z grj) — młodzieniec przygotowujący się do życia społecznego

efemeryda (z gr.) — tu: dziennik
emporion (z gr.) — miejsce w porcie do składania towarów przywożonych drogą morską; plac targowy
epitafios (gr.) — mowa pogrzebowa ku czci poległych w walce lub napis nagrobkowy
ereb (z gr.) — świat podziemny, kraina ciemności
falanga — szyk bojowy polegający na ustawieniu w 8 zwartych szeregach ciężkozbrojnej piechoty. Przed falangą stali lekkozbrojni, konnica zaś znajdowała się na obu skrzydłach
gimnazjon (z gr.) — szkoła wychowania fizycznego
Gorgias — mówca, sofista z Leontyny na Sycylii; uczył że nie ma: prawd, wszystko jest względne
gynaeum (z gr.) — część domu przeznaczona dla kobiet
hirmos ta Cz gr.) — dowódca garnizonu
hegeon (z gr.) — tu: dowódca, oficer
Hekate — bogini księżycy 'podziemi i magicznych sił przyrody, opiekunka dróg
heros (gr.) — bohater; zwykle potomek boga i śmiertelnej matki, półbóg
Her oatratos — Grek, który w r. 856 p.n.e. spalił świątynię Artemidy w Efezie, aby się wslawić
hetajrowie (z gr.) — towarzysze; tytuł członków jazdy szlacheckiej
hetera (z gr.) — nierządnica
hipparch (z gr.) — dowódca Jazdy
hoplita (z gr.) — ciężkozbrojny żołnierz piechoty greckiej i macedońskiej
hydria (z gr.) — starogrecki dzban na wodę
Hydroforia — święto żałobne obchodzone w Atenach na pamiątkę śmierci ofiar potopu
hypacpista (z gr.) — pierwotnie gwardzista, potem - żołnierz służący w ciężkiej piechocie
Hypnos — sen, bóg snu
ila (z gr.) oddział jazdy
ilarchla (z gr.) — dowódca
intarsja (z wł.) — wzorzyste wykładanie przedmiotów drewnianych innymi gatunkami drewna lub obcym materiałem; rodzaj inkrustacji
Ister (gr.) - * Dunaj
Istm (z gr) przesmyk; tu Przesmyk Koryncki

- Jaksartes — dzisiaj Syr-Daria; duża rzeka w starożytnej Scytii, na małym odcinku stanowiła granicę z Sogdianą
- kantar (z gr.) — naczynie do picia z szerokim otworem, kufel
- Kardacy — najemna Piechota perska z Kardii, kolonii Miletu na Chersonzie Trackim
- kil — belka wiązania okrętowego biegnąca przez całą długość spodu statku
- kimeryjskie cienie — Kimerioni, u Homera lud żyjący w wiecznych ciemnościach
- klina (z gr.) — tu: legowisko przy uczcie
- Ksenofont - w swym dziele *Anabasis* opisał odwrót 10 000 najemników greckich z Mezopotamii w 401 r. p.n.e. po bitwie jc Artakserksesem pod Kunaka
- Leuktra i Mantinea — miejsca zwycięstw tebańskich nad Spartą
- Lizykles — dowódca wojsk greckich w bitwie pod Cheronęą; stracony po klęsce
- lochagos (gr.) — dowódca lochosu, najmniejszej jednostki wojskowej (100 do 300 ludzi)
- logopoj (z gr.) — gawędziarz, bajarz
- mageiros — rzeźnik rytualny
- Mahabharata -- epopeja indyjska
- mechanopoj (z gr.) — wojska techniczne, saperzy
- Medea — córka Króla Kolchidy, pomogła Jazonowi w zdobyciu złotego runa i uciekła z nim do Koryntu; porzucona przez Jazona zabiła jego ukochaną za pomocą zatrutej sukni i zamordowała własne dzieci.
- megaron (gr.) — główna izba w domu, pomieszczenie prostokątne, -w którym płonęło ognisko; dach z dymnikiem wspierały 4 kolumny. Megaron był pomieszczeniem dla mężczyzn
- meloforowie (z gr.) — gwardia perska, mająca na dzidach złote gałki
- metojkowie (z gr.) — napywowa wolna ludność w miastach greckich nie posiadająca pełnych praw obywatelskich
- mina (z gr.) — jednostka wagi i moneta w starożytnej Grecji; 100 drachm
- Mojry (z gr.) — trzy boginie przeznaczenia
- molos (z gr.) — epirocka rasa psów, odmiana brytana,

hodowana przez (plemię w Epirze)	Molosów	tarcza w kształcie półksiężyca, tzw. pelte,
Morze Jońskie - tyk	Adriatyk	perystyl (z gr.) — wewnętrzny kwadratowy dziedziniec, często z fontanną pośrodku, otoczony krytą kolumnadą
myomachia (z gr.) — myszy	walka	petasos (z gr.) — hełm macedoński przypominający płaski kapelusz z szerokim rondem, używany w podróży przez starożytnych Greków
nauarch (z gr.) - dowódca floty		Pizydzi — mieszkańcy Pizydii, kraju w Azji Mniejszej
Nereidy — nimfy morskie		Pnyks — wzgórze w Atenach, na którym odbywały się zgromadzenia ludu
Nike — bogini zwycięstwa		Pont (z gr.) — morze; tu: Morze Czarne i pń.-wsch. wybrzeże Azji Mniejszej
obol (z gr.) — drobna moreta		Posejdon — bóg morza
obiegowa ze srebra, 1/6 drachmy; również jednostka wagowa		Prokrustes (z gr.) *- przydomek legendarnego rozbójnika, Damastes z Attyki, który schwywane ofiary przywiązywał do łoża tortur, skracając lub rozciągając ich ciała wedle rozmiarów łoża
oligarcha (z gr.) — arystokrata		Promachos (gr.) — walczący w pierwszych szeregach, przodujący; przydomek Ateny
orfik (z gr.) sekta religijno- mistyczna, której założycielem miał być Orfeusz		propyleje (z gr.) - galeria otwarta, której strop wsparty jest na kolumnach, tworzy wejście do świątyni, pałacu prytan (z gr.) — rządca, władca; w Atenach członek Wielkiej Rady kierujący w danym okresie roku zgromadze
paides basilikoi (gr.) — chłopcy królewscy (paziowie)		
Parapamisos — Hindu- kusz		
parasang — mila pergka, stosowana przez Greków		
równa 30 stadionom, ok. 5,7 km		
pedetajrowie (z gr.) — piesi towarzysze; ciężka piechota wolnych Macedończyków		
peltasta (z gr.) — lekko- zbrojny żołnierz w piechocie greckiej uzbrojony we włócz- nię. Osłoną jego była mała		

dzeniem ludu i administracją państwową

Prytaneion (z gr.) — budynek, w którym odbywały się zgromadzenia Wielkiej Rady

pylagorowie (z gr.) — pełnomocnicy państw greckich .w Radzie Amfiktionów

Rada Amfiktionów — organ związku polityczno-religijnego 12 państw greckich z siedzibą, w Anteie nad Azopem

Rada Pięciuset — administracyjna rada w Atenach

Rhopoperpetretas (gr.) — wykrętny pyskacz, przezwisko Demostenesa

Sakkowie — szczep scytyjski

sarysa (z gr.) — bardzo długa włócznia macedońska

sarjsosfor (z gr.) — o-szczepnik

satrapa (z pers.) — zarządca prowincji w Persji - satrapii

scholarcha (z gr.) - kierownik szkoły

skeptron (gr.) — berło; tu: laska herolda

Słupy Herakleasa — skały w Cieśninie Gibraltarskiej

somatiflak (z gr.) — stróż ciała, tytuł 7 wysokich, dostojników macedońskich

Spartiatą (z gr.) — pełnoprawny obywatel Sparty

stadion (z gr.) — miara długości, ok. 190 m

stater (z gr.) — moneta srebrna wartości 4 drachm; złota — wartości 20 drachm srebrnych

strateg (z gr.) — wyższy dowódca podległy bezpośrednio królowi

strateg-autokrator (z gr.) — naczelny wódz; w Atenach był wybierany spośród 10 strategów, czyli kolegium strategów

Styks (z gr.) — rzeka świata podziemnego. Wykapanie się w niej zabezpieczało od ran; matka Achillesa, Thetis wykąpała go w Styksie trzymając za piętę, toteż tam mógł być zraniony

sykofant (z gr.) — donosiciel

symmachia (gr.) — przy mierze

synhedrion (z gr.) — rada, zgromadzenie, posiedzenie

tagos (gr.) — naczelnik związku tesalskiegb

taksa (z gr.) — oddział hoplitów

taksjarcha (z gr.) — dowódca oddziału, taksy

talama (z gr.) — sypialnia, łóżnica

Thanatos — śmierć, bóstwo śmierci przedstawiane w po-

staci skrzydlatego młodzieńca
Thetis — Tetyda, boginka morska, matka Achillesa
t r i e r a (z gr.) — okręt wojenny z trzema rządami wioseł, trójrzędowiec
Tyche — bóstwo losu, szczęścia, fortuny
tyran (z gr.) — władca sfucupiający w swym ręku całą władzę; potocznie władca okraipy i niesprawiedliwy

urząd jedenastu - wykonawcy wyroków w Atenach

Wielkie Dionizja - uroczyste święto ku czci Dionizosa w Atenach

Zeus Ksenias - Zeus ,patron gościnności